



Judith Gould



Grzechy

Tom I

*Czy można w zgodzie żyć z pyszałkami,
Co ponad bliźnich dumnie się wynoszą,
Słabymi gardzą, łaski silnych proszą?
Czemu tak trudno jest współżyć z głupcami?
Grzechem jest ich poczęcie, poród - matki łkaniem,
Ich życie - pomyłek nieszczęsnych tłumami,
A śmierć - okropnym, powolnym konaniem.*

JOHN WEBSTER „Księżna d'Amalfi”, akt IV

DZISIAJ

Wtorek, 9 stycznia

Rozdział 1

Samolot lądował na odległym pasie startowym. Przez okienko mogła dojrzeć podwójne rzędy świateł, które migotały w wirującej mgiele. Siedziała sama w małej kabine dla pasażerów, niecierpliwie wyczekując, kiedy wreszcie będzie mogła stąd wyjść.

Czekał na nią na końcu pola startowego. Jak daleko mógł sięgnąć pamięcią, zawsze pragnął tylko tej jednej kobiety, która ciągle mu się wymykała. Właśnie stanęła w drzwiach odrzutowca, miękka i delikatna jak jedwab, krucha jak porcelana, a jednocześnie twarda jak stal. Tyle lat czekał na nią cierpliwie. Wezwała go niecałą godzinę temu.

Zaczęła iść ku niemu gibka i sprężysta, rozjaśniona światłem reflektorów. Wysokie obcasy stuknęły o beton. Ruszył ku niej spiesznie i spotkali się w połowie drogi. Uścisnęli się mocno. Kiedy go objęła, zamknął oczy, a chwilę później poczuł, że się odsunęła.

- Witaj, kochanie - powiedział ciepło. - Zaraz po twoim telefonie wsiadłem w samochód. Ile masz czasu?

- Już straciłam godzinę, bo musiałam nadłożyć drogi. Za niespełną godzinę muszę wracać.

- Jest aż tak źle?

W milczeniu skinęła głową.

Poszli w kierunku jego samochodu.

Otworzył drzwi, a kobieta wsunęła się do środka i starannie podciągnęła spodnie na kolanach. Obszedł auto i usiadł obok niej, po stronie kierowcy. Bez słowa sięgnął do wewnętrznej kieszeni na piersi i wyjął złożony kawałek papieru. Czek na jedenaście milionów dolarów. Jej oczy spochmurniały.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Nie po to tu przyleciałam.

- Proszę, chcę ci pomóc. Weź to - nalegał łagodnie.

Uśmiechnęła się przepaszająco.

- Przykro mi, nie mogę. - Wpatrywała się teraz w przednią szybę, na coś, co tylko ona mogła zobaczyć.

- Gdybyś zmieniła zdanie... - urwał i położył czek na tablicy rozdzielczej w zasięgu jej ręki. Kilkanaście metrów dalej migotały światła samolotu; okrągłe okienka rzucały błyszczącą poświatę.

Godzinę później siedział w samochodzie sam, wsłuchując się w narastający warkot silników, kiedy odrzutowiec odrywał się od ziemi, by zniknąć w ciemnościach.

Jeszcze długo po tym, gdy wygaszono światła pasa startowego, mężczyzna siedział tam i wpatrywał się w noc. Zawsze w najtrudniejszych chwilach przede wszystkim pragnęła być blisko niego.

Czek wciąż leżał na desce.

Rozdział 2

Karl von Eiderfeld spojrział na zegarek od Piageta. Minuta po ósmej, informowały cyfry na tarczy wykonanej ze złota i lazurytu. Jeszcze pięć godzin do wyjścia, pomyślał ponuro. Siedział w swoim luksusowym apartamencie w hotelu Pierre na stylowym krześle, nerwowo bębniąc palcami w rzeźbione oparcie. Rzadko zdarzało mu się być tak zdenerwowanym. Wszyscy, którzy go znali, twierdzili, że Karl von Eiderfeld zawsze panuje nad swoim życiem, tak samo jak nad losami innych ludzi.

Wysoki, szczupły von Eiderfeld roztaczał wokół siebie aurę arystokraty, co działało na ludzi tak silnie, że prawie nie dostrzegali, że był albinosem. Skórę miał przeraźliwie białą, a wąska głowa, pokryta przeredzonymi siwymi włosami, przywodziła na myśl trupią czaszkę. Jego niesamowite różowe oczy i rzadko spotykana bladość nie mogły przyćmić władczej postawy, mimo że był już wyniszczony wiekiem. I absolutnie nic nie mogło zaszkodzić bogactwom Karla i jego fabrykom stali, flocie tankowców, rafineriom i niezliczonym milionom dolarów.

Karl von Eiderfeld stworzył swoje przemysłowe imperium na popiołach powojennych Niemiec. Tysiącletnia Rzesza runęła. Zwycięzcy złamali ducha narodu.

Koleiny czołgów przeorały krainę, po której kiedyś kroczył niezwyciężony Barbarossa. Miasta legły w gruzach. Niedawne Wielkie Niemcy były jedną rozległą ruiną.

Ale von Eiderfeld nie czuł się nieszczęśliwy. Nie wierzył w klęskę. Poza tym z Ameryki napływały olbrzymie pieniądze w związku z planem Marshalla... Tak, Karl dostrzegł wielkie możliwości dla tych, którzy chcieliby się zająć odbudową pokonanego Vaterlandu. A była to jeszcze większa szansa dla tych, którzy patrzyli w przyszłość, mieli wyobraźnię i odwagę, dla tych, którzy potrafili załatwiać sprawy. Nawet nieistotne sprawy. Małe sprawy, choćby takie jak ta, gdzie można dostać najbardziej potrzebne rzeczy. Artykuły, za które zasobniejsi obywatele chcieli płacić. Dużo płacić.

Karl wiedział, gdzie znajdują się zapomniane zapasy cennego propanu. Pod osłoną nocy po cichu wykopał cylindry z tajnych składów i przetransportował gaz konnymi furgonami do opuszczonej wytwórni win w Moselle River. Zajął mu to dwa miesiące, ale zimą zwróciło się tysiąckrotnie. Natura była po jego stronie, bo tego roku przyszła najmroźniejsza od lat zima. Brakowało opału i paliwa. Karl sprzedał propan, zarobił fortunę i uruchomił swoją pierwszą fabrykę stali.

W 1946 roku Karl von Eiderfeld stał się jednym z twórców powojennego boomu przemysłowego. Jego fabryki pomagały odbudowywać spalone miasta i zbombardowane drogi, dostarczając niezbędnych materiałów. Jego rafinerie zapewniały dopływ paliwa potrzebnego do funkcjonowania kolei i całej gospodarki. A jego statki dostarczały to paliwo do Hamburga, Bremy i Bremenhaven. Wkrótce znalazł się w czołówce przemysłowej kraju. I odkrył coś bardzo interesującego. Im więcej gromadził, tym szybciej jego majątek się pomnażał. To były czary. Pieniądze rzeczywiście robiły pieniądze.

Do roku 1946 Karl stał się milionerem. Do 1960 jego przedsiębiorstwa wyszły poza granice kraju i rozwinęły się w koncerny o zasięgu ogólnoświatowym. A dziś? Teraz jego pozycja jednego z trzech największych i najbardziej wpływowych potentatów przemysłowych w całym Zagłębiu Ruhry była niepodważalna.

Karl rozejrzał się bacznie po zaciemnionym, luksusowo umeblowanym salonie znajdującym się na piętnastym piętrze hotelu Pierre. Sześć okien apartamentu wychodziło na Piątą Aleję. Widok Central Parku był wspaniały, ale von Eiderfeld nigdy go nie

podziwiał. Grube adamaszkowe zasłony zawsze pozostawały zaciągnięte. Jego delikatne oczy, pozbawione naturalnej pigmentacji, były ogromnie wrażliwe na światło.

W swoim nowojorskim apartamencie nie miał nic niemieckiego. Te wnętrza jak gdyby żywcem przeniesiono z Wersalu. Ściany salonu pokrywały drogocenne osiemnastowieczne boazerie, niedawno zabrane z pałacyku we Francji i dostarczone statkiem do Nowego Jorku. Ułożono je pod czujnym okiem dekoratora i historyka sztuki. Z sufitu zwisały dwa wspaniałe kandelabry z weneckiego szkła. W błyszczącym weneckim lustrze odbijały się sofy i krzesła w stylu Ludwika XVI - wszystkie wyściełane prawdziwym adamaszkiem. Oczywiście materiał był oryginalny: przetarty, wyblakły i pocerowany. Na ścianach wisiały oprawione w pozłacane ramy trzy obrazy Moneta, dwa Goi i jeden mały Fragonarde.

Skończywszy oględziny, von Eiderfeld z wyrazem zamyślenia na twarzy podniósł się z krzesła i zaczął powolnymi krokami spacerować po pokoju. To był dzień, na który czekał przez te wszystkie lata.

Powinien czuć triumf, jak zawsze, kiedy udało mu się dokonać zemsty. Ale tym razem to co innego. Zemsta ma gorzki smak, kiedy czeka się na nią zbyt długo.

Pokiwał głową. Zawsze błyskawicznie niszczył swoich wrogów niczym anioł mściciel. Mając potężną Von Eiderfeld Industrien GmbH za sobą, nigdy nie musiał czekać na to zbyt długo. Ale w każdej regule zawsze istnieje jakiś wyjątek. Jego wyjątkiem była Hélène Junot. Czuł się wobec niej bezsilny jak Goliat wobec Dawida. Jej broń wszakże była jedyną, z jaką musiał się liczyć: ta kobieta znała pewne sprawy. Jego sprawy. A jej wiedza z biegiem lat nie traciła na wartości. Nawet przeciwnie, stawała się z upływem czasu coraz cenniejsza. Dała Hélène kontrolę nad ludźmi. I ta kobieta go wykorzystała. Został zmuszony do kupna udziałów jej wydawnictwa. Nie chciał mieć z nią nic wspólnego, ale postawiła sprawę jasno. Wiedział, że ta kobieta nie blefuje. Niebezpieczeństwo wciąż wisiało nad jego głową jak miecz Damoklesa. Rozumiał to aż za dobrze.

Tak, pomyślał, Hélène Junot, założycielka Hélène Junot International, Inc., wydawca „Les Modes”, najslawniejszego na świecie magazynu dla kobiet, była kimś więcej niż piękną kobietą. Dużo więcej. Była błyskotliwym, zdolnym do szantażu

potworem o stalowej woli. Krótko mówiąc, stała się niebezpieczna. Mogła go zniszczyć. Już raz prawie wykorzystała swoją wiedzę; pamiętał to doskonale.

I nie miał złudzeń. To mogło się powtórzyć.

Znajoma nienawiść sprawiła, że zrobiło mu się gorąco. *Gott im Himmel!* Jakże nią gardził. Westchnął. Ale dzisiaj on i wszyscy pozostali mogli wreszcie stanąć do ostatecznej rozprawy z tą kobietą. Czas Hélène Junot się kończył.

Była ósma czterdzieści rano, kiedy podróżujący pierwszą klasą Marcello d'Itri zabrał się do mdłego śniadania serwowanego przez włoskie linie lotnicze. Odchylony do tyłu w fotelu wyciągnął pusty kieliszek po szampanie w kierunku stewardesy.

- Już nalewam, proszę pana - odpowiedziała z uśmiechem.

Uśmiechnął się również, kiedy nalewała mu kolejną porcję Piper Heidsieck. Wyjątkowo urocza dziewczyna, pomyślał. Z radością pociągnął łyk szampana. Ale dzisiaj wszystko było urocze. Cieszył go nawet przytłumiony, miarowy warkot silników boeinga, dochodzący z tyłu. Marcello nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek chmury w dole wyglądały piękniej, i pierwszy raz zupełnie nie przeszkadzały mu ostre promienie słońca. Nie miał zamiaru opuszczać żaluzji. Nie dzisiaj. Zjadł nawet z apetytem jajka bez smaku, z których rezygnował za każdym razem, kiedy podróżował samolotem. Dziś wszystko sprawiało mu radość.

Za dwie godziny wylądaje na lotnisku Kennedy'ego i wtedy wreszcie wszystkie kółeczka, które tak skrupulatnie ze sobą połączył, zaczną się obracać. Machina pójdzie w ruch.

Czuł narastającą satysfakcję.

Czterdziestodwuletni Marcello d'Itri był średniego wzrostu i miał oliwkową cerę. Jego gęste szpakowate włosy wydawały się ciągle - jakby specjalnie - nieuczesane. Policzki miały stale niebieskawy cień popołudniowego zarostu, niezależnie od tego, ile razy się golił. Ubrany był w elegancką marynarkę z szarego aksamitu, szare spodnie i czerwoną kraciatą koszulę z cienkim szarym krawatem. Z wyjątkiem artystycznie potarganych włosów wyglądał wprost nienagannie; miał zadbane paznokcie, zrobione na miarę półbuty lśniły, a wąski pasek otaczający jego szczupłą talię był ze skóry kobry, z klamrą z osiemnastokaratowego złota. Szarą skórzaną walizkę Marcella zdobił wzór

składający się z ciągu liter - M d'I... M d'I... M d'I. Nie przeszkadzało mu, że taki sam bagaż mają tysiące podróżnych, skoro były to jego inicjały.

Obecnie d'Itri był postrzegany jako najbardziej liczący się włoski projektant mody ostatniej dekady, ale początkowo jego szanse na sukces w tej dziedzinie wydawały się bardzo niewielkie. Jego fantastyczne, czasami niezrozumiałe projekty, tak samo jak skromne, chłopskie pochodzenie, odstraszały zarówno potencjalnych klientów, jak i szefów przemysłu odzieżowego. W okresie dominacji arystokratów - kiedy tytuły „książę”, „księżna”, „hrabia” czy „baronessa” widniały na każdej metce - jego proste „Marcello d'Itri” wystarczyło, by zniechęcić potencjalnych klientów.

Na jego drodze pojawiła się jednak dobra wróżka. Hélène Junot zobaczyła jego projekty i uznała, że d'Itri ma potencjał. Uparte lansowanie strojów Marcella na łamach jej pism wystarczyło, by na stałe wszedł do świata mody, wyprzedzając nawet uwielbianego przez kobiety z towarzystwa Valentino. Lecz za tę przysługę, co d'Itri odkrył dużo później, musiał słono zapłacić. Hélène oplotła jego interesy jak elegancka ośmiornica, a jej macki sięgały wszędzie. W końcu miała wpływ nie tylko na projekty Marcella d'Itri, lecz także na niego samego.

Westchnął, wracając myślami do przeszłości. No cóż, mogło być gorzej. W końcu sukces, który zawdzięczał Hélène, miał jedną dobrą stronę: pieniądze. Krok po kroku, po cichu, pod przykrywką różnych fikcyjnych korporacji, Marcello wykorzystywał swoją rosnącą wciąż fortunę, aby wykupić udziały w Hélène Junot International, Inc. Zanim zorientowała się, co się stało, wszedł do zarządu.

Teraz, po latach upokorzeń doznanych z pięknych rąk Hélène, zbliżał się wreszcie do celu.

Jej dzieło pomoże w unicestwieniu jej samej.

W ekskluzywnym apartamencie Manhattan Sutton Place zamyślona Z.Z. Bavier wyglądała przez wysokie drzwi balkonowe z rżniętego szkła, zachwycając się widokiem. Sople lodu na cisach stojących w oszronionych donicach na tarasie jej penthouse'u połyskiwały w promieniach słońca. W dole maleńkie auta mknęły ulicą Pięćdziesiątą Dziewiątą, a w ich karoseriach odbijało się światło poranka.

Gryzący dym z papierosa marki Dunhill zasnuł falą zasłony z fioletowej mory. Z.Z. odłożyła słuchawkę telefonu z kości słoniowej usatysfakcjonowana tym, co przed chwilą usłyszała. „Hélène Junot wróciła już do miasta” - poinformował ją rozmówca. Hélène Junot, ta piękna, arogancka dziwka, zawsze ubrana z najwyższą klasą, bez wątpienia wyczuwała już nadchodzące kłopoty. Prawdopodobnie zaczyna się już bać, myślała Z.Z. z sadystyczną przyjemnością. Wreszcie się z nią rozprawią. Po blisko dziesięciu latach nadszedł czas ostatecznej rozgrywki. Po prostu rozkoszne!

Trzydziestośmioletnia Z.Z. Bavier była chuda, drobna, a swój wysoki wzrost zawdzięczała niebotycznym obcasom. Miała teraz na sobie fioletowo-brązowy stylizowany na wschodni kaftan firmy Pucci, złoty naszyjnik ze starożytnych bizantyjskich monet i złote sandały. Jej włosy o barwie miodu sterczały sztywno polakierowane, a oczy, przypominające rysie ślepią, były małe, zielone i wiecznie czujne, nos zaś zadarty. Nikt z kręgu licznych znajomych Z.Z. nie znał jej prawdziwego imienia ani nie wiedział, co oznaczają te litery. Z.Z. uwielbiała zagadki.

Gdy odwróciła się od okna i przeszła energicznym krokiem przez kilkupoziomowy salon, monety wokół jej szyi zabrzęczały delikatnie.

Powróciła myślami do chwili, kiedy to wszystko się zaczęło. Dziesięć długich lat temu. Była wówczas czarującą żoną Siegfrieda Baviera, znanego i podziwianego finansisty, który miał niesamowitego nosa do korzystnych inwestycji i którego fortuna rosła w oczach.

Potem, w 1965 roku, wszystko się rozpadło. Ukochany Sigi zmusił Z.Z. do rozwodu. Nie przejmował się, że była wówczas w ciąży. Myślał jedynie o Hélène Junot. Z.Z. pozwoliła mu odejść do tamtej, przekonana, że wkrótce mąż wróci do niej na kolanach, błagając o przebaczenie. Była tego tak samo pewna jak tego, że dostanie następne zaproszenie na przyjęcie u hrabiego Blackwella, znajdzie się w „Celebrity Register”, i tego, że ma w szafie najnowszą kolekcję strojów zaprojektowanych przez Suzie. A jak już Sigi przyczołga się z powrotem, co wtedy? Cóż, będzie go karać przez odpowiednio długi czas i w końcu mu wybaczy. Zdarzało się tak już wcześniej, aczkolwiek nigdy nie doszło do rozwodu. Miała zamiar cierpliwie przeczekać jego miłosną aferę. Na otarcie łez dostała siedem milionów dolarów, apartament przy Sutton

Place, a także dom w Easthampton, dwa obrazy Picassa i jeden Braque'a, kolekcję dzieł Georgii O'Keeffe oraz fundusz powierniczy dla nienarodzonego dziecka.

Ale stało się coś, czego się nie spodziewała. Mąż do niej nie wrócił. Dzień po orzeczeniu rozvodu on i ta kobieta wypowiedzieli słowa przysięgi małżeńskiej w urzędzie stanu cywilnego w centrum Nowego Jorku. A dwa miesiące później Sigi padł martwy w gmachu giełdy, pozostawiając Hélène piętnaście milionów dolarów i sprawiając, że Z.Z. zaczęła przedwcześnie rodzić.

Jak strasznie pragnęła mieć to dziecko! Miała stuprocentową pewność, że sprowadzi ono Siegfrieda z powrotem, że staną się sobie jeszcze bliżsi, że bycie ojcem zmusi go do zaprzestania miłosnych podbojów i ustatkowania się. Nawet wybrała już imię: Carla - dla dziewczynki, a Wilfred - jeśli byłby to chłopiec.

Lecz kiedy ciemnoskóra pielęgniarka przyniosła i pokazała jej noworodka, Z.Z. odruchowo zasłoniła oczy dłońmi. Wystarczyło jej jedno krótkie spojrzenie na tę okropną, zdeformowaną istotę. Ujrzała wykrzywioną różową twarzączkę, szeroko rozstawione oczy, które synek z pewnością odziedziczył po niej, czerwone, zaślinione usteczka i odrażająco zniekształcone rysy. Jej dziecko przeżyło przedwczesny poród, ale urodziło się z nieodwracalnymi uszkodzeniami mózgu.

- To moje dziecko? - Jej ochryply głos odbijał się echem od biało-zielonych ścian.

Pielęgniarka poważnie kiwnęła głową.

Oczy Z.Z. wypełniły się przerażeniem.

- To niemożliwe! - jęknęła zszokowana. - Nie jest moje! Nie może być! Nie może! - zawodziła, uderzając głową o metalowe oparcie łóżka i łkając gwałtownie.

Nie mogła w to uwierzyć. Urodziła potworka. Ta świadomość doprowadziła ją do załamania.

Kiedy doszła do siebie, powiedziała wszystkim pytającym znajomym, że dziecko urodziło się martwe. Marząc, aby to była prawda, przyjmowała przeprosiny i kondolencje, a także dziękowała za natrętne współczucie i troskę.

Nigdy nie mogła wymazać Wilfreda z pamięci. To, że go porzuciła, gnębiło ją dniem i nocą. Czy kiedykolwiek myśli o swojej matce? - zastanawiała się ciągle. I jak wygląda teraz?

Zamknęła oczy i zadrżała. Stale powracała do niej ta sama myśl: do kogo jest podobny jej syn. Ale zawsze bała się to sprawdzić.

Hélène zapłaci za to, przysięgła sobie Z.Z. O tak, zapłaci. To wina tej suki. Gdyby nie Hélène, Z.Z. odziedziczyłaby dwadzieścia dwa miliony dolarów zamiast marnych siedmiu, którymi musiała się zadowolić. A przede wszystkim nie musiałaby samotnie rodzić... - przełknęła ślinę - ...synka Sigiego. Nie musiałaby sama dźwigać tak okropnego brzemienia, świadomości wydania na świat nienormalnego dziecka. Sigi byłby przy niej, wspólnie znosiliby ten ból i cierpienie nie byłoby aż tak przygniatające.

Toteż kiedy nadarzyła się okazja po temu, Z.Z. kupiła udziały Hélène Junot International, Inc. warte trzy miliony dolarów. Uważała, że było to warte każdych pieniędzy. Czowała satysfakcję z tego, że zasiadała w zarządzie i mogła przeciwstawić się każdemu posunięciu kobiety, której nienawidziła ze wszystkich sił.

Ale dotąd były to tylko mało znaczące potyczki. Prawdziwa batalia dopiero się zaczynała.

Wielka limuzyna marki Mercedes torowała sobie drogę przez zatłoczone ulice. Na szarym welurowym siedzeniu wyciągnął się tylko jeden pasażer, hrabia de Léger. Jechał właśnie ze swojej wytwornej kamienicy przy Wschodniej Sześćdziesiątej Ósmej do Junot Building, głównej siedziby Hélène Junot International, Inc. przy Piątej Alei.

Bankier, właściciel słynnych winnic, kuzyn premiera Francji, hrabia de Léger zasiadał w zarządzie firmy Hélène Junot. Ten zgorzkniały Francuz był alkoholikiem. Miał czerwoną twarz o przystojnych, ale znamionujących okrucieństwo rysach, którym kobiety nie mogły się oprzeć, i twarde, czarne jak węgiel oczy. Bujne szpakowate włosy zaczesywał do tyłu, jak gdyby po to, by stawiały mniejszy opór wiatrowi. Był wysoki i szczupły. Ubierał się elegancko - dziś włożył niebieski garnitur szyty na zamówienie na słynnej Savile Row, a do niego czarny krawat z naturalnego jedwabiu. Na spinkach od mankietów znajdował się wygrawerowany herb rodziny de Légerów: lew i salamandra, które podtrzymywały umieszczoną między nimi tarczę. Owe spinki były rodzinną pamiątką i przechodziły w spadku na każdego następnego dziedzica tytułu. Natomiast złote kolczyki, które w 1546 roku król Franciszek I podarował pierwszej hrabinie de

Léger, otrzymywała zawsze małżonka kolejnego hrabiego. Lew i salamandra symbolizowały związki de Légerów z tronem francuskim.

W tej chwili hrabia nie myślał o korkach. Czuł się koszmarnie, miał mdłości. Spędził tę noc, pijąc bez końca. Dobrze po północy dostał wiadomość telefoniczną z Paryża. „Hélène Junot wynajęła odrzutowiec Lear i opuściła lotnisko Orly w ogromnym pośpiechu” - poinformował go cichym szeptem dzwoniący.

Hrabia potrafił należycie ocenić wagę tej informacji. To oczywiste, że Hélène nie wzięła wytwornego samolotu Grumman Gulfstream II, należącego do przedsiębiorstwa, ponieważ nie chciała, żeby pozostali dowiedzieli się o jej niespodziewanym powrocie.

Nie chciała dać im czasu, aby zdążyli się przygotować. Hrabia uśmiechnął się złośliwie. Jakby mogła jeszcze cokolwiek zrobić! Czy nie zdawała sobie sprawy z tego, że już za późno?

Jakże była naiwna, uważając, że zdoła ich przechytryć. Przecież wszyscy czworo czekali tak cierpliwie i tak długo. De Léger spodziewał się jakiegoś ruchu z jej strony i przygotował się na to. Cały ten czas była śledzona aż do Orly i jeszcze zanim odrzutowiec otrzymał pozwolenie na start, hrabia już o tym wiedział. A kiedy wylądowała na lotnisku Kennedy'ego jakieś piętnaście minut temu, wiedział o tym również. Zaskoczyło go jedynie to, że potrzebowała tak dużo czasu, aby wykonać ten ruch.

Ach, jakie to wspaniałe uczucie wreszcie być górą!, myślał dalej. Biedna, naiwna Hélène. Miała się za królową, podczas gdy tak naprawdę była tylko pionkiem. Jego pionkiem. Uspilo ją fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Łatwo uważać, że ma się wszystkie atuty w ręku, wiedząc, że pewne dokumenty spoczywają bezpiecznie w sejfie prawnika. Uśmiechnął się tajemniczo. Ale nawet najlepiej zabezpieczone sejfy można otworzyć.

Limuzyna szarpnęła i ponownie się zatrzymała. Mdłości powróciły. Mały drink pomoże mu dojść do siebie, uznał de Léger.

Otworzył barek i nalał sobie dużą porcję armaniaku do kryształowego kieliszka. Wypił go jednym łykiem.

Od razu zrobiło mu się lepiej, kiedy poczuł ciepło alkoholu w żołądku. Nalał sobie ponownie.

Nagle wargi zacisnęły mu się z wściekłości; uderzył pięścią w welurowe siedzenie.

- *Je suis bête!* - wykrzyknął. Jakże głupio z jego strony, że nie dostrzegł tego, co oczywiste! Powinien był zwrócić na to uwagę wcześniej.

Zniknęły gdzieś ponad dwie godziny! W pierwszej chwili nie skojarzył sobie tego, że podróż Hélène trwała sto czterdzieści minut dłużej, niż powinna. Zawiadomiono go o starcie i lądowaniu. A co robiła w ciągu tych dwóch godzin? Z pewnością nie latała w kółko nad Atlantykiem. Lear nie miał tak dużych zbiorników paliwa.

Musiała przerwać lot i gdzieś wylądować. Ale gdzie? I w jakim celu?

Chwycił słuchawkę telefonu. Ktoś powinien porozmawiać z pilotem i dowiedzieć się wszystkiego.

Limuzyna hrabiego podjeżdżała właśnie do Junot Building, kiedy James Cortland Gore III brał do ust kolejny polany syropem kawałek naleśnika. Siedział w pokoju śniadaniowym swojej rezydencji w Connecticut, zaledwie czterdzieści pięć minut jazdy od środkowego Manhattanu. W małym, jasnym pokoju były zielone tapety z wytłoczonymi liśćmi paproci; podłogę pokrywały ciemnoszare marmurowe płytki. Żona siedząca po przeciwnej stronie stołu wykonanego z żelaza i szkła w milczeniu spoglądała w duże wykuszowe okno. Był to cudowny moment. W porannym słońcu drzewa rzucały wydłużone cienie na oślepiający śnieg, pokrywając łąkę pasiastym dywanem podobnym do skóry zebry.

Potem popatrzyła na męża.

Niski, sześćdziesięcioletni James swoją tuszą przypominał wieprza. Miał obwisłe policzki, wąskie, czerwone usta, a jego twarz pokrywały niezliczone zmarszczki. Był łysy; szare, podobne do koralików oczy spoglądały spod szpakowatych brwi. Garnitur w drobne prążki określał pozycję towarzyską Gore'a. James był wiceprezesem banku i otrzymywał pensję w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie, którą lekką ręką wydawał. Należał do ekskluzywnych klubów dostarczających rozrywki pracującym dżentelmenom. Odniósł sukces i znajdował się u szczytu kariery.

Oderwał teraz wzrok od porannego wydania „The Wall Street Journal” i spojrzął na żonę.

Geraldine Gore była zadbaną kobietą. Skończyła pięćdziesiąt siedem lat, ale nie wyglądała na więcej niż trzydzieści dziewięć. Niemal anorektycznie chuda, miała wydatne, podobne do indiańskich, kości policzkowe, a jej opalenizna była efektem weekendów spędzanych na Florydzie. Cytrynowy szlafrok, wykończony strusimi piórami, pochodził z firmy Martha w Bal Harbour. Jasne, jakby przysypane popiołem włosy, spłwiała na słońcu, opadały na ramiona. W każdy czwartek, przed jej piątkowym lotem do Palm Beach, układał je fryzjer w salonie Susumu na Piątej Alei. Nos Geraldine, wąski i delikatny, stanowił efekt operacji plastycznej w ekskluzywnej klinice w pobliżu Lozanny ponad piętnaście lat temu. Błyszcząca diamentowa bransoleta otaczała nadgarstek. Geraldine wypatrzyła ją u Bułgariego tydzień temu i dotąd ani na chwilę nie zdjęła.

Gore odchrząknął.

- Niestety, kochanie, mam dla ciebie złe wieści. - Policzki mu drżały, kiedy to mówił.

- Złe wieści?

- Będę dziś musiał pracować do późna.

- Och, nie, James - jęknęła. - Nawet mi nie mów, że nie możesz! Nie dziś! Przecież obiecałeś, że dziś nic ci nie przeszkodzi. Zostaliśmy zaproszeni do Asburych na kolację, nie pamiętasz?

Gore był rozdrażniony. Nie pamiętał? Jakże mógłby zapomnieć?

- Przykro mi, kochanie - starał się mówić łagodnie. - Zadzwoń do nich i przeproś, że nie przyjdziemy.

Do diabła! Kolejny miły wieczór zepsuty, pomyślała Geraldine. A tak bardzo cieszyła się na tę wizytę. Asbury mieli gości z Francji i wprost umierała z chęci pochwalenia się swoim na wpół już zapomnianym francuskim z Sorbony, a także kreacją z domu mody Grès, rok temu przywiezioną z Paryża. Bez wątpienia było to arcydzieło. Suknia z tafty podkreślała figurę Geraldine dokładnie tam, gdzie powinna, ale nie była zbyt obcisła; raczej... tak, pieściła ją delikatnie.

Teraz wszystko przepadło. Nie mogła pójść do Asburych bez osoby towarzyszącej, tak się po prostu nie robi. „G-ó-w-n-o” - przeliterować w myślach. Spokojnie, powiedziała do siebie. Opanuj się. Zachowuj się z godnością.

Spojrzała na męża.

James, któremu nie wystarczyła jedna dokładka, pochłaniał następną porcję naleśników, by zaspokoić swój wyjątkowo duży apetyt. Był szczerze zmartwiony, że zepsuł plany Geraldine. Nikt lepiej od niego nie wiedział, jak bardzo czekała na spotkanie z Asburymi i ich przyjaciółmi z Francji. Nie zrobił tego specjalnie, ale na ten wieczór miał inne plany. Dziś musiał podjąć najważniejszą decyzję w życiu.

Zostały jeszcze tylko trzy dni, myślał. Za trzy dni upływa termin zwrotu pożyczki zaciągniętej przez Hélène Junot. Jeżeli ta suma nie zostanie spłacona, od banku - czyli od niego - będzie zależał dalszy los zabezpieczenia - dwudziestu procent akcji H.J.I.I. Niezwykle ważnych dwudziestu procent z osobistego kapitału Hélène Junot, wynoszącego pięćdziesiąt jeden procent wartości całego przedsiębiorstwa, gdyż była to prywatna pożyczka. Członkowie zarządu tej firmy nawiązali z nim kontakt: dyskretnie w klubach, otwarcie, za pośrednictwem doradców i adwokatów, a nawet odbierał tajemnicze anonimowe telefony. Złożyli mu kuszącą propozycję: milion dolarów wolnych od podatku, jeżeli Hélène nie otrzyma przesunięcia spłaty i bank zdecyduje się zaoferować akcje po ich cenie rynkowej pozostałym udziałowcom.

Tamci wszyscy czekają jak chciwe sępy, by wbić w nią szpony, myślał James. Z takiego czy innego powodu reszta akcjonariuszy postanowiła ją zniszczyć.

Och, jak bardzo pomógłby mu milion dolarów! James nigdy nie potrzebował bardziej tych pieniędzy. Lubił życie w luksusie, a styl Geraldine wymagał... cóż, trudno w ogóle mówić tu o jakimś stylu. Była więc rezydencja w Greenwich i druga w Palm Beach - obydwie konieczne ze względu na pozycję towarzyską Gore'ów, lecz niezwykle kosztowne. Obydwie obciążone hipoteką od piwnic po strych. Na lotnisku za miastem czekał samolot Beechcraft Bonanza, którym co weekend latali do Palm Beach. Miodowozłoty bentley stał w ogrzewanym garażu między najnowszym cadillakiem Seville i ostatnim modelem lincolna continental. Poza tym były ekstrawaganckie zakupy w Paryżu, gdzie *madame* Gore stała się bardzo znaną klientką. Witano ją z niezwykłą czołobitnością i zawsze podczas pokazów mody dostawała miejsce w pierwszym rzędzie. No i wreszcie był osiemnastometrowy, pełnomorski jacht „Chris Craft”, którego kupno Geraldine dosłownie wymusiła. Poza wszystkim, argumentowała w typowy dla siebie

sposób, dom w Palm Beach wygląda prawie nędznie z pustą przystanią. Sugestia Jamesa, żeby pozbyli się tego domu, nie tylko nie spotkała się z odmową Geraldine, lecz wywołała wręcz jej przerażenie.

A wreszcie, dwa miesiące temu, pani Gore znalazła sobie najkosztowniejszą rozrywkę - wyszukiwanie błyskotek u Harry'ego Winstona lub Bulgarię. James skrzywił się, widząc diamenty połyskujące na nadgarstku żony.

Trudno było z tym wszystkim sobie poradzić, mając sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie. Geraldine nic nie wiedziała, i, na Boga, James nie mógłby złamać jej słodziutkiego serduszka, przyznając się, że ich finanse są w opłakanym stanie.

Zaczął więc „pożyczać” pieniądze z banku. Po cichu sam udzielał sobie od czasu do czasu owych pożyczek i zawsze wierzył, że je spłaci, gdy już złapie wiatr w żagle albo kiedy Geraldine przestanie go tyle kosztować.

Do diabła z tym wszystkim! - pomyślał ze złością. Tak trudno było powiedzieć „nie”.

Nie mógł się oprzeć milionowi oferowanemu za oddanie udziałów Hélène Junot pozostałym właścicielom akcji. To była odpowiedź na jego modły.

I, co najważniejsze, nikt nigdy nie musi się o tym dowiedzieć. James odsunął gazetę. Zbyt dużą przyjemność sprawiały mu marzenia o milionie dolarów, żeby przegłądać wiadomości.

I właśnie dlatego przeoczył nagłówek na drugiej stronie. Głosił on: „Trzęsienie ziemi w Junot Publications?”.

Kiedy podchodził do budki telefonicznej, lodowaty wiatr dmuchnął mu mocno w twarz. Kameleon zatrzasnął za sobą drzwi kabiny, włożył dziesięciocentówkę w otwór i wykręcił numer innej budki gdzieś w mieście. Ze zmarszczonymi brwiami słuchał cichego sygnału. Pierwszy. Drugi. Trzeci. Odłożył słuchawkę na widełki i moneta spadła do dolnego otworu. Wyjął ją i poczekał dwadzieścia sekund. Dookoła miał ruchliwy i głośny Times Square.

Papiery i śmieci unosiły się na wietrze. Neony błyszczały jarmarcznymi reklamami. Sklepy obuwniczy i muzyczny były jeszcze zamknięte. Teatrzyki porno stały puste i ciche. Nikt nie pędził do salonów masażu ani z nich nie wychodził. Było zbyt wcześnie. W

sumie Times Square przedstawiał widok godny pożałowania, jak księżna wdowa wyrzucona przez spadkobierców z pałacu na bruk. Nie jest jednak tak najgorzej, uznał Kameleon. Times Square nigdy nie wyglądał źle o dziesiątej trzydzieści rano. A w pół do dziesiątej wieczorem? To już inna historia.

Zeszłej nocy wyglądał jak babilońska nierządnicza. Rzędy migających reklam kusily obrazkami wyuzdanych dziewczyn, salony peep-show za ćwierć dolara proponowały rzut oka na sceny rodem z Sodomy. Dziwki w futerkach z królików paradowały z gołymi, przemarzniętymi udami. Drag queen kroczyły dumnie, chwiejąc się na wysokich obcasach, a ich płaszcze rozchyłały się szeroko, ukazując sterczące, kosztowne piersi. Chłopcy o głodnych oczach stali w pozach podkreślających ich okrągłe tyłki w obcisłych lewisach. Wszystko dostępne za odpowiednią cenę.

Na Czterdziestej Czwartej podeszła do niego portorykańska dziewczyna w białych plastikowych botkach i krótkiej spódniczce. Długie, gołe nogi miała czerwone z zimna.

- Masz ogień? - zapytała miękko. Błyszczące czarne oczy popatrzyły na niego zapraszająco.

Kameleon wyjął z kieszeni zapalniczkę. W blasku płomyka zauważył złotą skórę i wilgotne czerwone wargi Portorykanki. Policzki miała upudrowane, ale mimo to widać było delikatną zapowiedź zarostu. Drżące palce, w których trzymała papierosa, wydawały się zbyt grube i zbyt męskie.

Pokręcił głową i poszedł dalej. Jeszcze jedna drag queen. Lubił prawdziwe dziwki. Westchnął; czy na tych ulicach nie pracują już żadne kobiety?

Zatrzymało go czerwone światło. Postawił walizkę na chodniku i zapalił papierosa. Potem zaczął szukać hotelu.

Na Czterdziestej Ósmej, tuż obok Broadwayu, znalazł odpowiednie miejsce. Prawdziwa wylęgarnia pcheł. Ośmiopiętrowy budynek z fasadą pomalowaną na ohydny szary kolor. Wąska uliczka prowadziła na znajdujący się z tyłu parking. Na bocznej ścianie zobaczył łamane schody pożarowe. Pulsujący czerwony neon oznajmiał: „Hotel Zanzibar”. „Pokoje od pięciu dolarów wzwyż. Witamy stałych i przejeżdżających gości” - głosił stary napis poniżej.

Z pewnością to miejsce gwarantowało całkowitą anonimowość, tutaj nikt nie zadawał pytań. Płać za norę z góry, a potem wchodź i wychodź, kiedy ci się podoba.

I o to chodzi.

Rzucił papierosa na ulicę i patrzył, jak opadał. Potem, pogwizdując cicho, wszedł na schody z betonu, otworzył drzwi i znalazł się w holu.

Hol był niesamowity. Cały wyłożony kafelkami, wyglądał jak skrzyżowanie łaźni tureckiej z teatralnym foyer z lat dwudziestych. Wyszczerbione i zardzewiałe kinkiety na ścianach musiały być kiedyś dobrej jakości, ale dawno utraciły abażury i teraz żarówki świeciły ostrym blaskiem, rażąc oczy. W jednym z pokoi na parterze ryczało na cały regulator radio. Głośna melodia salsy była zniekształcona i przykra dla ucha. Parowe grzejniki syczały i szczękały jak sapiące lokomotywy.

Na prawo, zaraz za drzwiami, znajdowała się kabina z drewna i ze szkła. Prawie zupełnie zakrywała niską, wyglądającą na zmęczoną blondynkę, która siedziała za ladą, przeglądając jakiś magazyn sensacji.

Kameleon chrząknął.

Dziewczyna niechętnie odłożyła pismo na ladę i zwróciła ku niemu bladą twarz.

- Tak? - mruknęła obojętnie. Postawił walizkę na podłodze.
- Chciałbym wynająć pokój - powiedział grzecznie.
- Dziś nie ma dużego wyboru - odrzekła schrypniętym głosem. - Został tylko jeden.
- Zrobiła balon z gumy do żucia. - Reszta zajęta.

- Czy okna wychodzą na ulicę?

Potrząsnęła głową.

- Nie, na podwórze. A właściwie to na parking. Trzecie piętro. Naprawdę jest tam cicho.

- Ile?

- Dwadzieścia dolców za noc.

- Dwadzieścia dolców...? Na wywieszce przed hotelem jest „pięć”!

- Tak - odrzekła znudzonym głosem - wiem. To stara wywieszka. Możesz go wziąć albo nie. - Była zirytowana. Chciała już wrócić do sensacyjnych historii w magazynie.

Westchnął.

- W porządku, biorę.

- Na ile?

Zastanowił się przez chwilę.

- Hm... Powiedzmy, że na tydzień.

Podsunęła mu książkę meldunkową i obserwowała, jak pochylił się i złożył czytelny podpis. „A. Samuels - przeczytała - z Waszyngtonu, dystrykt Columbii”. Wreszcie jakaś odmiana po nieczytelnych Johnach Smithach, którzy wypełniali rejestr, uznała. Odwróciła się i wzięła klucz z jednej z przegródek za sobą. Kameleon sięgnął po niego.

- Chwileczkę... - Powstrzymała go. - To będzie sto czterdzieści dolców. Płatne z góry.

Wyciągnął z portfela trzy pięćdziesięciodolarowe banknoty.

- Pokój numer trzy-zero-cztery - oznajmiła dziewczyna, rzucając banknot dziesięciodolarowy i klucz na ladę. - To na trzecim piętrze. Winda jest tam, po prawej stronie. - Kiwnęła głową w nieokreślonym kierunku. - I musisz zostawiać klucz w recepcji, jak będziesz wychodził. Kierownictwo nie lubi, kiedy goście biorą klucze ze sobą.

- Jasne - odparł. Podniósł walizkę i poszedł do windy. Pokój był taki, jakiego oczekiwał, ciasny i obskurny.

Sztywne prześcieradła na łóżku zakrywały zaplamiony, nierówny materac. W łazience woda z ciekącego kranu kapiała do zabrudzonej na zielono umywalki. Z pokoju obok przez cienkie ściany dochodziły ostre głosy i muzyka rockowa.

Kameleon rozsunął spłowiałe zasłony i spoglądał w ciemność. Nie mógł znaleźć lepszego miejsca. Wszędzie wokół miał tylne ściany starych biurowców, o tej porze pustych. Poniżej był ciemny, opustoszały parking, zavalony śmieciami. Zaraz za oknem miał schody pożarowe, które prowadziły wprost na parking. Własna, prywatna klatka schodowa. Po zapadnięciu zmroku, a nawet w ciągu dnia, jeśli zachowa ostrożność, będzie mógł tędy swobodnie wchodzić i wychodzić. A co najważniejsze, hotel Zanzibar znajdował się daleko od eleganckiego świata, z którym będzie miał teraz styczność. Pobyt tutaj może się wprawdzie skończyć pogryzieniem przez pluskwy, ale z pewnością nikt nie połączy go z wykonaną robotą; kiedy to nastąpi, policja zacznie przeczesywać kręgi

pięknych i bogatych, a nie nędzne hotele dla anonimowych gości. Ale niezależnie od tego wszystkiego Kameleon wówczas zamierzał już być daleko.

Zasunął zasłony, odwrócił się od okna i podszedł do łóżka. Podniósł walizkę i ją otworzył. Dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem. Na dworcu autobusowym znalazł w dwóch oddzielnych skrytkach klucz i walizkę.

Była ciasno zapakowana płasko poskładanymi ubraniami. Bez ceregieli wywalił je na podłogę. Wyciągnął scyzoryk i rozciął podszewkę wieka. Potem wsunął rękę między materiał a winylowy wierzch. Uśmiechnął się, gdy wyczuł pod palcami papier.

- Och, kochane moje! - wyszeptał. - Takie słodkie i kochane! Zrobiłbym dla was wszystko.

Wyciągnął zza podszewki dwadzieścia sześć kopert. Najpierw otworzył dwadzieścia pięć grubych. W każdej były nowe, szeleszczące studolarowe banknoty. Ułożył je w równy stos. Poślinił palec i szybko je przeliczył. Suma się zgadzała: pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Zaliczka za morderstwo.

Na końcu otworzył dwudziestą szóstą kopertę. Wydawała się pusta, ale znalazł w niej starannie poskładany wycinek prasowy. Rozłożył go i wygładził.

Aż gwizdnął z niedowierzania i zamrugął oczami. Potem usiadł na łóżku, wpatrując się w zdjęcie pierwszej kobiety, którą przyjdzie mu zabić. Szkoda, pomyślał. Boże, ona jest taka piękna. I w dodatku to dama. Ale ta ślicznotka nie miała najmniejszej szansy.

Nie z Kameleonem.

Był najlepszy w branży. Zapalił papierosa i ponownie utkwiał wzrok w fotografii z prostym podpisem: „Hélène Junot”.

Rozdział 3

Junot Building znajdował się na rogu skrzyżowania Piątej Alei i ulicy Dwunastej. Wśród spokojnych starych kamienic wyróżniał się jak błyszczący diament. Hélène poleciła architektom z firmy Kevin Roche John Dinkeloo and Associates, żeby zaprojektowali dziewiętnastopiętrowy biurowiec.

- Chcę mieć coś wspaniałego - powiedziała. - Coś zaskakującego i eleganckiego, a jednocześnie z charakterem. Coś, co będzie się rzucać w oczy.

I właśnie to otrzymała. Budynek dosłownie wstrzymywał ruch uliczny. Zapowiadał, oczywiście na mniejszą skalę, słynny U.N. Plaza Hotel Kevina Roche Dinkeloo and Associates. Architekci zaprojektowali dla Hélène imponujący graniastosłup o ścianach z lustrzanego szkła. W świetle poranka stał mroźny i zimny, w ciągu dnia chwycił ruch i wydawał się ożywać. Nocą sprawiał wrażenie, jakby miliony światełek migotały w jego fasadzie. Ale najbardziej olśniewająco wyglądał o zachodzie słońca. Stał zwrócony na zachód i zamierające słońce przekształcało lustrzane ściany w płonący ogień.

O dziewiątej trzydzieści, kiedy Hélène wysiadła ze swojego białego rolls-royce'a z nowojorską rejestracją HJII, fasada budynku błyszczała zimnym srebrem. Samochód odbijał się w ścianach budynku, gdy szofer w szarej liberii otworzył drzwi. Kilku przechodniów spojrzało na elegancką pasażerkę. Hélène była typem kobiety, za którą wszyscy się oglądali. Zauważano ją wszędzie, gdziekolwiek się pokazała. Było to efektem jej sławy i pozycji, a jednocześnie wyjątkowej urody.

Każdy, kto jej nie znał, mógłby się założyć, że Hélène nie ma jeszcze trzydziestu lat i na pewno jest modelką. W rzeczywistości skończyła trzydzieści osiem i była właścicielką kontrolnego pakietu akcji Hélène Junot International, Inc., imperium wydawniczego, któremu nadała swoje imię. Założyła i rozwinęła swoje wydawnictwo drukujące najbardziej wpływowe i najbardziej znane w świecie magazyny mody. Hélène była szczupła, wysoka, miała królewską postawę i mnóstwo wdzięku. Jej owalna twarz o subtelnych rysach nasuwała skojarzenie z figurką z drezdeńskiej porcelany. Uderzająco fiołkowe oczy błyszczały niczym rzadkie klejnoty, a ich odcień zależnie od oświetlenia zmieniał się od przydymionego ametystu do półprzezroczystego fioletu z drobnymi

plamkami szafiru. Bujne kruczoczarne włosy nosiła upięte w kok, a to klasyczne uczesanie podkreślało kości policzkowe zaznaczone wyraźnie jak u baleriny teatru Bolszoi. Wargi miała pełne i zmysłowe, a zęby białe. Podniesiony kołnierz lśniącego futra z norek zakrywał długą, smukłą szyję.

Spojrzała w głąb Piątej Alei na Washington Square. Była to głównie dzielnica mieszkaniowa. Ulice wydawały się teraz prawie wymarłe. W oddali wciąż stała olbrzymia świąteczna choinka. Na widok drzewka Hélène zacisnęła wargi.

Wesołe święta, pomyślała, kręcąc głową. Ale dla niej był to smutny czas. Bardzo smutny, ponieważ to inni świętowali. Inni, czyli wszystkie te niezagrożone bezimienne rodziny w zasypanych śniegiem, staroświeckich domach z trzeszczącymi, twardymi krzesłami, kolorowymi narzutami i cudownymi krewnymi, którzy zjechali się, aby razem obchodzić Boże Narodzenie.

Ona też miała kiedyś cudowną rodzinę. Hélène zadrżała, ale nie z zimna. Odruchowo przyciągnęła kołnierz futra do szyi i przytrzymała go dłonią.

- Pani Junot? - Usłyszała grzeczny głos za plecami.

Odwróciła się wyrwana z zadumy. Szofer wciąż przytrzymywał otwarte drzwi limuzyny, których nie mógł zamknąć, ponieważ Hélène stała zbyt blisko.

- Och, przepraszam, Jimmy - powiedziała gardłowym głosem z francuskim akcentem. Jej oddech zmieniał się w małe białe chmurki. Cofnęła się szybko.

Zamknął drzwi.

- Czy auto będzie pani potrzebne w porze lunchu? Zastanowiła się chwilę.

- Nie... o piątej trzydzieści wystarczy.

- Dobrze, *madame*. Czy życzy sobie pani czegoś jeszcze? Pokręciła głową.

- Nie, dziękuję, Jimmy. Zawieź tylko bagaż do mojego mieszkania.

Nie mogła opanować lekkiego uśmiechu, kiedy stuknął obcasami, pochylając jednocześnie głowę w ukłonie i dotykając palcami daszka czapki. Po chwili rozległ się warkot silnika i wielkie auto odjechało.

Nic się nie zmieniło przez ten tydzień, kiedy jej tu nie było. Poza wybudowaniem Junot Building nic się tu nie zmieniło od dziesięcioleci. Po drugiej stronie Piątej Alei masywny szary budynek głównego biura „Forbesa” emanował solidnością, której należy

oczekiwać po wydawnictwie zajmującym się finansami. Bawiło ją, że ta solidna klasyczna budowla stoi naprzeciw jej gmachu. Junot Building nie pasował do szacownej świątyni Malcolma Forbesa wzniesionej ku czci wszechmogącego dolara. Tak samo jak nie pasował do wyniosłych przedwojennych budynków stojących wzdłuż alei aż do łuku.

Ale lokalizacja była odpowiednia. Poza tym jej imperium było tym dla świata mody, czym „Forbes” dla świata ekonomii. Nazwisko Junot stało się synonimem *haute couture* tak jak nazwisko Fairchilda rezydującego w przysadzistym, podobnym do fabryki budynku obok. Ten wydawca „Woman Wear Daily” i „W” nie był konkurencją dla Héléne Junot tak samo jak Conde Nast z „Vogue'a” czy Hearst z „Harper's Bazaar”. Mimo to powstawały żarty o dwóch wydawcach, którzy stukają do siebie łokciem w ścianę.

Uśmiechając się do siebie, Héléne ruszyła w kierunku wejścia do budynku. Krzykliwy snobizm nowojorskich bogatych firm zawsze ją bawił. Świetna Upper East Side to był szczyt marzeń jej zarządu. A gdzie osiadł Conde Nast? Gdzie są te wszystkie agencje modelek? Héléne postawiła na swoim. To ona przesunęła oś elegancji i dobrego smaku do centrum. Kiedy zdecydowała o przeniesieniu ich biura na spokojną ulicę Dwunastą, cały zarząd był w szoku.

Czy te śmieszne snoby nigdy niczego nie zrozumieją? Jeżeli dzielnica willowa została uznana za modną, co może być modniejszego od słynnej śródmiejskiej Piątej Alei? Co można porównać ze spokojną elegancją przywodzącą na myśl Paryż i dostojność Londynu?

Szklane drzwi Junot Building rozsunęły się same i Héléne weszła do ciepłego, przytulnego holu. Kiwnęła głową recepcjoniście siedzącemu za biurkiem z marmuru i ruszyła w kierunku prywatnej windy. Chodziła tędy niezliczoną ilość razy, a mimo to zawsze rozglądała się wokół z dumą. To był jej świat - świat, który stworzyła, nad którym niepodzielnie panowała. Pracownicy biegali, wykonując swoje zadania, a ich szybkie kroki odbijały się echem od czarnych marmurowych posadzek. Wszystkie te odgłosy łączyły się w jednostajny szum, który ulatywał pod sufit, a nagle kaszlnięcia rozbrzmiewały jak głuchoe uderzenia pękniętego dzwonu. Z oddali nieustannie dochodziły stłumione dzwonki telefonów. To właśnie lubiła Héléne. Jej świat był pełen życia.

Spojrzała na olbrzymie, srebrne drukowane litery umieszczone na ścianie holu. „HJII” - przeczytała. Pod spodem mniejsze litery wyjaśniały: „Hélène Junot International, Incorporated”. To był rytuał - zawsze czytała ten napis. Chciała mieć pewność, że nie śni.

- Dzień dobry, pani Junot! - zawołał wesoły głos za jej plecami. Odwróciła się szybko. Henry, strażnik dzienny, uśmiechnął się szeroko. - Szczęśliwego nowego roku - powiedział.

Hélène uśmiechnęła się także.

- Nawzajem, Henry - odpowiedziała.

- Dziękuję pani.

Doszli do jej prywatnej windy. Henry przycisnął guzik na zewnętrznym panelu i drzwi cicho się otworzyły. Z kurtuazją przytrzymał je, gdy wchodziła do środka.

- Miłego dnia, pani Junot - powiedział, rzeczywiście jej tego życząc.

- Dziękuję, Henry - odrzekła, chociaż wiedziała, że nie będzie to dobry dzień.

Weszła do małej kabiny wykładanej orzechową boazerią i przycisnęła guzik z numerem „19”.

Dziewiętnaste piętro należało do kierownictwa. Oświetlona lampami recepcja była przestronna i elegancko urządzona. Tutaj bogactwo imperium uwidoczniło się w pełni, żeby każdy mógł je dostrzec. Hélène nie żałowała pieniędzy. Nawet recepcjonistka za olbrzymim marmurowym biurkiem w kształcie elipsy była olśniewająca i miała na sobie kostium w brzoskwiniowym kolorze zaprojektowany specjalnie dla firmy Hélène. Podłogi wyłożono mahoniem, mahoniowa boazeria pokrywała również ściany aż do wyciszonego sufitu. Wyściełane zamsem meble od Bruetona - dwadzieścia cztery tysiące dolarów za sofę - rozstawiono wokół mosiężnych stolików, na których leżały stosy najnowszych czasopism wydawnictwa Junot. Nie było listy wydawanych magazynów, w zamian za to na ścianach wisiały okładki najnowszych numerów. Podświetlone od spodu wyglądały jak dwanaście małych ekranów. Wymieniano je raz w miesiącu, w momencie kiedy dany numer trafiał do sprzedaży.

Hélène przesunęła po nich wzrokiem władczyni. Każdą okładkę widziała setki razy i ostatecznie zatwierdzała każdą z nich; pomagała wybierać układ, kolor, krój i wielkość

czcionki, ale chociaż robiła to setki razy, zawsze czuła tę samą matczyną dumę. To były jej dzieci. Każde z nich nosiło imię, które mu nadała:

„Les Modes"	„Les Modes"
(wersja amerykańska)	(wersja angielska)
„Les Modes"	„La Moda"
(wersja francuska)	(wersja włoska)
„Mode"	„Les Modes Homme"
(wersja niemiecka)	(wersja francuska)
„La Moda Uomo"	„Glamorous Miss"
(wersja włoska)	
„Ladies Bazaar"	
„Brides World"	
„Yachting and Boating"	
„Beauté"	

Wszystkie piękne i interesujące, o łącznym nakładzie prawie dwudziestu ośmiu milionów egzemplarzy. Sprzedawane na całym świecie. Elementy imperium wydawniczego, które rozpowszechniały nowe trendy i zmieniały styl życia całego globu.

Piękna dziewczyna z recepcji spojrzała na nią z nieukrywanym zdumieniem.

- Pani Junot - powiedziała. - My... my nie oczekiwaliśmy, że przyjedzie pani tak szybko. Nie przed popołudniem.

Hélène zaczęła rozpinać guziki futra.

- Zdecydowałam się wrócić wcześniej, Maggie.

Maggie rozejrzała się wokół nieufnie i ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu.

- Hrabia de Léger już jest. Przyjechał ze dwadzieścia minut temu. Zupełnie jakby wiedział, że przyjdzie pani rano, a nie po południu.

Hélène przestała rozpinać futro. Hubert de Léger? Jak zwykle jest nawet zbyt dobrze poinformowany. Nikogo nie zawiadamiała o wcześniejszym powrocie. Mógł się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób: prawdopodobnie miał w Paryżu kogoś, kto obserwował jej mieszkanie na Ile Saint-Louis. Ktoś ją śledził. Więc doszło aż do tego! Podejrzewała, że wcześniej czy później tak się stanie.

- Tylko on jeden? - zapytała. Maggie kiwnęła głową.

- Na razie tak. Ale zdaje się, że mamy czerwony alarm. Krążą wieści, że po południu zjawi się tu cały zarząd.

To nie była niespodzianka. Hélène zaplanowała spotkanie zarządu ponad miesiąc temu. Dla tych, którzy nie wiedzieli, było to zwykłe zebranie. Dla tych, którzy wiedzieli... Poczwała, że coś ściska ją w gardle.

- Tak, wszyscy będą tu wkrótce - wykrztusiła nieswoim głosem.

Maggie rzuciła jej zdumione spojrzenie.

- Wszystko w porządku, pani Junot?

Hélène zmusiła się do uśmiechu i kiwnęła głową.

- Tak. Dziękuję, Maggie.

Zadzwonił telefon i recepcjonistka podniosła słuchawkę. Hélène odwróciła się i poszła długim korytarzem, wysłanym grubym dywanem, w kierunku swojego gabinetu. Jak przez mgłę dolatywały do niej fragmenty odpowiedzi Maggie: „Tak... jest już... właśnie wchodzi...”.

Ale Hélène nie zwracała na to uwagi. Następna zima, znowu ta lodowata, okropna zima, myślała.

- Pani Junot!

Zatrzymała się i odwróciła. Biegł ku niej Albert Lourie, asystent zarządu. Był szczupłym mężczyzną około trzydziestki, miał ziemistą twarz i włosy mysiego koloru. W dłoni ściskał złożoną gazetę.

- Co się stało, Albercie? - zapytała Hélène. - Ty biegniesz?!

- Dzięki Bogu, udało mi się panią dogonić! - wysapał, nie mogąc złapać tchu. Jego ziemistą twarz pokrył rumieniec. - Maggie właśnie mi powiedziała, że pani wróciła. Mam tu coś, co powinna pani natychmiast przeczytać.

Z jego wzburzenia mogła wywnioskować, że sprawa jest poważna. Albert nie należał do ludzi, którzy podnoszą fałszywy alarm.

- Więc? - zapytała.

- Nie tutaj. - Wskazał ręką mały pokój konferencyjny w głębi korytarza.

Hélène kiwnęła głową. Weszli do wyłożonego orzechową boazerią pokoju, zamknęli drzwi i usiedli naprzeciw siebie na obitych brązową skórą krzesłach od Tucroma.

- Słucham - zaczęła. - Co to za sprawa życia i śmierci?

- Chodzi o to. - Albert machnął gazetą trzymaną w dłoni. - Dzisiejszy „The Wall Street Journal”. Nie widziała go pani jeszcze?

- Nie miałam czasu. O co chodzi?

Bez słowa podał jej gazetę i oskarżycielsko wskazał palcem artykuł na drugiej stronie. Hélène spojrzała na tytuł. Wielki nagłówek wydawał się do niej krzyżeć: „Trzęsienie ziemi w Junot Publications?”.

Zrobiło jej się sucho w ustach, gdy przeczytała podtytuł: „Kolos wydawniczy w poważnych kłopotach?”.

Oszołomiona czytała dalej:

Zaplanowane wcześniej, aczkolwiek nienagłośnione w prasie spotkanie zarządu Hélène Junot International, Inc. ma się odbyć dzisiaj. Z wiarygodnego źródła, które zastrzegło sobie anonimowość, wiemy, że to zebranie ma wreszcie położyć kres utajonej walce o kontrolę nad HJII.

Ogólnie wiadomo, że firma pani Junot jest zadłużona, a „You!”, nowy magazyn, przeznaczony dla pracujących kobiet, poniósł finansową klęskę i naraził spółkę na milionowe straty. Obserwatorzy rynku wydawniczego i Wall Street spekulują, że tym razem walka o władzę prawdopodobnie przyniesie szkodę finansom HJII i może niekorzystnie wpłynąć na już i tak obniżony kurs akcji.

Władzę nad tym wydawniczym gigantem sprawowała od zawsze Hélène Junot, słynna Francuzka, która założyła magazyn „Les Modes” w 1957 roku w Paryżu i przekształciła swoją firmę w światowej sławy imperium, kreujące trendy współczesnej mody i niezwykle arbitralne w swoich opiniach o jej twórcach.

Dwa lata temu Hélène Junot wykorzystała wielki pakiet własnych akcji HJII jako poręczenie pożyczki na sfinansowanie Junot Publications, odrębnej jednostki pod swoją wyłączną kontrolą. Wkrótce upływa termin spłaty tej pożyczki. Jeżeli pani Junot nie wywiąże się na czas ze swoich zobowiązań, wielki pakiet akcji HJII prawdopodobnie

przejdzie na własność Manhattan Bank N.A., który będzie mógł rozporządzać nimi, jak uzna za stosowne. A wówczas założycielka HJII zostanie z niewielką liczbą udziałów, ledwo wystarczającą do egzekwowania weta dotyczącego publicznej sprzedaży akcji HJII...

Gazeta zaszeleściła, kiedy zirytowana Hélène odrzuciła ją na dywan. Wiedziała, co znaczy ten artykuł. Ktoś z zarządu HJII celowo doprowadził do przecieku tych informacji do prasy, zdecydowany podważyć jej rangę jako prezesa i osłabić jej pozycję w negocjacjach z bankami. Była to podstępna taktyka mająca na celu podanie w wątpliwość jej zdolności do kierowania firmą. W ten sposób można też było ujawnić jej uparty sprzeciw wobec propozycji publicznej sprzedaży akcji i w efekcie zmusić ją do ponownego rozważenia tej kwestii. Inni członkowie zarządu mieliby olbrzymie zyski finansowe, gdyby się na to zgodziła, ale żaden z nich nie zauważał, że to ona zarobiłaby najwięcej. Jednak Hélène przerażała myśl o nieznanym inwestorach w korporacji, o którą walczyła tak wiele razy i którą tak trudno było stworzyć. Ci obcy weszliby do firmy tylko po to, aby zdobywać coraz większe i większe profity. W pogoni za zyskiem jakość jej czasopism musiałaby niewątpliwie się pogorszyć. Dla Hélène było to nie do pomyślenia. Przede wszystkim przecież to HJII lansowało wysoką jakość. Jej przedsiębiorstwo miało tylko kilku udziałowców i chciała, żeby tak zostało. Albert kręcił się nerwowo na krześle.

- Bardzo... bardzo mi przykro, pani Junot - wyjąkał. - Myślałem, że powinna to pani przeczytać, zanim... - Bezradnie rozłożył ręce.

Spojrzała na niego półprzytomnie.

- Tak. Dziękuję ci, Albercie - powiedziała głuchym głosem. - Doceniam to.

Naprawdę.

Potem wstała, klepnęła go lekko po ramieniu, wyszła z pokoju konferencyjnego i powoli ruszyła korytarzem w kierunku swojego gabinetu. Została zdradzona, myślała ze smutkiem. Nie po raz pierwszy. Jedyna rzecz, która się nie zmieni, to gorzki smak, jaki zawsze pozostawia zdrada.

Oczywiście, że HJII ma kłopoty, przyznała sama przed sobą. Która spółka ich nie ma? Ale podanie tych informacji do publicznej wiadomości pod pretekstem artykułu w „The Wall Street Journal” było niewybaczalną podłością. Kto zdradził? Hubert de Léger? Stawiała na niego. Ale nie mogła mieć pewności. Pozostali nie są lepsi.

Mogła być pewna tylko jednego. Przeciek w „The Wall Street Journal” nie był uderzeniem ostrzegawczym. To zapowiedź otwartej wojny. Wiedziała, że wcześniej czy później dojdzie do ostrego konfliktu. Jedno z nich, a może i wszyscy członkowie zarządu chcieli przejąć kontrolę nad H  l  ne Junot International, Inc. D  rzyli do tego od lat.

I wiedzia   dlaczego. Tym s  pom nie chodzi  o wcale o udzia  y w firmie. Nie zale  a  o im ani troch   na zyskach, modzie ani czasopismach. Nienawidzili H  l  ne wystarczaj  co silnie,   eby pr  bowa  c odebra  c jej to, co najbardziej kocha  a i na czym jej tak naprawd   zale  a  o - jej wydawnictwo.

W ko  cu korytarza skr  ci  a w lewo i zatrzyma  a si   przed wypolerowanymi drzwiami z tekowego drewna. Na wysoko  ci oczu ma  e z  ote litery informowa  y „Prezes”. To okre  lenie wydawa  o jej si   dziwne. Zbyt powa  ne. Wola  aby,   eby zamiast tego napis g  osi  : „Za  o  yciel i dyrektor programowy”. Wla  nie z tego by  a najbardziej dumna.

Nacisn  a ga  k   i otworzy  a drzwi. Powita   j   jednostajny stukot maszyny do pisania. Julie, jej sekretarka, by  a zaj  ta odpowiadaniem na stos list  w, kt  re nagromadzi  y si   w czasie przerwy   wi  tecznej. W ca  ym budynku Julie by  a znana jako Sfinks. Jej umiej  tno  c bronienia dost  pu do gabinetu H  l  ne sta  a si   wr  cz legendarna.

S  yszac d  wi  k otwieranych drzwi, Julie zerkn  a podejrzliwie w g  r  , ale nie przerwa  a pracy. A   zamrug  a oczami ze zdziwienia.

- Ale   to pani Junot! - wykrzykn  a. Natychmiast przesta  a pisa  c i wyprostowa  a si   na krze  le.

H  l  ne u  miechn  a si   do sekretarki.

- Dzie  n dobry, Julie.

- Wr  ci  a pani wcze  niej! Nie zawiadomiono nas nawet,   e samolot...

- Tak, wiem - odpowiedzia  a H  l  ne. - Chcia  am przyjecha  c tak,   eby nikt nie wiedzia  , i wynaj  am odrzutowiec Lear. - Umilk  a na chwil  , a potem powoli kontynuowa  a: - Nie uda  o mi si   jednak. S  ysza  am,   e hrabia ju   czeka.

Julie wykrzywi  a usta.

- Jest w gabinecie - powiedzia  a. Potem zmarszczy  a brwi, pochyli  a si   i przy  o  y  a ucho do interkomu na biurku.

H  l  ne popatrzy  a na ni   zdziwiona.

- Co, do dia...?

Ale Julie szybko przyłożyła palec do ust. Potem wyprostowała się i z satysfakcją wskazała na interkom. Hélène zrozumiała; kiwnęła głową, pochyliła się i słuchała z uwagą. Usłyszała cichy, szumiący dźwięk. Hubert de Léger włączył interkom w gabinecie. Podśluchiwał.

Hélène pokiwała głową. Wcale jej to nie zaskoczyło. Znała tego człowieka lepiej niż ktokolwiek inny. Przebiegły i brutalny, był w stanie siłą utorować sobie drogę, dokądkolwiek chciał. Nawet stanowczość Sfinksa nie mogła go powstrzymać. Nikt oprócz uzbrojonych strażników by go nie powstrzymał. Wzruszyła ramionami.

- Są jakieś wiadomości?

- Są. - Julie pokazała jej różową kartkę z wypisanymi informacjami. - Dzwonił także pani brat. Chce się z panią koniecznie widzieć sam na sam dziś po południu przed spotkaniem zarządu. Mówił, że to bardzo ważne.

Hélène kiwnęła głową. Zobaczy się z Edmondem, jak tylko uda jej się pozbyć hrabiego, postanowiła.

- Dziękuję, Julie - powiedziała. - I proszę, dopilnuj, by nikt nam nie przeszkadzał. Nie łącz żadnych rozmów.

Julie kiwnęła głową i wróciła do pisania. Hélène podeszła do drzwi swojego gabinetu i zaczęła obracać gałkę, ale zatrzymała się na chwilę. Zamknęła oczy na kilka sekund, by przygotować się do konfrontacji z Hubertem de Légerem. Potem weszła.

Narożne biuro składało się z czterech pomieszczeń: właściwego gabinetu, aneksu kuchennego, małej sypialni i łazienki. Pozostałe pomieszczenia w Junot Building urządziły drogie firmy dekoratorskie, ale Hélène zakazała im wstępu do swojego biura. „Trzymaj się z daleka!” - poleciła przerażonemu projektantowi. „Jeżeli spróbujesz zmienić tu cokolwiek, przyniosą mi twoją ściętą głowę na talerzu!” - ostrzegła go.

W największym pokoju, który służył jej do pracy, dwie przeciwległe ściany zajmowały olbrzymie okna od podłogi do sufitu. Jedno wychodziło na nobliwy gmach Forbesa, drugie na Piątą Aleję i okazały łuk strzegący wejścia do parku przy Washington Square. Hélène wybrała właśnie te pomieszczenia na swoje biuro z powodu widoku. Łuk przypominał jej Łuk Triumfalny w ukochanym Paryżu.

Pozostałe ściany były pomalowane na biało; na podłodze leżał beżowy wełniany supełkowy dywan. Pod tym względem pokój wyglądał jak każdy inny narożny gabinet w Nowym Jorku. Jednakże Hélène wykorzystała cały swój dobry gust, poczucie stylu i elegancję, żeby stworzyć sobie luksusowe i jak najwygodniejsze miejsce do pracy.

Na ścianach wisiały w ramach jej ulubione zdjęcia z poprzednich numerów „Les Modes”. Umebłowanie stanowiły jej własne, cierpliwie wyszukiwane stare francuskie meble, a ich renowację sama nadzorowała. Niezależnie od tego, czy pracowała w gabinecie, czy nie, na biurku stał wazon pełen świeżych kwiatów.

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby Hélène dostrzegła, że hrabia czuje się w jej schronieniu jak u siebie w domu. Siedział na delikatnym, rzeźbionym francuskim fotelu, za jej biurkiem w stylu Ludwika XV. Wazon z kwiatami był przestawiony na bok, bo de Léger nonszalancko oparł stopy w skórzanych butach na błyszczącym blacie. W jednej czerwonej ręce trzymał kieliszek napoleona, którego sam sobie nalał z barku, w drugiej papierosa z olbrzymim kawałkiem wypalonego popiołu.

Wydmuchał teraz w górę kłąb dymu i popatrzył na Hélène. W jego czarnych oczach dostrzegła rozbawienie.

- Wejść! - rzucił. Popiół z papierosa opadł na nieskazitelny beżowy dywan. - Moja piękna Hélène - powiedział po francusku. - Czekałem na ciebie. Proszę, wejdz. Nie gryzę. A nawet gdybym gryzł, to w tej chwili nie jestem chory na wściekliznę. - Jego głos przeszedł w cienki ostry chichot.

Hélène cicho zamknęła za sobą drzwi. Przez chwilę patrzyła na mężczyznę, a potem odwróciła głowę. Czowała do niego wstręt. Wiedziała, że dużo pił, ale, jak można upić się do tego stopnia o dziewiątej trzydzieści rano!

- Czy mogę zaproponować drinka, moja piękna Heleno? - zapytał szyderczo, podnosząc kieliszek. - Barek w tym gabinecie jest doskonale zaopatrzony.

- Dziękuję, nie - odpowiedziała zimno.

- Hm. Szkoda. - Zrobił dziecinny grymas.

W tej chwili przypomniała sobie, jak kiedyś wyglądał. Był wtedy młody i przystojny, miał czarne włosy, prostą sylwetkę, szczupłą i sprężystą, a z jego twarzy biła inteligencja i stanowczość. Teraz policzki miał obwisłe, włosy mu poszarzały, a czarne,

bystre niegdyś oczy były zamglone od alkoholu. Czy to ten sam mężczyzna, który kiedyś ją oczarował? - spytała samą siebie. Ten sam Hubert de Léger, który tak żarliwie o nią zabiegał?

Zacisnęła wargi, przeszła przez pokój i w milczeniu wbiła wzrok w stopy intruza. Ogarnęła ją wściekłość. Ten drań próbował grać z nią w te swoje brudne gierki, żeby zobaczyć, co mu się uda uzyskać. Gwałtownie chwyciła jego stopy i zepchnęła je z biurka.

Hubert westchnął i opuścił nogi na dywan.

- Moja droga, to nie było zbyt uprzejme z twojej strony - zauważył karcącym tonem.

- Hubercie - ostrzegła go Hélène - posuwasz się za daleko.

Uniósł brwi, ale się tym nie przejęła. Postawiła wazon tam, gdzie zawsze stał.

Potem zdjęła futro i rzuciła je za siebie na jedno z dwóch małych krzeseł w stylu Ludwika XV obitych zieloną skórą, ustawionych obok biurka. Następnie zbliżyła się i stanęła nad Hubertem. De Léger spojrzał w jej kierunku, udając, że nie rozumie, o co chodzi.

- Czy muszę ci o tym przypominać? - zapytała wreszcie, gdy nie reagował. - To mój gabinet.

Spojrzał na nią, udając, że nie rozumie. Potem uderzył się dłonią w czoło, jakby nagle sobie przypomniał.

- Jakże to bezmyślnie z mojej strony! - powiedział szyderczo. - Oczywiście, że to wciąż jeszcze twój gabinet, moja droga. Jaki jestem głupi. - Zmarszczył ostentacyjnie brwi, wpatrując się w kieliszek, i dodał powoli: - Cóż, możemy być ze sobą szczerzy. To wciąż jeszcze twoje biuro. I tak będzie przynajmniej do końca tego tygodnia.

- Przynajmniej - odpowiedziała szorstko ostrym jak brzytwa głosem. - I mój fotel, Hubercie...

- Twój...

- Fotel. A jeżeli zamierzasz mnie dręczyć swoim towarzystwem, musisz to robić z tego miejsca. - Wskazała puste krzesło z drugiej strony biurka.

De Léger uniósł kieliszek w aroganckim toaście i powoli wstał z fotela. Usta wykrzywił mu wstrętny uśmiech. Po uprzejmej, ale nieszczerzej próbie pomocy Hélène w zajęciu miejsca usiadł tam, gdzie mu poleciła.

- Uroczy gabinet... co za wspaniały widok - zachwycił się złośliwie. - Ale ten pokój wymaga zmian. Jest zbyt kobiecy jak na mój gust... zbyt wiele tu skomplikowanych francuskich akcentów.

Hélène sztywno złożyła ręce, wpatrując się w palce. Może, jeżeli nie będzie nic mówić, Hubert się wyniesie.

- Wiesz - kontynuował - możliwe, że w następny poniedziałek wynajmę firmę dekoratorską, aby na nowo urządzono to wnętrze. „Usuńcie to wszystko” - powiem im. „Zróbcie, żeby było reprezentacyjne i męskie”.

Hélène prawie go nie słuchała; myślała gorączkowo, jak mogłaby się pozbyć intruza z gabinetu. Musiała zrobić to szybko i w taki sposób, by nie dać hrabiemu szansy urzędu awantury.

Hubert strząsnął popiół do kryształowej popielniczki. Potem, udając, że dopiero teraz zauważył futro Hélène, sięgnął do krzesła obok i uniósł jeden z rękawów.

- To norki od Blackglama? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała krótko. Roześmiał się.

- Jesteś cudowna! Każda kobieta w mieście popełniłaby przestępstwo, żeby je dostać. A ty? Wystarczy, żebyś po prostu zaprezentowała w swoim magazynie jeden płaszcz i... *presto!* Jesteś żywą reklamą Blackglama. *Ergo*, Hélène Junot, która ma szafy pełne futer, dostaje jeszcze jedno za darmo. I nie tylko norki, ale również rozgłoś! - Spojrzał na nią z ukosa. - Zawsze chciałaś być sławna, co, Hélène?

Spojrzała na niego spokojnie.

- Nie wydaje mi się, że przyszedłeś tu, aby dyskutować o moich futrach, Hubercie - powiedziała sucho.

- W rzeczy samej, nie.

- Zatem po co przyszedłeś?

- Porozmawiać o naszych wspólnych interesach - odpowiedział. - Chodzi mi o Hélène Junot, oczywiście. Korporację i kobietę.

Zesztywniała, a jej fioletowe oczy zabłyśły czujnie.

- W takim razie sądzę, że nie mamy o czym rozmawiać.

- Nie?

- Nie. Jak ci wiadomo, spotkanie udziałowców odbędzie się dziś po południu.
Proponuję, żebyś wtedy wystąpił otwarcie z zażaleniami co do moich decyzji.

- Chcesz, abym wystawił na widok publiczny nasze brudy, co? - Mlasnął językiem.
- Boże, cóż za odwaga! Ty nigdy nie rezygnujesz, prawda, Hélène? Zawsze dostawałaś wszystko, czego zapragnęło twoje nieustraszone serce, czyż nie?

- Hubercie - powiedziała zmęczonym głosem. - Przejdź do rzeczy.

Zapalił następnego papierosa.

- Ach, spokojnie, już się do tego zbliżam. Przyszedłem, żeby cię uprzedzić. Chcę, żebyś się dobrze przygotowała, zanim przestąpisz próg sali zebrań.

- Przygotowała? Na co?

- Na zarżnięcie twojej firmy.



WCZORAJ I MORDERSTWO

Rozdział 1

Paryż, 1944

Było po trzeciej i Hélène bawiła się w parku. Tego styczniowego popołudnia, zimnego i wietrznego, wąskie uliczki wyglądały na prawie wymarłe. Wokoło panowała cisza. Niebo ponad głowami było błękitne, świeciło słońce. Otoczony kamienicami malutki park pograżył się w głębokim cieniu.

Jej dom znajdował się po drugiej stronie ulicy. Był taki sam jak inne ponure, pochylone budynki, przyciśnięte do siebie niczym ustawione jedna przy drugiej kostki domina, z których każda czekała na wsparcie ze strony następnej. Ale ten dom wyglądał dumniej od innych. W oknach suterren znajdowały się grube żelazne kraty powyginane w fantazyjne esy-floresy, a frontowe drzwi były pomalowane na kolor jasnożółty. Kanarkowożółty, jak mówiła *maman*. Ponad ośnieżonym dachem można było dostrzec białe mury i kopuły Sacré Coeur, błyszczące w słońcu.

Zdawało jej się, że coś usłyszała. Przestała się bawić Antoinette, swoją porcelanową lalką, i zaczęła przysłuchiwać się uważnie. Grzmiący hałas wciąż jeszcze był odległy, ale zbliżał się nieuchronnie. To samochód ciężarowy, pomyślała Hélène.

Czekała z niepokojem. Ruch uliczny w tej dzielnicy, zamieszkiwanej przez rodziny robotnicze, był niewielki.

Nie pojawiały się tu taksówki ani prywatne samochody. Paryżanie jeździli wszędzie rowerami. Tylko szkopy i kolaboranci mogli sobie pozwolić na luksus podróżowania autami i ciężarówkami. Stare i kręte ulice Montmartre'u okazywały się często zbyt wąskie, by pomieścić nawet mały pojazd tego typu.

Warkot silnika ciężarówki potężniał. Hélène przyłożyła usta do ucha lalki.

- Patrz uważnie, Antoinette - uprzedziła ją szeptem. - Zaraz zobaczysz swoją pierwszą ciężarówkę. - Wygładziła poźółkłą koronkę lalczynej sukienki. Mimo wszystko

Antoinette była damą, a damy muszą wyglądać jak najlepiej, kiedy są wystawione na widok publiczny.

Dwie minuty później szara ciężarówka wyjechała z warkotem zza rogu rue Durantin.

Hélène patrzyła, jak samochód zwolnił i piał się pod górę. Był coraz bliżej. Ośnieżone łańcuchy brzęczały, a szary brezent rozpięty nad tylną częścią wozu powiewał na wietrze. Dokładnie widziała swastyki wymalowane na bokach. Nawet dziecko wiedziało, co to jest.

Po chwili ciężarówka minęła dziewczynkę. Hélène zmarszczyła nos, kiedy poczuła drażniący zapach spalin. Z ciekawością patrzyła za samochodem. Zastanawiała się, czemu pojawił się na Montmartrze. Dobiegł ją zgrzyt zmieniania biegów. Ciężarówka skręciła za róg i zniknęła. Hałas silnika powoli zamierał. Minutę później zapanowała cisza. Szara chmura wciąż unosiła się w powietrzu.

Hélène rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Nikogo nie dostrzegła. Potem zrobiła to, co często robili inni ludzie: splunęła na ulicę. Miała dopiero siedem lat, ale już zauważała nawyki starszych paryżan. Nikt nie mógł jawnie pluć na Niemców. To było zbyt niebezpieczne. Można było jednak pluć za nimi, gdy nie widzieli.

Prawie pół godziny po tym jak ciężarówka znikła, Hélène poczuła, że coś jest nie w porządku. Lepiła ze śniegu malutkiego bałwana dla Antoinette na siedzeniu ławeczki w parku i nagle to do niej dotarło.

Dreszcz przebiegł jej po plecach.

Coś było nie w porządku.

Spojrzała na swój dom po drugiej stronie ulicy. Wszystko wydawało się takie jak zawsze, normalne i spokojne. Nic nie wskazywało, że coś jest nie tak. Nic... Tylko drzwi od frontu były szeroko otwarte. Stała przed nimi jakaś kobieta. Hélène nie mogła dostrzec jej twarzy pod narzuconym czarnym wełnianym szalem, ale wydawało jej się, że to *madame* Courbert, żona telefonisty z prefektury policji. Jednak nie była tego pewna. Kobieta gestykulowała gwałtownie, mówiąc coś do kogoś w środku, i cały czas rzucała nerwowe spojrzenia przez ramię. Potem spiesznie odeszła. Hélène wciąż nie była w stanie dostrzec jej rysów. Zsunięty nisko szal okrywał cieniem postać kobiety.

Hélène nie dowiedziała się nigdy, co wywołało to wrażenie, ale w momencie kiedy poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa, wiedziała, że jest potrzebna *maman*. Nie traciła czasu. Chwyła Antoinette, przebiegła przez ulicę i dopadła do kanarkowożółtych drzwi. Otworzyły się, zanim sięgnęła do klamki.

- Szybko! - wysyczała do niej Michelle, potężnie zbudowana gruba służąca. Nie poczekała nawet, żeby Hélène wytarła buty ze śniegu. Gwałtownie złapała dziewczynkę za ręce i wciągnęła ją do środka. Potem zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na zasuwę. Korytarz był ciemny. Zaciągnięte zasłony przepuszczały tylko wąską smugę światła.

Hélène spojrzała na pełną napięcia, czerwoną, okrągłą jak księżyc twarz służącej.

- Co się stało? - zapytała.

Kobieta bez słowa wzruszyła ramionami. Możliwe, że była zła, ponieważ w domu zrobiło się zimno, bo tygodniowy przydział węgla już się skończył. Pomimo swojej tuszy Michelle nie znosiła chłodu.

Michelle miała grubokościstą figurę chłopki i duże piersi. Była pokojówką, gosposią i niańką w jednej osobie. Traktowali ją jak członka rodziny, a Michelle zrobiłaby dla nich wszystko. Hélène wiedziała, że *maman* nie może sobie pozwolić na płacenie pensji służącej - nie teraz, kiedy ojca cały czas nie było. A jednak Michelle z nimi została.

Dziewczynka rozejrzała się po małym przedpokoju. *Maman* stała przy oknie, odwrócona tyłem. Wciąż wyglądała na zewnątrz przez szparę w zaciągniętych zasłonach, nerwowo wyłamując szczupłe palce. Hélène zauważyła, że brzuch matki zrobił się większy niż kiedykolwiek, i wiedziała dlaczego. *Maman* ostatnio wyjaśniła jej, że będą mieli wkrótce małego braciszka lub siostrzyczkę.

Maman była wysoka i chuda. Kiedyś miała gładką cerę i wesołe oczy. W blond włosach nie widziało się wtedy siwizny. Nagle zmieniła się i postarzała w ciągu jednej nocy. Bez przerwy wyglądała na zmęczoną. Jednak pozostała bardzo elegancką kobietą i nawet trudne lata okupacji tego nie zmieniły.

Chociaż miała dom i dzieci, pracowała zawodowo. Od 1939 roku utrzymywała rodzinę z pensji szwaczki u Madeleine de Rauch. Od dnia, gdy salon madame Chanel, gdzie szła przed wojną, został zamknięty.

Och, jak pięknie szyla maman! Tworzyła jedną kreację za drugą na swojej staroświeckiej maszynie, bez końca naciskając stopą pedał. Albo nawet w rękach. I po długich godzinach spędzonych w pracowni Madeleine de Rauch, gdzie szyla dla Niemek, których nienawidziła, przynosiła jeszcze robotę do domu. Czasem nawet szyla jakieś drobne rzeczy dla sąsiadek, które mogły płacić cennymi kartkami, a nie pieniędzmi.

Maman przestała wpatrywać się w okno. Zamiast tego zaczęła nerwowo przechadzać się tam i z powrotem po przedpokoju.

- *Mon Dieu!* - powiedziała cichutko. - Catherine wciąż nie ma. Jej lekcja gry aktorskiej powinna się już skończyć.

- Zatem musimy iść bez niej - oświadczyła Michelle stanowczo. - Jeżeli ktoś chce być nową Sarah Bernhardt tak bardzo, że spędza cały czas w tym teatrze...

- Iść bez Catherine? - *Maman* spojrzała na Michelle przerażona. - Musimy na nią poczekać.

Służąca wydała głośny jęk i z rozpaczą podniosła grube czerwone ręce.

- Nie mamy czasu! Słyszałaś, co mówiła madame Courbert. Ryzykowała życie, żeby nas ostrzec! Nie ma chwili do stracenia. Nie możemy czekać!

- Musimy - odrzekła *maman*, szczerkając zębami. - Zobaczysz, że Catherine będzie tu za minutę.

- Minutę! - wykrzyknęła Michelle przeraźliwie. - Nie mamy już minut! Liczą się sekundy!

Maman załamała ręce.

- Michelle, musimy poczekać, nie rozumiesz tego? Catherine jest moją córką!

- Dla mnie też jest jak córka - odparła służąca.

- Widzisz, sama rozumiesz więc - powiedziała *maman* nieskładnie.

Michelle wydała z siebie gniewny pomruk.

- Nic do ciebie nie dociera - warknęła. - W takim razie wezmę coś ze spiżarni. Albo spakuję cokolwiek. Będziemy potrzebowali jedzenia. To długa droga.

Maman półprzytomnie kiwnęła głową i ruszyła w stronę Héléne.

- Edmond! - zawołała Michelle i pobiegła do kuchni szybciej niż kiedykolwiek przedtem.

Maman spojrzała na Hélène znużonym wzrokiem. Potem zatrzymała się i objęła ją szczupłymi ramionami. Ścisnęła ją mocno, zbyt mocno - to bolało. Hélène była przerażona. Bardziej niż kiedykolwiek wiedziała, że dzieje się coś naprawdę bardzo złego.

- Edmond! - zawołała z kuchni Michelle niebezpiecznie wysokim głosem. - Pomóż mi, ty leniwy nicponiu!

- Idę! Idę! - Jedenastoletni brat Hélène schodził po schodach. Miał na sobie najcieplejsze zimowe ubrania.

- Maman? - zapytała Hélène, patrząc w górę.

- Tak, *ma petite*!

- Czy papa wróci niedługo?

Maman nie odpowiedziała. Jej oczy zrobiły się wilgotne. Otarła je wierzchem dłoni. Z dziecinnego pokoju na górze dał się słyszeć płacz maleńkiej Marie. Była głodna albo przestraszona, a może miała mokro.

Maman łagodnie odsunęła Hélène od siebie.

- Idź na górę - powiedziała miękko. - Prędko ubierz Marie w coś ciepłego.

Niebieskie wełniane ubranko i ciepły płaszcz. Potem przynieś ją tutaj. Pospiesz się!

- Idziemy dokądś, *maman*? Kiwnęła głową.

- Wybieramy się w podróż.

Hélène bardzo się ucieszyła. Podróż? To brzmiało jak zapowiedź dobrej zabawy. Uwielbiała podróżować.

- Będziemy jechać pociągiem, *maman*? - zapytała. - Och, proszę, jedźmy pociągiem. Bardzo lubię pociągi.

- Tak, *ma petite* - szepnęła *maman*. - Pojedziemy pociągiem. Ale musisz się pospieszyć. Inaczej się spóźnimy.

- Będę się spieszyć! - obiecała i zarzuciła jej ręce na szyję.

Maman uśmiechnęła się słabo i pogładziła włosy Hélène. Dziewczynka pobiegła na górę. Ze schodów spojrzała w dół. *Maman* znowu stała przy oknie i niespokojnie wyglądała przez szczelinę w zasłonach. Już się nie uśmiechała. Wyglądała na przerażoną.

Hélène przebiegła korytarz i weszła do pokoju dzieciennego. Gdy tylko Marie ją zobaczyła, przestała płakać, a na jej okrągłej różowej buzi pojawił się uśmiech. Malutka miała błyszczące błękitne oczy, tak jak *maman*.

Hélène posadziła Antoinette na komodzie, wyjęła z szuflady niebieskie wełniane ubranko i maleńki płaszcz. Potem szybko, starannie ubrała małą. Marie chichotała i wierciła się pełna radości, kiedy siostra wkładała jej kaftanik i zapinała guziki. Zwykle śmiech małej rozweselał również Hélène. Ale nie teraz. Dzisiaj działo się coś strasznego. Hélène nie rozumiała co, ale to jeszcze zwiększało jej niepokój.

Ostrożnie wzięła Marie na ręce i zniosła na dół. *Maman* nadal chodziła po korytarzu. Miała na sobie gruby, brązowy, zimowy płaszcz. Michelle i Edmond stali cicho z boku. Każde z nich dźwigało pękata torbę pełną brukwi. Hélène jęknęła w duchu. Nienawidziła brukwi. Wydawało jej się, że już całe życie będą jedli tylko smażoną brukiew, ale i tak nigdy nie było jej dość, żeby się najeść do syta.

Po raz kolejny *maman* zrobiła szparę w zasłonie i wyjrzała na ulicę. Tym razem westchnęła z ulgą.

- Idzie! - zawołała cicho. - Catherine idzie!

- Dobrze, powiedz, żeby się pospieszyła! - rzuciła Michelle.

Maman zignorowała jej słowa, odryglowała drzwi i wpuściła Catherine, a potem znowu założyła zasuwę.

Siostra Hélène skończyła trzynaście lat, ale wyglądała na starszą. Wyrosła już z dziecięcych krągłości, miała wielkie brązowe oczy, długie do ramion kasztanowe włosy, które upinała w kok, i stawała się już uroczą młodą kobietą. Hélène dostrzegała pełne podziwu spojrzenia, jakimi na ulicy mężczyźni obrzucali Catherine. Nie miała wątpliwości, że jej siostra będzie sławną aktorką, kiedy dorośnie.

Catherine weszła i popatrzyła na nich w milczeniu. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Idziecie dokądś? - zapytała.

- Wreszcie jesteśmy wszyscy! - krzyknęła Michelle histerycznie. Jej obfity biust falował ze zdenerwowania.

- Teraz biegnij i włóż na siebie najcieplejsze ubrania. Nie mamy chwili do stracenia.

- O co chodzi? - zapytała Catherine. - Co się stało? W oczach służącej pojawił się groźny błysk.

- Nieważne, co się stało! - warknęła. - Rób, co ci każe! Masz się ciepło ubrać! Natychmiast! - Jej ostry głos nakazywał posłuch.

Catherine spojrzała z niemym pytaniem na *maman*, która kiwnęła poważnie głową. Dziewczyna bez słowa odwróciła się i poszła do swojego pokoju. *Maman* ostrożnie wzięła Marie od Hélène i mocno przytuliła. Dłonie jej drżały.

Dwie minuty później byli gotowi.

- Szybko! - komenderowała Michelle, przejmując dowodzenie. - Uciekamy tylnym wyjściem. Przez ogród.

Przy kuchennych drzwiach Hélène nagle przypomniała sobie o czymś. Zatrzymała się i popatrzyła na Edmonda.

- Antoinette - powiedziała. - Zapomniałam o Antoinette.

- Daj spokój! - rzucił szorstko. - To tylko lalka.

- Nieprawda! - odparła z gniewem. - To moja przyjaciółka.

Maman łagodnie dotknęła jej ramienia.

- Nie ma czasu, *ma petite* - powiedziała. - Będziemy musieli wrócić po nią później.

Hélène stała nieruchomo, zdecydowanie odmawiając zrobienia kroku.

- Chcę zabrać Antoinette. Natychmiast! Nie pójdę bez niej!

Michelle zamknęła oczy i wydała z siebie złowieszczy syk. Gdyby można było zabić kogoś wzrokiem, Hélène już by nie żyła. Służąca spojrzała na *maman*.

Maman zacisnęła usta i westchnęła.

- Dobrze. Ale pospiesz się!

Hélène uśmiechnęła się i pobiegła do pokoju dzieciennego. Nie zostawi Antoinette. Za nic w świecie. Dostała

Antoinette od *maman* na urodziny. To była pierwsza naprawdę jej lalka. Wszystkie pozostałe należały wcześniej do Catherine.

Antoinette siedziała na komodzie, tam, gdzie ją dziewczynka zostawiła. Hélène złapała ją i uściskała mocno. Biegła już do drzwi, kiedy usłyszała ogłuszający warkot na ulicy. Podskoczyła do okna, uniosła koronkową firankę i spojrzała w dół.

Przed domem zatrzymał się lśniący czarny daimler eskortowany przez motocykle, a za nim kilka szarych ciężarówek. Do przednich zderzaków były przyłączone porczyki. Hélène rozpoznała te kolory. Kto ich nie znał? Powiewały nad Paryżem, będąc stałym, znieawidzonym przypomnieniem klęski i okupacji.

Serce zatrzepotało jej gwałtownie. Zadrżała. Niemcy.

Ogarnął ją nagły strach. Przyszli po nią, pomyślała. Bo napluła na ulicy za przejeżdżającą ciężarówką.

Patrzyła, jak z samochodów wysypali się żołnierze i uformowali szereg wzdłuż krawężnika. Ciężkie buciory waliły głośno o bruk. W ciągu paru sekund utworzyli idealnie prostą linię. Bagnety błyszczały na karabinach. Część była w szarych mundurach, a reszta w czarnych. Ci w szarych mundurach mieli hełmy podobne do wiader na węgiel i to oni stali w szeregu. Hélène zaczęła liczyć żołnierzy, ale po chwili przestała. Było ich około dwudziestu. A jeszcze trzej w czarnych, ozdobionych srebrem mundurach, czapkach z daszkiem i wypolerowanych do połysku butach stali niedbale z boku. Dał się słyszeć szczepliwy rozkaz i ci w szarych mundurach złamali szereg, a połowa z nich rzuciła się do drzwi. Druga połowa ze stukotem ruszyła ulicą i po chwili zniknęła za rogiem. Hélène odskoczyła od okna i zaczęła biec na dół.

- Hélène! - zawołała *maman*. - Szybko! Szybko! - Jej głos drżał ze strachu, twarz była biała. Szła przez korytarz z Marie w ramionach.

Michelle stała u podnóża schodów.

- Złaż na dół! - wrzeszczała histerycznie. - Natychmiast, ty mała niewdzięcznico!

W jej głosie brzmiały nuty paniki. Widocznie Hélène nie posłuchała wystarczająco szybko, bo służąca wzięła głęboki oddech i zaczęła iść po schodach. Patrzyła ze złością na dziewczynkę, a jej wielkie piersi wznosiły się i opadały z emocji. Zbliżyła się do Hélène, złapała ją za rękę i pociągnęła za sobą, mamrocząc jakieś modlitwy.

Chwilę później rozległo się gromkie walenie we frontowe drzwi. *Maman* westchnęła i zastygła w bezruchu. Drzwi zatrzęsły się, ale wytrzymały. Tamci nawet nie zapukali, po prostu napaarli na drzwi z całej siły.

- Chodźże! - ponaglała *maman* Michelle. - Szybko! Nie mamy sekundy do stracenia! Zapomniałaś o swoich dzieciach?

Maman otrząsnęła się z szoku i zrobiła krok naprzód. Hélène rzuciła ostatnie pełne strachu spojrzenie w tył, kiedy ruszyli do kuchni. Frontowe drzwi trzeszczały. Deski pękały przy każdym uderzeniu. Nagle Hélène zaczęła żałować, że wróciła po Antoinette.

Maman ostrożnie podała Marie Catherine. Potem powoli uchyliła kuchenne drzwi i wyjrzała. Było to wyjście na podwórze, wspólne dla kilku domów. Podczas wojny ich mieszkańcy zrobili tam sobie ogródek warzywny.

Maman wyjrzała, zatrzasnęła drzwi i zaryglowała. Na podwórzu również byli żołnierze.

Zamknęła oczy i oparła się o ścianę.

- Niemcy! - wykrztusiła szeptem.

Michelle patrzyła na nią przerażona. Wypchana torba wypadła jej z rąk i uderzyła głucho o podłogę. Cenna brukiew rozsypała się i potoczyła we wszystkie strony. Nikt nie zaczął jej zbierać.

- Dzieci! - szepnęła *maman*. - Gdzie schowamy dzieci?

- Nie wiem! - odparła Michelle. - Czy gdzieś we Francji można się ukryć przed Niemcami?

Nagle drzwi kuchenne zatrzeszczały przeraźliwie, a potem rozległ się ciężki odgłos uderzeń przypominający grzmot. Michelle pisnęła i przeżegnała się. Marie zaczęła żałośnie płakać. Odsunęły się od drzwi.

- Cichutko, mała! - powiedziała Catherine łagodnie, kołysząc siostrzyczkę w ramionach.

Maman rozejrzała się w rozpacz.

- Musi być jakieś miejsce... - Głos jej się załamał. Wrócili do jadalni. Hélène upuściła Antoinette. Wiedziała, że lepiej jej nie podnosić. Nie teraz.

- Ależ oczywiście! - wykrzyknęła nagle Michelle. - Winda do naczyń!

Szybko zagarnęła dzieci i popchnęła je w stronę windy. Pociągnęła do siebie stare dębowe drzwi w ścianie. Zatrzeszczały jak stare, wypaczone okno, którego od dawna nie otwierano.

Będziemy się bawić, pomyślała Hélène. Ona, Edmond i Catherine wiele razy wykorzystywali windę jako kryjówkę, bawiąc się w chowanego.

Pamiętała, że Michelle raz ich na tym przyłapała i dostali niezłą burę.

- Głuptasy! - krzyczała na nich. - Chcecie się zabić? Ta winda pochodzi z czasów rewolucji. Drewno jest przegniłe. A niechby zerwały się liny! Moglibyście spaść i się zabić!

A teraz chciała ich schować w miejscu, od którego zawsze trzymała ich z daleka. Umysł Hélène nie mógł tego ogarnąć. Czy Michelle kompletnie zwariowała? A może to świat oszalał?

- Właźcie tam - rozkazała teraz. - Wszyscy.

Jej ton wskazywał, że lepiej posłuchać bez protestu. Przytrzymała im otwarte podwójne drzwi. Catherine oddała Marie mamie i wsunęła się do środka. Edmond i Hélène poszli w jej ślady. Winda zakołysała się, kiedy *maman* ponownie podała Marie Catherine.

- Ani słowa! - upominała ich Michelle. Jej ciemne oczy spoglądały niemal wrogo, kiedy tak groźnie machała pięścią. - Jeśli usłyszę choć jedno słowo, przyjdę i stłukę was na kwaśne jabłko!

Hélène aż skuliła się z przerażenia.

Maman pochyliła się nad nimi. Dłoń zadrżała jej lekko, kiedy dotykała czoła każdego z dzieci, robiąc kciukiem znak krzyża. Na co dzień nie była religijna, ale w tej chwili była od niej jakaś dziwna moc. Nie wyglądała już na przerażoną. Jasnoniebieskie oczy patrzyły spokojnie i śmiało, a na ustach pojawił się zrezygowany, ale pełen czułości uśmiech.

- Edmondzie - powiedziała *maman* łagodnie. - Musisz stać się mężczyzną wcześniej, niż powinienes. Mój synu, bądź silny jak twój ojciec, którego miejsce przyjdzie ci teraz zająć. I ty, Catherine. Jesteś najstarsza, więc musisz zająć moje miejsce. We dwójkę zaopiekujecie się Hélène i małą Marie. Zrobicie to! Potem spróbujcie zapomnieć o wszystkim. Kiedy już będzie bezpiecznie... uciekajcie. Wasza ciotka Janine jest dobrą kobietą. Mieszka w Saint-Nazaire, tam gdzie Loara wpada do Zatoki Biskajskiej. Nie wiem, jak to zrobicie, ale musicie się przedostać do cioci Janine. Bóg wam wybaczy, jeżeli będziecie musieli zrobić coś złego, żeby tam dotrzeć! Przed wami niełatwa droga, ale bądźcie dzielni. Niedługo zjawią się tu Anglicy i Amerykanie, a wtedy będziecie już

bezpieczni. Nie są takimi łotrami jak Niemcy. Zobaczycie, nie minie rok, a wypędzą niemieckie świny z Francji z powrotem za Ren do ich chlewu!

Tra-a-ach! Blokada frontowych drzwi nie wytrzymała uderzeń i pękła z przeszywającym dźwiękiem. Hélène zadrżała ze strachu. *Maman* spojrzała za siebie.

- Czas się pożegnać. Moi drodzy, pamiętajcie zawsze, że wasza *maman* kochała was bardziej, niż kiedykolwiek będziecie w stanie to pojąć.

- Tak, *maman* - szepnęła Catherine poważnie, bardzo dorosłym tonem, i pocałowała mamę w rękę. - My też cię kochamy.

Maman nagle cofnęła dłoń i zaczęła poruszać palcami. Patrzyli na nią bez słowa. Zdjęła obrączkę i wcisnęła ją w dłoń Edmonda.

- Weź to, mój synu - szepnęła. - Może będziesz musiał kogoś przekupić.

Palce chłopca zacisnęły się na złotym kółku.

- Zostańcie z Bogiem, dzieci - wyszeptwała *maman*. - Niech On was kocha i chroni. - Nie płakała, ale oczy miała wilgotne i pełne bólu.

Edmond odwrócił głowę. Wstydział się łez.

- Pamiętajcie, co wam powiedziałam - ostrzegła ich Michelle grubym drżącym głosem. - Ani słowa!

Pociągnęła nosem i wytarła go wierzchem dłoni. Jej oczy także były wilgotne. Łagodnie odsunęła *maman* i zamknęła drzwi windy. Zatrzasnęły się jak paszcza wieloryba, otoczyła ich ciemność. Odgłosy uderzeń i trzasków na moment ucichły.

Dzięki zabawom w chowanego Hélène wiedziała, co robić, żeby nie zostać zauważoną. Obok siebie znalazła dziurę w desce. Kiedyś był tam sęk, który wypadł. Gdy oczy dziewczynki przywykły do ciemności, dostrzegła otwór wpuszczający cieniutką nitkę światła, w którym tańczyły miliony pyłków kurzu.

Trzaski i odgłosy walenia w drzwi rozległy się ponownie. Towarzyszył im okropny, ogłuszający hałas. Hélène wzięła Catherine za rękę i mocno ścisnęła. Łomotanie było coraz głośniejsze. Ręka siostry zrobiła się wilgotna i drżała.

Nagle nastąpił porażający huk, jakby zawalił się dach. Winda zatrzęsała się, a Hélène cicho krzyknęła. Marie zaczęła płakać żałośnie. Catherine zaczęła kołysać małą w ramionach i wsunęła kciuk do jej buzi. Głodne maleństwo zaczęło ssać.

- Dach - szepnęła Hélène do Catherine. - Dach się zapadł.
- Nie - odszepnęła siostra. - To drzwi.
- Ale *maman*...
- Cicho! - syknął Edmond.

Załomotały ciężkie buciory i usłyszeli ostre komendy po niemiecku. Hélène przyłożyła ucho do otworu, żeby lepiej słyszeć, ale nic nie mogła zrozumieć. Znała tylko kilka przypadkowych słów. Wyjrzała ostrożnie.

Mogła zobaczyć jedynie małą część pokoju i kilka bezgłowych postaci. Winda znajdowała się zbyt nisko, żeby móc dojrzeć w całości kogokolwiek wyższego od dziecka. Widziała natomiast schludne mundury i wyglansowane czarne buty. Potem dostrzegła szare wełniane pończochy i stare znoszone pantofle matki. Stanowiły smutny kontrast z sukienką i płaszczem.

- Dzięki Bogu, potrafię dobrze szyć - żartowała zawsze *maman*. - Niestety, nie umiem uszyć butów ani zrobić jedwabnych pończoch.

Dziewczynka nie musiała widzieć głowy, by rozpoznać Michelle. Dostrzegła jej ogromny, podobny do balii korpus przy ścianie obok kuchennych drzwi. Coś w wyglądzie ich opiekunki zdziwiło Hélène, ale dopiero po chwili zrozumiała co to takiego. Michelle miała ręce założone do tyłu. A przecież zawsze trzymała dłonie na biodrach, nigdy na plecach.

Hélène zerknęła na prawo. Zobaczyła Antoinette pozostawioną na podłodze. Kiedy patrzyła na swoją przyjaciółkę, nadepnął na nią lśniący czarny bucior. Aż drgnęła z bólu, gdy porcelanowa buzia ukochanej lalki rozpadła się z chrzęstem na kawałki. Gruby bucior kopnął je i rozrzucił po pokoju.

Hélène usłyszała szczekliwy niemiecki głos mówiący nieskładną francuszczyzną, więc poruszyła się znowu, żeby spojrzeć w kierunku *maman*. Tłumaczyła coś jednemu z ubranych na czarno Niemców, ale mówiła za cicho, aby Hélène mogła zrozumieć poszczególne słowa. Nagle któryś z nich wymierzył *maman* policzek. Zachwiała się i jęknęła z bólu.

Edmond usłyszał głos matki i ze zduszonym krzykiem sięgnął do drzwi, chcąc biec jej na pomoc. Catherine wbiła mu paznokcie w ramię.

- Nie słyszałeś, co mówiły *maman* i Michelle? - wysyczała. - Mamy się zaopiekować siostrami! Chcesz, żeby nas wszystkich zabili?

Posłuchał jej i usiadł z powrotem. Westchnął ze złością. Catherine ma rację, pomyślał. *Maman* i Michelle wydały im obojgu wyraźne polecenia.

Niemiec zapytał o coś po francusku. Akcent miał okropny i Hélène musiała dobrze nadstawiać uszu, by coś zrozumieć.

- Jacqueline Junot - usłyszała odpowiedź *maman*.

- Co? - szczechnął ostry głos. - Nic nie słyszę. Głośniej!

- Jacqueline Junot! - krzyknęła *maman*. - Jacqueline Junot!

- Nie waż się podnosić głosu na oficera Rzeszy! - warknął Niemiec.

Rozległ się odgłos następnego uderzenia, a *maman* znowu krzyknęła.

- Co powiedziałaś? - zapytał oficer.

- N-nic - odrzekła *maman* drżącym głosem.

- Dobrze... - Jego głos wyrażał satysfakcję. - Teraz będziesz mówić?

- Tak - wykrztusiła *maman* chrapliwie. - Tak.

- Więc gdzie ukryłaś nadajnik?

- Nadajnik? - zapytała *maman*. - Nie wiem, o co chodzi. Co, do diabła...

Trzask! Kolejny wymierzony policzek był tym razem mocniejszy i głośniejszy. *Maman* jęknęła i upadła w pobliżu windy i Hélène widziała ją teraz dobrze. *Maman* klęczała skulona, głową dotykając podłogi. Hélène wiedziała, że matka bardzo cierpi. Kaszlała i krztusiła się, wymiotowała, z nosa i ust ciekła jej krew. Zawstydzona odwróciła zaczerwienioną twarz w drugą stronę, aby nie widzieli jej z windy. Żołądek Hélène zacisnął się z żalu. *Maman* nigdy nie chciałaby, żeby jej dzieci były świadkami takiego poniżenia.

Tamten Niemiec ruszył w kierunku *maman*. Przez swoją szczelinę Hélène mogła dostrzec tylko jego wysokie buty i czarne spodnie.

- Co do tego nadajnika...

- Nie wiem, o czym pan mówi! - zawołała *maman*, krztusząc się krwią z rozciętych warg. - Przysięgam, że nie wiem!

- Kłamiesz! - Wypucowany but aż błysnął, kiedy Niemiec kopnął ją, celując w brzuch. Okropny, pełen rozpaczy krzyk odbił się echem od ścian pokoju i zamkniętej windy. Edmond zakrył uszy dłońmi. Pochlipywał cicho.

Hélène zamknęła oczy. Nie mogła znieść dłużej męczarni matki. *Maman* pozbierała się jakoś i otoczyła rękami wielki brzuch, aby ochronić maleństwo, chłopca albo dziewczynkę, które niedługo miało przyjść na świat.

- *Maman* - szepnęła bezgłośnie Hélène. - Co oni zamierzają ci zrobić?

Dowódca wydał rozkaz. Dziewczynka otworzyła oczy. Mężczyźni w szarych mundurach natychmiast rozdzielili się na cztery grupy. Głuche uderzenia ciężkich kroków rozległy się echem, kiedy biegli po schodach na piętro i do piwnicy. Hélène usłyszała trzask drzwi, brzęk rozbijanego szkła, stłumione głosy, gdy żołnierze niszczyli meble i plądrowali cały dom. Gdzieś z góry dał się słyszeć niesamowity łoskot, który wstrząsnął budynkiem.

- Umrzemy - zapłakała Hélène.

- Cicho! - szepnęła Catherine.

Trwało to całą wieczność. Potem ktoś zawołał coś z góry. Niemiec stojący nad *maman* przykucnął, złapał ją za włosy i szarpnął jej głowę. *Maman* jęknęła z bólu.

- Ty głupia! - roześmiał się. - Już go znaleźli. Warto było nas oszukiwać? Warto?

Potem splunął jej w twarz. Hélène widziała grymas i drgnienie powiek matki, kiedy plwocina spłynęła po jej policzku. Oficer puścił włosy *maman* i jej głowa opadła na podłogę. Ale wcześniej Hélène zobaczyła jego oblicze pod daszkiem czapki.

Patrzyła z niedowierzaniem. Jego twarz przypominała trupa czaszkę. Usta miał wąskie, okrutne i bez kropli krwi. Na wysuniętym podbródku widniała nieduża blizna w kształcie półksiężyca. Ale najbardziej zdumiała dziewczynkę jego skóra. Cerę miał bladą, niemal białą, oczy zaś świeciły odrażającym różowym blaskiem. Z rogami wyglądałby jak prawdziwy diabeł.

Wstał, wygładził mundur i poszedł na górę. Hélène poczuła wielką ulgę, gdy zniknął. W dziwny sposób bardziej przerażała ją brzydota Niemca niż jego okrucieństwo. Teraz dwaj żołnierze w szarych mundurach pilnowali *maman*. Za każdym razem, kiedy poruszyła choćby palcem, kopali ją brutalnie.

Hélène odwróciła się ostrożnie i spojrzała na Michelle. Służąca nadal stała obok kuchennych drzwi. Ręce wciąż trzymała splecione z tyłu, jej puciołowata twarz miała ponury i zacięty wyraz.

Dziewczynka usłyszała głuchy tupot kroków idących po schodach Niemców. Wrócili do jadalni. Widocznie znaleźli to, czego szukali. Jeden z żołnierzy znosił to na dół. Spora metalowa skrzynka kryła jakieś skomplikowane urządzenia z przewodami i wyłącznikami. Hélène nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała.

Oficer o białej twarzy podszedł do dwóch Niemców stojących obok *maman*.

- Pokażcie jej, jak karzemy kłamców i zdrajców - rozkazał. - A kiedy z nią skończycie, zabierzcie ją do dowództwa! - Opuścił pokój, zakładając do tyłu dłonie w skórzanych rękawiczkach.

Strażnicy stuknęli obcasami.

- *Zu befeh!** - zawołali chórem.

Potem spojrzeli w dół na *maman*. Leżała cicho, ale oczy miała otwarte.

* **Rozkaz!** (niem.)

Żołnierze pochylili się i podnieśli ją. Stała, chwiejąc się niepewnie na nogach. Hélène patrzyła, jak jeden z nich zbliżył się do matki i zacisnął pięść. Z całej siły uderzył *maman* w brzuch.

- Zdrajczyń! - krzyknął. Jęknęła i osunęła się na podłogę.

- Moje dziecko! - zawołała. - Stracę dziecko! - Po jej policzkach spływały łzy.

Pięść mężczyzny ponownie opadła na jej brzuch. *Maman* znowu krzyknęła. Hélène poczuła, jak ogarnia ją straszliwa złość.

Nagle zauważyła jakiś ruch przy drzwiach do kuchni. Michelle po cichu skradała się w kierunku żołnierzy niczym ogromny tłusty kot. Powoli i ostrożnie wysunęła zza pleców grubą, potężną rękę. Dziewczynka dostrzegła w czerwonej dłoni Michelle jakiś błyszczący przedmiot. Był to kuchenny nóż - najdłuższy i najbardziej ostry, jaki mieli w domu.

Nagle Michelle rzuciła się do przodu i wbiła ostrze w plecy najbliższego Niemca. Mężczyzna wydał chrapliwy jęk i osunął się na kolana. Z otwartych ust płynęła krew, w

oczach pojawiło się zdumienie. Potem stały się szkliste, zamglone. Upadł na twarz, a Hélène widziała, że nóż utkwił głęboko w jego plecach. Ciemnobrązowy uchwyt drżał.

Pozostali żołnierze patrzyli na Michelle z mieszaniną strachu i szoku na twarzach. Wreszcie jeden wycelował w nią z karabinu. Instynktownie wyciągnęła ręce przed siebie, potem nastąpił pomarańczowy błysk i wydawało się, że cały pokój eksplodował. Michelle poleciała do tyłu na ścianę i osunęła się jak bezwładna kukła na podłogę. Na jej kolanach rozlała się olbrzymia czerwona plama, nieruchome oczy zdawały się patrzeć przez drzwi windy prosto na Hélène.

Naziści z wściekłością pochwycili *maman* i pociągnęli ją do ciężarówki. Słaniała się, na twarzy miała krwawe smugi. Nagle Hélène dostrzegła, że szare pończochy również są zabrudzone krwią. *Maman* dwukrotnie potknęła się i upadła na kolana; za każdym razem żołnierze szarpali ją i kopali.

- *Vive la France!* - zawołała *maman* w ostatnim przyływie sił. - *Vive la Republique!*

Jej odważne słowa rozległy się echem na całej ulicy jak zabroniona przez okupanta pieśń. Nawet ukryte w windzie dzieci usłyszały je wyraźnie. Przez chwilę panowała głucha cisza, a potem zawarczały motory odjeżdżającego daimlera i ciężarówek.

W pokoju zostało dwóch żołnierzy.

Zdjęli hełmy i oparli karabiny o futrynę drzwi kuchennych obok ciała Michelle.

Jeden z nich usiadł i zapalił papierosa. Drugi mówił coś gniewnym tonem. Ze złości kopnął krzesło tak mocno, że aż się przewróciło.

I wtedy Marie zapłakała.

Żołnierz, który kopnął krzesło, odwrócił się i zaczął nasłuchiwać. Podeszedł do windy. Dziura po sęku, przez którą Hélène obserwowała pokój, stała się ciemna. Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do wnętrza windy wpadło oślepiające światło.

Rozdział 2

Zamrugali oślepieni nagłą jasnością.

- *Ach, seh' mal was ich hier gefunden habe!** - zawołał żołnierz.

* Popatrz, co tu znalazłem! (niem.)

Jego twarz pozostała w cieniu na tle jasnego pokoju. Odwrócił się do swojego kolegi i przywołał go ręką.

Edmond i Hélène skulili się przy Catherine. Przytulili się do siebie jak przerażone szczenięta, które zostały zabrane od matki. Hélène czuła, jak jej siostra drży. Catherine ze spuszczonej oczami mocno przyciskała do piersi Marie. Malutka płakała głośno i trzęsła się spazmatycznie.

Drugi żołnierz podszedł i spoglądał przez chwilę do środka. Mruknął coś i zapalił zapałkę. Migotliwy płomyk oświetlił twarze obu Niemców i ich ponuro zaciśnięte wargi. Mężczyźni zignorowali ją, Edmonda i Marie, natomiast wpatrywali się chciwie w Catherine w taki sam sposób, jak dzieci pożerające wzrokiem ciastka na wystawie pobliskiej cukierni. Catherine, chociaż najstarsza z nich, w tej chwili wydawała się najbardziej bezbronna i przerażona. Miała suche wargi, a w jej szeroko otwartych brązowych oczach czaił się niepokój.

- Ty - powiedział drugi żołnierz kiepską francuszczyzną. - Ty, chodź tutaj.

Catherine spojrzała na niego, ale się nie poruszyła. Zastygła skulona tak samo jak rodzeństwo przyciskające się do siebie mocniej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Ty - powtórzył żołnierz zimnym głosem. - Mam cię stamtąd wyciągnąć?

Catherine uroczyście oddała Marie Hélène. Potem bez słowa odsunęła Edmonda i powoli wygramoliła się z windy. Potknęła się i niezgrabnie upadła na kolana.

- Ach! - wykrzyknął żołnierz, spoglądając na nią z uznaniem. Powoli, jak rekin, okrążał swoją ofiarę.

Jego kolega rzucił niedopałek na dywan, rozgniół go butem i spojrzał na towarzysza ostro.

- *Ich gehe zuerst** - oznajmił w końcu. Dla podkreślenia słów wskazał palcem na siebie.

Ten drugi gwałtownie potrząsnął głową.

- *Nein! Ich habe sie von dort' raus gebracht!*** - Wskazał na winę.

* *Ja pierwszy (niem.)*

** *Nie, to ja ją stamtąd wyciągnąłem (niem.)*

Wciąż klęcząc, Catherine spojrzała przez ramię i napotkała wzrok Héléne. Jej wargi się zacisnęły, a ramiona opadły. Héléne często widziała na ulicach ludzi, którzy tak wyglądali. Była to postawa poddania się i klęski.

Zawstydzona Catherine odwróciła się od niej i spojrzała na martwą Michelle opartą niezgrabnie o ścianę. Héléne także na nią spojrzała. Krew, która zaczęła już krzepnąć, pokrywała przód sukienki ich opiekunki wielką rdzawą plamą. Héléne poczuła, że robi jej się niedobrze, i szybko odwróciła głowę.

Spierający się Niemcy doszli do porozumienia. Jeden wyciągnął z kieszeni skórzaną portmonetkę, sięgnął do środka i wyjął monetę. Postępując zgodnie z jakimś dziwnym rytuałem, potarł ją, pocałował i rzucił w górę. Moneta zawirowała, błysnęła i opadła. Złapał ją szybkim ruchem dłoni i położył z klaśnięciem na nadgarstku.

Obydwaj popatrzyli z bliska na monetę. Ten, który wygrał, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu triumfu. Drugi wymamrotał coś niechętnie.

Zwycięzca schował monetę i wsunął portmonetkę z powrotem do kieszeni. Potem pochylił się i chwycił dziewczynę za ramiona. Podniósł ją jednym szybkim ruchem.

- Ładna mała - powiedział łamaną francuszczyzną. - A teraz się przekonamy, jaka jesteś naprawdę. Prawdopodobnie za chuda. - Wykrzywił się z pogardą. - Wszystkie Francuzki są chude. - Poklepał ją po policzku wielką dłonią.

Catherine odruchowo szarpnęła się do tyłu. W jego oczach błysnęło rozbawienie.

- Ona jest dziewicą - oświadczył koledze. - Zawsze to poznam. Miła, słodka dziewczica... Nie ma nic lepszego.

Ten drugi wzruszył ramionami.

- Miewałem dziewice - odpowiedział równie kiepskim francuskim. - Nic specjalnego.

Hélène spojrzała pytająco na Edmonda.

- Co oni chcą zrobić?

Popatrzył na nią zimnym, pustym wzrokiem.

- Nie bój się - odrzekł głosem zbyt dojrzałym jak na swój wiek.

Hélène poważnie kiwnęła głową.

- Spróbuję.

- Cisza! - krzyknął któryś z Niemców.

Hélène podskoczyła. Edmond ścisnął jej rękę i uśmiechnął się, ale zauważyła, że jego oczy pozostały zimne.

W drugim końcu pokoju Niemiec przybliżył twarz do Catherine.

- Nie co dzień mężczyźnie trafia się dziewica, nieprawdaż? - urągał głośno. Pochylił się, aby ją pocałować.

Nagle wrzasnął, obrócił ją dookoła i pchnął, aż z głuchym stuknięciem wylądowała na blacie stołu w jadalni. Włosy opadły jej na twarz. Oddychała ciężko, z trudem chwytając powietrze.

Niemiec zaklął i ostrożnie dotknął dolnej wargi. Miał na ustach krew. Spojrzał na palce, zaklął i wytarł dłoń o spodnie.

Drugi chichotał z satysfakcją.

- *Mensch* - zawołał. - *Kannst du nicht einmal ein Mädchen handeln?**

Ugryziony popatrzył na niego ze złością.

- *Halt's Maul!*** - warknął. Potem rzucił się gwałtownie na Catherine. Zdarł z niej płaszcz i cisnął go na dywan.

* Człowieku, nie możesz sobie poradzić z dziewczyną? (niem.)

** Zamknij się! (niem.)

- Nie! - wrzasnęła Catherine. - Och, proszę. Boże, nie!

Niemiec wyszczerzył zęby i oblizał wargi. Catherine oparła się o stół. Ręce splotła przed sobą błagalnym gestem jak do modlitwy. Hélène usłyszała trzask materiału, kiedy

mężczyzna rozdarł sukienkę uszytą przez *maman*. Guziki odskoczyły jeden po drugim i uderzyły o blat stołu. Sukienka opadła do kostek Catherine.

- Proszę - łkała dziewczyna. - Zostawcie mnie...

Stanik też miała podarty. Przyciskała go do siebie rozpaczliwie, ale żołnierz go z niej ściągnął. Obronnym gestem zasłoniła małe piersi.

- Proszę... Proszę, nie - powtarzała drżącym głosem.

- Cicho! - warknął Niemiec i wymierzył jej policzek.

Drgnęła z bólu, kiedy ją uderzył. Potem zgięła palce niczym szpony i z nienawiścią przeorała mu paznokciami twarz. Na policzku prawie natychmiast pojawiły się cztery czerwone ślady.

- *Verdammt!* - Héléne usłyszała, jak zaklął.

Potem rozległy się następne odgłosy uderzeń, a Catherine upadła na blat stołu. Kopała i szarpała się, kiedy żołnierz zdierał z niej wełniane pończochy i majtki. Była teraz naga, po jej policzkach spływały strugi łez. Napastnik chwycił ją za ramiona i ściągnął ze stołu. Wrywała się, żeby stanąć na nogach, ale zaplątała się w ubrania krępujące jej kostki i upadła. A wtedy Niemiec rozpiął spodnie i rzucił się na nią podniecony.

Rozdział 3

W jednej chwili Hélène ogarnęła wściekłość. Nigdy wcześniej nie czuła do nikogo nienawiści. Doświadczyła jej po raz pierwszy tego popołudnia, kiedy zobaczyła leżącą na podłodze siostrę i przyciskającego ją Niemca. Z całej siły starała się opanować mdłości, które paliły ją w żołądku żywym ogniem i unosiły się do gardła.

- Nie - błagała Catherine. - Nie! - Jej twarde, dziewczęce piersi podnosiły się i opadały w przerażonym oddechu.

- Puść ją! - wrzasnęła nagle Hélène.

Żołnierze zerknęli w kierunku windy i zaczęli rechotać rozbawieni. Potem ten, który trzymał Catherine za ręce, przeniósł wzrok na jej uda. Dziewczyna próbowała się uwolnić, ale była za słaba. Nadgarstki miała przyciśnięte do podłogi i tylko mięśnie ramion napinały się i drżały bezsilnie pod ciężarem ciała mężczyzny. Zagryzła wargi z bólu.

- *Mensch, mach's schnell!** - Przyglądający się żołnierz niecierpliwie ponaglił kolegę.

* *Pospiesz się, człowieku! (niem.)*

Niemiec leżący na Catherine zignorował jego słowa.

Edmond niedostrzegalnie szturchnął łokciem Hélène i ostrożnie zerknął w kierunku drzwi do kuchni. Spojrzała w tę samą stronę. Na pewno nie chodziło mu o to, aby popatrzeć na Michelle. Nie, to musiało być coś innego. Coś bardzo ważnego... Nagle Hélène zrozumiała. Za ciałem ich opiekunki stały karabiny Niemców oparte o futrynę. Zerknęła na brata i ich spojrzenia się spotkały. W oczach obojga pojawił się ten sam bezlitosny wyraz. Hélène delikatnie skinęła głową. Wiedziała już, co muszą zrobić. Ostrożnie posadziła Marie na podłodze windy. Teraz oboje czekali na okazję.

Niemiec przyciskający Catherine do podłogi naparł mocno na swoją ofiarę i wszedł w nią jednym twardym pchnięciem. Powietrze przeciął ostry krzyk dziewczyny. Na moment jej ciało wygięło się w łuk i Hélène myślała już, że siostra zrzuci z siebie

gwałciciela, ale po chwili Catherine opadła bez sił. W pokoju dał się słyszeć jej rozdzierający szloch.

Hélène dzieliła z siostrą poniżenie i ból, Edmond także. Oddychał z trudem. Cały się trząsał.

- Zaraz - szepnęła bezgłośnie do Hélène. - Zaraz. Mrugnęła do niego, pokazując, że zrozumiała.

Ciało obscenicznie uderzało o ciało, Catherine szarpała głową z jednej strony na drugą. Jej twarz wykrzywił przerażający grymas. Drugi żołnierz z niecierpliwością obserwował to, co się działo na podłodze. Rozpiął już pas i opuścił spodnie w oczekiwaniu na swoją kolej.

Edmond trącił łokciem Hélène. Nadszedł właściwy moment. Obserwowała, jak brat bezszelestnie wysunął się z windy. Odczekał kilka sekund, spoglądając uważnie na obu żołnierzy. Byli zbyt zajęci swoją ofiarą, by cokolwiek dostrzec. Edmond wpełzł za stół niczym krab i skinął ręką na Hélène, by zrobiła to samo.

Próbując naśladować ruchy brata, podążyła w jego stronę i dotarła doń bezszelestnie. Żaden z mężczyzn ich nie zauważył. Edmond mocno ścisnął dłoń Hélène, by dodać jej odwagi.

- Na miłość boską, przestań! - usłyszeli głos Catherine.

Hélène wyjrzała zza stołu, ale Edmond złapał ją za ramię i pociągnął w stronę kuchennych drzwi. Pokazał jej, by szła tuż za nim. Kiwnęła głową na znak, że rozumie jego polecenie. W drugiej części pokoju głos Catherine wznosił się i opadał.

- O Boże! - wołała. - O Boże, gdzie jesteś?

Edmond skinął głową i razem z Hélène zaczęli ostrożnie przesuwać się w stronę ich ukochanej Michelle. Do karabinów.

- Aghhh... - wykrztusił Niemiec gwałcający Catherine.

Edmond i Hélène byli w połowie drogi między stołem a ciałem Michelle. Zaszokowani odwrócili głowy i popatrzyli na scenę rozgrywającą się z tyłu. Żołnierz poruszał się coraz szybciej. Pot spływał mu z czoła, fioletowe żyły na skroniach nabrzmiały tak, iż Hélène myślała, że zaraz popękają.

- Aghhh! Aghhh! Aghhh... - Mężczyzna wyprężył się i ucichł.

Edmond dał znak Hélène, że ruszają dalej, więc pospiesznie poczołgała się za nim. Nie popatrzyli do tyłu, dopóki nie znaleźli się przy Michelle. Tymczasem żołnierz, który wciąż miał zaciśnięte powieki, zaczął łapać oddech. Catherine cicho szlochała. Do gardła Hélène podeszła następna fala torsji, ale mdłości ustąpiły natychmiast, bo nagle Niemiec otworzył oczy i spojrzał wprost na nich oboje.

- *Verdamnte Scheiss, Kinder!** - ryknął głośno i z gniewem wyciągnął w ich kierunku rękę.

* Cholera jasna, dzieci! (niem.)

Zostawiona w windzie Marie znowu zaczęła żałośnie popiskiwać.

- Szybko! - krzyknął Edmond. - Szybko, stań za mną!

Hélène zamarła ze strachu.

- Ja... Ja nie mogę się ruszyć! - wyjąkała.

Edmond złapał ją za ramię i pociągnął za drzwi od kuchni. Wykorzystując moment zaskoczenia, chwycił najbliższy karabin i skierował lufę w stronę żołnierzy, ledwo omijając głowę Michelle. Karabin był ciężki. Mężczyzna bez trudu mógł go utrzymać nieruchomo, w rękach chłopca broń chwiała się i przesuwiała. Ale nienawiść spowodowała gwałtowny przyływ adrenaliny i to nienawiść pomogła Edmondowi utrzymać prosto karabin.

Chłopiec spoglądał wzdłuż lufy, tak jak podpatrzył to u aktorów grających w westernach. Tylko że w kinie nie uczą widzów strzelania. Karabiny były znane w Paryżu już od kilku lat, Edmond wraz z kolegami oglądał je z bliska i daleka; oczywiście chłopcy tłumaczyli sobie nawzajem, jak się z nich strzela. Tak więc jedenastoletni Edmond wiedział, jak się odbezpiecza broń. I teraz to zrobił.

Niemcy dostrzegli jego ruch i obaj natychmiast zamarli. W ich oczach pojawiła się nienawiść, ale także coś jeszcze. Coś, czego nie było tam jeszcze kilka chwil wcześniej. Lęk.

- *Runter, du verdammtes Schwein!** - zawołał Niemiec leżący na Catherine, zbyt przestraszony, żeby szukać teraz właściwych francuskich słów. Ręką pokazał Edmondowi, żeby opuścił i odłożył broń. Jego towarzysz pochylił się spiesznie, by podciągnąć spodnie, ale ani na chwilę nie odrywał od chłopca oczu, z których biła wściekłość - nawet wtedy, kiedy zapinał pas. Zrobił krok w kierunku Edmonda.

* *Opuść go, ty przeklęta świnio! (niem.)*

Hélène nigdy w życiu tak się nie bała.

- Teraz! - wykrzyknęła. - Teraz, Edmondzie! Strzelaj!

Chłopiec zawahał się i zmarszczył brwi. Ciężki karabin chwiał się w górę i w dół w jego drżących dłoniach.

Żołnierz zbliżał się ostrożnie. Jego napięta twarz płonęła, ciemne oczy błyszczały wściekle.

- No, już. Oddaj to - starał się mówić spokojnie kiepskim francuskim.

Edmond wpatrywał się w niego niewidzącym wzrokiem.

- Połóż broń na ziemi. - Jego głos brzmiał coraz łagodniej. - Nic ci się nie stanie, chłopcze.

Hélène wiedziała, że to kłamstwo, że tamten chce odebrać Edmondowi broń. A jeśli mu się uda, co wtedy? Zabiją całą czwórkę? - zastanawiała się w popłochu. Edmond nie może oddać karabinu!

- No już - mówił Niemiec na pozór przyjaznym głosem. - Bądź grzecznym chłopcem i odłóż to.

Nagle Hélène poczuła, że nienawidzi tego kuszącego głosu. W dodatku Niemiec próbował się uśmiechnąć! Jej serce waliło jak młot. Och, Edmondzie, proszę, zrób coś, błagała w myślach brata. Nie wierz szkopowi! Zrób coś szybko... póki jeszcze możesz.

Żołnierz był coraz bliżej. Wyciągnął lewą rękę w stronę karabinu. Podchodził wolno, ostrożnie, jak człowiek do kobry.

- Połóż to - powtórzył łagodnym szeptem. - Nic ci się nie stanie. - W jego głosie brzmiała życzliwość, jakby mówił: „Macie szansę, żeby nie zrobić niczego okropnego, czego byście później musieli żałować”.

Edmond odruchowo zrobił krok w tył w kierunku Héléne.

- Edmondzie - ostrzegła go, szcękając zębami. - Edmondzie...

Żołnierz obrzucił ją spojrzeniem pełnym wściekłości. Bał się, że chłopiec może jej posłuchać. Drugi Niemiec przyglądał im się z wykrzywioną twarzą. Marie płakała cicho.

- Edmondzie! - krzyknęła Catherine, próbując się podnieść i zepchnąć gwałciciela. Héléne popatrzyła na nią; w szeroko otwartych oczach siostry widać było przerażenie. - Edmondzie! - wrzasnęła. - Na litość boską...

- *Halt's Maul!* - ryknął nagle żołnierz i pchnął ją mocno.

Upadła i jęknęła z bólu, kiedy jej głowa uderzyła o dywan.

Z gardła Edmonda wydobył się zduszony okrzyk i chłopiec nacisnął spust. Zobaczyli błysk, a pokój zadrżał od huków. Porcelana w kredensie zadźwięczała. Marie wydała osyty pisk. A potem, równie nagle jak wybuch, nastąpiła wielka cisza. Héléne wręcz bała się odetchnąć, by nie zakłócić tego spokoju. Nawet Marie zamilkła. Otoczyła ich ciężka woń kordytu. Pierwszy raz tego popołudnia Héléne usłyszała nieustanne, miarowe tykanie dużego zegara stojącego przy frontowych drzwiach. Potem spojrzała na Edmonda i wstrzymała oddech.

Wciąż ścisnął przed sobą karabin, ale twarz miał oszołomioną i półprzytomną. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że strumień krwi spływa mu z ust na szyję. Kiedy nacisnął spust, kolba karabinu uderzyła go w szczękę. Dwa przednie zęby miał wybite, a siła odrzutu pchnęła go do tyłu na Héléne. Zdołał jednak utrzymać się na nogach i wciąż mierzył z karabinu do wroga.

Ale z takiej odległości nikt nie miałby szans. Kula rozszarpała pierś żołnierza. Żebra i płuca rozprysnęły się wokoło i przykleiły do ściany, na którą rzucił go wystrzał. Skrawki kości i okrwawione strzępy ciała przebiły tapetę.

O jednego wroga mniej na francuskiej ziemi. Nie było już Niemca. Tak jak nie było Michelle. Nawet nie krzyknę, powiedziała sobie w myślach Héléne.

Drugi żołnierz wpatrywał się w nich ciężkim wzrokiem. Był bardzo blisko Catherine.

Edmond skierował na niego lufę karabinu.

- Odsuń się - powiedział twardym głosem. Nastąpiła chwila cichego napięcia. Potem Niemiec zaczął się podnosić.

- Bardzo wolno! - ostrzegł go Edmond. - Bo jeśli nie... - Nie dokończył, ale ciąg dalszy był oczywisty.

Tamten wolno podciągnął spodnie i wepchnął do środka koszulę. Twarz miał bez wyrazu, ale oczy pozostały czujne. Cały czas obserwował bacznie Edmonda. Skończył zapinać pas i opuścił ręce luźno wzdłuż ciała, ale jego palce zaciskały się i prostowały. Hélène intuicyjnie wiedziała dlaczego. Żołnierz czekał na okazję, aby ich zaatakować.

Edmond zniżył nieco karabin i spojrzał na Catherine.

- Wstań - odezwał się do niej łagodnie.

Zwróciła zalaną łzami twarz ku niemu i zaczęła wycierać oczy dłońmi.

- Idź na górę i włóż coś na siebie - powiedział Edmond. W jego głosie pojawiły się piskliwe tony. - Prędko. Ubierz się.

Catherine kiwnęła głową. Z trudem zdołała wstać i próbowała się zasłonić drżącymi dłońmi. Jest w szoku, pomyślała Hélène. Z przerażeniem zobaczyła, że po udach siostry spływa krew. Szybko odwróciła głowę.

Nagle Niemiec zrobił szybki ruch. Hélène dostrzegła to i serce jej zamarło.

Nadaremnie próbowała krzyknąć, by ostrzec Edmonda. Gardło miała zaciśnięte ze strachu.

Usłyszała jęk brata. On również zauważył, co się dzieje, ale było już za późno. Na ułamek sekundy spuścił z oczu Niemca, a ten natychmiast wykorzystał okazję. Rzucił się na Catherine i chwycił ją za nogi. Upadła znowu, jak gdyby zdmuchnięta porywem wiatru. Niemiec podniósł się ostrożnie, osłaniając się jej wiotkim ciałem jak tarczą. Jedną dłonią obejmował Catherine za szyję, w drugiej trzymał nóż. Przyłożył błyszczące ostrze do gardła dziewczyny, uciskając jej skórę, ale jej nie raniąc. Catherine zamarła z przerażenia; z trudem chwyciła powietrze otwartymi ustami.

- Rzuć karabin albo poderżnę jej gardło - powiedział cicho żołnierz. Patrzył na Edmonda z pogardą, mrużąc oczy.

Hélène wbiła wzrok w Niemca. Nie wątpiła, że mógłby zrobić to, o czym mówił. Edmond drgnął. Jego pełną napięcia twarz pokrył zimny pot. Wciąż ścisnął w dłoniach karabin, chociaż teraz nie mógł go użyć.

Niemiec przycisnął mocniej nóż do gardła Catherine. Kropla krwi powoli spłynęła po jej szyi.

- Rzuć karabin - powtórzył.

Edmond bezradnie opuścił broń. Karabin z łoskotem upadł u jego stóp.

Na ustach Niemca pojawił się okrutny uśmiech. Żołnierz opuścił nóż, ale nadal mocno trzymał przed sobą Catherine. Ostrożnie zrobił krok do przodu i jednym szybkim kopnięciem przesunął karabin za siebie do korytarza.

- Głupcy - syknął ze złością.

Hélène poczuła gęsią skórę na ramionach i ostrożnie spojrzała w stronę drzwi na korytarz. Coś jej mówiło, że ktoś oprócz nich jest w domu. Wprawdzie nic nie usłyszała, ale wyczuła czyjąś obecność. Miała rację. Jakiś mężczyzna prześlizgnął się jak złodziej z ciemnego korytarza do jadalni. To na pewno nie był żaden z żołnierzy. Teraz go rozpoznała. Czy to możliwe? Jej serce zaczęło uderzać szybciej. Tak, to monsieur Laval, dawny przyjaciel ojca. Oczy Hélène napotkały jego spojrzenie. Zatrzymał się i przyłożył palec do ust. Znajdował się już nie dalej niż półtora metra od Niemca, kiedy podłoga zatrzęszczała. Zaskoczony żołnierz puścił Catherine i odwrócił się gwałtownie. Zaklął i wyrzucił przed siebie ramię szerokim łukiem. Hélène usłyszała świst noża. Monsieur Laval uchylił się, ale ostrze przecięło jego zimowy płaszcz. Hélène zadrżała. Catherine stała obok, chwiejąc się na nogach.

- Catherine! - krzyknęła dziewczynka. - Catherine! Siostra spojrzała na nią niewidzącym wzrokiem, pogrążona we mgle, którą tylko ona mogła zobaczyć.

- Catherine! - zawołała Hélène jeszcze raz. - Odsuń się!

Teraz Catherine jakby oprzytomniała. Poderwała się i podbiegła do siostry. Hélène ścisnęła jej zimną rękę.

Sprężynowy nóż przeciął powietrze jeszcze raz. Hélène najpierw usłyszała jego świst, a potem zobaczyła błysk ostrza. Pan Laval odskoczył, podniósł kolano i kopnął żołnierza w krocze. Niemiec zawył z bólu i zgiął się wpół. Twarz mu poszarzała; opuścił

nóż, a potem zwałił się na podłogę. Leżał na boku w pozycji embrionu, przyciskając dłonie do krocza.

Pan Laval wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła. Oddychał z trudem, jako że nie był już młodzieńcem i ta walka go zmęczyła.

- Panie Laval! - zawołała Hélène, łapiąc go za płaszcz. - Zabrali *maman*! Niemcy zabrali *maman*!

Kiedy na nią spojrział, zobaczyła w jego brązowych oczach współczucie. Położył dłonie na jej ramionach i przycisnął mocno Hélène, tak jak robiła to *maman*. Ale nie był ciepły i delikatny jak mama ani pulchny jak Michelle. Miał szorstki, zimny płaszcz, do którego nie mogła się przytulić. Pierwszy raz tego popołudnia Hélène rozplakała się gwałtownie.

Pan Laval odsunął ją łagodnie i przykucnął, a wtedy ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. Popatrzył na nią z powagą.

- Tak, Hélène - odezwał się cicho. - Niemcy zabrali twoją mamę. Ale nie możemy dopuścić, żeby teraz zabrali ciebie, prawda?

Hélène w milczeniu skinęła głową.

- Bien. Bądź więc dzielną dziewczynką i wytrzymaj oczy. Pociągnęła nosem i zrobiła, co kazał.

- Już lepiej. - Pan Laval próbował się uśmiechnąć. - Chcę, żebyś mnie teraz uważnie wysłuchała, dobrze?

- Tak - odpowiedziała drżącym, ale zdecydowanym głosem.

- Musicie natychmiast opuścić ten dom - oświadczył pan Laval. - Tu nie jesteście bezpieczni. Rozumiesz?

Hélène ponownie kiwnęła głową.

- Zabiorę was do bezpiecznej kryjówki. - Pan Laval podniósł się i spojrział na Catherine. Dopiero teraz zauważył na jej udach krew.

- Biedactwo - mruknął zaszokowany i westchnął. - Oni są gorsi od zwierząt. Catherine odwróciła się zawstydzona.

- Nie! - powiedział stanowczym tonem pan Laval. - To nie ty powinnaś się wstydzić! Nie zrobiłaś nic złego. Musisz o tym pamiętać!

- Tak - odrzekła Catherine słabym szeptem. - Tak, będę pamiętała.
- Teraz biegnij na górę i ubierz się - polecił. - Ale bez mycia. Nie mamy czasu.

Kiwnęła głową i wyszła z jadalni. Pan Laval spojrzał na półprzytomnego żołnierza, a potem na Edmonda.

- Potrzebny mi ręcznik i mocna lina.
- Sznur do bielizny wystarczy? - Chłopiec popatrzył pytająco na ich wybawcę.
- Sznur do bielizny będzie doskonały - odrzekł monsieur Laval.

Edmond wyszedł szybko i Hélène usłyszała, jak otwierał szafki w kuchni. Po chwili wrócił z ręcznikiem i zwiniętą białą liną. Pan Laval kopnął Niemca w brzuch, a potem pochylił się, by związać mu ręce i nogi. Potem zakneblował żołnierzowi usta ręcznikiem. Więzień zaskomlał ze strachu. Teraz przestał już być taki odważny, pomyślała Hélène z satysfakcją.

Catherine wróciła na dół ubrana. Nie patrząc na nikogo, podeszła do windy, wzięła na ręce Marie i przytuliła ją mocno. Ich wybawca rozejrzał się dookoła.

- Jesteście gotowi? - zapytał.

W milczeniu skinęli głowami. Nie tracąc ani chwili, przeszli do drzwi kuchennych. Za nimi pojedyncze uderzenie zegara przy drzwiach oznajmiło trzecią trzydzieści. Minęło niecałe pół godziny od chwili, gdy Hélène bawiła się w parku. To pół godziny nieodwracalnie odmieniło jej życie na zawsze.

Pan Laval ruszył przodem. Biegli za nim przez podwórze, a zamarznięty śnieg trzeszczał im pod nogami. Minęli zardzewiałą beczkę na deszczówkę służącą do podlewania grządek. Teraz była pokryta lodem. Coś szepnęło Hélène, że już nigdy więcej jej nie zobaczy. Wysoko nad ich głowami wisiały znajome sznury do bielizny. Czyjeś pranie powiewało na wietrze. Biegli mrocznym jak podziemny tunel przejściem między kamienicami.

Stawką w tym biegu było ich życie.

Rozdział 4

Dotarli do domu przy końcu krótkiej, ponurej alejki odchodzącej od tej, którą biegli. Monsieur Laval przystanął przed drzwiami z numerem siedemnastym przy ulicy Jules'a Talesa i trzy razy zadzwonił.

Kamienica była stara i zaniedbana. Tak jak inne domy w tej dzielnicy sprawiała wrażenie, jakby zamieszkali ją biedacy. Na drzwiach znajdowała się skrzynka na listy, ale nie umieszczono na niej żadnej wizytówki. Hélène spojrzała w górę i zobaczyła, że we wszystkich oknach jest ciemno. Już myślała, że w środku nikogo nie ma, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i alejkę zalało żółte światło. Oświetliło ono postać łysego, potężnie zbudowanego, wysokiego Murzyna. Masywne czarne ręce miał skrzyżowane na piersi.

Monsieur Laval zdjął beret i wymamrotał coś cicho.

Czarny olbrzym zwrócił twarz w kierunku dzieci i przesunął po nich uważnym spojrzeniem. Potem cofnął się od drzwi i bez słowa, kiwnięciem głowy zaprosił ich do środka. Nieśmiało weszli do holu, a ciężkie drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem.

Hélène spojrzała na Edmonda. Był tak samo zdumiony jak ona. Z zewnątrz dom wydawał się stary i zaniedbany, ale wewnątrz okazało się luksusowe. Przede wszystkim było tu ciepło. W ich własnym mieszkaniu zawsze czuło się zimno i wilgoć, tutaj natomiast było gorąco jak w piecu hutniczym. Meble wyglądały na drogie antyki. Stały na nich kryształowe kandelabry i biało-niebieskie wschodnie wazy. Na podłodze leżały grube dywany. Ściany były pokryte kosztowną czerwoną tkaniną. Po obu stronach drzwi stały dwa duże posągi z brązu. Były to rzeźby przedstawiające muskularnych Maurów; obaj trzymali w uniesionych rękach rozgałęzione kandelabry.

Murzyn wskazał ręką, że mają tu poczekać. Podeszedł do wysokich drzwi, zapukał i wszedł. Przez chwilę słyszeli szmer rozmów i dźwięczny kobiecy śmiech, który nagle ucichł, gdy drzwi się zamknęły. Znowu zapanowała cisza.

Hélène rozejrzała się dookoła. Zmęczona Catherine oparła się o ścianę. Po półgodzinie dźwigania Marie ręce jej zdrętwiały. Edmond ostrożnie przesunął dłonią po

jednym z posągów. *Monsieur* Laval czekał w milczeniu, zastanawiając się nad czymś. Dolną wargę wysunął lekko do przodu; obracał w dłoniach swój czarny beret.

Po chwili drzwi otworzyły się i olbrzym wrócił. Szła za nim wolno niska kobieta, ostrożnie stawiając małe kroczki. Hélène wpatrywała się w nią zafascynowana. Nigdy wcześniej nie widziała tak egzotycznej istoty. Ta kobieta przywodziła na myśl dźwięki i aromaty dalekiego Orientu, zapach orchidei i lilii wodnych, słowa tajemniczych rytuałów. Cerę miała bladą, a rozpuszczone kruczoczarne włosy sięgały do pasa. Czarne skośne o przenikliwym spojrzeniu oczy błyszczały w świetle kandelabrow. Miękki szlafrok z połyskującego jedwabiu podkreślał jej kształty. Chociaż była drobna i szczupła, miała obfite piersi. Nosila na szyi platynowy łańcuszek, a na jego końcu, dokładnie w zagłębieniu biustu, spoczywał wielki nieoszlifowany diament. Zimą 1944 roku w Paryżu było to zdumiewające.

Murzyn stanął w dyskretnej odległości od nich, ale kobieta nie kazała mu odejść. Tak samo nie zwróciła uwagi na Catherine, Edmonda i Hélène. Podeszła prosto do pana Laval'a i wyciągnęła wytworną, kruchą jak porcelana rękę.

Hélène widziała, jak pan Laval przywitał się z kobietą. Ujął delikatnie jej dłoń, z subtelnnością, o którą dziewczynka go nie podejrzewała.

Dama była bardzo niska i musiała unieść głowę, by popatrzeć mu w twarz.

- Witam pana, *monsieur* - powiedziała. Miała śpiewny, wysoki i czysty głos i Hélène zorientowała się, że to dźwięczny śmiech tej kobiety wcześniej słyszała.

Pan Laval pochylił głowę w ukłonie.

- *Madame* Chang - odezwał się tonem pełnym szacunku - jestem wdzięczny, że zechciała pani mnie przyjąć.

Dama skinęła głową i powiedziała:

- *Monsieur* Laval, wiem, że przyszedł pan tutaj, ponieważ ma pan kłopoty. Proszę mnie źle nie zrozumieć, pomogę, jeżeli tylko jest to w mojej mocy. Jednakże nie chcę nic wiedzieć na temat tych kłopotów. - Tembr jej głosu pozostał miękki i delikatny, ale mówiła zdecydowanym, oficjalnym tonem. - Czy się rozumiemy?

- Doskonale, *madame*. Pani postawa jest rozsądna i godna podziwu.

Kobieta spojrzała na niego, nie okazując żadnych emocji.

- Teraz proszę mi wyjaśnić, czego pan ode mnie oczekuje? Pan Laval wskazał jej dzieci.

- Szukam jakiegoś bezpiecznego miejsca dla tej czwórki. Twarz pani Chang pozostała bez wyrazu.

- To nie takie proste. Chyba sam pan rozumie, że nie zamknę na noc interesu, bo mam tu czworo dzieci.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł spokojnie.

- Dobrze. Zatem rozumiemy się doskonale. - Wpatrywała się w niego oczami kształtu migdałów. - Jak długo tu pozostaną?

- Do jutra. Przyjdę i zabiorę je do innej kryjówki. *Madame* Chang kiwnęła głową.

- Załatwione. Ale proszę pamiętać, że spodziewam się pana nie później niż o trzeciej po południu.

Pan Laval zaczął wygłaszać uniżone podziękowania.

- *Madame*, jest pani niezwykle łaskawa. Bardzo...

Kobieta przerwała mu ruchem ręki. *Hélène* zauważyła, że pani Chang ma długie, polakierowane na czerwono paznokcie.

- Ale stawiam jeden warunek - powiedziała. Popatrzyli na nią z niemym pytaniem.

- Muszą się zachowywać bardzo cicho - oświadczyła. - Czy starsze potrafią zająć się tym maleństwem, żeby nie płakało? - Spojrzała pytająco na Catherine.

Dziewczyna poważnie kiwnęła głową.

- A więc dobrze. - *Madame* Chang odwróciła się do Murzyna. - Zaprowadź ich na górę do pokoju Gisele.

Olbrzym w milczeniu pochylił głowę. Kobieta ruchem ręki poleciała dzieciom, by poszły za mężczyzną.

Hélène zawahała się i spojrzała błagalnie na pana Lavalą.

Był jedynym przyjacielem wśród tych obcych twarzy i przerażała ją myśl, że zostaną tu sami.

Monsieur Laval dostrzegł jej wahanie.

- Na co czekasz? - zapytał. - Idź... Nie bój się. Przyjdę po was jutro po południu.

Dziewczynka spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Przrzekasz?

- Obiecuję - zapewnił ją poważnie. - Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

Pod wpływem dziwnego impulsu Hélène objęła pana Lavalą za szyję i uściskała go mocno. Potem cofnęła się szybko i poszła za Murzynem. Edmond i Catherine ruszyli za nią.

Catherine karmiła Marie mlekiem z butelki, kiedy Edmond upomniał Hélène:

- Uważaj, żebyś nie wypadła przez okno.

Nie przejęła się tym ostrzeżeniem.

Sypialnia Gisele znajdowała się na poddaszu. Wychyliwszy się mocno przez mansardowe okno, Hélène mogła patrzeć na spadziste dachy sąsiednich domów.

- Rób, jak chcesz - ciągnął Edmond. - Ale nie wiem, jak ci pomogę, kiedy wylecisz i zaczniesz spadać.

- Dzieci - odezwała się Gisele - macie być cicho! Pani Chang powiedziała, że absolutnie nie chce was tu słyszeć! - Spojrzała na chłopca i poklepała materac, wskazując Edmondowi miejsce.

Wykrzywił się, ale przycupnął posłusznie na brzegu łóżka. Hélène widziała, jak materac ugiął się pod jego ciężarem.

Po kilku minutach odeszła od okna i usiadła obok brata. Zrobiło się już zbyt ciemno, żeby dostrzec cokolwiek. Z dołu słychać było dźwięki gry na pianinie i od czasu do czasu kaskady piskliwego śmiechu. Sprawiało to wrażenie, że trwa tam jakieś przyjęcie.

Gisele wyjaśniła im, że jest jedną z dwudziestu dziewcząt, które mieszkały w tym domu. Normalnie siedziałyby teraz z koleżankami na dole, czekając na klientów. Ale dostała akurat „swój okres”, a pani Chang nie pozwalała pracować dziewczętom w tych dniach.

Gisele była wysoka i miała duże piersi. Niestety, nie miała szansy stać się prawdziwą piękną, bo jej nieszczęściem, jak tłumaczyła dzieciom, stał się nieproporcjonalny tors. Zbyt krótki stan nie dawał jej nadziei na szczupłą, wytworną figurę. Już do końca życia pozostanie zbyt okrągła. Obfity biust sprawiał, że wyglądała na dwadzieścia lat, chociaż w rzeczywistości skończyła dopiero siedemnaście. Przed rokiem

przeniosła się do Paryża z podmiejskiego Auteuil. I wtedy zaczęła pracować u *madame* Chang.

Dziewczęta chwaliły sobie ten dom. Płacę miały dobrą i - w przeciwieństwie do głodującego Paryża - zawsze mnóstwo jedzenia w spiżarni. A co najważniejsze, lokatorki pani Chang mogły sobie pozwolić na ładne ciuszki, co było niesłychanym luksusem.

Niektóre z nich, te najpiękniejsze, miały wspaniale urządzone pokoje z wysokimi sufitami i kreacje od najdroższych projektantów mody. Taka Jocelyne, mówiła im Gisele z podziwem, uważana na najlepszą z tutejszych dziewcząt, zarabiała najwięcej z nich wszystkich. Panowie, których było na nią stać, twierdzili, że to najwspanialsza kobieta w całym Paryżu. Ale klient musiał za nią zapłacić sześć tysięcy franków za godzinę. Majątek. Nie każdy mężczyzna mógł sobie na to pozwolić.

- Nudzę się - zaczął marudzić Edmond. Opowieści Gisele go nie interesowały.

Hélène kiwnęła głową.

- Ja też. To nudne tak siedzieć i nie mieć nic do roboty.

Gisele myślała przez chwilę. Potem wpadł jej do głowy jakiś pomysł.

- Już wiem! - zawołała z ożywieniem. - Narysuję was wszystkich! Chcecie?

Edmond wykrzywił się z niechęcią.

- Umiem świetnie rysować - dodała szybko Gisele. - Tylko musicie siedzieć spokojnie i nie wolno wam rozmawiać. Zaraz znajdę papier. - Pospieszyła do komody, gdzie trzymała blok i ołówki. Potem przesunęła krzesło w najwłaściwsze miejsce.

Usiadła naprzeciw nich i zmarszczywszy brwi, przyglądała się uważnie każdemu po kolei. Następnie poleciła Hélène, żeby się nie kręciła. Wreszcie, usatysfakcjonowana, zaczęła szkicować zgrabnymi pociągnięciami ołówka.

Hélène siedziała nieruchomo, podziwiając zręczne ręce dziewczyny. Gisele miała małe dłonie o krótkich palcach. Hélène zastanawiała się, czy wszystkie okrągłe kobiety mają takie dłonie. Wyglądały całkiem niezłe, chociaż daleko im było do eleganckich dłoni *madame* Chang i jej polakierowanych na czerwono paznokci, przypominających szpony.

Edmond chrząknął i Hélène spojrzała na niego. Kiedy ich oczy się spotkały, zaczął robić do niej zabawne miny. Dziewczynka zachichotała.

Gisele spojrzała na nią ostro.

- Siedź spokojnie! - rzuciła ze złością.

Narysowanie całej trójki trwało pół godziny. W końcu Gisele z dumą pokazała im szkice.

- Jak wam się podobają? - zapytała, czekając na pochwały.

Hélène uważnie studiowała portreciki. Okazały się całkiem dobre. Natychmiast rozpoznała Catherine. Rozczarowała ją własna podobizna. Na rysunku Gisele wydawała się taka dziecinna i słodka, a przecież wcale tak nie wyglądała, kiedy patrzyła do lustra. Portret Edmonda wyszedł ładnie, ale był niezbyt wierny. Nos nie taki, oczy zbyt blisko osadzone.

Gisele spojrzała na nią pytająco.

- No i jak?

Zanim Hélène zdążyła coś powiedzieć, usłyszeli kroki w korytarzu, a potem ktoś zapukał do drzwi. Catherine podskoczyła. Sprawiała wrażenie przerażonego zwierzątka.

Gisele uśmiechnęła się łagodnie i pogładziła ją po dłoni.

- Nie bój się. To tylko Roland. - Wstała, odłożyła rysunki i otworzyła drzwi.

Wszedł czarny olbrzym, niosąc tacę. Stały na niej jakieś naczynia, a spod pokrywek wydostawała się para. Roland zostawił tacę na komodzie i wyszedł.

- Nie jest zbyt przyjacielski, prawda? - odezwała się Hélène, gdy Roland zamknął za sobą drzwi.

- Dlaczego tak myślisz? - zdziwiła się Gisele.

- Choćby dlatego, że nic nie mówi.

- Jest niemy. Nie może z nami pogadać.

- Och! - Teraz to Hélène była zaskoczona. - Dlaczego? Gisele wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Ale słyszy i wszystko rozumie?

Dziewczyna kiwnęła głową, podeszła do komody i zdjęła pokrywki z naczyń.

Rozkoszna woń połaskotała Hélène w nos. Dziewczynka aż otworzyła usta. Minęło dużo czasu od chwili, kiedy po raz ostatni miała przed sobą tak pyszne jedzenie. Od razu zapomniała o Rolandzie. Teraz poczuła, jak strasznie jest głodna.

Gisele rozłożyła jedzenie na porcelanowe talerze w złote wzorki. H el ene wpatrzyła si  w swoj porcj  oszołomiona. Grube paty wołowiny w sosie grzybowym, gotowane jarzyny i ziemniaki. Zerknęła na talerze Catherine i Edmonda. Gisele uznała, że skoro s starsi, to muszą mie  wi ksze apetyty, wi c nałyła obojgu kopiaste porcje. A był jeszcze deser. Dziewczynka przymknęła oczy i wdychała oszałamiajcy aromat potraw. Potem dosłownie rzuciła si  na jedzenie.

Obudziła si  nagle i rozejrzała dookoła, próbujc si  zorientowa , co j wyrwało ze snu. Nasłuchiwała uważnie. Po chwili usłyszła cichutki stukot. Ktoś delikatnie pukał do drzwi pokoju.

Z wolna oczy dziewczynki przyzwyczały si  do ciemnoci. Spojrzała na łzko i dostrzegła zarys sylwetki pogrzonej we śnie Gisele. Na podłdze obok H el ene Edmond, Catherine i Marie spali spokojnie na swoich połaniach.

Ktoś zastukał ponownie, tym razem nieco głoniej. Dziewczynka zastanawiała si , czy powinna wsta  i otworzy  drzwi. Ale przeciez Gisele była zła, gdy H el ene chciała wyj c do toalety, i kazała jej skorzysta  z nocnika za parawanem. Drzwi cay czas miały pozosta  zamknięte. Tak rozkazała *madame* Chang.

H el ene odwróciła si  do Edmonda. Przez chwilę si  wahała, a potem obudziła brata.

- Co... - Gwałtownie usiadł na połaniu. H el ene zakryła mu usta doni.

- Ciii! - szepnęła. - Ktoś jest za drzwiami. Edmond odwrócił si  w kierunku drzwi i zaczął nasłuchiwa .

Stukanie si  powtrzyło. Tym razem Gisele westchnęła i uniosła gowę z poduszki.

- Idź sobie! - zawołała rozespana.

- Gisele! - rozległ si  gardłowy, mi kki gos jakiej kobiety. - To ja, Jocelyne.

Otwórz! Chcę z tob pomówi !

Dziewczyna westchnęła jeszcze raz i ziewnęła gono.

- Och, dobrze, juz, zaraz - wymamrotała półprzytomnie. Podniosła si  niepewnie i przetarła oczy. Potem łzko zaskrzypiało, kiedy Gisele opuszczała nogi na podłogę.

Edmond i H el ene leeli cichutko, gdy dziewczyna poczapała do drzwi. Po chwili usłyszeli, jak klucz obrócił si  w zamku. Zamknęli oczy i udawali, że śpi.

Drzwi się otworzyły i w pokoju błysnęło słabe, migoczące żółte światelko. Tamta kobieta w korytarzu miała zapaloną świeczkę.

- Jocelyne - szepnęła Gisele - dlaczego mnie budzisz? I która w ogóle jest godzina?

- Dochodzi czwarta - odrzekł gardłowy głos.

Gisele pokręciła głową.

- Czego chcesz o tej porze?

- Ciii... - szepnęła tamta. - Czy oni śpią?

- Skąd o nich wiesz? - Gisele stała się nagle czujna.

- Po prostu zobaczyłam, jak wczoraj wchodzili po schodach. I wiem, że jest ich kilkoro. Było słychać kroki. Poza tym Roland niósł na górę tacę z obiadem.

Hélène dostrzegła, że nieznajoma zagląda do pokoju ponad ramieniem Gisele. W chwiejnym płomyku świecy dziewczynka zobaczyła najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widziała. Wysoka blondynka w luźnym bladoniebieskim peniuarze wydawała się szczupła i wysmukła, a zarazem ponętnie okrągła.

- Daj spokój, skarbie - Przymilała się Jocelyne. - Pozwól mi wejść na chwilę. Muszę ich zobaczyć.

Zirytowana Gisele potrząsnęła głową.

- Po co? Dlaczego tak ci na tym zależy.

- Dobrze, dobrze. Powiem ci. - Jocelyne rozejrzała się ostrożnie po korytarzu i powiedziała ciszej. - Obie możemy mieć z tego dużą forszę.

- Dużą forszę? - W ciszy nocnej głos Gisele zabrzmiał bardzo głośno.

- Ciii! - syknęła Jocelyne. - Bo ich obudzisz! Pozwól mi na nich zerknąć. Później ci wytłumaczę, o co chodzi.

Gisele uniosła dłoń do ust.

- Lepiej powiedz mi teraz.

- No, dobrze. Dziś wieczorem był u mnie *standartenführer*, wiesz, on za mną szaleje.

- Tak, tak. Wiem który.

- No i mówił mi, że szukają po całym Paryżu czworga dzieci.

- Dzieci?

Czworo dzieci! Hélène zadrżała. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Obok niej Edmond zeszywniał cały.

- Tak, jest ich czworo. Dwoje starszych, chłopiec i dziewczyna, młodsza dziewczynka, siedmio- albo ośmioletnia, i ich malutka siostrzyczka.

- Ale dlaczego Niemcy szukają tych dzieci? - zapytała Gisele.

- Bo to mordercy!

Gisele wybuchnęła cichym śmiechem.

- Mordercy? Te słodkie, kochane dzieciaki?

- Mówię prawdę - zapewniła ją Jocelyne poważnie. - Te dzieci zastrzeliły wczoraj niemieckiego żołnierza. Było ich dwóch, ale tylko jeden przeżył. Opowiedział wszystko i została wyznaczona nagroda za informacje, które pomogą w ujęciu tych czworga bandytów.

- Nagroda?

Jocelyne z przejęciem pokiwała głową.

- Ile? - W głosie Gisele zabrzmiała chciwość. Dziewczyna zerknęła na śpiące dzieci.

Jocelyne nie odpowiadała przez chwilę.

- Pół miliona franków - oświadczyła wreszcie.

- Pół miliona... - Gisele wstrzymała oddech. - Wielkie nieba! Ależ to mnóstwo forsy!

- I połowa może być twoja - dodała szybko Jocelyne. - Tylko pomyśl! Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dla każdej z nas. Możemy za to kupić trzy, a może cztery sukienki u krawcowych... No jak, czy teraz mnie wpuścisz?

Gisele cały czas się wahała.

- Ale pani Chang...

- Pani Chang o niczym nie będzie wiedziała. Zaufaj mi. Zorganizuję to.

- Ale...

- Żadnych ale. - Jocelyne uśmiechnęła się miękko, wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła Gisele po policzku smukłym palcem z ostrym paznokciem. - I powiem ci jeszcze coś, kochanie. Zauważyłam, jak na mnie patrzysz. Przyglądasz mi się w bardzo szczególny sposób. Wiem, że nie lubisz mężczyzn, tylko kobiety. - Jej uśmiech stał się

teraz szerszy. - To nie przestępstwo. Mnie też czasem podobają się dziewczęta. Może pozwolę ci przyjść do swojego pokoju... - dodała uwodzicielskim tonem.

- Przyjść do twojego pokoju...? - powtórzyła stłumionym szeptem Gisele.

Jocelyne kiwnęła głową i powoli rozsunęła peniuar, ukazując ponętny biust. Gisele westchnęła głośno.

- I nie tylko to - kontynuowała Jocelyne kusząco. - Pozwolę ci na wszystko. -

Umilkła na chwilę, a potem dodała: - Rozchylę uda tak, że będziesz mogła mnie polizać.

Gisele otworzyła szerzej drzwi i cofnęła się do środka. Ręce jej drżały.

- Wejdz - szepnęła.

Jocelyne wsunęła się do pokoju. Edmond szturchnął siostrę i oboje jednocześnie zamknęli oczy. Chłopiec zaczął miarowo oddychać, udając głęboki sen. Hélène poszła w jego ślady, cichutko pochrapując. Chwilę później zorientowała się, że Jocelyne stanęła nad nimi ze świeczką. Pachniała lawendą.

- Myślisz, że to te dzieci? - spytała szeptem Gisele.

- Wszystko się zgadza - odrzekła szeptem Jocelyne. - Jestem pewna, że to oni.

Hélène usłyszała, że tamte dwie odeszły, i ośmieliła się otworzyć oczy. Gisele i Jocelyne zatrzymały się przy drzwiach.

- Jocelyne... - odezwała się Gisele drżącym głosem.

- Tak?

- Chcę pójść do ciebie już teraz.

Jocelyne zawahała się, a potem objęła Gisele i mocno pocałowała ją w usta.

- Dobrze, chodź. Ale za godzinę musisz tu wrócić, żeby mieć na nich oko. Poza tym chciałabym się trochę przespać. Rano mam się spotkać ze standartenführerem. - Wzdrygnęła się. - Pewnie będzie chciał, żebym poszła z nim do tej okropnej kawiarni na Polach Elizejskich.

Drzwi się zamknęły i w pokoju znowu zrobiło się ciemno. Hélène czekała na szcęk klucza w zamku, ale Gisele w pośpiechu musiała o tym zapomnieć.

Edmond leżał cicho, czekając, aż umilkły kroki w korytarzu. Potem zerwał się z posłania.

- Obudź Catherine - rozkazał szeptem. - Ubierajcie się!

Dziewczynka usiadła na posłaniu.

- Pół miliona franków! - powiedziała z niedowierzaniem. - Wyobrażasz to sobie? Na całym świecie nie ma chyba aż tyle pieniędzy.

- Pospiesz się! - syknął Edmond tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Był już na nogach. Podeszedł na palcach do nocnej szafki Gisele, poszperał chwilę w szufladzie i znalazł to, czego szukał. Hélène usłyszała trzask zapalki, a potem zobaczyła płomień. W czasie gdy brat zapalał świecę, ona potrząsnęła za ramię Catherine, aby ją obudzić.

Rozdział 5

Szli przed siebie z wysiłkiem. W alejce było ciemno i przy każdym kroku ślizgali się na oblodzonym chodniku. Latarnie uliczne się nie paliły; elektryczność była teraz nieosiągalnym luksusem. W Paryżu prąd był wieczorem tylko na pół godziny.

Hélène zadrżała z zimna i mocniej otuliła szyję kołnierzem zimowego płaszcza. W nocy zrobiło się mroźno, a palto dziewczynki nie było wystarczająco ciepłe. Uszy szczypały ją z zimna i przydałaby jej się czapka.

Obok Hélène wlokła się w milczeniu Catherine. Ścisnęła w ramionach Marie, jak malutki, cichy tłumoczek. Taki nocny spacer na mrozie z pewnością nie wyjdzie siostrzyczce na dobre, martwiła się Hélène. To niebezpieczne. Nagle wyrwali dziecko z ciepłego łóżka i zabrali na taki mróz.

Ale jeszcze gorzej byłoby, gdyby ich złapano na ulicy po godzinie policyjnej. Słyszeli od Michelle wystarczająco dużo o tym, jaka kara spotyka paryżan, którzy nie przestrzegali owego zarządzenia. Każdy Francuz schwytyany przez nocny patrol był zabierany do głównej kwatery żandarmerii. Jeśli miał szczęście i noc minęła spokojnie, po prostu czyścił buty żołnierzom. Jeżeli natomiast partyzanci zabili w nocy jakiegoś Niemca, był zakładnikiem i stawał przed plutonem egzekucyjnym.

Wczoraj po południu Edmond zamordował żołnierza niemieckiego. Hélène pomyślała ze smutkiem, że jakiś niewinny Francuz - nieznany i bezimienny - zapłaci za ten czyn.

Zastanawiała się, co byłoby gorsze - utrata własnego życia czy późniejsze wyrzuty sumienia, jeżeli ich czwórce uda się przeżyć. Zdawała sobie sprawę, że tak czy inaczej przyjdzie im kiedyś zapłacić za to, co zrobili. Jeżeli teraz uda im się wymknąć, będą żyli z poczuciem winy do końca. Zostaną ukarani za cierpienie niewinnych ludzi, którzy poniosą śmierć jako zakładnicy.

Ale podstawowym pragnieniem każdej istoty jest chęć zachowania życia. Walczyli więc, żeby przetrwać. Pierwsze zadanie było proste. Tak szybko, jak tylko się uda, muszą się wydostać z Paryża. To jedyna nadzieja na ratunek. Muszą wypełnić polecenie *maman* i postarać się dotrzeć do domu ciotki Janine w odległym Saint-Nazaire. Tam będą bezpieczni.

Saint-Nazaire. Och, jak to daleko stąd. Hélène nigdy nie była dalej niż w Rambouillet. Nagle zmarszczyła brwi. Wizja bezpiecznego schronienia rozviała się jak popiół na wietrze. Żeby wsiąść do pociągu, trzeba kupić bilety. Za co?

- Nie mamy pieniędzy - zmartwiła się. - Nie możemy nawet wsiąść do metra. Jak wydostaniemy się z Paryża?

- Mamy pieniądze - odparł Edmond spokojnie.

- Naprawdę? - zdziwiła się Catherine.

- Tak - odrzekł Edmond. - Mamy obrączkę *maman* i ponad dwa tysiące franków.

- Dwa tysiące franków! - szepnęła zaskoczona. - Skąd je masz? - zapytała podejrzliwie.

- Z nocnej szafki Gisele.

- Ale... Ale to kradzież - zauważyła z wahaniem. Edmond nawet nie próbował się usprawiedliwiać.

Hélène mogła sobie wyobrazić, jak wzruszył ramionami. Natychmiast stanęła w obronie brata.

- Bardzo dobrze, że to zrobił - szepnęła do Catherine.

- Gisele jest zdrażczynią! Zasłużyła na to! Chciała nas wydać Niemcom!

- Ale kradzież...

Edmond nie pozwolił jej dokończyć.

- A co wolisz? - syknął ze złością. - Zostać w Paryżu, żeby nas złapali? I jeszcze raz zrobili ci to co tamci? Tego byś chciała?

Jego słowa podziały jak uderzenie w twarz. Catherine wzdygnęła się i umilkła. Hélène słyszała tylko jej szybkie kroki w ciemności. A potem jeszcze coś, co do głębi ją poruszyło. Catherine płakała cicho.

Edmond także usłyszał płacz siostry. Nie mógł znieść jej łez.

- Przepraszam - odezwała się łagodnie. - Ja... nie chciałem cię urazić. Bóg wie, że już dość wycierpiałas. Ale spróbuj mnie zrozumieć, potrzebujemy tych pieniędzy, żeby się dostać do Saint-Nazaire. Musimy mieć dużo więcej pieniędzy, uwierz mi.

Catherine pociągnęła nosem i szli dalej w milczeniu.

Rozdział 6

Wszystko ją bolało: stopy, nogi, plecy i kark. Nie wiedziała, czy to dlatego, że zmarzła, czy też od marszu. Wydostali się z Paryża wiele dni temu. Edmond przekupił taksówkarza, który wywiózł ich z miasta, ale nie byli jeszcze bezpieczni. Nadal musieli się ukrywać przed Niemcami stacjonującymi w miasteczkach i wsiach. Zamiast głównych dróg wybierali niepozorne ścieżki albo wędrowali na przełaj przez pola. W ten sposób nie tylko unikali pojazdów - czyli Niemców - ale jednocześnie omijali większość przydrożnych miejscowości. Tuż przed nadejściem zimy ziemia musiała być rozmiękła, bo wiejskie trakty były zryte głębokimi koleinami, a potem błoto zamarzało, tak więc wędrowka okazała się niezwykle uciążliwa.

Teraz to Edmond niósł Marie. Trzymał ją tak, żeby mogła spoglądać do tyłu przez jego ramię. Śpiewał jej coś cichutko.

Hélène zatrzymała się nagle.

- Muszę trochę odpocząć - oznajmiła zmęczonym głosem.

Edmond odwrócił się ku niej i przystanął.

- Zatrzymamy się na pięć minut - zdecydował. - Potem musimy iść dalej.

- Dzięki Bogu - jęknęła Catherine z wdzięcznością. - Przez ostatnie pół godziny myślałam, że nogi mi odpadną.

Hélène rozejrzała się wokoło. W oddali, za bezkresnymi opustoszałymi polami, dostrzegła wieś będącą teraz tylko punkcikiem na horyzoncie. Tam, gdzie niebo stykało się z ziemią, majaczyły dwie wysmukłe bliźniacze wieże.

- Spójrzcie, co to może być? - zapytała. Edmond popatrzył dookoła.

- Gdzie?

- Tam, w oddali. - Hélène wskazała spiczaste iglice. - Widzisz te dwie wieże?

Chłopiec spojrział w tym kierunku i wzruszył ramionami.

- To chyba jakiś kościół czy coś w tym rodzaju - odrzekł.

Catherine podniosła głowę podekscytowana.

- To musi być Chartres! Michelle opowiadała kiedyś, że za Ablis widać już katedrę.

No a przecież mineliśmy Ablis.

Nie udało im się ominąć tego miasta, ale szli po jego obrzeżach, żeby nie spotkać zbyt dużo ludzi.

- Jeżeli Michelle się nie myliła, to to powinno być Chartres - odrzekł Edmond z namysłem. - Nie słyszałem, żeby gdzieś w tej okolicy była inna katedra.

Hélène jeszcze raz spojrziała na dwie maleńkie wieże w oddali.

- Czy do Chartres jest daleko? Edmond uśmiechnął się kpiąco.

- Wszędzie jest daleko, jeśli idzie się na piechotę. Hélène szturchnęła go ze złością.

- Chodzi mi o kilometry.

- Nie wiem. Dziesięć. Może piętnaście - zastanawiał się ze zmarszczonymi brwiami.

Piętnaście kilometrów było dla Hélène jak wędrówka na koniec świata.

- Mam nadzieję, że stamtąd nie jest już tak daleko do Saint-Nazaire jak stąd do Chartres - mruknęła. - Moje nogi by tego nie zniosły.

Brat uśmiechnął się do niej słabo. Nagle Hélène przyszedł do głowy pewien pomysł. Złapała Edmonda za ramię.

- A czy nie moglibyśmy pojechać pociągiem do Saint-Nazaire? - zapytała z przejęciem.

Pokręcił głową.

- Niestety nie. Musielibyśmy zdobyć przepustki na podróż i pieniądze na bilety. Nie mamy ani jednego, ani drugiego.

- Och! - Zrobiła zawiedzioną minę. - Myślałam, że mamy jeszcze pieniądze.

- Już nie. Zapłaciłem przecież taksówkarzowi.

- Ale mamy jeszcze obrączkę *maman* - zauważyła Hélène. - Złotem można zapłacić tak jak pieniędzmi.

Edmond poklepał się po kieszeni, w której trzymał ich jedyny skarb, tylko po to, żeby się przekonać, czy nadal tam jest.

- Nie tkniemy obrączki, dopóki naprawdę nie będziemy musieli - oświadczył stanowczo. - To jedyna rzecz, jaką nam zostawiła *maman*. To nasza pamiątka rodzinna.

- A nie możesz znowu ukraść trochę pieniędzy? - zapytała.

Catherine rzuciła bratu triumfujące spojrzenie.

- Ładnych rzeczy się od ciebie uczy! Ani się obejrzymy, jak nasza siostra zostanie kieszonkowcem!

Na twarzy chłopca pojawił się wyraz przykrości. Hélène spojrzała gniewnie na Catherine.

- Kto to jest kieszonkowiec? - zapytała ostro.

- Ktoś, kto sięga do kieszeni innych ludzi i kradnie im pieniądze - wyjaśniła Catherine opryskliwie.

- Nie chciałabym kraść - odrzekła Hélène, w zamyśleniu kręcąc głową. - Tak się nie robi, to nieładnie. - Potem spojrzała uważnie na Edmonda. - Ale ty nie byłeś kieszonkowcem, kiedy zabrałeś pieniądze Gisele, prawda? Chodzi mi o to, że przecież nie wyjąłeś ich z kieszeni.

Edmond położył dłoń na ramieniu dziewczynki.

- Zapamiętaj jedno, Hélène - powiedział cicho. - Jeżeli zabierasz coś z cudzej kieszeni albo z szafki nocnej czy też z kurnika, zawsze jest to kradzież, i nieważne, jak i dlaczego to robisz. Postępujesz źle i nic tego nie zmieni. - Popatrzył ostro na Catherine, która zarumieniła się ze wstydu.

Hélène wzięła brata za rękę.

- Ale jeżeli to jest źle, dlaczego ty...? - Urwała niepewnie, nie śmiejąc skończyć pytania.

Edmond uśmiechnął się smutno.

- Ponieważ nie miałem wyboru. Pamiętasz, co powiedziała *maman*. Że Bóg wybaczy nam to, co może będziemy musieli zrobić. Tylko że to nas nie usprawiedliwia.

Hélène w milczeniu zastanawiała się nad jego słowami, gdy nagle Edmond klasnął w dłoń.

- Dobra - ogłosił. - Koniec odpoczynku. Pięć minut minęło! Pora ruszać.

- Już? - jęknęła Catherine.

- Już - odparł kategorycznym tonem. - Przed nami daleka droga.

Spojrzał w górę. Słońce zaczynało zachodzić, a niebo szarzało. Hélène wiedziała, że gdy tylko słońce zniknie, będzie bardzo zimno. A potem zrobi się ciemno. I jeszcze zimniej.

Szli może z pięć minut, gdy Catherine krzyknęła ostro.

Edmond i Hélène zatrzymali się i popatrzyli na nią przerażeni. Pochyliła się i zaczęła rozcierać dłońmi lewą kostkę. Edmond prędko oddał Marie Hélène, a potem łagodnie dotknął ramienia najstarszej siostry.

- Co się stało? - zapytał.

W jego głosie brzmiała troska. Catherine spojrzała na niego z rozpaczą. Włosy opadły jej na twarz, ale Hélène dostrzegła w oczach siostry ból.

- Moja noga! - jęknęła Catherine. - Ja... ja chyba skreśliłam kostkę przez ten korzeń.

Edmond ukląkł i zaczął przesuwając palcami po bolącej stopie. Hélène słyszała, jak siostra wstrzymuje oddech z bólu.

Chłopiec wstał, wziął Catherine pod ramiona i podciągnął, żeby pomóc jej się podnieść.

- Dasz radę iść? - zapytał.

Ostrożnie zrobiła kilka kroków i kiwnęła głową.

- Myślę, że tak - powiedziała z wahaniem. Edmond pomyślał chwilę, a potem popatrzył na biegnącą niedaleko szosę.

- Pójdziemy drogą - zdecydował. - Będzie ci dużo łatwiej iść.

- Szosą? - spytała Catherine ze strachem w głosie. - Myślisz, że to bezpieczne?

- Teraz dużo bezpieczniejsze dla ciebie niż ścieżka. Jeśli zwichnęłaś kostkę, korzenie na dróżce na pewno ci nie pomogą. A w ogóle to nie przypuszczam, żeby ktoś

nas tu szukał. Niemcy mogą przeczesywać Paryż, ale nie całą Francję. W każdym razie nie warto byłoby tego robić z naszego powodu. Nie jesteśmy aż tacy ważni.

Catherine skinęła głową uspokojona. Słowa Edmonda miały sens.

- Ruszamy - zarządził. - Hélène będzie niosła Marie, póki da radę, a ty się oprzesz na mnie, spróbuję ci pomóc. Będę cię prowadził.

Szli teraz równą asfaltową szosą, ale i tak posuwali się znacznie wolniej. Hélène podziwiała Catherine za jej wytrzymałość. Najstarsza siostra starała się nie okazywać, jak bardzo cierpi, a kiedy proponowali, aby się zatrzymać, nie chciała nawet słyszeć o odpoczynku. I miała rację, musieli iść dalej. Była już pora, żeby pomyśleć o noclegu. Do tej pory nie natrafili na żadne odpowiednie miejsce.

Minęło prawie pół godziny i nie widzieli ani jednego pojazdu. Wreszcie usłyszeli zbliżający się samochód.

Hélène spojrzała pytająco na Edmonda i wskazała ręką rów wzdłuż szosy.

- Czy nie musimy...

Edmond potrząsnął głową.

- Myślę, że nic nam nie grozi. Ale gdyby ktoś was zapytał, nazywacie się Sara i Denise, a ja Jacques. Mieszkamy w Ablis i idziemy do Chartres, do babci.

Catherine i Hélène kiwnęły zgodnie głowami. Szybko zdecydowały, że Sarą będzie Catherine, a Hélène nazywa się teraz Denise.

Dobrze, że przygotowali sobie tę historyjkę. Niecałą minutę potem od strony Ablis nadjechał czarny samochód i zatrzymał się obok nich.

Za kierownicą siedział pulchny, czerwony na twarzy Niemiec w polowym mundurze. Opuścił szybę i pomachał ręką, aby podeszli.

Hélène zerknęła z wahaniem na Edmonda. Kiwnął głową i zbliżyli się do auta. Catherine i Edmond zaczęli rozmawiać z żołnierzem, a Hélène stanęła na palcach i zajrzała ciekawie do auta przez tylne okno. Zdziwiła się, nie widząc żadnych pasażerów. Na siedzeniu zobaczyła duży pakunek owinięty w brązowy papier i przewiązany sznurkiem.

- Dokąd idziecie? - zapytał kierowca zadziwiająco płynną francuszczyzną.

- Nasza babcia zachorowała - wyjaśniła obojętnie Catherine. - Idziemy ją odwiedzić.

Kierowca uśmiechnął się lekko, przesuając wzrokiem po całej postaci dziewczyny.

- Gdzie ona mieszka?

Catherine wskazała ręką w kierunku odległych wież katedry.

- W Chartres.

- Co ci się stało?

- Zwichnęłam kostkę. - Wzruszyła ramionami. - To nic poważnego.

- Nawet gdybyś jej nie zwichnęła, czeka cię długa droga - odrzekł żołnierz. Nadal się uśmiechał, nawet jakby szerzej. - Wiesz co, podwiozę cię do miasta. - Pochylił się i otworzył drzwi od strony pasażera. - Wsiadaj. Był to raczej rozkaz niż propozycja.

- A co z moim rodzeństwem? - zapytała sztywno Catherine, nie ruszając się z miejsca.

- Dzieciaki mogą usiąść z tyłu.

Hélène zerknęła pytająco na Edmonda. Brat kiwnął głową niechętnie i otworzył tylne drzwi. Przesunął paczkę i cofnął się, żeby siostra mogła wsiąść pierwsza.

Dziewczynka ciekawie rozglądała się po wnętrzu auta. Nigdy wcześniej nie siedziała w takim samochodzie. Miękkie i sprężyste siedzenia wydzielaly lekki zapach skóry. Tablica rozdzielcza była ozdobiona lśniącym drewnem. Hélène poczuła się bardzo dumna, jadąc tak eleganckim autem.

Zamknęli drzwi, a Niemiec włączył bieg i samochód pomknął szosą. Żołnierz co chwila zerkał na Catherine, która nie ukrywała braku zaufania do okupantów. Przesunęła się do drzwi, jak mogła najdalej od mężczyzny. W lodowatym milczeniu spoglądała przez przednią szybę na monotonną, pustą przestrzeń przed sobą.

- Jak się nazywasz? - zapytał w końcu Niemiec.

- Sara - odrzekła Catherine, nie patrząc na niego.

- A ja mam na imię Kurt - powiedział. - Jestem z Nadrenii. Z Koblencji. A ty gdzie mieszkasz?

- W Ablis.

Hélène z ciekawością popatrywała na dużą paczkę leżącą na siedzeniu. Kiedy jej dotknęła, brązowy papier zaszeleścił.

- Co tam jest? - zapytała głośno.

Kierowca spojrział na nią przez lusterko wsteczne.

- Gazety. Codziennie przywożę z Paryża „Pariser Zeitung”, „Paris-Soir” i „Le Petit Parisien” dla oficerów sztabu w Chartres.

- Och!

Równie dobrze w tej paczce mógł być wąż. Hélène natychmiast cofnęła rękę. Nawet dziecko wiedziało, co to za gazety. Sprzedawano je w każdym kiosku w Paryżu. „Pariser Zeitung” był dziennikiem niemieckim; pozostałe wydawali francuscy kolaboranci.

Uczciwi paryżanie ich nie czytali.

- Jeśli chcesz, możesz sobie którąś pooglądać - powiedział uprzejmie kierowca. - Do Chartres jest jeszcze daleko, ponad dwadzieścia kilometrów.

- Nie, dziękuję. - Hélène grzecznie odrzuciła propozycję.

Niemiec jakby jej nie słyszał. Sięgnął ręką po zwiniętą gazetę, którą miał obok siebie, i podał ją przez ramię dziewczynce.

- Jeżeli nie chcesz otwierać całej paczki, masz tu moją.

Musiała więc ją wziąć. Niechętnie wymamrotała jakieś podziękowanie i podała gazetę Edmondowi, który zaczął ją rozkładać.

Nagle upuścił dziennik na kolana i w zamyśleniu popatrzył w okno.

Zdziwiona Hélène wzięła gazetę i zobaczyła, że był to najnowszy numer „Paris-Soir”. Wielki nagłówek głosił: „Rozpacz matki”. Pod nim mniejszy tytuł oznajmiał: „W całym kraju trwają poszukiwania porwanych dzieci - milion franków nagrody za informacje!”. Obok znajdowało się niewyraźne zdjęcie jakiejś nieznanym kobiecie. Pod spodem zamieszczono trzy portreciki.

Serce podeszło jej do gardła. Bała się, że zaraz zwymiotuje. Rysunki wprawdzie pomniejszono, ale i tak rozpoznała je natychmiast. Szkice Gisele! A portret Catherine był bardzo udany, wręcz idealny...

Ze strachu zrobiło jej się zimno. Zadrżała. A więc Niemcy polowali na nich na całego. I zastosowali doskonałą taktykę. Chcieli, aby Francuzi pomogli im w poszukiwaniach.

Gdyby ujawniono, że zabili żołnierza niemieckiego, każdy francuski patriota powitałby ich jak bohaterów i ukrył przed wrogami. Ale w gazecie napisano, że zostali „porwani”, a „zrozapczona matka” czeka we łzach na ich powrót. Francuzi zawsze kochali dzieci. Jeśli ktoś ich rozpozna, zostaną natychmiast odstawieni do „matki”. Hélène nie miała wątpliwości, że ktokolwiek ich teraz zobaczy, w najlepszej wierze zawiadomi od razu żandarmów.

A ta rzekoma „matka” z fotografii to najprawdopodobniej jakaś agentka gestapo.

Teraz musieli się strzec nie tylko Niemców. Od dziś każdy Francuz mógł się okazać najniebezpieczniejszym wrogiem.

Nie mogli ufać nikomu. Pod żadnym pozorem i w żadnej sytuacji.

Edmond wziął gazetę od Hélène i pokazał stronę z rysunkami Catherine.

- Spójrz, Saro. Czy to nie interesujące? - Starał się, aby jego głos brzmiał beztrąsko.

Minęła długa chwila, zanim dziewczyna zareagowała. Nie przywykła jeszcze do nowego imienia. Popatrzyła na niego do tyłu.

Edmond pokazał jej rysunki.

Catherine starała się zachować obojętny wyraz twarzy, ale gwałtownie pobleła.

Usiadła prosto i znowu spojrzała niewidzącym wzrokiem na przednią szybę.

Na szosie zrobił się teraz niewielki ruch. Minęli oddział żołnierzy, którzy maszerowali w kierunku Chartres. Ich widok zwiększył jeszcze przerażenie Hélène. Myślała teraz tylko o tym, co będzie, jeśli kierowca ich rozpozna. Odpowiedź na to pytanie nasuwała się sama: natychmiast wyda ich. Może nawet już się zorientował i nie jedzie do miasta, tylko na posterunek żandarmerii. Albo gorzej, do komendy gestapo.

Mężczyzna spojrzał jeszcze raz na Catherine i zmarszczył brwi.

- Wiesz - odezwał się z namysłem - cały czas mam wrażenie, że już cię gdzieś widziałem.

- To raczej niemożliwe - powiedziała szybko.

- Jestem tego pewny. Może w Ablis? Często tamtędy przejeżdżam.

- Oczywiście! - skłamała Catherine. - Teraz sobie przypominam! Ja też widziałam cię już wcześniej.

Nagle Niemiec wcisnął hamulec i gwałtownie zatrzymał samochód z piskiem opon.

- Ach, wielkie nieba! - wykrzyknął. Sięgnął do tyłu i wyrwał Edmondowi gazetę. - Wy... Wy jesteście tymi dziećmi z gazety! To was wszyscy szukają! - Wpatrywał się w Catherine.

A wtedy ona zaczęła się śmiać. W domu Hélène ciągle słyszała ten śmiech rozbrzmiewający w pokoju siostry. Możliwe, że lekcje aktorstwa wreszcie się na coś przydadzą.

- Co cię tak śmieszy? - zapytał żołnierz. Catherine udała, że braknie jej powietrza.

- Nie rozumiesz! - wykrztusiła bez tchu. - Nikt nas nie porwał! Uciekliśmy z domu!

- Ale... dlaczego? - spytał z wahaniem. Twarzy Catherine wyrażała teraz straszną złość.

- Bo nasza *maman* jest potworem! - powiedziała gwałtownie. - Musieliśmy od niej uciec. Tak nas biła, że byliśmy cali w siniakach!

- A dlaczego idziecie do Chartres? Catherine wzięła głęboki oddech.

- Bo mieszka tam mój przyjaciel Yves. Tylko do niego mogę się zwrócić.

- Ale... te artykuły... - odrzekł kierowca tonem pełnym niedowierzania. - Piszą tam, że zostaliście porwani. Gazety nie kłamią.

Catherine zaśmiała się ironicznie.

- Czyżby? - Spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego mieliby pisać nieprawdę?

- To proste. Nasza *maman* jest bardzo sprytna. Wie, że ludzie będą nas gorliwiej szukać, jeśli ogłosi, że zostaliśmy porwani.

Niemiec myślał przez chwilę.

- A jak jej się udało nagłośnić wasze zniknięcie w prasie? - zapytał w końcu.

Catherine wzruszyła ramionami.

- Już od roku spotyka się z wysokim urzędnikiem niemieckim. Kompletnie stracił dla niej głowę i zrobi wszystko, o co ona go poprosi. - Klepnęła gazetę. - Nawet coś takiego.

Żołnierz pokręcił głową.

- Ta historia wydaje się naciągana, ale ci wierzę. Muszę jednak złożyć raport przełożonym. Nie chciałbym tego robić, ale to mój obowiązek.

- Wiem - szepnęła Catherine i spuściła oczy. Nagle podniosła głowę. - Jestem już dorosła, *maman* nie będzie decydowała o moim życiu - powiedziała. - Dorosłam, a ona już nawet nie chce zauważyć, że mam swoje potrzeby. Myśli tylko o swoich przyjemnościach.

Niemiec popatrzył na nią z nagłym zainteresowaniem.

- Potrzeby? - zapytał. - Jakie masz potrzeby? W jego głosie pojawiła się nuta podniecenia.

- Och, no wiesz... - Catherine wzruszyła ramionami. - Jestem kobietą, a nie mogę czuć się jak prawdziwa kobieta.

Niemiec poruszył się na fotelu.

- Nie masz jakichś innych przyjaciół? Takich, którzy mogliby...

- Innych oprócz Yves'a? - Catherine westchnęła ze smutkiem. - Niestety. Owszem, znam wielu mężczyzn, ale to nie są prawdziwi mężczyźni. Każdy z nich bał się *maman*. Tylko Yves miał odwagę jej się sprzeciwić. - Zrobiła krótką pauzę i spojrzała uważnie na Niemca. - A czy ty umiałbyś się przeciwstawić mojej mamie?

- Tak... tak myślę - wyjąkał żołnierz.

Catherine uśmiechnęła się i powoli wyciągnęła rękę. Zaczęła delikatnie przesuwając palcami po jego kroczu.

- Nie - zaprotestował Niemiec. - Nie wolno ci tego robić. Muszę was zaraz odstawić na posterunek. Nie powinniśmy tracić ani minuty.

Catherine rozpięła płaszcz, a potem podniosła dłoń Niemca i położyła ją sobie na piersi.

- Nie jestem dzieckiem - powiedziała. - Jestem kobietą. Żołnierz nerwowo wyszarpnął rękę i włączył silnik.

Samochód ruszył, ale Niemiec nie zwracał teraz zbyt dużej uwagi na drogę.

- Czy ja cię podniecam? - zapytała Catherine cicho.

- Tak - odrzekł szeptem.

Ponownie dotknęła ręką jego kroczka.

- Stał ci - powiedziała tonem pełnym podziwu. - Och, ale jest duży.

- Większy niż twojego chłopaka?

- Dużo większy.

Na jego twarzy widać było dumę.

- Możesz rozpiąć mi spodnie i wziąć go w usta.

Catherine uśmiechnęła się obiecująco.

- Jest na to zbyt duży. Chcę go mieć... w sobie.

Samochód zatańczył na szosie.

Catherine popatrzyła w okno. Z prawej strony mijali właśnie niewielki sosnowy zagajnik.

- Wiesz co? - powiedziała szybko. - Widzisz ten las? Możemy się tam zatrzymać na parę minut. Jeśli wjedziesz trochę dalej, nikt nie zobaczy auta z szosy.

Zawahał się przez chwilę.

- Jeżeli ktoś się dowie, wyślą mnie na front wschodni.

- Nie bój się, nikt się nie dowie. Kto by mógł nas wydać? Z pewnością nie te małe potwory z tylnego siedzenia.

Hélène poczuła się lekko urażona. Catherine trochę przesadziła. Potwory, też coś!

- Chodź, to nie potrwa długo - kusił Catherine. - A potem odstawisz nas na posterunek. Ale najpierw chcę, żebyś potraktował mnie jak kobietę, którą przecież jestem.

Niemiec zdecydował się wreszcie. Gwałtownie przycisnął hamulec i ostro skręcił w błotnisty trakt prowadzący do lasu.

Zwisające nisko zielone gałęzie sosen uderzały o szyby auta z obu stron. Między drzewami było ciemniej niż na szosie. Dostrzegli przed sobą jaśniejszy prześwit i po kilku minutach wjechali na polankę. Dookoła leżały pocięte żółte bale ułożone w porządne stosy. Pomiedzy pniami sosen można było stąd dostrzec szosę, ale musieliby bardzo się starać i celowo zwrócić na siebie uwagę, żeby zobaczył ich ktoś przejeżdżający akurat drogą.

Niemiec wyłączył silnik.

- Może wyślesz dzieci na spacer? - zaproponował.

Catherine pokręciła głową.

- Jest za zimno. Poza tym to dla nich nic nowego. Widzieli to wcześniej.

- Jak sobie życzysz. - Odchylił się na oparcie fotela i rozpiął spodnie.

Hélène poczuła na ramieniu dłoń Edmonda. Spojrzała na niego. Miał puste oczy. Głową wskazał jej sznurek, którym była obwiązana paczka z gazetami.

- Zrobił się jeszcze większy, kiedy go wyjąłeś! - Catherine udawała, że jest oczarowana. - Taki duży i czerwony, i nabrzmiały.

Hélène zsunęła sznurek, a Edmond niecierpliwie wyrwał go z jej rąk. Szybko owinął sobie kawałek na dłoni, a potem znieruchomiał, czekając w napięciu. Początkowo myślała, że chce się bawić w przeplatankę. Potem nagle zdała sobie sprawę z tego, co chce zrobić jej brat i dlatego Catherine ściągnęła żołnierza na tę pustą polankę. Wstrzymała oddech zszokowana.

- Teraz weź go do ust - powiedział Niemiec. - Zrobi się jeszcze twardszy.

W tym momencie Edmond wychylił się do przodu, zarzucił tamtemu sznur na szyję i zacisnął.

Twarz Niemca zrobiła się czerwona jak burak. Zaczął okropnie charczeć, podniósł ręce do gardła i wbił palce w sznur. Catherine krzyknęła i cofnęła się do swoich drzwi. Potem schyliła się i przesunęła ręką po podłodze, szukając czegoś, czym mogłaby uderzyć żołnierza. Znalazła ciężką latarkę i zaczęła gwałtownie walić nią mężczyznę. Ale nawet we dwójkę nie mogli dać mu rady. W rozpaczliwym przyływie sił Niemiec rozluźnił sznur i uwolnił się. Potrząsnął głową, odetchnął głęboko i z furią rzucił się na Catherine.

Edmond wyskoczył z auta, a Hélène podążyła za nim. Wszędzie dookoła leżały kawałki drewna. Chłopiec bez wahania chwycił najbliższą kłodę i otworzył przednie drzwi.

Niemiec zacisnął wielkie łapy na gardle Catherine. Dziewczyna miała szeroko otwarte usta, brakło jej tchu i drgała spazmatycznie. Dusił się.

Edmond zaczął walić Niemca kłodą po ramionach. Mężczyzna odwrócił głowę, ale nadal zaciskał dłonie na gardle Catherine.

Hélène z rozpaczą rozejrzała się dookoła. Nagle obok stosu porąbanego drewna dostrzegła żelazny pręt z zastrzonym końcem. Próbowała go podnieść, ale okazał się zbyt ciężki. Pociągnęła Edmonda za ramię.

- Weź to! - wrzasnęła. - Użyj tego!

Chłopiec rzucił kłodę i ścisnął w dłoniach uchwyt żelaznego pręta. Ponownie rzucił się na Niemca. Teraz miał broń, która mogła zabić. Z całej siły wbił ostry koniec w brzuch wroga.

Mężczyzna wrzasnął. Puścił gardło Catherine i spojrzał na brzuch. Z przerażeniem wpatrywał się w sterczący pręt. Potem pojawiła się krew.

Ale nadal jeszcze żył.

W tym momencie Hélène usłyszała miarowe kroki maszerujących szosą żołnierzy. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Ten dźwięk mógł oznaczać tylko jedno. Zbliżał się oddział, który mijali wcześniej.

Niemiec również musiał go usłyszeć, bo nagle zebrał resztę sił i próbował krzyknąć. Catherine szybko przycisnęła mu dłonie do ust. Zadrżała z bólu, kiedy wbił zęby w jej palce, ale wytrzymała. Walcząc zaciekle o życie, żołnierz próbował wydostać się z samochodu.

- Przytrzymaj go! - wysyczał Edmond do Catherine. - Chwyć go za nogi!

Dziewczyna złapała mężczyznę za spodnie, próbując wciągnąć go z powrotem do auta.

Hélène wpatrywała się w szosę. Pomiedzy konarami drzew widziała idących równo żołnierzy. A kiedy spojrzała znowu na samochód, zobaczyła, że Niemiec stara się dosięgnąć ręką kierownicy. Klakson!

Catherine puściła nogi mężczyzny i złapała go za ramiona. Za każdym razem, kiedy tylko zdołała odepchnąć jego rękę, znowu próbował sięgnąć nią do klaksonu.

Wreszcie Edmond chwycił Niemca za włosy, pociągnął go w dół i parę razy uderzył drzwiami w głowę. Ranny szamotał się i jęczał, ale już nie próbował krzyczeć. Hélène słyszała tylko przyprawiający o mdłości, głuchy stukot, gdy drzwi waliły o jego czaszkę. Wreszcie rozległ się okropny trzask i z głowy Niemca popłynęła krew. Powoli przestał się wyrywać. Jego ciało zrobiło się wiotkie i bezwładne.

Wreszcie jego oddech ucichł.

Oddział już przeszedł, dźwięki marszowych kroków ucichły. Szosa była pusta.

Znużony Edmond osunął się na ziemię i siedział nieruchomo. Za jego plecami zwisała z samochodu głowa martwego Niemca. Z tylnego siedzenia rozległo się kwilenie Marie. O dziwo, przespała całą ich walkę z żołnierzem.

Ledwie żywa Catherine na chwiejnych nogach wyszła z auta. Przytrzymując się karoserii, zdołała obejść samochód. Kiedy zobaczyła zwłoki Niemca, pochyliła się i zaczęła wymiotować.

- Gazety - wykrztusił Edmond, z trudem chwytając powietrze. - Musimy... ukryć je... daleko stąd... Spalić... albo zakopać... Ludzie w Chartres nie mogą ich zobaczyć.

Catherine słabo kiwnęła głową i osunęła się na ziemię obok brata.

Pozwolili sobie na piętnastominutowy odpoczynek. Gdy Edmond i Catherine trochę odzyskali siły, Hélène pomogła im odciągnąć paczkę z gazetami jak najdalej od samochodu. Spalili je, a potem zakryli zwęglone resztki kawałkami drewna i gałęziami, żeby nie było widać śladów ogniska.

Rozdział 7

Zrobiło się już zupełnie ciemno, gdy znaleźli miejsce na nocleg. Odkryli je przez przypadek. Szli już ponad trzy kilometry szosą do Chartres, kiedy zobaczyli żółte światła nadjeżdżającego samochodu.

- Szybko! - rozkazał Edmond. - Do rowu!

Prędko zsunęli się z szosy. Okazało się, że tuż przed nimi był duży okrągły otwór kanału łączącego rowy biegnące po obu stronach drogi. Tutaj, pod szosą, byli dobrze ukryci. W innych porach roku dno zalegała woda, ale teraz już zamarzła. W końcu byli bezpieczni.

Kiedy samochód przejechał, spróbowali ulepszyć swoją kryjówkę. Edmond polecił dziewczętom przynieść z pobocza kilka krzaków i ułożyć je tak, żeby zasłaniały oba otwory kanału, ochraniając ich od wiatru. Niestety, korzenie rosły głęboko w zamrzniętej ziemi i nie mogli ich wyszarpnąć. Udało im się jedynie nazbierać trochę gałęzi; otrząsnęli je z lodu i położyli się na nich zziębnięci i głodni.

Tulili się do siebie, aby dać sobie nawzajem trochę ciepła i poczucia bezpieczeństwa. Ale Hélène źle spała, bo Marie płakała przez całą noc. Kiedy o świcie obudziła się, drżąc z zimna i szcękając głośno zębami, okazało się, że nie ma z nimi Edmonda.

Przyszedł godzinę później. Zakradł się do jakiegoś domu w pobliskiej wiosce i wziął stamtąd trochę mleka, kawałek sera, dwie cienkie kiełbaski i małą niebiesko-białą miseczkę, w której było kilka łyżek cukru. Zabrał też butelkę koniaku i każde po kolei wypilo spory łyk. Alkohol był gorzki i palił w gardle, ale natychmiast zrobiło im się po nim cudownie ciepło. Zwilżyli również usteczka Marie i ze zdziwieniem zobaczyli, że malutka natychmiast zasnęła.

- Dobrze wiedzieć - powiedział Edmond. - Kiedy będziemy chcieli, żeby zachowywała się cicho, damy jej po prostu odrobinę koniaku.

Po jedzeniu ruszyli w drogę. Kierowali się na południowy zachód, szli przez opustoszałe pola i lasy bez poszycia. Wszystkie krzaki i inne leśne rośliny już dawno zostały wycięte. Latem wokoło rozciągał się wielki dywan z mchu; obecnie ziemię pokrywały żółte igły i sosnowe szyszki.

Po południu na niebie pojawiły się szare chmury i zaczął padać deszcz ze śniegiem.

Wlekli się przez las, zdrętwiali z zimna i przemoczeni do suchej nitki. Wreszcie udało im się znaleźć schronienie w opuszczonej chacie drwali. Było tu nawet prymitywne palenisko, a na zewnątrz pod ścianą leżał stos porąbanego drewna. Przynieśli pełne narecze do chaty, a Edmond próbował rozniecić ogień. Mokre szczapy nie chciały się palić i całe wnętrze wypełnił dym, od którego lzy leciały z oczu. W końcu jednak zrobiło im się ciepło.

Obawiali się, że śnieg może padać nawet przez kilka dni, więc starali się jeść jak najmniej, żeby ich skromne zapasy na dłużej wystarczyły. Kiedy skończyło się mleko, dawali Marie ciepłą wodę z cukrem.

Ponieważ zła pogoda nie mijała, postanowili zagrzać wodę i porządnie umyć Marie. Chyba dobrze jej to zrobiło, bo tej nocy spała spokojnie.

Ale wędrówka w deszczu nie wyszła im na dobre.

Catherine i H el ene zaczęły kichać i kaszleć, a w dodatku Catherine nie mogła mówić. Co gorsza, w nocy deszcz ze śniegiem zmienił się w prawdziwą śnieżycę.

Dwa dni później pogoda się poprawiła. Wyszli z chaty i patrzyli na świat pełni zachwytu. Zrobiło się jeszcze zimniej, ale powietrze stało się rzeźkie i czyste, niebo ponad nimi było pastelowoniebieskie, a wszystko wokół pokrywał gruby dywan błyszczącego śniegu. Gałęzie drzew wyglądały jak otulone watą. Dla małej dziewczynki był to czarodziejski świat jak z bajki.

- Prawda, jak tu pięknie? - zapytała H el ene Edmonda. Kiwnął głową.

- Tak, bardzo pięknie - odrzekł, ale najwyraźniej myślał o czym innym. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Odwrócił się do Catherine. - Mamy jeszcze cukier?

- Troszeczkę. - Miała bardzo zachrypnięty głos.

- Rozpuść go w ciepłej wodzie i nakarm Marie - polecił. - Potem ubierz ją ciepło.

Musimy iść.

Catherine posłusznie skinęła głową i weszła do chaty, ale po chwili wybiegła.

- Co się stało? - Edmond spojrzał na nią zaniepokojony.

- Marie zachorowała - wychrypiała. - Cała płonie. Wydaje mi się, że ma gorączkę!

Edmond odsunął ją i wszedł do chaty. Pochylił się nad siostrzyczką i położył dłoń na czole małej.

- Niestety masz rację - rzekł ponuro. - To chyba coś poważnego.

H el ene również dotknęła palcami buzi Marie. Była gorąca.

- Co teraz zrobimy? - zapytała. Edmond nadal wpatrywał się w Marie.

- To, co trzeba - odparł. - Musimy znaleźć lekarza. Catherine spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Przecież żaden lekarz nie przyjdzie tu do nas.

- Więc my musimy pójść do niego - odpowiedział logicznie.

Złapała go za ramiona i potrząsnęła nim mocno.

- Jest za zimno! - zaprotestowała. - Nie możemy wynosić jej na mróz, to niebezpieczne!

Edmond zdjął płaszcz i starannie owinał w niego Marie.

- Teraz będzie jej ciepło - oświadczył.

- A co z tobą? - spytała Catherine. - Przecież jest zimno. Machnął lekceważąco ręką.

- Nic mi nie będzie. Nie mam gorączki. Catherine wlepiła w niego przerażone spojrzenie.

- Zwariowałaś? Zamarzniesz na śmierć!

- Możliwe - odparł. - Ale nic na to nie poradzę. - Potem rzucił stanowczo: - Dość tego! Zbierajcie się, musimy natychmiast iść.

Catherine z rozpaczą uniosła ręce w górę. Potem wzięła z chaty ich skromny dobytek.

Hélène spojrzała z namysłem na Edmonda.

- Lekarzom się płaci, prawda? - spytała, wkładając płaszcz.

W milczeniu kiwnął głową.

- Czy to znaczy, że ukradniesz komuś pieniądze? - wyszeptała z nadzieją.

- Nie - zaprzeczył stanowczo.

- Och. - Dziewczynka zmarszczyła brwi. - Więc czym zapłacimy lekarzowi?

Edmond dotknął kieszonki na piersi.

- Musimy poświęcić na to obrączkę *maman*. Nie chciałem tego robić, ale myślę, że mama by zrozumiała.

Hélène z aprobatą kiwnęła głową. Miał słuszość. W tej sytuacji *maman* na pewno zrobiłaby to samo.

Za każdym razem, kiedy widzieli przed sobą jakąś wioskę, Edmond kazał Hélène i Catherine czekać w ukryciu, a sam brał Marie i szedł szukać lekarza. Okazało się, że z dala od miast nie jest to takie proste. Udało mu się go znaleźć dopiero po kilku godzinach. Zostawił Marie w domu doktora i szybko wrócił po siostry. Teraz miał już na sobie płaszcz.

- Chodźcie szybko - powiedział. - W domu lekarza nic nam nie grozi. Doktor nie zrobi nam nic złego.

Catherine spojrzała na brata z obawą.

- Myślisz, że możemy mu zaufać?

- Tak sędzę - odrzekł. - Zresztą mamy niewielki wybór. Zostawiłem u niego Marie. Jest tam ciepło i przytulnie.

- Ten doktor mieszka we wsi? - zapytała H  l  ne, wskazuj  c kilkana  cie dom  w. -
Czy w kt  rym  s z gospodarstw?

- W wiosce. Chod  cie.

  nieg skrzypia   im pod butami, kiedy szli cich   i spokojn   ulic  . Edmond zatrzyma   si   przy ostatnim budynku i otworzy   bram  . Poprowadzi   siostry przez ma  le podw  rko, a potem zapuka   do drzwi. Otworzy   je korpulentna kobieta w   rednim wieku. Natychmiast rozpozna   ch  pca.

- Wchod  cie, kochani - powiedzia  , zapraszaj  c ich do   rodka. - Doktor zajmie si   wasz   siostrzyczk  .

Weszli do ciemnej, w  skiej sieni. Kobieta zamkne   drzwi.

- Pewnie macie przemoczone buty. Zdejmijcie je i zostawcie tutaj. - Wskaza   r  k   miejsce przy drzwiach.

Przeszli przez korytarz. Kobieta otworzy   drzwi z matowymi szklanymi szybkami, prowadz  ce do kuchni. W k  cie sta   wielki kaflowy piec, od kt  rego bi  o przyjemne ciep  o. Wszyscy troje przy  ożyli do niego r  ce,   eby si   rozgrza  c.

- Usiad  cie - powiedzia   kobieta, wskazuj  c miejsca przy stole. - Pewnie jeste  cie g  odni. W  a  nie ugotowa  am zup  .

- Ale Marie... - zaczą   Edmond.

- Wasza siostrzyczka wyzdrowieje - odezwa   si   m  ski g  os.

Odwr  cili si   i spojrzeli na lekarza. By   ju   stary, mia   siwe w  osy i pomarszczon   twarz. Nosi   okulary w srebrnych oprawkach.

- Jest na g  rzej.   pi.

- Czy to co  s powa  znego? - zapyta   Edmond z obaw  . Lekarz spojrze   na ch  pca powa  nie.

- Jest malutka - odrzek  . - Dla takiej kruszyny ka  da choroba jest niebezpieczna. Ma  le dzieci nie s  o odporne i   apia   wszystko. - U  miechn   si   jednak, aby ich uspoko  c. - Ale my  l  ,   e teraz ju  z b  dzie dobrze. Musi tylko troch   pole  eć w ciep  le. Mam nadzieje  ,   e gor  czka szybko minie i za kilka dni Marie b  dzie zdrowa.

- Kilka dni! - wykrzykn   Edmond. - Nie mamy tyle czasu, panie doktorze. Musimy... jak najszybciej i  c dalej.

Lekarz zmarszczył brwi, przypatrując się całej trójce.

- Nie jesteście stąd ani z naszej okolicy. Nigdy was nie widziałem. To znaczy, że przed wami jeszcze daleka droga. Mam rację?

Chłopiec w milczeniu kiwnął głową. Doktor usiadł przy kuchennym stole i wskazał im ręką krzesła.

- Zaufajcie mi - odezwał się współczującym tonem. - Może opowiecie mi o wszystkim?

Edmond popatrzył na niego niepewnie, ale po chwili wahania skinął głową. Siedzieli przy stole, trzymając w dłoniach filiżanki gorącego kakao, a chłopiec zaczął mówić staremu lekarzowi o tym, co się stało, kiedy niemieccy żołnierze wyłamali drzwi. O *maman*, Michelle i całej reszcie.

Po czterech dniach Marie poczuła się lepiej. Odpoczynek dobrze im zrobił. Odzyskali siły, katar Hélène minął, a Catherine wyleczyła się z zapalenia krtani.

Kiedy nadszedł czas pożegnania, Hélène miała łzy w oczach. Stary doktor i jego gospodyni byli tacy dobrzy i nie chciała się z nimi rozstawać. Wszyscy czworo czuli się u nich jak w domu, którego tak bardzo im brakowało. Teraz musieli się pożegnać.

Hélène przytuliła twarz do obfitego biustu kobiety i objęła ją mocno.

- Będę tęskniła - szepnęła.

- Ja też - odrzekła cicho gospodyni. - Uważajcie na siebie i niech Bóg ma was w opiece.

Edmond uścisnął dłoń lekarza i sięgnął do kieszeni po obrączkę *maman*.

- Tyle panu zawdzięczamy - powiedział. - To wszystko, czym możemy zapłacić.

- Nie przyjmę tego. - Doktor odsunął jego rękę.

- Ale pan uratował Marie - odparł chłopiec.

- To mój obowiązek. Jako Francuza i jako lekarza.

- Dziękujemy - powiedział ze wzruszeniem Edmond. - I za nowe ubrania również.

Doktor potrząsnął głową.

- Nie, to my powinniśmy wam dziękować. Niektórzy z nas zapomnieli, że są Francuzami, i współpracują z wrogiem. To hańba dla naszego narodu. A wy - małe dzieci

- mieliście odwagę, aby przeciwstawić się Niemcom. Jesteście wzorem dla nas, dorosłych. Musimy być wam wdzięczni.

Gospodyni ostrożnie wzięła na ręce Marie, owinęła ją w gruby nowy kocyk i podała malutką Catherine.

- Opiekuj się dobrze tym małym aniołkiem - przykazała.

Dziewczyna uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Będę - obiecała.

Kobieta wytarła dłonią wilgotne oczy i pociągnęła nosem.

- Kiedyś, jak to się już skończy, przyślijcie nam wiadomość. Nawet za parę lat. - Uścisnęła Edmonda, a potem rozpięła srebrny łańcuszek, na którym nosiła mały medalik. Uroczyście zawiesiła go chłopcu na szyi. - Niech Bóg was błogosławi. Będziemy się za was modlić. - Potem podała mu ciężki koszyk pełen najlepszej żywności ze spiżarni. - Na drogę - powiedziała krótko.

Edmond stanął na palcach i pocałował ją w policzek.

- Dziękujemy - szepnął.

Nagle usłyszeli dźwięk dzwonków na ulicy.

- Co to? - zapytała Hélène, biegnąc do okna. Spojrzała i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Przed bramą domu zatrzymały się duże sanie zaprzęgnięte w dwa kasztanowe konie.

- To Claude Sorel - powiedział doktor. - Biedny wieśniak, który jest mi coś winien. W zeszłym roku udało mi się uratować jego żonę. Nie miał pieniędzy, żeby mi zapłacić, ale teraz może mi się odwdziżyć. Ustaliłem z Sorelem, że dziś przenocujecie u niego w domu, a jutro zabierze was saniami do Chateaudun. Stamtąd jest jeszcze sześćdziesiąt kilometrów do Loary. Musicie cały czas iść na południe. Potem kierujcie się wzdłuż rzeki na wschód, a dojdziecie do morza. A wtedy już traficie do Saint-Nazaire.

Rozdział 8

Claude Sorel zajechał przed dom i zatrzymał konie. Odwrócił się i popatrzył uważnie na czwórkę rodzeństwa. Miał głęboko osadzone, bystre oczy.

- Jesteśmy na miejscu - mruknął.

Potem sam zeskoczył na ziemię i czekał, aż zejda z sań. Gramolili się powoli, bo zdrętwiały im nogi. Jechali ponad godzinę i trzęśli się z zimna, chociaż przykryli się starą derką. Sorel nie zamierzał wyprzęgać koni, tylko przywiązał je po prostu do słupa. Stały, machając ogonami i parszając głośno. Były spocone z wysiłku i leciała z nich para. Wieśniak bez litości poganiał je i tłuł batem, jeżeli nie biegły wystarczająco szybko przez zaśnieżone pola.

- Chodźcie - powiedział krótko.

Ruszyli do drzwi, a Hélène popatrzyła na dom. Wydał jej się ogromny i ponury. Nie pasował do bajkowego krajobrazu. Jak większość budynków na wsi był stary i zaniedbany. Dwie drewniane przybudówki, po jednej z każdej strony, najwyraźniej postawione bez żadnego planu, ale jakże malownicze w swoim zaniedbaniu, wspierały się o kamienne ściany. Małe, nieliczne prostokątne okienka nadawały grubym murom wygląd nieprzystępnej fortecy. Każde miało drewniane okiennice; niektóre były zamknięte, inne poruszały się na wietrze. Cienka stróżka dymu unoszącego się z komina była jedyną oznaką, że w tym budynku ktoś mieszka.

Otrząsnęli śnieg z butów, a gospodarz pchnął drzwi i wpuścił ich do środka.

Ciemny korytarz był tak niski, że Sorel musiał się pochylić. Bielone wapnem ściany zostawiały na palcach białe ślady, kiedy ktoś ich dotknął.

Przeszli przez następne drzwi i znaleźli się w kuchni. Panował tu półmrok, podobnie jak w sieni. Nierówno ociosane grube deski podłogi od ciągłego szorowania zrobiły się prawie białe. Na ścianach wisiały wypchane jelenie łby z rogami. Częściowo pozostawały w cieniu, ale oczy zwierząt odbijały światło z okien i błyszczały groźnie. Hélène zastanawiała się, dlaczego ludzie trzymają w domach tak przerażające ozdoby.

- Hej, kobieto! - zawołał Sorel donośnym, ostrym głosem.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi, a potem zbliżyła się do nich jakaś kobieta, człapiąc chodakami.

- Tak? - wymamrotała niewyraźnie. Hélène dostrzegła, że kobieta ma spuchnięte wargi.

Dziewczynka popatrzyła na nią ukradkiem; gospodyni była dużo niższa od męża, miała czerwoną, zmęczoną twarz i gęste, kręcone włosy, zaplecione w warkocz. Była ubrana w ciężką czarną spódnicę, gruby czarny sweter z przydługimi rękawami i spłowiały, kiedyś niebieski fartuch. W jej wyglądzie było coś apatycznego i ponurego, jak gdyby duch tej kobiety został złamany i ujarzmiony.

- Nie widzisz, że mamy gości, leniuchu? - wrzasnął Sorel. - Nie stój jak głupia! Rusz się i zrób coś do jedzenia. A potem przygotuj im pokój do spania!

- Tak, Claude - odrzekła posłusznie.

Hélène zauważyła, że pani Sorel zarumieniła się ze wstydu. Też bym się zaczerwieniła, gdyby mąż tak się do mnie odnosił, w dodatku przy obcych, pomyślała dziewczynka.

Żona Sorela zaprosiła ich, by usiedli przy stole z nieheblowanych desek. Wtedy właśnie Hélène zdała sobie sprawę, że ta kobieta jest młoda. Młoda, tylko zniszczona.

- Niech idą wcześniej spać - rozkazał jej mąż. - Jutro mam ich zawieźć do Chateaudun. Musimy wcześniej wstać.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Tak, Claude.

Sorel zdjął z półki dzbanek bez ucha i pociągnął z niego długi łyk. Krople płynu pociekły mu po brodzie. Hélène wyczuła zapach cydru. Mężczyzna otarł usta rękawem i z łoskotem postawił dzbanek na stole. Potem odsunął energicznie krzesło i usiadł na nim, opierając buty na czyściutkim blacie.

Hélène dostrzegła błysk dezaprobaty w oczach pani Sorel, ale kobieta przezornie zachowała milczenie.

Sorel wypił jeszcze łyk cydru, a potem głośno odsunął krzesło i wstał.

- Wrócę późno - warknął. - Dopilnuj, żeby poszli wcześniej spać.

- Dokąd idziesz? - zapytała kobieta i Hélène usłyszała w jej głosie strach.

- Do wioski.

Spojrzała na niego, nerwowo skubiąc palcami róg fartucha.

- Claude, proszę, nie - jęknęła. - Poszedłeś wczoraj i wróciłeś... - Spojrzał na nią ostro i umilkła.

- Zamknij się, kobieto! - Machnął groźnie ręką. - Chcesz poczuć moją pięść na ustach?

- Nie, Claude - odpowiedziała cicho i z westchnieniem rezygnacji odwróciła się do wielkiego kuchennego pieca.

- Nie podobają mi się ci ludzie - odezwała się cicho Catherine.

Edmond w odpowiedzi skinął głową. Siedział na twardym, sztywnym materacu i od czasu do czasu huśtał Marie na trzeszczących sprężynach. Za każdym razem malutka popiskiwała z radości, a w powietrzu wokół nich unosiły się kłęby kurzu. Cały czas siedzieli w płaszczach, bo na poddaszu było zimno. Wrózkach, pod starymi pierzynami i kocami pogryzionymi przez mole, będzie im ciepło i zacisznie, ale na razie drżeli z chłodu. Pokój był mroczny i ponury, gospodyni dała im tylko jedną lampę naftową.

Hélène wstała i podeszła do małego okienka. Znajdowało się dość wysoko, ale kiedy stanęła na palcach, mogła przez nie widzieć podwórze. Duży księżyc tuż przed pełnią rozjaśniał okolice swoim blaskiem i rzucał długie cienie na śnieg.

Edmond usiadł obok rozchwianej szafki.

- Ten Sorel to drań - powiedział. - Jego żona nie jest zła, tylko zastraszona. Widziałyście jej twarz? Ten łobuz musi ją nieźle bić.

- Nie rozumiem, dlaczego doktor w ogóle interesuje się tymi ludźmi - powiedziała Catherine, kręcąc głową. - Czy nie wie, że ten mężczyzna jest... no, nie jest porządnym człowiekiem?

- Może żal mu tej żony. Albo może Sorel nie pokazuje mu, jaki jest naprawdę - odrzekł zamyślony Edmond. - Pamiętasz, jak się uśmiechał, kiedy wsiadaliśmy do sań, i jak grzecznie rozmawiał z doktorem?

Catherine powoli kiwnęła głową.

- Masz rację.

Hélène wspięła się na palce i znowu wyjrzała przez okienko. Jedyne, co mogła dostrzec, to puste pola w śniegu i noc ponad nimi. Gdzieś w tej ciemności była wioska, w której mieszkali życzliwy lekarz i jego gospodyni. A daleko na południu znajdowała się Loara, nazywana Rzeką Królów, ze swoimi potężnymi zamkami i wspaniałymi białymi pałacami na brzegach. Wystarczy, że będą szli wzdłuż jej koryta, a w końcu trafią do Saint-Nazaire. Tam znajdą ciocię Janine i u niej doczekają czasu, gdy Niemcy zostaną wygnani z Francji, a *maman* i *papa* przyjadą po nich i zabiorą całą czwórkę z powrotem do Paryża.

Nagle usłyszała brzęczenie dzwonek. Rozejrzała się dookoła i zobaczyła w oddali sianie. Patrzyła, jak się zbliżały i stanęły przed domem. Tym razem Sorel nie zeskoczył z kozła, tylko zsunął się chwiejnie. Nie chciało mu się nawet przywiązać koni do słupa. Potknął się, ale odzyskał równowagę i na chwiejnych nogach ruszył do domu. Z sieni dał się słyszeć ogłuszający łoskot.

Catherine podskoczyła.

- Co to było?

- Właśnie wrócił Sorel - wyjaśniła Hélène, odwracając się od okna. - Musiał się o coś przewrócić. - Zachichotała. - Chyba jest nieźle pijany.

- Miejmy nadzieję, że do rana wytrzeźwieje i będzie mógł nas odwiedzić do Chateaudun - mruknął Edmond. Przechylił głowę na bok i słuchał.

Gospodarz kroczył ciężko po chwiejnych schodach. Doszedł do podestu i zatoczył się na drzwi. Przez chwilę panowała cisza, a potem znowu o coś się potknął w wąskim korytarzu. Wreszcie trzasnęły drzwi, a potem usłyszeli za ścianą głos Sorela:

- Kobieto, jesteś już w łóżku?!

Zaczął rozmawiać z żoną, ale słyszeli już tylko urywki zdań wypowiedane głośno przez niego, a później doszły ich jakieś trzaski i skrzypienie otwieranych i zamykanych szuflad.

W końcu spośród tych wszystkich hałasów rozległ się głos kobiety:

- Claude, nie! - zawołała.

W jej głosie brzmiała panika. Drzwi się otworzyły i znowu na korytarzu zabrzmiało

echo ciężkich kroków. Wyglądało na to, że kobieta wybiegła za mężem. - Nie, Claude, nie! Proszę, błagam cię!

- Zabierz te ręce! - warknął Sorel. Dały się słyszeć odgłosy szamotaniny, a potem trzaśnięcia wymierzanych policzków. Kobieta krzyknęła. Musiała się przewrócić, bo wszystko wokół zadrżało. - Ty głupia! - ryknął mężczyzna. - Chcesz, żebyśmy byli biedni do końca życia?

- Nie, Claude - łkała. - Nie chcę. Ale też nie chcę pieniędzy zarobionych w ten sposób!

- Zamknij mordę, suko!

Na chwilę zapadła cisza, a potem Sorel stanął pod drzwiami ich sypialni. Hélène wstrzymała oddech. Przez chwilę bała się, że ten człowiek tu wejdzie i zacznie ich bić. Ale on zamknął drzwi na klucz.

Przerażona Hélène wbiła wzrok w zamek. To było gorsze, niż gdyby Sorel wpadł i próbował zrobić im coś złego. Drgnęła, słysząc brzęk klucza. Potem klamka się poruszyła, jakby ktoś sprawdzał, czy drzwi są zamknięte.

Nagle dziewczynka zrozumiała. Zdarzyło się najgorsze.

Zostali uwięzieni.

- Dobra... Siedzą tam zamknięci - oznajmił Sorel głosem pełnym satysfakcji. - Nigdzie nam nie uciekną. Okienko jest za małe.

Hélène spojrzała na Catherine, a potem na Edmonda.

- Co teraz zrobimy? - zapytała bezgłośnie.

- Cicho - szepnął Edmond. - Słuchajmy!

Sorel nadal stał na korytarzu. Aż mruczał z zadowolenia.

- Wstawaj, kobieto! - ryknął do żony. - Ubierz się i ogarnij! Zaraz będą tu Niemcy! - Umilkł na chwilę, a potem dodał z dumą: - Tylko pomyśl, półtora miliona franków. Ja, Claude Sorel, będę milionerem!

Zrozpaczona Hélène wzniosła oczy do góry. A więc nagroda za ich schwytanie znowu wzrosła! Kiedy byli u *madame* Chang, wynosiła pół miliona; w gazetach sprzed sześciu dni pisano o milionie. A teraz Niemcy dołożyli jeszcze pół miliona franków. Jeśli w jakiś sposób zdołają stąd uciec - choć to prawie niemożliwe - nagroda dojdzie do tak

astronomicznej sumy, że każdy, może nawet ciotka Janine, będzie skłonny wydać ich Niemcom.

- Ale nawet nie wiesz, czy to oni - zawodziła kobieta. Claude Sorel zaśmiał się głośno.

- W gospodzie pokazywali gazetę z portretami. To jasne jak słońce, że oni. Szczególnie ta starsza. Piszą, że ktoś ich porwał. Jakie to zabawne! - Zaśmiał się znowu. - Gdyby doktor mnie nie uprzedził, sam bym uwierzył w te bajki. W każdym razie dobrze, że poszedłem się napić. Widzisz, gdybym cię posłuchał i został w domu, nie dowiedziałbym się o nagrodzie. Tak się chwyta szczęście, trzeba być we właściwym miejscu we właściwym czasie. I jeszcze spotkałem tam żandarma. Pozwolił mi zadzwonić z telefonu na posterunku.

Głos kobiety był ledwie słyszalny.

- Do kogo zatelefonowałeś?

- Wiedziałem, kto naprawdę ich szuka, więc oczywiście zatelefonowałem do gestapo. Żandarmi mogliby przekazywać sobie raport przez kilka dni. No i chciałem mieć pewność, że zaraz dostanę tę nagrodę. Wiesz, jak długo trwa załatwianie spraw w urzędach.

Kobieta zaczęła teraz głośno szlochać. Hélène wyobrażała sobie, że twarz wieśniaczki poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Jak mogłeś? - lamentowała. - Jesteśmy przecież Francuzami! A doktor był dla nas taki dobry! Zaufał ci! I tyle mu zawdzięczamy!

- To ty masz wobec niego dług. A czy ten stary da nam półtora miliona franków, co? - odparł kłótliwie Sorel. - Zresztą to nie twój interes. Przestań się mazać i wytrzyj twarz. Nie mogę na ciebie patrzeć, jak masz takie czerwone zapuchnięte oczy. Jesteś wystarczająco brzydka, nawet kiedy nie płaczesz!

Zszokowana Hélène słuchała, jak kroki obojga się oddalały. Miała nadzieję, że kobieta zostanie. Może udałoby się ją ubłagać, żeby wykradła klucz mężowi i otworzyła drzwi.

Edmond położył Marie i wstał z łóżka.

- Musimy uciekać - oświadczył spokojnie.

- Ale jak? Jesteśmy zamknięci. - Catherine spojrzała na Héléne. - Czy można otworzyć to okno?

Dziewczynka kiwnęła głową.

- Tak, ale jest za małe. Nawet Marie by się przez nie nie przecisnęła.

Edmond wziął lampę i obejrzał dokładnie poddasze, świecąc zaglądał w ciemne kąty i sprawdzał ściany palcami. W milczeniu przyjrzał się uważnie sufitowi i podłodze. Nie było stąd innego wyjścia oprócz drzwi - ani kłapy w dachu, ani ukrytego przejścia pod zbutwiałymi tapetami. Nawet mysz by się nie prześlizgnęła.

- No i? - spytała z napięciem Catherine. W jej wielkich brązowych oczach czaił się strach.

Chłopiec pokręcił głową.

- Obawiam się, że mamy wybór tylko między poddaniem się a ogniem. To jedyny sposób, żeby się stąd wydostać - oświadczył ponuro.

Catherine pytająco uniosła brwi. Edmond spojrzał na nią i westchnął.

- Musimy podpalić nasz pokój.

Popatrzyła na niego uważnie, a potem zapytała.

- Jesteś pewny, że zdążą przyjść i otworzyć nam drzwi?

Nie odpowiedział.

- Lepiej bierzmy się do roboty - polecił i kiwnął ręką. - Musimy zaciągnąć te materace pod ścianę.

Postawił lampę na podłodze i zaczęli wlec ciężkie, sztywne materace. W końcu udało im się postawić je pod ścianą, a Edmond sprawdził, czy się nie przewrócą, kiedy je podpali. Potem wytarł zakurzone dłonie o spodnie. Catherine wzięła Marie na ręce.

- Zakryj jej buzię kocykiem - polecił. - Żeby wdychała jak najmniej dymu.

Catherine kiwnęła głową. Ucałowała Marie w czołko i delikatnie zasłoniła jej maleńką różową twarzyczkę kołderką od gospodyni lekarza.

- Nie bój się, kochanie - szepnęła łagodnie.

- Teraz cofnijcie się pod drzwi i zostańcie tam. - Edmond podał im obu koce. - Naciągnijcie je na głowy i przytrzymajcie. Powinny trochę nas osłonić przed ogniem. -

Spojrzał pytająco najpierw na Catherine, a potem na H  l  ne. Nie musiał nic wi  cej wyja  niać. Rozumiały.

Uni  sł wysoko lampę i rzucił ją zręcznie w kierunku   ciany. Szklana osłona p  kła i nafta wylała si  . Ogień pojawił si   natychmiast.

Instynkt kazał im działać. Zacz  li krzyczeć i walić pi  ściami w drzwi.

- Ogień! - zawołała H  l  ne. - Ogień! - W jej g  losie brzmiało autentyczne przera  zenie.

Catherine miała oczy nieprzytomne ze strachu.

- Pomocy! - krzyczała. - Pali si  ! - H  l  ne widziała,   e strach siostry jest tak samo prawdziwy jak jej.

Spojrzała w tył. Materace p  nęły, paliły si   r  wnie   kołdry. W ci  gu kilku sekund du  a cz  ść poddasza stanęła w p  mieniach. Wstr  tny zapach p  n  cego w  losia i pierza wywoływał mdło  ci. H  l  ne poczuła,   e braknie jej powietrza. Dym piekł ją w oczy i drapał w gardle. Zaczęła jeszcze mocniej walić w drzwi i krzyknęła ponownie.

- Pali si  !

- Pomocy! Pomocy!

Dym unosił si   wok  ł nich jak gruba, ciemna zasłona, nie mogli nic przez ni   zobaczyć. Nagle usłyszeli szybkie kroki i g  losy w korytarzu. Sorel kł  ł.

- Dym! - zawołała jego   ona. - Wylatuje spod drzwi! Claude, zr  b co  ! Dom si   pali!

Usłyszeli chrobot klucza w zamku, a po chwili drzwi si   otworzyły i poczuli powiew   wie  ego powietrza.

Na o  lep pognali przez korytarz. Claude Sorel przepu  cił ich i wbiegł do   rodka,   eby gasić po  ar.   ci  gn  ł marynarkę i próbował t  micić ogień, ale na pr  żno. P  nęły tapety na   cianach, p  mienie zaczynały ju  z lizać drewnian   podłogę. Słycha  c by  o przera  aj  cy huk ognia.

Kobieta zakryła twarz d  o  mi, by cho   troch   osłonić si   od   aru.

- Claude! - wrzeszczała histerycznie. - Uciekaj!

Dzieci zbiegły na d  ł po uginaj  cych si   schodach, omal nie przewracaj  c si   wzajemnie. Na pi  trze rozległ si   g  luchy   oskot, jakby co   si   zawa  iło.

Pani Sorel znowu wrzasnęła. Hélène spojrzała za siebie i zobaczyła potężny słup ognia sięgający od podłogi do sufitu. Płomienie zaczynały przedostawać się już na korytarz. Za kilka minut cały dom spłonie.

Chwilę potem byli już na zewnątrz, w bezchmurnej, lodowatej ciemności. Nigdy jeszcze zimne powietrze nie wydawało im się tak cudowne. Hélène odetchnęła głęboko i wytarła czoło dłonią; była cała mokra od potu.

Stanęli na chwilę, wpatrując się w dom. W maleńkich okienkach na poddaszu błyskały płomienie, a śnieg na dachu zaczynał topnieć z gorąca. Z okapu spływała woda. Nagle przez ośnieżony dach przebił się ogromny język ognia i rozjaśnił czarne niebo, połyskując w świetle księżyca i rozpryskując kaskady iskier. Migoczące światło zalało wszystko dookoła: dom, stodołę, śnieg. Hélène poczuła, że ktoś ją szarpie za rękaw.

- Uciekamy! - syknął Edmond. Chciał biec przez śnieg.

- Czekaj! - zawołała - Sanie! Nie możemy ich wziąć?

Przytaknął.

- Wskakujcie! - zawołał. - Ja będę powoził!

Zbliżali się już do sań, gdy część dachu zawaliła się z trzaskiem. Przerażone konie szarpnęły się w tył i zarżały. Pognały przed siebie i zniknęły w ciemności, ciągnąc puste sanie. Edmond ruszył biegiem za nimi, ale były już w połowie pola. Zrozumiał, że ich nie dogoni, i zawrócił, niemal bez tchu.

I znowu wędrowali przez pola. Tylko że teraz zostawiali wyraźny trop na śniegu. Hélène przypomniała sobie, jak w bajce Jaś i Małgosia rzucali okruszki, żeby móc odnaleźć drogę do domu. Ale te ślady pozostaną, nie wyzbierają ich ptaki.

Edmond jakby czytał w jej myślach.

- Chciałbym, żeby znów zaczął padać śnieg - powiedział. - Przynajmniej nie byłoby widać, którądy poszliśmy. - Spojrzał z nadzieją w niebo, ale najwyraźniej śnieg nie miał zamiaru padać.

Przeszli jakieś sto metrów, kiedy Hélène odwróciła się i spojrzała na dom. Ogień zdążył już pochłonąć cały parter. Na tle płomieni dziewczynka zobaczyła dwie małe figurki - w tym jedną niższą - miotające się szaleńczo we wszystkie strony. Przez chwilę pomyślała o nieskazitelnej podłodze w kuchni, wyczyszczonej niemal do białości przez

całe pokolenia kobiet, stojącej teraz w ogniu. Ale nie była to pora na żal. Hélène dostrzegła w oddali poruszające się światła reflektorów na drodze. Mamy mniej czasu, niż nam się wydawało, powiedziała w myślach do siebie.

Niemcy zbliżali się szybko.

Tym razem mieli ze sobą psy.

Z tyłu słychać było ich ujadanie. Płuca Hélène niemal pękały, gdy biegła, ale nie ośmieliła się zatrzymać, by choć chwilę odpocząć. Ilekroć patrzyła za siebie, widziała małe promienie latarek przecinające ciemność.

Nie mieli czasu na wybieranie najlepszej, najbezpieczniejszej czy najłatwiejszej trasy ucieczki. Przedzierali się przez drapiące krzaki, ślizgali na zamrzniętych polach, biegli przez opustoszałe sady. Ciemność i śnieg również były wrogiem, ukrywały bowiem przeszkody na drodze - dziury, kamienie, pnie drzew i gałęzie. Często się potykali, ale śnieg, główny winowajca, który zasłaniał najniebezpieczniejsze pułapki, jak gdyby z ironią zapewniał im miękkie podłoże, gdy upadali.

Ujadanie psów z każdą chwilą stawało się coraz głośniejsze. Zbliżały się też promienie latarek.

Dotarli do małego zamrzniętego strumyka, przez który przerzucone były dwie deski udające mostek. Zatrzymali się tam na chwilę, aby złapać oddech. Marie płakała, ale nie mieli już koniaku, by ją uśpić; został w płonącym domu razem z koszykiem jedzenia, otrzymanym od gospodyni lekarza. Z miejsca, gdzie stali, widać było na północy różową łunę, która rozświetliła całe niebo.

- To chyba stodoła - odezwał się Edmond. - Musiała się również zapalić. Pewnie iskry przeleciały z domu.

Catherine splunęła na śnieg.

- Dobrze im tak - rzuciła mściwie. Edmond patrzył z uwagą na drewnianą kładkę.

- Słuchajcie - powiedział nagle. - Mam pomysł!

- Jaki? - Hélène odwróciła się do niego.

- Rozdzielimy się.

Catherine spojrzała na brata zaskoczona.

- Rozdzielimy się? Ale...

- Bez ale - odrzekł szorstko. - Musimy, przede wszystkim dlatego, że Niemcy mają psy. Poza tym dwoje nie rzuca się w oczy tak, jak czworo. A tamci szukają czworga rodzzeństwa.

- Nie podoba mi się to - zaprotestowała H  l  ne. - Powinni  my trzymać si   razem.

- Nie mo  jemy - o  wiadczył Edmond stanowczo i odetchn  ł g  o  no. - Catherine, ty wezmiesz Marie i przejdiesz na drug   stron   strumyka. H  l  ne i ja zostaniemy tu i zdejmujemy deski. W ten spos  b psy ci   nie wytropi  . My p  jdziemy na po  udnie wzd  u   rzeczkki i poci  gniemy je za sob  .

H  l  ne wydawa  o si   nagle,   e tonie.

- Nie! - zawo  a  . - Chc  ,   eby  my uciekali razem.

- Uspok  j si  ! - sykn  ł Edmond i spojrza   na Catherine. Siostra z powag   skin  ła g  ow  . W blasku ksi  czyca wydawa  a si   bardzo b  ada.

- Zaopiekuj   si   Marie - obieca  a cicho.

- Uwa  aj na siebie - powiedzia  ł Edmond. - Spotkamy si   u cioci Janine.

W oczach Catherine zab  l  sły   zy; H  l  ne dostrzeg  a je nawet w s  abym   wietle ksi  czyca.

- Tak, spotkamy si   u cioci Janine - potwierdzi  a   agodnie jej siostra.

Poca  lowali si   na po  egnanie. Catherine u  cisn  ła Edmonda i popatrzy  a mu w oczy.

- Przepraszam - powiedzia  a.

- Za co? - zapyta  .

- Za to,   e by  am taka g  upia. Chodzi o t   kradzie  . Nie mia  am racji.

Wbi   stop   w   nieg i spu  ci   wzrok.

- Zapomnij o tym - odrzek  ł. - Kiedy si   spotkamy w Saint-Nazaire, opowiemy sobie, kto co ukrad  .

Catherine u  miechn  ła si   przez   zy.

- Tak. Na pewno. Do widzenia, Edmondzie. Do widzenia, H  l  ne.

Nagle Edmond si  gn  ł do kieszeni i wcisn  ł co   w d  o  n siostry.

- Obr  czka *maman* - szepn  ł. - Tobie mo  e by  c bardziej potrzebna ni   nam.

Kiwnęła głową i ze łzami w oczach, delikatnie tuląc do siebie Marie, ostrożnie przeszła przez kładkę. Stała po drugiej stronie, patrząc, jak Edmond i Hélène mocowali się z deskami. Potem chłopiec podniósł je i przerzucił na przeciwległy brzeg. Znalazł jakąś gałąź i starannie wygładził śnieg w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się kładka.

Nikt by teraz tego nie zauważył. A ślady Edmonda i Hélène poprowadzą Niemców brzegiem strumyka. Catherine i Marie chwilowo były bezpieczne. Niewiele, ale dobre i to na początek.

Edmond wyprostował się i rzucił gałąź. Przez chwilę, razem z Hélène, patrzył na Catherine. Wyglądała jak Madonna ze swym Dzieciątkiem podczas ucieczki do Egiptu. Hélène uniosła dłoń i pomachała siostrze. Catherine z powagą powtórzyła ten pożegnalny gest. Potem Edmond i Hélène pobiegli szybko wzdłuż strumyka, kierując się na południe.

Hélène pociągnęła nosem i otarła dłonią łzy, przesłaniając jej oczy. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy Catherine i Marie.

Rozdział 9

Pół godziny później zorientowali się, że nikt ich nie ściga. Hélène nie słyszała już ujadania psów. Światła latarek zniknęły; kiedy spoglądała do tyłu, widziała tylko ciemną, dziwnie spokojną noc. Było oczywiste, że Niemcy już za nimi nie idą. Ucieszona Hélène trąciła Edmonda w ramię.

- Nie ma ich! - zawołała. - Spójrz za siebie!

Zatrzymał się i odwrócił.

- Coś takiego! - powiedział zaskoczony.

Zrobili sobie krótki odpoczynek. Hélène oparła się o pień sosny i spojrzała na brata.

- Może dali za wygraną? - spytała z nadzieją. Edmond odwrócił się do niej i potrząsnął głową.

- Mała szansa - odrzekł stanowczo. - Oni tak łatwo się nie poddają. Szczególnie po tym wszystkim, co z nami mieli.

W umyśle dziewczynki zabłysło straszne podejrzenie. Przerazona Hélène zerwała się na równe nogi i spojrzała na brata.

- Nie sądzisz chyba, że oni... - Nie mogła skończyć zdania. Ta myśl była zbyt okropna, aby wypowiedzieć ją głośno.

Twarz Edmonda pokrył nagły cień.

- Zastanawiasz się, czy nie poszli za Catherine zamiast za nami - powiedział cicho. Hélène kiwnęła głową.

- Nie umiem na to odpowiedzieć. Wydawało mi się, że powinna być bezpieczna. Myślę, że dobrze zatarliśmy ślady.

- Możliwe, że zaczęli coś podejrzewać - zauważyła Hélène. - Od gospodarstwa Sorelów szli za potrójnymi śladami, a przy strumieniu jedno zniknęły. Nie uważasz, że mogli przeszukać okolicę?

- Teraz wydaje mi się, że to możliwe - odrzekł cicho Edmond. Kopnął pień czubkiem buta. - Ale może wrócili po konie. Albo zdecydowali się przerwać pościg z powodu ciemności. A rano będą szukać dalej i złapią nas. Nasze ślady nie znikną w ciągu jednej nocy. - Uśmiechnął się ponuro. - Będą widoczne jeszcze przez wiele dni.

- Więc co zrobimy?

- Przechytrzymy ich. Nie zostawimy ani śladów, ani zapachu dla psów.

Hélène spojrzała na niego nieufnie.

- Jak?

- Pójdziemy wzdłuż tego strumyka. Miejmy nadzieję, że wpada do większego. Takiego, który płynie szybciej i nie zamarza. Wtedy musimy iść jego korytem. W ten sposób całkowicie ich zmylimy.

- Brrr.... - Na samą myśl o tym Hélène przeszedł dreszcz. - Tylko czy woda nie będzie zbyt zimna?

- Będzie lodowata - odparł Edmond. - Ale to nasza jedyna szansa. - Szturchnął ją żartobliwie w bok. - Lepiej już chodźmy.

Ruszyli dalej. Minęli wprawdzie kilka strumyków, ale dopiero po trzech godzinach zobaczyli taki, który był pokryty lodem tylko przy brzegach. Hélène z obawą wpatrywała się w wodę.

Zawsze pomysłowy Edmond znalazł jakiś kij i sprawdził głębokość rzeczki. Okazało się, że jest dość płytka. Potem rzucił kij do strumienia. Kawałek drewna szybko popłynął z prądem.

Chłopiec kiwnął głową i wziął siostrę za rękę.

- Nurt jest dość silny - uprzedził ją. - Lepiej, żebyś się mnie trzymała, bo może cię przewrócić.

- Będę uważać - zapewniła go.

Powoli weszli do wody. Hélène podążała ostrożnie za bratem. Jęknęła i z całej siły zacisnęła wargi, żeby nie krzyknąć. Myślała, że nagle odcięto jej stopy. Sekundę później już ich nie czuła. Pomyślała, że może to i lepiej.

Edmond rozumiał jej udrękę.

- Wytrzymaj chwilę - powiedział łagodnie. - Nie zostaniemy w wodzie ani sekundy dłużej, niż to konieczne.

Wydawało jej się, że ta wędrówka korytem strumienia trwała całą wieczność. Kilka razy Hélène poślizgnęła się na kamieniach i tylko pomoc brata ocaliła ją przed kąpielą w lodowatej wodzie.

Kiedy dotarli do niskiego drewnianego mostka, Edmond przystanął.

- Przytrzymaj się czegoś - polecił. - Muszę cię puścić, bo chcę się rozejrzeć.

Hélène objęła ramionami oblodzony słupek. Patrzyła, jak brat usunął z krawędzi mostu kilka sopli, a potem podciągnął się w górę. Rozejrzał się szybko i ponownie zsunął do wody. Dziewczynka spojrzała na niego pytająco.

Edmond uśmiechnął się.

- To jakaś boczna droga - powiedział. - Ostatnio jednak przechodziło tędy parę osób. To dobrze, bo nasze ślady nie będą rzucać się w oczy. Chodź.

Wyszli z wody i Edmond zaczął się wspinać na stromy, pokryty śniegiem brzeg. Hélène ruszyła za nim. Palce miała całkiem zdrtwiałe, ale próbowała się chwytać zamrzniętych chwastów, żeby nie spaść. Kiedy już czuła, że nie da rady wejść wyżej, brat złapał ją za ramiona i wciągnął na górę.

Cieszyła się, że wyszli ze strumienia, ale teraz była jeszcze bardziej przemarznięta. Zapewne dlatego, że wróciło jej czucie w nogach. Buty nasiąkły wodą, pończochy były całkiem przemoczone. Dziewczynka szczykała zębami z zimna.

Edmond rozejrzył się dookoła. Dzięki Bogu, że świeci księżyc, pomyślała Hélène. Znowu był ich sprzymierzeńcem. Bez niego nie zdołaliby nic zobaczyć.

- Nie wolno nam tracić czasu - ponaglił ją Edmond. - Musimy znaleźć jakieś miejsce, żeby rozpaść ogień i wysuszyć ubranie. Inaczej dostaniemy zapalenia płuc.

Rozdział 10

Zdarzyło się to siedem dni po tym, jak uciekli z płonącego domu. Wstał świt, zrobiło się już jasno. Ostre powietrze porażało lodowatym chłodem. Hélène czuła, że nos jej zamarza, a uszy zmieniają się w bryłki lodu i zaraz odpadną. Niemcy nie dawali o sobie znać. I nagle po prostu się pojawili. Gałęzie sosen zaszeleściły i zza drzew wysunęli się żołnierze z karabinami w dłoniach. Otoczyli dzieci ciasnym kręgiem. Jeden z Niemców Obszukał szybko oboje, sprawdzając, czy nie mają broni. Potem warknął coś i wrócił na swoje miejsce.

Przerażona Hélène spojrzała na Edmonda. Dał jej znak, żeby była cicho i wykonywała polecenia żołnierzy.

Poprowadzono ich do najbliższej szosy. Stały tam cztery ciężarówki z brezentowymi budami. Niemcy wpełnęli ich do trzeciej. Za nimi wspięli się uzbrojeni strażnicy.

W ciężarówce były dwie długie drewniane ławy. Usiedli na jednej, a strażnicy zajęli miejsca naprzeciwko. Marzli teraz bardziej niż wtedy, kiedy szli. Hélène zaczęła rozcierać dłońmi ramiona, próbując się rozgrzać.

Zawarczał silnik, ciężarówka zakołysała się i pojechali. Szosa była pełna dziur, więc Hélène i Edmond cały czas wpadali na siebie.

Dziewczynka spojrzała na brata.

- Czy myślisz... - zaczęła.

Szturchnął ją natychmiast, żeby umilkła.

- Mogą rozumieć francuski! - syknął. - Uważaj, co mówisz!

- Cisza! - szczebkał ochryple jeden ze strażników.

Edmond uśmiechnął się leciutko i dziewczynka widziała że był zadowolony, gdyż przynajmniej udało mu się ją ostrzec. Wyglądał zabawnie z krótkimi poszarpanymi, sterczącymi na wszystkie strony włosami. Ona musiała wyglądać równie dziwnie. Poobcinali sobie włosy z powodu wszy.

Kiedy przejechali kilka kilometrów, Edmond oparł głowę na kolanach. Hélène usłyszała, że brat śpiewa coś cicho. Silnik warczał tak głośno, że ledwie mogła rozróżnić poszczególne słowa. Na początku nie zwracała na nie uwagi, potem nagle zrozumiała, że piosenka Edmonda jest przeznaczona dla niej, że brat chce jej coś powiedzieć.

Dobrze znała tę melodię, ale słowa były inne:

Jesteśmy biedne dzieci z małej wioski Saumur.

Nie znamy Paryża, byliśmy tylko w Tours.

Powtarzaj tę bajeczkę, a jeśli się domyślasz,
że kłamiesz, idź w zaparte, choćbyś się miała zachłysnąć.

Nasz tata uprawiał grzyby w głębokiej ciemnej jaskini
nim zmarł; a nasza mama spoczywa tuż przy nim.

Nie mamy siostry ni brata, bo sam Bóg ich wziął.

Nazywasz się Eloise, a ja Henri Goyon.

Gdyby cię bić zaczęli albo śmiercią grozili,
udawaj, szaloną, wrzeszcz i płacz, by ci uwierzyli.

A gdyby portret siostry Niemcy ci pokazali,
milcz jak kamień i nie drgnij, bo tak jej życie ocalisz.

Cokolwiek by się stać miało, siostró moja mała,

Daj mi zaraz kuksańca, na znak że mnie zrozumiałaś.

Szturchnęła go mocno w bok, a wtedy Edmond przestał śpiewać i usiadł prosto. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo, a Hélène posłała bratu leciutki uśmiech. Tak, zrozumiała.

Nazywam się Eloise Goyon, a to mój brat Henri, powtarzała sobie w myślach. Catherine i Marie nie są moimi siostrami. *Papa* i *maman* nie żyją. Tata hodował pieczarki

w jaskini, takiej jak ta, w której spędzili ostatnią noc. A jeżeli Niemcy zaczną mnie bić, tak jak biedną *maman*, mam udawać wariatkę albo płakać i wrzeszczeć. To nie będzie trudne, Michelle często narzekała na moje napady złego humoru.

Wyglądali przez odkryty tył budy, ale widzieli jedynie następną ciężarówkę i czarne szkielety drzew wzdłuż szosy. Raz, kiedy skręcali, dostrzegli w przelocie zamarznąłą rzekę. Z jej wielkości wywnioskowali, że to nie mogła być Loara, tylko jeden z mniejszych dopływów. Potem nagle dotarli do głównej kwatery Niemców. Hélène zachwycała się starym zamkiem. Ależ oczywiście, pomyślała, naziści zawsze biorą sobie to, co najlepsze. Jak na przykład ten piękny zamek wzniesiony nad rzeką o brzegach porośniętych wierzbami.

Stara budowla z białego kamienia wznosiła się dumnie nad zamarznąłą wodą. Hélène podziwiała narożne wieżyczki, masywne gzymsy, machikuły i długie podwójne okna przedzielone kamiennymi słupkami. Małe okrągłe okienka ozdabiały zielone mansardowe dachy, z których sterczały liczne kominy.

Ten zamek był tak samo piękny jak przed wiekami, chociaż teraz Niemcy odcisnęli na nim swoje piętno. Część włoskich ogrodów zrównano z ziemią i przekształcono w ohydne parkingi. Po obu stronach schodów wiodących do głównego wejścia stali sztywno wartownicy w szarych mundurach. Olbrzymie flagi zwisały z murów. Królowała na nich wszechobecna swastyka i podwójne SS o ostrych kształtach.

Hélène miała się dopiero dowiedzieć, co znaczą te dwie litery.

Burta ciężarówki opadła z trzaskiem i jeden ze strażników szturchnął ich karabinem. Edmond i Hélène zeskoczyli na ziemię. Poprowadzono ich po szerokich, marmurowych schodach, a dwaj wartownicy otworzyli wielkie rzeźbione drzwi.

Edmond i Hélène weszli do ogromnej sali z wysokim sklepieniem. Żadne z nich nigdy przedtem nie widziało tak wspaniałego wnętrza. Ale był to zimny luksus. Pałac nie miał centralnego ogrzewania, tylko olbrzymie, niedające ciepła kominki. Dziewczynka rozejrzała się wokół zafascynowana, podziwiając malowane drewniane belki, stare gobeliny na ścianach, eleganckie meble z jedwabną tapicerką i błyszczący parkiet. Do tych pięknych rzeczy zupełnie nie pasowało brzydkie, funkcjonalne wyposażenie, niezbędne w

wojskowym biurze. Metalowe szafki i sieć kabli telefonicznych stanowiły absurdalny dysonans w stosunku do wytwornego złoconego drewnianego biurka.

Żołnierze eskortujący dzieci wyprężyli się na baczność i sztywno zaszalutowali łysemu oficerowi z monoklem w oku. Nastąpiła krótka wymiana zdań po niemiecku, ale Hélène nic nie zrozumiała. Po chwili oficer kiwnął głową, podniósł słuchawkę telefonu i cicho coś powiedział. Chwilę później pojawił się młody jasnowłosy Niemiec. Podpisano i wymieniono jakieś dokumenty i ci, którzy ich przyprowadzili, wyrzucili do przodu prawe ręce.

- *Heil Hitler!* - zawołali chórem.

Oficer niedbale machnął ręką, odwzajemniając pozdrowienie.

- *Heil Hitler!* - mruknął obojętnie.

Dwaj żołnierze odwrócili się jednocześnie i wymaszerowali.

Teraz przejął ich jasnowłosy młody Niemiec. Poprowadził Edmonda i Hélène przez zamek. Minęli imponujące schody z rzeźbioną balustradą, skręcili w prawo w ponury korytarz, a potem ruszyli na dół po znacznie mniej wytwornych stopniach, które niewątpliwie prowadziły do pałacowych podziemi.

Zamknięto ich w okrągłej brudnej izbie, która najprawdopodobniej znajdowała się w jednej z narożnych wież. Wilgotna i zimna piwnica nie miała okien, śmierdziało tu stęchlizną. Jaskrawe, rażące w oczy światło pojedynczej żarówki zwisającej z sufitu rozjaśniało białe zagrzybione ściany.

Najgorsze jednak ze wszystkiego było oczekiwanie. Hélène i Edmond siedzieli tu już pół dnia. Wskazano im twardą drewnianą ławę naprzeciwko wielkiego stołu, za którym stało krzesło przykryte gobelinem i wyglądające na bardzo stare. Dziewczynce strasznie chciało się do łazienki, ale ilekroć o tym mówiła, strażnik patrzył na nią niewidzącym wzrokiem. Pomyślała, że nie znał francuskiego.

Za każdym razem, gdy za drzwiami rozlegały się czyjeś kroki, Hélène podnosiła głowę, pełna nadziei i strachu. Nadziei, że może ktoś przyjdzie, aby ich uwolnić; strachu, że równie dobrze może to być początek końca. Ale ten ktoś zawsze mijał ich celę, a potem otwierały się i zamykały jakieś inne drzwi na korytarzu.

Podniosła wzrok chyba po raz setny. Znowu usłyszała głosy i kroki na zewnątrz. Potem nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem, a strażnik poderwał się na równe nogi. Do piwnicy weszło dwóch Niemców w szarych mundurach. Za nimi maszerował trzeci, chyba mniej ważny; był gruby i miał czerwoną twarz. A za nim...

Hélène otworzyła szeroko oczy ze strachu. Czuła, że cała się trzęsie. Edmond trącił ją łokciem, ostrzegając, by zachowała spokój. Próbowwała opanować panikę i udawać spokojną. Ale jak długo jej się to uda? Była chora z przerażenia.

Chora, ponieważ Niemiec w nieskazitelnym czarnym mundurze i czarnych, lśniących, wysokich do kolan butach okazał się aż nazbyt znajomy. Jego okrutna długa i wąska twarz przypominająca trupa czaszkę wyryła się w pamięci Hélène. Wargi miał blade, bez kropli krwi, a skórę białą i przezroczystą. Podbródek przecinała szrama. Daszek nisko zsuniętej czapki zasłaniał mu oczy, ale Hélène mogła je przelotnie dojrzeć. Z owych diabelskich oczu biło okrucieństwo.

To on pluł w twarz *maman*.

To on powiedział swoim ludziom: „Pokażcie jej, jak karzemy kłamców i zdrajców”.

Był ucieleśnieniem zła.

Wszedł do pokoju i rozejrzał się wokół, osłaniając oczy palcami. Zrobił gwałtowny ruch ręką w kierunku żarówki pod sufitem.

Gruby sierżant wyprostował się gwałtownie, wypchnął pierś do przodu i wciągnął brzuch.

- *Zu befehl, Herr Obersturmbannführer!* - wykrzyknął. Natychmiast przycisnął pulchnymi palcami wyłącznik i w izbie zrobiło się ciemno.

Teraz wpadało tu tylko światło z korytarza. Na jego tle Niemcy wyglądali jak mroczne demony z piekła rodem. Stali, rzucając groteskowe cienie na kamienną posadzkę. Łatwo było sobie wyobrazić, że niesamowite żółte światło spod drzwi to odbłask piekielnych ogni.

Sierżant z czerwoną twarzą wyszedł spieszenie i zniknął w korytarzu, stukając głośno obcasami wysokich butów. Po chwili wrócił, niosąc lampę, zapewne jedyną, jaką udało mu się tak szybko znaleźć. Miała podstawę z połączanego brązu, przypominającą kształtem wielkie strusie jajo, abażur zaś był z jedwabiu. Sierżant ustawił ją szybko na

wysokim stole i podłączył do gniazdka. Przez jedwabny abażur sączyło się delikatne światło. W tej ponurej izbie był to raczej dziwaczny widok.

Oficer o białej twarzy usiadł na przykrytym kobiercem krześle, zakładając nogę na nogę, a tamci stanęli sztywno pod ścianą. Ponownie machnął dłonią rozkazująco. Natychmiast zbliżył się doń sierżant i usłużnie podał mu kartkę.

Blady oficer ujął papier i oglądał go uważnie. W świetle lampy Hélène dojrzała od spodu, na co tak patrzył. Wstrzymała oddech. Z drugiej strony arkusika prześwitywały trzy portreciki. Szkice wykonane przez Gisele.

Edmond również zobaczył rysunki. Dotknął stopy siostry, próbując dodać dziewczynce otuchy.

Różowe oczy Niemca przesuwają się od szkiców do dzieci i z powrotem. Na białej twarzy mężczyzny odbiło się niezadowolenie i wahanie.

Odwrócił się i spojrzał na sierżanta.

- *Es könnte diese Kinder sein* - powiedział. - *Ich weiss nicht. Jeder, der Sie gesehen hat, hätte diesen Gleichnisse geschworen. Aber* - ze złością potrząsnął kartką - *Ich bin nicht zufrieden.* - Spojrzał zimno na sierżanta. - *Schmidt! Holt das Mädchen!**

- *Jawohl, Herr Obersturmbannführer.* - Sierżant stuknął obcasami i jeszcze raz wybiegł z piwnicy.

* To mogą być te dzieci. Nie wiem. Każdy, kto je widział, twierdził, że rysunki uchwyciły podobieństwo. Więc nie jestem zupełnie przekonany. Schmidt! Przyrowadzić tu tę dziewczynę! (niem.)

Schmidt, powtórzyła w myślach Hélène. To musi być nazwisko sierżanta.

Oficer o białej twarzy przesunął po niej uważnym wzrokiem. Potem wysunął palec w rękawiczce w stronę Edmonda.

- Jak się nazywasz? - odezwał się po francusku z okropnym akcentem, który Hélène tak dobrze pamiętała.

- Henri Goyon - odpowiedział spokojnie Edmond. Jego głos brzmiał całkiem normalnie, ale Hélène czuła, jak bratu zadrżały nerwowo kolana.

Palec Niemca nagle przesunął się na nią. Różowe oczy wpatrywały się teraz bacznie w Héléne.

- A ty jak się nazywasz?

- Eloise Goyon - odpowiedziała z godnością. Niemiec odchylił się w tył i splótł dłonie. W zamyśleniu lustrował Héléne od stóp do głów.

- Gdzie mieszkasz, Eloise Goyon? - zapytał zimno.

- W Saumur.

- Gdzie jest wasza matka?

Dziewczynka pociągnęła nosem.

- *Maman* nie żyje.

- A ojciec?

- Też nie żyje.

- Co robił?

- Pracował pod ziemią.

Niemiec spojrzał na nią ostro.

- Był w podziemiu?

- Nie, *monsieur* - wtrącił się Edmond. - Pracował w jaskini.

Różowe oczy zmrużyły się podejrzliwie i Héléne niemal czuła bijące z nich okrucieństwo.

- W jaskini?

- *Oui, monsieur* - potwierdziła. - *Papa* uprawiał pieczarki. O, takie jak ta. -

Odruchowo sięgnęła szybko do kieszeni po jeden z grzybów, które znaleźli dwa dni temu, i wyciągnęła go w kierunku oficera.

Niemiec zmarszczył nos i machnął ręką, każąc Héléne zabrać pieczarkę. Potem odwrócił się i spojrzał na tamtych dwóch, którzy z nim przyszli. Obaj skulili się pod ścianą, widząc jego niezadowolenie. Héléne modliła się, aby oficer uznał w końcu, że tylko traci czas. Może uda im się go przekonać, że nie są tymi, których szuka. Zwłaszcza że szkice ich dwojga nie były zbyt wierne. W dodatku teraz mieli zupełnie inne fryzury.

Po chwili z korytarza dał się słyszeć odgłos kroków dwóch osób. Widocznie ten sierżant prowadzi kogoś do piwnicy, pomyślała Hélène. Ciekawe kogo.

Stukot kroków rozlegał się coraz bliżej.

- *Mach's schnell**! - krzyczał do kogoś Schmidt.

- Przecież już idę! - odpowiedział cichy głos.

Serce dziewczynki gwałtownie załomotało. Rozpoznała ten głos.

* *Idź szybciej!* (niem.)

To Catherine.

A więc i ją złapali! Hélène zamarła, zdając sobie sprawę z tego, co teraz nastąpi. Niczego niepodjęwajęca Catherine wejdzie do piwnicy i zarzuci im obojgu ręce na szyję. W ten sposób wyda ich Niemcom. Będzie to pocałunek Judasza. Pomimo całej miłości.

Cicho, tak bardzo cichutko, że ledwie można go było usłyszeć, Edmond zaczął nucić tę samą melodię co wcześniej, w ciężarówce.

Próbował coś powiedzieć. Ale co? Hélène zastanawiała się gorączkowo. Nagle przypomniała sobie słowa tamtej piosenki:

A gdyby portret siostry Niemcy ci pokazali, milcz jak kamień i nie drgnij, bo tak jej życie ocalisz.

Nagle zrozumiała. Mówił jej, że mają się wyprzeć Catherine. Nie wolno im okazać, że ją znają. Hélène spojrzała z wahaniem na drzwi, a serce ścisnęło jej się z bólu. Musiała udawać, że to ktoś obcy, a nie jej najstarsza siostra!

Hélène czuła się okropnie. Pragnęła wybiec na korytarz i uściskać Catherine. Ale okoliczności wymagały, by się od niej odwrócić, zaprzeczyć, że łączą ich więzy krwi.

A jeżeli nawet tak zrobi, czy to pomoże? Hélène i Edmond mogli twierdzić, że jej nie znają, ale przecież Catherine ich rozpozna.

Hélène nie mogła się dłużej zastanawiać, bo tamci stanęli pod drzwiami piwnicy. Sierżant pchnął Catherine i dziewczyna znalazła się w środku.

Rozdział 11

Hélène ze wszystkich sił starała się zachować spokój. Zebrała się na odwagę i z obojętnym wyrazem twarzy spojrzała na siostrę. To była Catherine, ale dziwnie zmieniona. Wynędzniała i blada, włosy miała związane sznurkiem. Wydawała się jakby nieprzytomna, załamana i obojętna. Miała martwe oczy i pochylone ramiona. Przyciskała do piersi malutką Marie.

- Patrz! - odezwał się urągliwie blady oficer. - Mamy twoje rodzeństwo!

Catherine odwróciła się i spojrzała na Hélène. Dziewczynka zauważyła na jej palcu obrączkę *maman*. Wydawało się, że w oczach najstarszej siostry na moment pojawił się błysk, ale trwało to tak krótko, że Hélène mogła się mylić.

- Kto to jest? - wymamrotała apatycznie Catherine.

- Nie poznajesz? - zapytał oficer. Obojętnie pokręciła głową.

- Nie - wyszeptała chrapliwym głosem. - A powinnam?

- To znaczy, że nigdy wcześniej ich nie widziałaś? Znowu pokręciła głową.

W różowych oczach Niemca błysnął gniew.

- Jeżeli się okaże, że kłamiesz, umrzesz. Wiesz o tym?

- Wiem - odpowiedziała cicho.

- I to nie oni?

Na twarzy Catherine nie widać było żadnych emocji.

- Nie. Już to mówiłam.

- Nie wierzę ci! - warknął oskarżycielskim tonem oficer.

Dziewczyna ze smutkiem wzruszyła ramionami.

- Możecie mi wierzyć albo nie - powiedziała zmęczonym głosem. - Nic mnie to już nie obchodzi.

Niemiec odetchnął głośno. Podniósł się powoli i podszedł do Hélène. Chwyił ją za kołnierz i szarpnął na nogi. Potrząsnął nią brutalnie.

- Czy to twoja siostra?

Hélène spojrzała na Catherine i pokręciła głową. Nagle oficer uderzył ją mocno w twarz. Dziewczynka jęknęła z bólu, zachwiała się i omal nie upadła na stół. Dotknęła dłonią nos i wyczuła palcami coś wilgotnego. Krew.

Niemiec spojrzał na Catherine.

- Dalej ich nie rozpoznajesz? - wrzasnął.

- Nie - upierała się.

Uderzył Hélène ponownie. Tym razem upadła na kamienną posadzkę i przez chwilę leżała, płacząc cicho. Kiedy Niemiec odwrócił głowę, Edmond pochylił się, by pomóc jej wstać.

Tamten sięgnął do kieszeni i wyjął złotą papierośnicę, a z niej papierosa. W zamyśleniu postukiwał nim w grawerowane wieczko. Sierżant rzucił się usłużnie, by podać ogień.

Oficer z białą twarzą zaciągnął się głęboko dymem, wpatrując się z uwagą w Catherine.

- Połóż dziecko! - rozkazał.

Przez chwilę rozglądała się za jakimś miejscem, gdzie mogłaby ulokować małą.

- Na stole!

Zawahała się, a potem ostrożnie położyła siostrzyczkę na blacie. Szepnęła coś do niej cichutko i czule pogładziła maleństwo po główce.

- Odsuń się!

Uśluchała niechętnie; w jej oczach pojawiło się przerażenie. Oficer podał papierosa sierżantowi i wskazał na Marie. Catherine aż się zachłysnęła.

- Nie! - krzyknęła. - Nie! Proszę! - Chwyciła go za rękaw i szarpnęła z rozpaczliwą odwagą. - Błagam pana!

Oficer wyszarpnął rękę i uderzył Catherine mocno w twarz. Na białym policzku wyraźnie odbił się ślad jego dłoni. Odwrócił się do Hélène i Edmonda, a z jego zimnych oczu biło okrucieństwo. Uśmiechnął się ponuro, a potem spojrzał na sierżanta.

- *Jetzt!** - rozkazał.

* No już! (niem.)

Hélène patrzyła z przerażeniem, jak Schmidt rozpinał maleńkie ubranko Marie. Powoli przyłożył rozżarzony koniec papierosa do jej brzuszka i mocno przycisnął. Marie wydała z siebie przeraźliwy pisk i zaczęła rozpaczliwie machać nóżkami. Jej krzyki rozbrzmiewały coraz głośniejsze, odbijając się echem od ścian piwnicy. Dwaj oficerowie stojący pod ścianą odwrócili głowy. Po białej twarzy Catherine spływały wielkie łzy.

Właśnie wtedy Hélène przysięgła sobie w duchu, że jeśli tylko zdoła się stąd wydostać, okrutne bestie zapłacą kiedyś za to, co zrobili. Już ona urządzi to tak, że będą płacić i płacić do końca swoich dni. Nie wiedziała jak. Nie wiedziała kiedy. W ogóle niewiele teraz wiedziała; znała tylko nazwisko sierżanta. To na początek.

- Proszę! - błagała Catherine. - Zostawcie ją! Z bladych warg oficera zniknął uśmiech.

- Więc jak? Potwierdzasz, że to twoje rodzeństwo? Hélène wstrzymała oddech, wpatrując się w siostrę.

Wydawało się, że Catherine odchodzi w swój własny świat, ale jej głos brzmiał stanowczo.

- Ile razy mam powtarzać? To nie oni.

Blady oficer ze złością uderzył dłonią w stół przewracając lampę. Marie wrzasnęła znowu. Abażur ochronił żarówkę przed stłuczeniem, ale teraz świeciła Niemcowi prosto w oczy.

Odwrócił się od stołu i skinął na sierżanta, by się odsunął. Potem spojrzał na Edmonda i Hélène.

- Wypuścić ich! - warknął po francusku, wskazując oboje.

Hélène spojrzała na siostrę. W oczach Catherine na sekundę błysnął wyraz triumfu i natychmiast zgasł.

- I chcę natychmiast mieć nazwiska tych idiotów, którzy ich przyprowadzili - dodał Niemiec podniesionym tonem. - Wysłać ich na front wschodni!

Schmidt odchrząknął i spojrzał pytająco na swojego zwierzchnika, wskazując na Catherine.

- Dziewczynę i dziecko potraktować jak zwykle - odparł poirytowany oficer. - Niech jadą najbliższym transportem do Polski.

Wyraz twarzy Catherine nie uległ zmianie, ale jej ramiona nie opadały już bezsilnie. Stała wyprostowana, pełna cichej godności. Była to ta sama postawa, którą Hélène często widywała u matki. *Maman* byłaby z niej dumna.

W następnej chwili Niemiec o białej twarzy wypadł wściekły z piwnicy, tak jakby nie chciał stracić kolejnej cennej sekundy.

Schmidt został chwilę dłużej, podszedł do Catherine i wziął ją za ramię, a ona kiwnęła lekko głową.

Tylko Hélène zauważyła, że siostra zdjęła obrączkę *maman* z palca. Kiedy pochyliła się, by podnieść Marie, szybko wsunęła złoty krążek pod abażur wywróconej lampy.

Na chwilę oczy obu siostr się spotkały.

„Weź obrączkę”, zdawała się mówić twarz Catherine. Hélène nieznacznie kiwnęła głową.

Potem Catherine odeszła.

I znowu Edmond i Hélène szli przed siebie. Wiał silny wiatr, więc ciasno otulili się płaszczami. Nie wiedzieli, gdzie są. W okolicy było pełno pagórków, porośniętych lasem. Chociaż przypuszczali, że znajdują się gdzieś blisko Loary, nie mogli nigdzie dojrzeć rzeki. Zbliżał się zmierzch i niebo jaśniejące między drzewami zmieniało swoją błękitną barwę na fiolet. Musieli szybko znaleźć schronienie na noc.

Tym, co dodawało siły Hélène, była nienawiść. Pragnęła kiedyś móc odpłacić łotrom, którzy zniszczyli jej rodzinę. Którzy katowali *maman* i Marie. Postanowiła się zemścić, nawet gdyby miało to trwać całe lata. Była przecież młoda, mogła poczekać.

Schmidt, powtarzała sobie w myślach. Nie wolno jej zapomnieć tego nazwiska. Gruby, sierżant Schmidt z czerwoną twarzą. Od niego zaczniesz. Potem odszuka tego bezli-tosnego białego oficera. Będzie cierpiał bez końca.

Myśli o zemście były słodkie. Teraz tylko z nich mogła czerpać siły, tylko te marzenia pozwalały jej przetrwać.

Kiedy wyprowadzono ich z zamku, odczekała, aż znajdą się poza zasięgiem wzroku, i dopiero wtedy oddała Edmondowi obrączkę *maman*. Wyjaśniła mu, że Catherine wsunęła ją pod abażur, a potem Hélène udało się zabrać złote kółeczko, nie będąc widzianą. Chłopiec zacisnął gwałtownie dłoń na małym krążku, a potem powoli

unosił palec za palcem, patrząc na ich skarb, tak jakby się bał, że obrączka może w każdej chwili zniknąć. Wreszcie podniósł ją do ust i ucałował.

Później twarz mu spochmurniała. Zamachnął się gwałtownie i rzucił obrączką daleko przed siebie. Złoto błysnęło raz jeszcze, zanim znikło w odległych zaroślach.

Edmond opadł na kolana i przycisnął twarz do zamarzniętej ziemi. Trząśnięcie się i szlochał głośno. Hélène stała bezsilna, nie umiejąc mu pomóc. Po jej policzkach spływały łzy. Zastanawiała się, co zrobiła źle.

Gasły już ostatnie światła dnia, gdy zobaczyli przed sobą długą wąską polankę. Przebiegała tędy linia kolejowa. Hélène i Edmond ruszyli wzdłuż szyn i spędzili noc ukryci w opuszczonej zimnej szopie. Usiedli na jakichś walających się narzędziach i zjedli kilka pieczarek. Były zmarznięte i kaleczyły dziąsła, ale po dokładnym pogryzieniu dało się je połknąć. W każdym razie wypełniły nieco pustkę w żołądku. Potem oczyścili część podłogi, zrobili sobie legowisko z jakichś starych szmat i kawałków brezentu i zasnęli przytuleni do siebie.

Nie był to spokojny sen. Kiedy tylko Hélène przymknęła oczy, zaatakowały ją koszmarnie wizje. Zobaczyła Paryż, ale nie ten, który знаła. Miała przed sobą groteskowy, koszmarny obraz miasta, w którym dzwonnica Sacré Coeur przypominała czarny ponury minaret, a mosty gdzieś zniknęły. Rozległy otwarty Place Vendôme stał się przerażająco wąski i ciemny jak jakiś średniowieczny zaułek, a Lasek Buloński wypełniały zdradzieckie skały i monstrualne drzewa z potężnymi, powyginanymi korzeniami. Potem w jej śnie pojawiło się Saint-Nazaire, bardzo dziwne, bo wyglądało jak piękny Paryż, który pamiętała. A potem rozległ się okropny hałas. Ziemia i budynki zadrżały, a całe Saint-Nazaire zawaliło się gwałtownie. Hélène obudziła się nagle zlnana potem.

Była ciemna noc i po torach przejeżdżał z hukiem pociąg. Więc to dlatego widziała we śnie trzęsienie ziemi. Szopa nadal drżała. Hélène podniosła się, otworzyła drzwi i wyjrzała. Owiało ją lodowate powietrze. W czarnej jak smoła nocy ulatywały w niebo tysiące czerwonych iskier. Ta piekielna wizja tak bardzo przeraziła Hélène, że dziewczynka zamknęła szybko drzwi, ułożyła się obok brata i zakryła oczy dłońmi. Nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła. I koszmar pojawił się znowu.

Tym razem otaczała ją czarna, rozległa przestrzeń. Dookoła widziała unoszące się wysoko czerwone iskry. Potem zorientowała się, że się poruszały... powoli leciały w jej stronę. Kiedy znalazły się blisko, spostrzegła swoją pomyłkę. Nie były to iskry, tylko oficerowie niemieccy o białych twarzach, którzy wymachiwali rozżarzonymi papierosami. Patrzyła przerażona, jak ku niej biegli. Im byli bliżej, tym większe ciepło czuła od ich papierosów. Próbowwała się odsunąć, ale otoczyli ją ciasnym kołem. Byli coraz bliżej i bliżej.

I nagle runęli do przodu: gorący popiół papierosów parzył jej skórę i wypalał głębokie dziury.

Zaczęła wrzeszczeć przeraźliwie, a wtedy usłyszała głos Edmonda:

- Hélène! Obudź się! Obudź się! To tylko zły sen! - wołał.

Otworzyła oczy i przycisnęła się do brata, drżąc cała ze strachu. Edmond pogładził ją łagodnie po głowie. Nadchodził świt i niebo zrobiło się już szare.

Kiedy się uspokoiła, zjedli jeszcze kilka pieczarek. Potem powędrowali dalej wzdłuż torów. Nie mieli pojęcia, dokąd idą. Wiedzieli tylko, że muszą się kierować na zachód. Ciągle na zachód. Kiedy słyszeli, że zbliża się pociąg, szybko schodzili w las, kryli się za drzewami i czekali, aż przejedzie. Hélène zauważyła, że w większości były to pociągi towarowe; długie sznury wagonów i platform wyładowanych jakąś potężną maszyną.

Po południu tory doprowadziły ich do stacji przeładunkowej na przedmieściach dużego miasta. Dostrzegli tablice z nazwą; teraz wiedzieli, gdzie są: w Angers.

Pośrodku placu przeładunkowego wznosiła się wysoka, brzydka wieża kontrolna. Olbrzymie okna u góry dawały rozległy widok na wszystkie strony. Od czasu do czasu Hélène mogła dostrzec sylwetki ludzi w środku. Byli to kolejarze kierujący ruchem pociągów.

Kiedy stanęli na odległym krańcu placu, płatanina szyn rozdzielała się właśnie na dwa pojedyncze tory. Edmond położył dłoń na ramieniu Hélène.

Przystanęła posłusznie i spojrzała na niego.

- A może byśmy tak wsiedli do któregoś pociągu? - zapytał z namysłem.

- To znaczy... pojechali nim?

- Tak. Trzeba tylko wybrać taki, który kieruje się na zachód, i dostać się do wagonu. Muszą się tu zatrzymywać, czekając na sygnał do dalszej drogi. Rozumiesz? - Wskazał długi pociąg towarowy, który właśnie przystanął. Mieli wrażenie, że lokomotywa zaraz uniesie się w powietrze na chmurze pary. Kiedy tak patrzyli, nastąpiła zmiana świateł i posapujący parowóz zaczął dalej ciągnąć swoje brzemie.

Hélène spojrzała na brata.

- Czy pociąg zabierze nas do Saint-Nazaire? - zapytała z nadzieją w głosie.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale na pewno kawałek nas podwiezie.

- A jeżeli gdzieś skręci i zboczymy w złym kierunku? Co wtedy?

- Będziemy musieli wyskoczyć.

Niecałą godzinę później znaleźli się w wagonie towarowym, do połowy wypełnionym olbrzymimi pakami. Drzwi były niedomknięte i przez szparę widzieli uciekający w tył krajobraz. Późnym popołudniem pociąg został skierowany na jakąś bocznice i tam się zatrzymał. Hélène obserwowała, jak dźwigi umieszczały na platformach olbrzymie stożkowate cylindry z szarego, ciemnego metalu, które od spodu miały jakieś gładkie elementy podobne do płetw rekina. Edmond wyjaśnił, że to bomby rakietowe. Wokoło pełno było umundurowanych Niemców. Niektórzy szli wolno wzdłuż pociągu, rozsuwali drzwi wagonów towarowych i zaglądali do środka.

- Idą w naszym kierunku - wyszeptał Edmond. - Musimy szybko wyskoczyć, zanim nas tu znajdą.

Ostrożnie rozsunął nieco drzwi po przeciwnej stronie i wyjrzał. Z tej strony pociągu nie było już następnych szyn. Strome, pokryte zaroślami wzgórze opadało prawie do torów. Ostrożnie wyskoczyli z wagonu i wdrapali się na górę. Przez chwilę wędrowali po zboczu, ale po kilkudziesięciu metrach zatrzymali się gwałtownie. Mieli przed sobą stromą krawędź opadającą gwałtownie w dół do wyschniętego, pokrytego ogromnymi głazami koryta rzeki. Nie mogli tędy zejść ani przedostać się na drugą stronę, aby ponownie wspiąć się na pionowe urwisko. Musieli znaleźć inną drogę. Jakies dwieście metrów dalej, po lewej stronie, ujrzeli dziwną konstrukcję, jakby most przerzucony nad

otchłanią. Porastały ją drzewa i krzewy, nadające całej budowli dziwaczny, nierealny wygląd.

- Co to jest? - zapytała Héléne.

- Akwedukt - wyjaśnił Edmond. - Rzymianie doprowadzali nimi *wodę do miast*.

- Biegnie na zachód - zauważyła.

Podeszli ku niemu. Kiedy znaleźli się bliżej, dziewczynka zamarła z trwogi. Z daleka akwedukt wydawał się wąski, ale mocny i stabilny. Z bliska sprawiał wrażenie, jakby miał się natychmiast zawalić. Brakowało licznych kamieni, wszędzie prześwitywały dziury, nie było żadnej balustrady - tylko nisko zawieszony łańcuch sięgający ledwie kostek Héléne. Kanał, którym kiedyś płynęła woda, teraz wypełniały śmieci z ziemią, z której wyrastały drzewa i krzewy.

Edmond odważnie wszedł pierwszy na wąską krawędź i ruszył przed siebie. Héléne ociągała się, spoglądając na brata z obawą. Akwedukt po prostu wisiał nad przepaścią; nie miał żadnych wsporników. Spojrzała w dół na wyschnięte koryto rzeki i szybko odwróciła wzrok.

To byłby długi lot.

Edmond odwrócił się ku niej.

- No? - spytał. - Na co czekasz?

- On... on jest strasznie wysoki - wyjąkała zakłopotana.

Popatrzył na nią przez chwilę bez słowa. Wreszcie odezwał się łagodnie:

- Jest bezpieczny - zapewnił ją. - Przecież stoi tu już ponad tysiąc lat. Niemożliwe, żeby właśnie teraz miał się zawalić. - Kiwnął ręką, wskazując, by siostra szła za nim. - Chodź.

Héléne niepewnie zrobiła kilka małych kroków i natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że jest gorzej, niż przypuszczała. Musieli szukać przejścia między gałęziami drzew i krzaków, a chwilami posuwali się po samej krawędzi akweduktu.

Nagle dziewczynka zatrzymała się w pół kroku. Zakręciło jej się gwałtownie w głowie. Nie mogła się ruszyć. Nigdy tędy nie przejdę, pomyślała przerażona.

Edmond odwrócił się ponownie.

- Na miłość boską, Hélène! - zawołał przez ramię. - Chodź! Nie chcesz dotrzeć do Saint-Nazaire?

To pomogło. Zmusiła się, by pokonać strach, i powoli ruszyła za bratem. Ręce miała wilgotne i cała była zlane potem. Nie wolno patrzeć w przepaść, powtarzała sobie raz po raz. Będzie dobrze, dopóki nie spojrzę w dół!

A więc patrzyła na plecy Edmonda i naśladowała każdy jego ruch. Kiedy brat omijał dziury w akwedukcie, obchodziła je tak jak on. Kiedy wdrapywał się na sterty gruzu, robiła to samo.

Wiał silny wiatr. Jego gwałtowne porywy, chwilami pozbawiały ich równowagi.

W końcu ostrożnie opadli na kolana i prawie pełzali. W pewnej chwili Hélène trąciła dłonią obluzowany kamień, który przeleciał przez krawędź. Po czasie, który wydał jej się wiecznością, rozległo się głucho uderzenie. Powoli poczołgała się dalej.

Byli w połowie drogi, gdy usłyszała stukot pociągu. Spojrzała pod wiatr i zobaczyła w oddali most kolejowy. Z tego miejsca wyglądał jak miniaturowy model zrobiony z maleńkich zardzewiałych kawałków drutu. Nagle pojawiła się na nim lokomotywa z wolna przesuwająca się po szynach. Zapewne był to ten sam pociąg, z którego wyskoczyli wcześniej. Ciągnął platformy wyładowane złowieszczą wyglądającymi cylindrami. Lokomotywa znajdowała się już w połowie mostu, a Hélène wciąż nie widziała ostatniego wagonu. Był to naprawdę długi pociąg.

Patrzyła nań, żałując, że nie znajduje się w środku. Wolałaby pokonać tę przepaść, siedząc bezpiecznie w wagonie, zamiast czołgać się po akwedukcie.

Jednak po chwili zmieniła zdanie.

Gdzieś w górze dał się słyszeć monotony warkot. Dziewczynka spojrzała w niebo. Spośród chmur wynurzył się samolot i pikował w dół prosto na most. Nagle z pociągu wyskoczyły małe figurki; był to chyba cały batalion Niemców. Hélène usłyszała ostre trzaski serii z pistoletów maszynowych i szczęk karabinów. Rozległ się przeraźliwy, złowieszczy gwizd.

- Padnij! - krzyknął Edmond. - Leż płasko i nie unosz głowy!

Zrobiła, co kazał, ale odwróciła twarz na bok, by widzieć most. Dostrzegła, jak z samolotu wypadł jakiś duży przedmiot. Cokolwiek to było, zdawało się leniwie unosić w powietrzu. Chwilę później Hélène zrozumiała, że to bomba.

Ta pierwsza nie trafiła w most i poleciała w przepaść. Ziemia zadrżała nagle, gdy w dole rozległa się potężna eksplozja. Gruz, ogień i dym uniosły się w powietrze. Hélène wrzasnęła. Pomimo huku wybuchu wyczuła drżenie akweduktu. Kamienie pod nią uniosły się i opadły. Wreszcie uspokoiły się z niemal słyszalnym westchnieniem. Hélène widziała, jak część krawędzi odpadła i zniknęła gdzieś w dole.

Kiedy pył opadł, a dym się rozwiął, zobaczyła w oddali most. Stał nienaruszony, a pociąg wciąż posuwał się naprzód! Gdy Niemcy ujrzeli nadlatującą bombę, ukryli się pod wagonami, a teraz się podnosili. Jeden z żołnierzy zwisał z belki mostu i wymachiwał nogami w powietrzu. Hélène widziała, jak runął w otchłań, ześlizgując się w dół po niewidzialnej spirali.

Znowu rozległ się warkot i zza chmur wyłonił się następny samolot. Hélène zaczęła się modlić. Ten drugi również opuścił się w kierunku mostu, ostrzelał go i zrzucił bombę. Ponownie rozległ się okropny gwizd i ziemia zadrżała. I znowu. I jeszcze raz. Gruz unosił się i opadał wokół nich, a każda eksplozja wprawiała kamienie akweduktu w straszny taniec.

Wreszcie któraś z bomb trafiła w cel. W jednej krótkiej, rozświetlonej ostrym blaskiem sekundzie most runął. Pociąg uniósł się w powietrze niczym wąż, a potem opadł w otchłań. Nastąpiła straszliwa, niewyobrażalna eksplozja. Jeden po drugim wybuchały pociski rakietowe.

Akwedukt zatrzęsł się gwałtownie. Kamienie uderzały o siebie niczym miliony szczękających zębów. Skały, ziemia i kawałki pociągu opadały dookoła jak deszcz. Powykręcany fragment szyny przeciął ze świstem powietrze i utkwiał nie dalej niż pięć metrów od Hélène, na wąskiej krawędzi budowli. Wbił się w kamienie jak gniewny, drżący wąż.

Nagle Hélène poczuła woń płonących włosów. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że to ona tak cuchnie. Jej włosy spalił odległy wybuch.

Potem zapadła głucha, porażająca cisza, jakiej Hélène nie słyszała nigdy wcześniej. Przepaść, nad którą wcześniej wisiał most, wydawała się teraz trzy razy szersza. Most i pociąg zniknęły. Spalone, potrzaskane szczątki leżały pośród skał i gruzu.

Ten transport bomb nigdy nie dotrze na wybrzeże i nigdy nie spadnie na Londyn.

I wtedy Hélène zaczęła łkać. Początkowo cicho, a potem coraz głośniejsze, aż w końcu cała trzęsła się od płaczu.

Szlochała z żalu nad sobą, Catherine, *maman*. Opłakiwała most, Paryż i całą Francję. Edmond podczołgał się do niej.

- Nic ci się nie stało? - zapytał łagodnie. Uniosła głowę i popatrzyła na niego przez łzy.

- Nie - zdołała wykrztusić. - A tobie?

- Mam kilka zadrapań, ale to nic poważnego.

To był cud; wyszli z tego koszmaru bez szwanku. Nie wyglądali najlepiej, mieli popalone włosy i zaczerwienione twarze. Ale włosy odrosną. Nie byli też zbyt mocno poparzeni. Tak, to prawdziwy cud.

Hélène przestała płakać i przetarła oczy, szepcząc w myślach dziękczynną modlitwę. Potem, nie tracąc czasu, poczołgali się dalej. Teraz w ogóle nie myślała o akwedukcie. Lęk przed wysokością był niczym w porównaniu z grozą, którą właśnie przeżyli.

Pięć minut później stali po drugiej stronie przepaści. Przez długą chwilę w milczeniu rozglądali się dookoła. Potem ruszyli dalej. Uszli zaledwie kilka kroków, kiedy zostali otoczeni przez kilkunastu mężczyzn, którzy kierowali w ich stronę broń. Hélène naliczyła ich tuzin.

Nie, westchnęła w myślach, mając wrażenie, że tonie. Tylko nie szkopy. Nie po tym, co już przeżyliśmy.

Nie zauważyła, że tamci opuścili karabiny. Nie dostrzegła obszarpanych ubrań, jakie mieli na sobie zamiast mundurów. Czowała tylko nienawiść i strach. Obie te emocje tkwiły w niej już zbyt długo i teraz wybuchły z siłą rozpacz. Rzuciła się na najbliższego mężczyznę i z furią zaczęła go walić po brzuchu zaciśniętymi pięściami. Kopała, drapała i biła. Stał jak sparaliżowany, patrząc na nią bez słowa.

- Mój Boże! - zawołał ktoś miękką gwarą z Touraine. - To dzikuska! Zwierzę!

Dzikuska? Zwierzę? Obróciła się w kierunku tego głosu. Co ten idiota może wiedzieć? I dlaczego mówi tak dobrze po francusku? Nagle pojęła. To zdrajca! Splunęła. Kolaboranci to gorsze świnie niż Niemcy. Zaatakowała go z furją, bijąc, dopóki nie opadła z sił. Wtedy popatrzyła na niego i zauważyła, że mężczyzna jej się przygląda, nie z bólem, ale z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Będzie cię bolało, ty draniu, myślała. Zaraz zobaczysz! Pochyliła się, złapała wielki kamień, zachwiała się i zaczęła unosić go nad głową. Chciała cisnąć nim w zdrajcę. Zabić go jak pluskwę. Ale mężczyzna bez wysiłku odebrał jej kamień i odrzucił go daleko.

Nagle Héléne zaczęła drżeć. Jaki to wszystko ma sens, zapytała samą siebie. Schwytali ich jeszcze raz. I nie miała już sił, nie mogła walczyć. Znaleźli się w potrzasku i to było gorsze, niż mogła znieść. Poświęcenie Catherine i Marie okazało się daremne.

Zrobiło jej się słabo i opadła na ziemię. Łzy spływały po jej policzkach. Zaczęła wyć jak śmiertelnie zranione zwierzę.

- Nie bójcie się nas, jesteśmy przyjaciółmi - powiedział łagodnie mężczyzna o ostrych rysach. Przykucnął obok Héléne i spojrzał jej w twarz. - Skąd się tu wzięliście?

Popatrzyła nań w milczeniu. Nie odezwie się do nich. Nie piśnie ani jednego słówka. Nawet gdyby ją torturowali. Gdyby ją przypalali jak Marie.

- Skąd jesteście? - Mężczyzna zwrócił się teraz do Edmonda.

- Z Paryża - odpowiedział chłopiec. Jego głos docierał do Héléne jak przez mgłę, z oddali, jak we śnie. Fragmenty obrazów oddalały się od siebie, zbliżały, znowu oddalały.

- Z Paryża! - wykrzyknął mężczyzna. - I przyszlście aż tutaj? Sami? Jak się nazywasz.

- Edmond Junot.

- A ona? - Wskazał na Héléne, ale nie widziała tego, bo znowu ogarnął ją mrok.

- To moja siostra Héléne. Nasze pozostałe dwie siostry i matka zostały uwięzione przez szkopów. Niemcy szukają nas wszędzie. Ogłosili w gazetach, że nas porwano, ale to nieprawda! Chcą nas złapać, bo zabiliśmy dwóch żołnierzy. *Maman* przechowywała u nas w domu nadajnik. Od tego się zaczęło. To bohaterstwo z jej strony, że zgodziła się ukrywać ten nadajnik, prawda?

- Prawda - potwierdził mężczyzna o ostrych rysach. - Wasza matka walczyła za kraj. Możecie być z niej dumni.

Maman! Nagle Héléne zobaczyła przed sobą jej zamgloną postać. Próbowała jej dotknąć, ale nie miała siły podnieść rąk. Potem obraz się rozwiął. To nie była *maman*... tylko tamten mężczyzna. A Edmond z nim rozmawiał. Poczuła się zagubiona.

- Więc jesteście tymi rzekomo porwanymi dziećmi - powiedział mężczyzna zamyślony. - I zdołaliście się ukrywać przez ten cały czas?

Edmond kiwnął głową.

- Idziemy do naszej ciotki - wyjaśnił.

- To znaczy dokąd?

- Do Saint-Nazaire. Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- To jeszcze daleko - zauważył w końcu jeden z nich.

Potem Héléne zapadła się w ciemność. Zapamiętała tylko to, że mężczyzna o ostrych rysach wziął ją na ręce. Czowała od niego zapach potu, ale wydało jej się to nawet przyjemne.

- Chodź z nami, dzielna mała Francuzeczko - wyszeptał miękko. - Dopilnujemy, żebyś bezpiecznie dotarła do Saint-Nazaire.

DZISIAJ

Środa, 10 stycznia

Rozdział 1

Kwadrans po dziesiątej rano Hélène Junot weszła do pokoju konferencyjnego i cicho zamknęła za sobą drzwi. Miała na sobie kostium Chanel w kolorze szampana, a włosy jak zwykle upięła w kok. Jediną biżuterią, jaką na dziś wybrała, była olbrzymia złota broszka w klapie żakietu.

Członkowie zarządu siedzieli już przy stole. Zanim weszła, słyszała, jak rozmawiali ze sobą, ale teraz nagle w pokoju zrobiło się cicho. Uśmiechając się z przymusem, Hélène ruszyła do swojego miejsca u szczytu stołu. Stała przez chwilę z dłońmi opartymi o blat z tekowego drewna. Obrzuciła ich wszystkich baczny, oceniającym spojrzeniem.

Siedzieli na swoich zwykłych miejscach. Von Eiderfeld chronił oczy okularami przeciwsłonecznymi, ale i tak ulokował się możliwie jak najdalej od stołu rozjaśnionego jaskrawym światłem wiszących nad nim lamp. Miejsce obok niego zajmował hrabia, który posłał Hélène drwiące spojrzenie. Miał jak zwykle czerwoną twarz i dostrzegła, że ręce mu drżały. Obok, jak elegancka, czarna wdowa, siedziała Z.Z. W czarnym jedwabnym kostiumie i długich skórzanych rękawiczkach. Mały kapelusz z woalką zakrywał jej oczy. Uśmiechała się nieprzyjemnie, paląc papierosa, którego dym unosił się szarymi smugami. Naprzeciw niej d'Itri ze znużonym wyrazem twarzy bezmyślnie mazał coś na kartce papieru.

Sfinks czekała w pogotowiu, żeby sporządzić protokół zebrania. Siedziała w odległym kącie gabinetu; na kolanach położyła notatnik, w ręku trzymała pióro.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł energicznym krokiem Edmond. Bez słowa usiadł obok Julie.

Gdy Hélène spojrzała na niego, prawie niedostrzegalnie potrząsnął głową. Starła się ukryć zawód i wyglądać po prostu na zamyśloną. Edmond właśnie wrócił ze spotkania w Manhattan Bank. Pojutrze upłynie termin spłaty dziesięciomilionowej pożyczki zaciągniętej przez Hélène. Edmond próbował uzyskać prolongatę.

Tym ruchem głowy przekazał siostrze wszystko, co musiała wiedzieć. Nie będzie przesunięcia terminu płatności. O ile nie zdarzy się jakiś cud, bank zabierze depozyt - dwadzieścia procent akcji H  l  ne Junot International, Inc. - i rzuci je na pożarcie s  pom. Albo oferuj  cej najwyzs  z   cen   osobie, kt  rej w og  le nie zna  . Tak czy inaczej, wyjdzie na to samo, H  l  ne utraci kontrol   nad przedsi  biorstwem. Pozostali zdob  d   sze  cdziesi  t dziewi  c procent udział  w, a jej trzydzieci jeden nie b  dzie mia  o znaczenia. Po  czeniu nienawi  ci   i ch  ci   zemsty wyst  pi   przeciwko H  l  ne; tym razem zyskaj   wystarczaj  ce si  y, by j   zwyci  żyć. Prawie na pewno wybior   nowego prezesa. By   to druzgocza   perspektywa, ale H  l  ne musiała si   z ni   zmierzy  . Zreszt   Hubert posun   si   ju   do tego, by j   wypowiedzie   na g  s.

Jego plan - lub kogo   innego z nich - zaj  cia jej gabinetu i kierowania HJII budzi  y w H  l  ne odraz  . Czua   si   jak matka, kt  rej chc   odebra   dziecko. Przecie  z HJII to jej dzie  o.

Ale nie pora na okazywanie emocji. Musiała by   spokojna i beznami  tna. Opanowana.

Odetchn  ła g  boko jak aktorka przed wej  ciem na scen  .

- Dzie  n dobry - zacz  ła. Jej d  zwi  czny g  s by   czysty, oboj  tny. Bez   ladu wewn  trznego napi  cia. - Witam wszystkich cz  onk  w zarz  du obecnych na dzisiejszym zebraniu. Wiem,   e wasz czas jest cenny, proponuj   zatem, aby  my zaj  li si   sprawami przewidzianymi w porz  dku dziennym. Zdecydowanie nalegam,   eby  my nie odbiegali od ustalonego harmonogramu jak ostatnim razem. Jednak   - spojrz  ła na Huberta, kt  ry wykrzywi   si   do niej rozbawiony - chc  ,   eby  cie wiedzieli,   e dostrzegam wasz krytyczny stosunek do tego, jak kieruj   moim wydawnictwem. Obawiam si  ,   e niewiele mog   poradzi   na zastrze  zenia dotycz  ce mojej osoby. Ale kiedy tylko znajd   na to czas, przemy  l   zarzuty zwi  zane bezpo  rednio z polityk   wydawnic  z   HJII.

Teraz przejdziemy do pierwszego punktu porz  dku dziennego. Ka  de z was ma przed sob   plan wydawniczy na bie  cy rok. Chcia  abym, aby  my go przedyskutowali. - H  l  ne usiad  ła, si  gn  ła po swoje dokumenty i popatrzy  ła na pierwsz   stron  .

Wszyscy pozostali wpatrywali si   w otrzymane materia  y, lecz nikt nie wyci  gn  ł po nie d  oni.

Z.Z. z uśmiechem pochyliła się i odsunęła swoje papiery.

- Rozumiem, że te sprawy są najważniejsze - powiedziała chytrze. - Jednakże muszę prosić o odłożenie ich na później po to, abyśmy mogli przedyskutować kwestię istotniejszą dla przyszłości HJII.

Hélène splotła dłonie przed sobą i popatrzyła z uwagą na Z.Z. To wystąpienie jej nie zaskoczyło; spodziewała się czegoś takiego.

- Na przykład?

Z.Z. uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Uniosła swoją czarną woalkę i powoli założyła ją na kapelusz.

- Ta kwestia dotyczy nas wszystkich - oświadczyła, a potem zrobiła pauzę. - Chodzi o kierowanie firmą.

- W porządku - odrzekła Hélène z rezygnacją. - Co masz do powiedzenia?

Z.Z. wstała. Oczy jej błyszczały. Hélène знаła to spojrzenie aż nazbyt dobrze. Zaraz się zacznie kolejna zabawa w kotka i myszkę.

- Wczoraj wieczorem - zaczęła mówić cicho Z.Z. - panowie siedzący przy stole i ja odbyliśmy prywatną... że tak powiem, pogawędkę. Wszyscy zgadzamy się co do tego, że przez ostatnie lata HJII prosperowało dobrze. Jednakże porażka nowego magazynu, na który tak się uparłaś, zmieniła sytuację. Jesteśmy przekonani, że masz znaczne kłopoty finansowe. Oczywiście w normalnych okolicznościach nie powinno nas to w ogóle obchodzić. Ale wykorzystyłaś własne dwadzieścia procent akcji HJII jako zastaw pożyczki, której nie będziesz w stanie spłacić, a to już obchodzi nas ogromnie.

Hélène wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana. Nie będę w stanie spłacić! - pomyślała. Te sepy są doskonale poinformowane. I rozmawiają o sprawach, które nie powinny ich obchodzić. Wczoraj „The Wall Street Journal” spekulował na temat jej wypłacalności. Dzisiaj ci tutaj już wiedzą, że nie może spłacić pożyczki. Ciekawe, czy ktoś z banku jest z nimi w zмовie? Może Gore?

- Przede wszystkim zastanówmy się - kontynuowała Z.Z. - co będzie, jeżeli Manhattan Bank sprzeda te akcje komuś spoza naszego grona? Jeżeli kupi je ktoś z zewnątrz i wejdzie do zarządu! Byłoby to prawdziwe nieszczęście! Nowy udziałowiec mógłby zagarnąć jedną piątą przedsiębiorstwa. Obecni tu panowie i ja

przedyskutowaliśmy tę kwestię i doszliśmy do porozumienia. - Z.Z. przerwała i uśmiechnęła się słodko do Hélène. - Zdecydowaliśmy, że pomożemy ci przetrwać kryzys. Kupimy twoje dwadzieścia procent akcji za jedenaście milionów dolarów. To suma pożyczki z odsetkami. W ten sposób ty spłacisz Manhattan Bank, a my nie będziemy musieli się martwić, że znajdzie się wśród nas ktoś obcy. W ten sposób wszyscy skorzystamy.

Pewnie, wy skorzystacie, pomyślała Hélène. Zagarniecie władzę, a ja nie będę mogła się bronić.

- Jeżeli sprzedasz nam te dwadzieścia procent akcji HJII - kontynuowała Z.Z. - przyjmujemy to jako gest dobrej woli. Uspokoisz nasze obawy co do... inwazji z zewnątrz. - Odwróciła się do pozostałych i uśmiechnęła złośliwie. - Mam rację, panowie?

- Oczywiście - potwierdził Hubert z zadowoleniem. Z.Z. z wdziękiem uniosła rękę.

- Widzisz? - powiedziała słodko. - To takie proste - zakończyła i opadła na swój fotel.

Hélène odetchnęła głęboko i zaczęła mówić, starannie dobierając słowa:

- Mam wrażenie, że strach przed możliwością „inwazji z zewnątrz” rzeczywiście zaprzęta wasze umysły. Pozwólcie, że uspokoję te obawy. Moim zdaniem najlepsze, co możecie zrobić, to poczekać i przekonać się, czy - kładę nacisk na owo „czy” - bank istotnie zawładnie moimi akcjami. Jeżeli to nastąpi, nie macie czym się martwić. Wiem, że będziecie w stanie je odkupić. - Spojrzała przez stół na Edmonda. - Mam rację, zakładając to?

- Tak - potwierdził obojętnym tonem.

- Macie więc odpowiedź - zakończyła stanowczo Hélène. - Niezależnie od tego, co się wydarzy, możecie zablokować ową „zewnątrzną inwazję”. A kiedy to zrobicie, wybierzecie również nowego prezesa. Wtedy już nie będziecie musieli się martwić o moje predyspozycje kierownicze. - Rozejrzała się dokoła. - Sądzę, że na razie zamyka to dyskusję rozpoczętą przez panią Bavier. Teraz, wracając do tegorocznych zamierzeń...

- Nie tak szybko, kochanie - wtrącił się Hubert. - Proponuję, żebyśmy jednak przełożyli wszystkie punkty dzisiejszego porządku zebrania na poniedziałek rano. - Uśmiechnął się z satysfakcją. - Wtedy zyskamy już pewność co do przyszłości HJII. Poza

tym dzisiejsze ustalenia mogą się okazać bezprzedmiotowe. Jak sama powiedziałaś przed chwilą, w poniedziałek możemy już wybrać nowego prezesa. Jeżeli tak będzie, założenia programowe HJII ulegną zmianie.

Hélène starała się zachować obojętny wyraz twarzy. Taktyka Huberta jest oczywista, myślała. Termin spłaty pożyczki upływa w piątek. Następnym dniem pracy banku jest poniedziałek. Jeżeli już przekonali bank, by sprzedał im akcje - a ona nie zdoła spłacić swoich zobowiązań - ta transakcja nie zajmie im więcej niż kilka minut. Potem nabywca pospieszy na zebranie zarządu i wykorzysta swoje nowe udziały w głosowaniu. Przeciwno niej. Odbierze jej HJII. Będzie tylko nieliczącą się właścicielką trzydziestu procent akcji, która sama nie może nic zrobić.

Patrząc na tych czworo siedzących przy stole, zastanawiała się, kto z nich ma zamiar wykupić jej udziały. Von Eiderfeld i Hubert są nieprzyzwoicie bogaci, myślała. Obydwu na to stać. Z.Z. i d'Itri też mają sporo pieniędzy, ale nie mogliby tak łatwo wyłożyć jedenastu milionów. Możliwe, że chcą nabyć te dwadzieścia procent wspólnie; wówczas dostaliby to, czego pragną, bez zauważalnego uszczerbku na rachunku.

Podniosła się gwałtownie.

- W porządku - oświadczyła. - Przesuwam zebranie na poniedziałek, na dziesiątą rano.

I szybkim krokiem wyszła z pokoju. W jej oczach malowało się zdecydowanie. Wiedziała, co teraz musi zrobić. Spotka się prywatnie z Hubertem i von Eiderfeldem. Nie miała wpływu na Z.Z., a d'Itri to tylko płotka, zresztą ci dwoje bez de Légera i von Eiderfelda niczego nie zwojują. Ale Hubert i Eiderfeld... Tak, może uda jej się coś uzyskać.

Nie miała na to ochoty, ale postanowiła wykorzystać swoją władzę nad nimi po raz ostatni. To nie powinno być zbyt trudne, pocieszała się w myślach.

Przecież udawało się w przeszłości.

Godzinę później Jimmy podjechał limuzyną i Hélène z Edmondem udali się na lunch do 21. Restauracja była zatłoczona, ale szef sali poprowadził ich do stolika, który zwykle zajmowali. Po drodze pozdrawiali wielu znajomych.

Ci, którzy widzieli Hélène, uważali, że nigdy jeszcze nie była tak piękna i spokojna. Ale Edmond znał ją lepiej. Owszem, wydawała się opanowana, ale także bardzo spięta. Wiedział, pod jak ogromną presją znalazła się jego siostra, i żałował, że nie może jej pomóc. Przez ostatni rok pracowała bez wytchnienia. Ilekroć zdołała iść do przodu, pojawiała się coś, co spychało ją z powrotem pod ścianę.

- Napijesz się? - zapytał. Hélène podziękowała.

- Może powinnam, ale napiję się tylko wody. Pomyślałam, że najlepszym lekarstwem na podły dzień jest zachować się jak kobieta. - Uśmiechnęła się. - Więc zrobię sobie nową fryzurę. Umówiłam się z Susumu, wybieram się tam zaraz po lunchu.

Edmond wziął więc dla niej wodę mineralną, a dla siebie martini. Kiedy szef sali odszedł, brat zapalił papierosa i pochylił się nad stolikiem. Zaczął mówić przyciszonym głosem:

- Wiem, że nie chcesz słyszeć o tym, co zamierzam ci zaproponować, ale jako twój prawnik i brat uważam, że mam obowiązek to zrobić.

Hélène pokiwała głową.

- Zamierzasz mnie przekonać, że powinnam wystawić akcje HJII do publicznej sprzedaży - podpowiedziała mu łagodnie.

Edmond jeszcze bardziej zniżył głos.

- Tak. Wiem, że nie chcesz tego, ale to jedyny sposób, byś utrzymała kontrolę nad firmą. Dzisiaj rano, kiedy ci z banku odrzucili moją prośbę o przedłużenie terminu spłaty pożyczki, zapytałem, czy wzięli pod uwagę ewentualność, że możesz wejść z akcjami na rynek. Rozważyli taką możliwość, bo chcieli mieć potencjalną gwarancję, że zdobędziesz pieniądze. Muszę przyznać, że dobrze odkarmiony pan Gore zupełnie się nie przejął, kiedy przedstawiłem tę opcję. Z jakiegoś powodu nie wierzy, że mogłabyś to zrobić. - Edmond zmarszczył brwi. - Naprawdę nie lubię tego człowieka. Nigdy go nie lubiłem. Jest w nim coś zimnego i oślizgłego. Coś z węża.

- Ja również mu nie ufam. - Hélène spojrzała w zamyśleniu na brata. - Może Hubert albo ktoś z pozostałych go przekupił.

Edmond wzruszył ramionami.

- Wcale bym się nie zdziwił.

Zacząła coś mówić, ale umilkła, gdyż pojawił się kelner z drinkami. Hélène powoli sączyła swoją wodę.

- Rozmawiałam z von Eiderfeldem i Hubertem - oznajmiła. - Zobaczą się z nimi dziś wieczorem. Może uda mi się ich powstrzymać.

- Tak, ale to nie rozwiązuje kwestii pożyczki - zauważył Edmond. - Jeżeli nie zdobędziesz pieniędzy, tamci przejmą kontrolę nad HJII. Nie możesz na to pozwolić. Posłuchaj mojej rady, wejdź na rynek publiczny. Inaczej wszystko, co stworzyłaś, przepadnie.

Hélène z namysłem kiwnęła głową.

- Ile mam czasu na podjęcie decyzji?

- Możesz się zastanowić do jutrzejszego popołudnia. Spojrzała na szklankę z wodą. To niewiele czasu, pomyślała. Chociaż... Nagle podniosła głowę.

- Dobrze - odrzekła. - Jutro w południe dam ci odpowiedź. Rozważę twoją propozycję bardzo starannie.

- Proszę, zrób to. - Edmond niespodziewanie pochylił się przez stół i przykrył jej dłoń swoją. - Jestem pewien, że możesz dużo zarobić, wchodząc z akcjami na giełdę. Czterdzieści milionów dolarów. A może nawet więcej. I, Hélène, naprawdę niczego nie ryzykujesz. Nadal będziesz prezesem zarządu. Pozostanie ci przecież większościowy pakiet udziałów. Westchnęła słabo.

- Wiem, Edmondzie. Rozmawialiśmy o tym wcześniej, pamiętasz?

Przytaknęła.

- Pamiętam.

Rzeczywiście, pamiętał. Od kiedy wspomniał o takim wyjściu po raz pierwszy, Hélène była temu przeciwna. Do pewnego stopnia rozumiał jej zastrzeżenia. Ale nie pojmował jednego. Skoro tak bardzo pragnęła zarządzać HJII, to czemu dopuściła do siebie te sępy?

- Nie zapominaj - powiedział - że sprawy wyglądają inaczej niż rok temu. Publiczna sprzedaż akcji to twoja jedyna szansa.

Hélène wolno pokręciła głową.

- Nie, nie jedyna. Mam jeszcze możliwość, o której nikt nie wie. Nawet ty.

- O czym, ty, do diabła, mówisz? - Edmond spojrział na nią ze zdumieniem.

- Nigel zaoferował mi pożyczkę - oznajmiła spokojnie.

Wyprostował się na krześle. Ta wiadomość zmieniała wszystko! Nigel Somerset, diuk Farquharshire, był jednym z trzech najbogatszych ludzi w Anglii.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? - zapytał.

- Ponieważ nie wiem, czy powinnam przyjąć jego pomoc. - Hélène bawiła się szklanką.

- Dlaczego? Ponieważ Nigel cię kocha?

- Nie - odrzekła łagodnie. - Ponieważ ja go kocham. - Na moment umilkła i spojrzała bratu w oczy. - Oświadczył mi się znowu.

- I?

- Jeszcze nie dałam mu odpowiedzi. Powiedziałam, że muszę to przemyśleć.

- Ale dlaczego? Sama przed chwilą przyznałaś, że go kochasz!

- Nie wyjdę za niego, dopóki nie rozwiążę problemów HJII. W jakiś sposób to nie byłoby... w porządku.

Edmond wznosił oczy do góry.

- Och, mój Boże! Co ty wygadujesz! Nie chcesz, żeby pomyślał, że wychodzisz za niego dla pieniędzy. Tak?

- Nie... ponieważ chcę jasno pokazać, że nie - odparła Hélène.

Rozdział 2

Firma Susumu na Piątej Alei miała opinię najlepszego salonu piękności na świecie. Tam właśnie, na ósmym piętrze, w osobnym pokoju siedziała teraz Hélène. Patrzyła w lustro, kiedy drobna Japonka delikatnie osuszała jej włosy miękkim, grubym ręcznikiem. Na krzeselku przed Hélène przycupnęła manikiurzystka zajmująca się jej paznokciami.

- Czy mogę na chwilę wyjść? - zapytała Hélène przepraszającym tonem. - Chciałabym zajrzeć do pokoju makijażu.

- Oczywiście, pani Junot - odrzekła Susumu. - Naturalnie pani wie, gdzie to jest. Hélène skinęła głową i wstała. Fryzjerka odsunęła fotel i uśmiechnęła się czarująco. Manikiurzystka uśmiechnęła się również. To były drogie uśmiechy. Czesanie się u Susumu kosztowało mnóstwo pieniędzy, szczególnie gdy to ona sama zajmowała się klientką.

Przeszła powoli przez pokój. Fryzjerka pierwsza znalazła się przy drzwiach i otworzyła je uprzejmie. Kiedy Hélène miała już wyjść na korytarz, zauważyła, że jakaś kobieta idzie do jednego z dalszych pokoi. Hélène przystanęła w drzwiach, by ją przepuścić.

Tamta spojrzała na nią i zatrzymała się ucieszona.

- Ależ to pani Junot - zagruchała. - Minęły już wieki! Hélène spojrzała na nią zakłopotana.

- Tak? - powiedziała, zastanawiając się, kim jest, do diabła, ta jasnowłosa, podstarzała, mocno opalona karykatura nastolatki.

- Poznałyśmy się w zeszłym roku, pamięta pani? Jestem Geraldine Gore. Mój mąż prowadzi pani finanse w Manhattan Bank.

Hélène uśmiechnęła się grzecznie.

- Oczywiście. Bardzo mi miło.

Kiedy Geraldine Gore wyciągnęła kościstą dłoń, Hélène nie mogła nie dostrzec dwóch bransoletek otaczających nadgarstek. Były identyczne, z tym że jedną zdobiły żółte diamenty, a drugą - krwistoczerwone rubiny. Obie pochodziły niewątpliwie od Bułgariego i oczywiście musiały być bardzo kosztowne.

- Och, jakie piękne bransoletki - zachwyciła się uprzejmie.

Zadowolona Geraldine uniosła rękę, podziwiając blask kamieni.

- Rzeczywiście są piękne, prawda? Tę z rubinami kupiłam kilka minut temu. Byłam w ostatnich dniach taka zestresowana. Uznałam, że nowa fryzura nie wystarczy, żeby poprawić sobie humor. To zadziwiające, jak kupowanie małych błyskotek pomaga na chandrę.

- Tak, oczywiście.

Nagle Geraldine wykrzywiła się nieprzyjemnie.

- Ale czeka mnie przeprawa z mężem. Boję się, że popełni samobójstwo, kiedy zobaczy mój nabytek. - Spojrzała na prowadzącą ją dziewczynę, która czekała w dyskretnej odległości. - Och, muszę już iść, bo nie zdążą mnie uczesać. Normalnie przychodzę tu w czwartki, ale w tym tygodniu lecę do Palm Beach dzień wcześniej. Virginia Simonsen urządza wielki bal maskowy! - Aż westchnęła z radości. - Kocham maskarady, a pani?

- Ja również - odpowiedziała grzecznie Hélène, która nigdy na żadne nie chodziła.

- No to już idę. Było mi bardzo miło panią spotkać. Do widzenia! - Geraldine ruszyła korytarzem za swoją przewodniczką.

Hélène spoglądała za nią chwilę. Cóż to za okropna kobieta, pomyślała. Ale trzeba przyznać, że ma jedną zaletę. Znakomity czy też kosztowny gust.

Nie bardzo rozumiała, jak państwo Gore mogą sobie pozwolić na tak luksusowy styl życia.

Karl von Eiderfeld uprzejmie wziął od Huberta kapelusz i płaszcz, powiesił obie rzeczy w holu i poprowadził gościa do salonu. Zrobiło się już ciemno i ciężkie adamaszkowe zasłony w oknach były starannie zaciągnięte. W pokoju paliły się tylko dwie niewielkie lampy.

Von Eiderfeld wskazał przybyłemu wytworny fotel.

- Proszę, drogi hrabio. Nasza przyjaciółka wkrótce tu będzie. Czy mogę tymczasem zaproponować panu drinka?

- Armaniak, jeżeli pan ma - zażyczył sobie de Léger.

- Oczywiście. - Von Eiderfeld podszedł do ciężkiej rzeźbionej szafy. Kiedy otworzył podwójne drzwi, okazało się, że w środku jest barek, a obok minilodówka i mały zlewozmywak. Von Eiderfeld podał gościowi kieliszek.

- Ma pan te rzeczy? - zapytał.

Hubert przytaknął i otworzył aktówkę. Wyjął wielką kopertę i położył ją na stole z okresu Dyrektoriatu. - Godzinę temu przywiózł je kurier z Paryża.

- Jak pan sądzi, czy to z ich powodu Hélène chce się z nami zobaczyć? - zapytał von Eiderfeld.

Hubert zastanawiał się przez chwilę.

- To możliwe - przyznał w końcu. - Ale raczej przypuszczam, że jeszcze nie wie o ich zniknięciu. Wynająłem najlepszego włamywacza. Zabrał tylko to, co mu kazałem. Potem zamknął sejf. Nie zostawił żadnych śladów.

Von Eiderfeld uśmiechnął się z satysfakcją.

- Dobra robota. Teraz Hélène nie ma już nad nami władzy. Czy zdołał pan się dowiedzieć, gdzie się zatrzymała wczoraj, gdy przerwała lot?

- Tak. - Hrabia pociągnął wielki łyk armaniaku. - Wylądowała w Anglii, na prywatnym pasie należącym do Nigela Somerseta.

Von Eiderfeld drgnął.

- Nadal się widuje z tym mężczyzną?

- Tak mi się wydaje.

Von Eiderfeld w zamyśleniu analizował usłyszaną informację.

- Obawiam się, że to niezbyt pomyślna dla nas wiadomość. Somerset jest jednym z najbogatszych ludzi w Anglii. Co będzie, jeżeli da jej tych jedenaście milionów? Cały nasz wysiłek na nic.

- Myślę, że do tego nie dojdzie - odrzekł Hubert uspokajającym tonem. - W przeciwnym razie rzecz byłaby już dawno załatwiona. Nie zna pan Hélène tak jak ja. Nie czekałaby do ostatniej chwili, tylko załatwiłaby sprawę. Poza tym jest zbyt dumna, aby wziąć od niego te pieniądze, nawet w formie pożyczki. Nie, mój przyjacielu. Hélène Junot skręca się teraz z bólu. Znikąd nie dostanie takiej sumy!

Von Eiderfeld miał ponurą minę.

- W Bogu nadzieja, że ma pan rację.

W tym momencie zadzwonił telefon. Gospodarz podszedł do stołu i podniósł słuchawkę.

- Tak? - Spojrzał na Huberta i kiwnął głową. - Proszę ją wpuścić. - Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się złowrogo. - Już idzie.

Kilka minut później pojawiła się Hélène. Nie miała czasu, by się przebrać. Nosiła wciąż futro Blackglama, a pod spodem kostium Chanel. Ale teraz włosy opadały jej swobodnie na ramiona, na pozór niedbale, ale niezwykle elegancko wycieniowane, i otaczały jej twarz lśniąca falą.

- Witam - powiedziała niechętnie.

Von Eiderfeld sztywno zaprosił ją, by weszła.

- Proszę. Hrabia już jest. Czy mogę wziąć futro?

Pokręciła głową.

- Nie sądzę, bym tu długo została.

Von Eiderfeld wzruszył ramionami i wprowadził ją do salonu, gdzie Hubert rozpiął się wygodnie na fotelu. Nawet nie wstał na jej powitanie.

- Ach! - odezwał się ze złośliwym grymasem. - Więc nasza pani prezes postanowiła się zniżyć do rozmów ze zwykłymi udziałowcami. Siadaj. - Klepnął ręką wolny fotel.

- Dziękuję, nie - odparła zimno. - Postoję.

- Jak sobie życzysz, moja droga. A więc dlaczego chciałaś się z nami widzieć?

Hélène ostrożnie dobierała słowa.

- Przyszłam, aby wam przypomnieć, że byłoby dla was obu... powiedzmy, że byłoby dla nas wszystkich lepiej, gdybyście przestali ze mną walczyć. Bawić się w kotka i myszkę. Jak zapewne pamiętacie, rozmawialiśmy już wcześniej na ten temat.

Hubert uśmiechnął się i wstał z fotela. Podszedł do kominka, w którym leżała wielka kłoda i kilka szczap na podpałkę. Pochylił się i ostrożnie rozpałił ogień. Powoli szczapy zaczęły płonąć, a po kilku minutach zajęła się gruba kłoda. Płomienie rzucały migotliwe żółte światło na mroczny salon. Hubert wyprostował się z satysfakcją.

- Chodzi ci o to, co masz przeciwko nam, czyż nie? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała Hélène.

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Coś ci poradzę, kochanie. Idź do domu i zapomnij o tamtych sprawach. Widzisz, my już przestaliśmy drzeć ze strachu.

- Myślę, że obaj powinniście potraktować moje ostrzeżenie poważnie - oświadczyła. - Mogę was zniszczyć. - Odwróciła się i wbiła lodowaty wzrok w von Eiderfelda.

- Ty będziesz odpowiadał za zbrodnie wojenne. Zostaniesz skazany i powieszony. - Potem spojrzała ponownie na Huberta. - A ty? Ciebie też powieszają. Za morderstwo. Hrabia wybuchnął głośnym śmiechem.

- To absurd! Kto ci uwierzy? Nie masz żadnych dowodów, a te oskarżenia są wysane z palca!

Hélène zmrużyła oczy.

- Przestań udawać! Doskonale wiesz, że mam dowody. Leżą w sejfie mojego prawnika.

Hubert podszedł do stołu, wziął do ręki dużą kopertę, otworzył ją, zajrzał do środka i wyjął mniejszą, białą.

- Poznajesz? - zapytał, trzymając ją w górze. Na zalakowanej kopercie widniał podpis Hélène.

Usłyszeli, jak Hélène głośno wciągnęła powietrze.

- Tak - odrzekła. - Skąd ją masz?

- Powiedzmy, że przyleciała do mnie z sejfu twojego paryskiego prawnika. Ale nie miej do niego pretensji, to nie jego wina. W rzeczy samej ten biedak nawet nie podejrzewa, że cokolwiek mu zginęło. - Hubert rozerwał białą kopertę i wyjął jakieś stare, pożółkłe papiery. Uniósł je do góry teatralnym gestem. - Dowody zbrodni wojennych - oznajmił głośno. Podał papiery von Eiderfeldowi. - Czy uczyni nam pan ten zaszczyt, drogi przyjacielu? - zapytał miękko.

Hélène patrzyła zszokowana, jak von Eiderfeld wziął od niego dokumenty, podszedł do kominka i wrzucił je w ogień. Żarłoczne płomienie wystrzeliły i pochłonęły zdobycz; po chwili papiery skurczyły się i poczerniały, by rozpaść się w pył.

- A teraz to! - Hubert z triumfem wyciągnął drugą białą kopertę, tym razem grubszą od poprzedniej. Ta również była zapieczętowana i opatrzona podpisem Hélène. - Poznajesz? - zapytał sarkastycznym tonem.

Na moment zamknęła oczy. To się nie dzieje naprawdę, myślała. To niemożliwe. Otworzyła oczy, ale koszmar trwał.

De Léger rozerwał drugą kopertę.

W środku była taśma magnetofonowa. Uniósł ją wysoko.

- Dowód morderstwa? - zawołał ze śmiechem, a potem westchnął ironicznie. - Doprawdy, moja droga, powinnaś była lepiej się przygotować do szantażu.

Powoli podszedł do kominka i pełnym obrzydzenia ruchem wrzucił szpulę w płomienie. Część taśmy odwinęła się i rozciągnęła na dywanie jak wąż. Hrabia przesunął ją butem do paleniska. Potem odwrócił się do Hélène.

Gwałtownie pobladła i wpatrywała się w ogień jak zahipnotyzowana. Podczas gdy tak patrzyła, taśma zaczęła się topić, a w pokoju rozszedł się odór spalonego plastiku.

- Widzisz, moja droga? - powiedział zadowolony z siebie Hubert. - Teraz już nic nie możesz nam zrobić. Przeszłość umarła i została zapomniana. - Strzelił palcami. - Ot, tak.

Wstrząśnięta Hélène wpatrywała się w płomienie. Nieprawda, myślała. Dla mnie przeszłość nigdy nie odejdzie. I nigdy nie zostanie zapomniana.

WCZORAJ II WYBÓR DROGI

Rozdział 1

Saint-Nazaire, 1950

Ciotka Janine mieszkała na przedmieściach Saint-Nazaire. Była ogrodniczką, sprzedawała drzewka owocowe, kwiaty i warzywa, zarabiając w ten sposób na życie. Jej dom wznosił się na łagodnym zboczu wzgórza, kilkaset metrów od morza. Zbudowano go z szarych kamieni, miał jedno piętro i spadzisty dach. W pogodny dzień można było stąd dojrzeć ujście Loary znajdujące się dwa kilometry na południe.

Grządki i zagonki otaczały budynek ze wszystkich stron. Wykorzystano każdy skrawek terenu, aby coś na nim posadzić czy posiać. Były tam cztery duże szklarnie i tuzin długich inspektów, gdzie ciocia Janine pielęgnowała swoje sadzonki, po które wiosną przychodzili ludzie z miasta. Ziemię wokół szklarni przeznaczano pod uprawę sezonowych warzyw i kwiatów. Nie znalazłaby się tu ani jedna kępa bezużytecznej trawy. Dróżki między grządkami kwiatów i zagonkami były wyłożone deskami.

W pewnej odległości od domu znajdował się jeszcze cuchnący śmietnik używany do składowania nawozu i kompostu, a dalej stała szopa na narzędzia ogrodnicze, w której robiono wieńce i wiązanki kwiatowe na pogrzeby i śluby. Od dawna proporcja pogrzebów do ślubów wynosiła dziesięć do jednego.

Posiadłość ciotki otaczał kamienny mur. Przymocowano do niego duże deski, na których wymalowano litery. Układały się w biało-czarny napis: „JANINE JUNOT”. Stara farba łuszczyła się już i odpadała z drewna całymi płatami.

Od pierwszej zimy, którą Edmond i Hélène spędzili w Saint-Nazaire, sprawy nie układały się dobrze. W tym czasie miasteczko było ważnym punktem strategicznym zarówno dla aliantów, jak i okupanta.

Po pierwsze, znajdowały się tam instalacje niemieckie, nazywane bazą U-Bootów. Liczne łodzie podwodne, które tropiły statki na Atlantyku, wyruszały właśnie stąd. W Saint-Nazaire miały swój port i bazę naprawczą. Było to idealne miejsce, bo większość

potrzebnego wyposażenia znajdowała się tam już przed wojną. Saint-Nazaire stało się znane ze swoich stocznii już w dziewiętnastym wieku.

Po drugie, i to ważniejsze, miasto wchodziło w skład tego, co alianci nazywali Kiesznią Saint-Nazaire. Niemcy chcieli tu stworzyć główny francuski ośrodek do penetrowania wybrzeża Atlantyku. W wyniku tego Saint-Nazaire zostało niemal zrównane z ziemią.

Za każdym razem kiedy Anglicy i Amerykanie bombardowali niemieckie instalacje, ciotka Janine płakała wniebogłosy. Nie było jej żal U-Bootów, jednak z powodu głośnych eksplozji pękały szyby w szklarniach i inspektach, a wtedy warzywa, które ciotka pielęgnowała z takim poświęceniem, mogły zmarznąć. Udawało jej się jakoś łątać zbite szkło, jednak po pewnym szczególnie ciężkim bombardowaniu nie było już czego naprawiać. W ciągu jednej nocy wszystkie sadzonki pomarzęły i kiedy nadeszła wiosna, nie mieli czego sprzedawać. Nadszedł chudy rok.

Ale rok 1944 przyniósł ze sobą również radość. W Paryżu 26 sierpnia generał de Gaulle przemaszerował triumfalnie przez Pola Elizejskie. Stolica była wolna, Francuzi płakali. Wojna się skończyła. Tak jak przepowiedziała *maman*, Niemcy zostali wyrzuceni z Francji za Ren.

Jak wszyscy, Hélène i Edmond powitali te wydarzenia z radością. Wierzyli, że już niedługo cała ich rodzina znowu będzie razem. Lecz mijały kolejne miesiące, a oni nie mieli żadnych wiadomości o rodzicach, Catherine i Marie, z wolna zaczęli tracić nadzieję, że jeszcze kiedyś ich zobaczą. Słyszeli historie, jakie opowiadali ludzie o Niemcach. Rzeczy, które nie mogły być prawdą. Historie o tym, co działo się z nieszczęśnikami, którzy zostali wywiezieni do obozów. Tego wszystkiego nie można było pojąć.

Początkowo ciotka Janine dość życzliwie odnosiła się do swoich siostrzeńców. Potem, w maju 1945 roku, nagle się zmieniła. Może uświadomiła sobie, że wzięła sobie na kark duże obowiązki i nikt jej od tego nie uwolni. Jedno było dla niej jasne: trzeba było wykarmić i ubrać dwoje rosnących szybko dzieci. A czasy były ciężkie. Zaczęła więc wyładowywać złość na przyczynie swoich kłopotów: na siostrzeńcach.

Hélène nigdy nie zapomniała owego pierwszego razu, kiedy to się stało. To było 15 maja. Dzień zaczął się pogodnie, a po południu słońce mocno przygrzewało. W oddali

dziewczynka widziała łodzie rybaków w zatoce. Dzioby uderzały o fale, a szare żagle łopotały na wietrze. Kłopoty wydawały się bardzo odległe.

Zamiast się bawić, postanowiła pomóc Edmondowi w naprawie potłuczonych szyb w cieplarni i zaczęły szukać dookoła kawałków szkła. Mieli je następnie pociąć na mniejsze prostokąty i umocować w drewnianych ramach. Dopisało im szczęście: znaleźli olbrzymi kawał szyby - wystarczająco duży, by załatać przynajmniej sześć okienek. Ostrożnie przynieśli go do szklarni i wszystko szło dobrze, dopóki Edmond nie spróbował go pociąć. Z jakiegoś powodu szkło popękało na kawałki.

Ciotka Janine dostała furii i z całej siły uderzyła chłopca w twarz. Potem szarpnęła go za włosy tak mocno, że wyrwała całą garść.

To był początek. Znosili jej wybuchy złości przez ponad rok. Nigdy nie umieli przewidzieć, co doprowadzi ciotkę do furii. Jedyne chwile spokoju trafiały się wówczas, gdy Janine niespodziewanie wyjeżdżała do Paryża, oczywiście nie zdradzając im, w jakim celu.

Nie mogli nic zrobić, tylko znosić jej gniew w milczeniu. Zwykle to Edmond przyjmował na siebie większość ciosów. Może dlatego, że był starszy. A może dlatego, że więcej jadł. Każdego wieczoru Hélène modliła się żarliwie, błagając Boga o powrót rodziców i wybawienie od ciotki Janine. Ale Bóg był głuchy.

Potem, rok później, doszło do katastrofy. Podczas pielienia grządek sałaty Hélène przypadkowo wyrwała kilka maleńkich sadzonek.

- Które z was, darmozjady, to zrobiło? - zapytała z furią ciotka Janine.

- Ja - skłamał Edmond. Wiedział, że grozi za to bicie i że on łatwiej zniesie ból niż Hélène.

- Ty nicponiu! - wybuchnęła ciotka Janine. - Ty łobuzie! - Schyliła się, złapała deskę, która leżała na ziemi, i uderzyła chłopca w plecy. Hélène próbowała z płaczem bronić brata, Edmond zaś przyjmował ciosy bez słowa. Kiedy ciotka przestała go bić, wstał z ziemi i kołysząc się niepewnie na chwiejnych nogach, poszedł do domu.

Hélène pobiegła za nim. Na piętrze były tylko dwie sypialnie, jedną zajmowała ciotka Janine, a drugą oni. Kiedy dziewczynka wbiegła na górę, Edmond właśnie pakował swoje nieliczne rzeczy.

- Co robisz? - zapytała przerażona.

Uśmiechnął się smutno.

- A jak myślisz? Wynoszę się stąd.

- Ale, Edmondzie! - zawołała głosem pełnym rozpacz. - Dlaczego?

- Odchodzę, oto dlaczego! Nie wytrzymam już dłużej.

- Przepraszam, Edmondzie! - błagała. - To przeze mnie. To moja wina!

Ale on potrząsnął głową.

- To nie była twoja wina. To ta kobieta. Ta suka.

- Proszę, nie mów tak. Odwrócił się do Hélène ze złością.

- Jest podła! Nie zamierzam tu zostać, żeby kiedyś zatłukła mnie na śmierć. Poza tym mam dość bycia jej niewolnikiem.

- Ale dokąd pójdziesz?

- Poszukam pracy na kutrze rybackim. Niech ta stara suka sama się zajmuje swoimi śmierdzącymi inspektami.

W oczach Hélène zabłyśły łzy.

- A ja? - zapytała cicho. - Co będzie ze mną? Podszedł bliżej i objął ją ramieniem. Był mokry od potu.

- Dzielna mała Francuzeczko - powiedział łagodnie - dopóki się jakoś nie urządzę, musisz tu zostać!

- Nie mogę! - łkała. - Nie bez ciebie!

- Możesz i zostaniesz. Musimy mieć pieniądze, żeby się stąd wydostać. Obiecuję, że będę oszczędzał każdy zarobiony grosz. Wrócę po ciebie i odejdziemy stąd razem. -

Delikatnie wyswobodził się z jej objęć i wepchnął swoje rzeczy do poszewki na poduszkę.

- Teraz otrzyj łzy.

Uroczyście kiwnęła głową i pociągając nosem, wytarła oczy.

- Edmondzie...

- Tak? - Spojrzał na nią.

Hélène milczała przez chwilę, a potem przyłgnęła do niego w nagłej panice.

- Nie zostawisz mnie z nią tutaj na zawsze, prawda?

Spojrzał na siostrę. Strach i samotność bijące z jej oczu sprawiły, że serce mu się ścisnęło.

- Nie, dzielna mała Francuzeczko. Mamy tylko siebie i nic nie może nas rozdzielić. Nie po tym, co razem przeszliśmy. Nie rozdzielili nas Niemcy i nie zrobi tego ta suka.

Hélène z obawą spojrzała mu w oczy.

- A morze? - spytała. - Co będzie, jeżeli rozdzieli nas morze?

Edmond uśmiechnął się do niej szeroko. Był bardzo pewny siebie.

- Nawet morze nie zdołałoby tego zrobić.

Rozdział 2

Hélène siedziała zawsze w jednej z ławek z tyłu klasy. *Mademoiselle* Gribius zawsze sadzała tam dobrze zachowujące się uczennice. Te, które utrudniały jej prowadzenie lekcji, były z przodu, gdzie mogła mieć je na oku. Zadzwoił dzwonek i dziewczynki tęsknie spojrzały na drzwi. Z holu dochodził głośny stukot kroków. Spojrzały znowu na nauczycielkę, niecierpliwie wyczekując na sygnał do wyjścia. Zajęcia domowe były ostatnią lekcją tego dnia.

Mademoiselle powoli wstała z krzesła i stanęła przed biurkiem. Jej jastrzębie oczy lustrowały klasę. Na twarzy pojawił się wyraz zadowolenia. Żadna z dziewcząt nawet nie drgnęła. Poruszały się tylko oczy. To wszystko. Uczennice wiedziały, co je czeka. Gdyby któraś z nich próbowała się ruszyć przed sygnałem nauczycielki, przesiedziałyby wszystkie w klasie przez kolejnych pięć minut.

- Uwaga! - Ostry jak brzytwa głos panny Gribius docierał na koniec sali. *Mademoiselle* nie zamierzała jeszcze kończyć lekcji. - Większość z was powinna już mieć pojęcie o szyciu. Jak wiecie, do letnich wakacji pozostało nam jeszcze tylko dziesięć lekcji. Jest w zwyczaju, że co roku moja klasa pokazuje, czego się nauczyła.

Jęknęły chórem. Wiedziały już, co je czeka. Ulubione zajęcie *mademoiselle*!

Większość dziewcząt nienawidziła szycia. Igły kłuły je w palce, plątały się nici, a nauczycielka nigdy nie była zadowolona z efektu. Ciągłe narzekała na nierówne obrąbki i nieporządne ścięgi. Dziewczęta nieraz doświadczyły gniewu *mademoiselle*, która

rozcinała maleńkimi nożyczkami cały długi ścieg, jeśli nie był wystarczająco starannie zrobiony, a pogrążona we łzach uczennica musiała zaczynać pracę od początku.

Mademoiselle kontynuowała:

- Każda z was musi uszyć sukienkę. Powinna być praktyczna i prosta. Macie wymyślić jej fason i zrobić wykroje. Musicie szyć samodzielnie. Cała praca będzie wykonana w klasie. To, co uszyjecie i jak dobrze to zrobicie, zadecyduje o ocenie końcowej z przedmiotu. - Zrobiła pauzę. - Czy wszystko jasne?

- *Oui, mademoiselle* - odpowiedziały chórem. Nauczycielka wstała.

- Dziewczęta!

Siedziały nieruchomo, sztywno wyprostowane.

- Koniec lekcji!

Rozległ się hałas odsuwanych krzeseł, a potem w korytarzu zatupały szybkie kroki. Po drugiej stronie budynku na pewno czekali już chłopcy.

Hélène zwykle wychodziła ostatnia. Nie miała się dokąd spieszyć. Ale dzisiaj wybiegła szczęśliwa razem z koleżankami. Jej serce biło mocno. Była jedyną uczennicą, która ucieszyła się z polecenia panny Gribius.

- Co jej się stało? - zapytała głośno Jeanne-Marie Berty, patrząc ze zdumieniem na Hélène. - Nigdy nie widziałam, żeby tak pognęła.

Przyjaciółka Jeanne-Marie, Edith Loiseau, odpowiedziała coś szeptem i obie zachichotały.

Hélène czuła, że jej twarz pokrywa rumieniec, ale zignorowała zachowanie koleżanek. Jeanne-Marie i Edith uważały się za lepsze od innych uczennic. Pan Berty był właścicielem stoczni, a pan Loiseau - lokalnej przetwórci ryb. Były to najbogatsze rodziny w mieście, toteż obydwie próżne i złośliwe dziewczynki zadzierały nosa i ciągle szydziły z innych, biedniejszych czy brzydszych. Hélène zawsze schodziła im z drogi, ale często goniły ją głośne docinki doprowadzające do wściekłości.

Dzisiaj jednak nie zwracała na nic uwagi. Niech sobie chichoczą, myślała. Teraz ona im pokaże! Chciało jej się śpiewać z radości. Miała nie tylko zdolności do szycia, ale była to jej ukryta pasja. Możliwe, że odziedziczyła talent po *maman*.

Uśmiechnęła się do siebie. Będzie dziesięć lekcji, dziesięć sobót, by pracować nad sukienką, myślała. A jedenasta sobota od dzisiaj to coroczny festyn świętojański. Kobiety z Saint-Nazaire włożą swoje tradycyjne stroje i fantazyjne, koronkowe czepki i wszyscy będą świętować.

A Hélène będzie chodziła dumna w swojej nowej, własnoręcznie uszytej sukience. Przystanąła, żeby złapać oddech. Oparła się o kamienny mur i przymknęła oczy. Tak, już to widziała. Na festynie będzie miała piękną sukienkę. Wreszcie coś innego niż te ponizające, wyżebrane łachmany, które ciotka Janine przynosiła od sąsiadów, kiedy ich dzieci z czegoś wyrosły. Tak, raz będę elegancka i olśniewająca, myślała. Będę Kopciuszkiem, a festyn w Dniu Świętego Jana to mój bal.

To nie powinno być trudne, uznała. Miała przecież zdolności do szycia i trochę pieniędzy. Przez parę lat uzbierała kilka franków. Dostawała czasami jakieś drobne, kiedy pomagała znajomym ciotki w różnych domowych pracach. Kilka franków, o których ciotka Janine nie wiedziała.

Hélène uśmiechnęła się ponownie. Po drodze do domu obejrzy wystawę pracowni *madame Dupré*. Pani Dupré była krawcową. Ale nie tylko szyła, sprzedawała też w swoim sklepie materiały. Większość z nich stanowiły proste, niedrogie tkaniny. Ale niektóre - och, niektóre były wprost cudowne!

I co najważniejsze, pani Dupré miała stare numery magazynów mody - „Paris Vogue”, „Elle” i „L'Officiel”. Hélène postanowiła je przejrzeć, aby zobaczyć, jaka sukienka najbardziej by jej się podobała.

Podskakiwała na kocich łbach ulicy, mijając kamienne domy, które wydawały się szare w zestawieniu z białymi oknami. Za kilka minut zerknie na wystawę pani Dupré. A w poniedziałek, zaraz po szkole, weźmie zarobione franki, wejdzie do sklepu i kupi piękny materiał na swoją wymarzoną sukienkę!

Rozdział 3

W poniedziałek Hélène stała jak zahipnotyzowana przed pracownią pani Dupré. W oknie zobaczyła zapierającą dech w piersiach suknię. Wisiała na brązowym manekinie, a pod spodem leżało zdjęcie z paryskiego magazynu mody. Hélène zauważyła, że sukienka została uszyta według jednego z modeli, tylko z innego materiału.

Była oczarowana.

Powoli otworzyła dłoń i spojrzała, chcąc się upewnić, czy wciąż ma pieniądze. Miała. Potem odetchnęła głęboko, by nabrać odwagi, otworzyła drzwi i weszła do środka.

W sklepie panował półmrok. Przez otwarte drzwi widziała jasno oświetloną pracownię w głębi. Były tam dwie dziewczyny. Jedna szyła coś pilnie w rękach, druga, siedząc przy maszynie, naciskała nogą pedał i obracała dłonią wielkie koło.

Ale wzrok Hélène przyciągnęła długa sklepowa lada. Leżały na niej bele pięknych tkanin. Patrzyła na nie, nie śmiejąc ich nawet dotknąć. Zafascynował ją zwłaszcza jeden materiał. Był popielaty, cały w maleńkich supełkach, jakby ze skazami, dziewczynka czuła jednak, że nie jest to wada, tylko po prostu cecha tej tkaniny.

- Czym mogę służyć? - Usłyszała uprzejmy głos za plecami.

Odwróciła się zawstydzona i nieśmiało podniosła wzrok.

Stała przed panią Dupré. Hélène pomyślała, że ta wysoka, imponująca dama jest najbardziej elegancka ze wszystkich znanych jej kobiet. Nosiała bluzkę z prążkowanego jedwabiu, z delikatną kokardką z koronki przy kołnierzyku. Jej brązowe oczy spoglądały łagodnie, włosy miała siwawe i pachniała lekko perfumami. Hélène poczuła się przy tej eleganckiej damie wyjątkowo nędznie ubrana i biedna. Na moment ogarnął ją wstyd. Już chciała się odwrócić i wybiec, ale coś dodało jej odwagi. Możliwe, że to, jak pani Dupré na nią patrzyła.

- *Bonjour, madame* - powiedziała cichutko.

- *Bonjour, mademoiselle* - odrzekła pani Dupré bardzo grzecznie. - W czym mogę pani pomóc?

Hélène odetchnęła głośno i mocniej zacisnęła w palcach swoje franki.

- Chciałabym kupić jakiś piękny materiał.

Pani Dupré uśmiechnęła się życzliwie.

- Wszystkie tkaniny są piękne - odrzekła. - Zależy tylko, co się z nich uszyje. Jaki materiał byś chciała? Mam bawełnę, wełnę, płótna, jedwabie, satynę, aksamit...

- Och! - Hélène była oszołomiona. - Coś takiego. - Wskazała drżącym palcem gruzełkowaty, szary materiał. - Ile kosztuje?

- Ma panienka dobry gust - powiedziała pani Dupré z aprobatą. - To czysty jedwab, szantung. Mam tylko tę jedną belę. Jest bardzo drogi. Ale wspaniały. - Spojrzała na Hélène ciepło. Było w tej dziewczynie coś, co przypomniało jej ją samą z czasów młodości. Oko do materiałów to rzadki dar. A ta dziewczyna je miała. - Chciałabyś go dotknąć? - zapytała z uśmiechem.

Oczy Hélène zabłyśły.

- Mogę?

- Oczywiście, *mademoiselle*.

Pani Dupré przyglądała się dziewczynie, kiedy ta wyciągnęła dłoń i z przejęciem dotknęła tkaniny. Potem wzięła róg między palce i pogładziła materiał. Krawcowa pokiwała głową. Ta mała ma wyczucie, powiedziała do siebie w myślach.

Hélène wydawało się, że ten materiał żyje. Czują, jak porusza się w jej palcach. Tkanina była cudowna w dotyku. Migotała delikatnie jak światło księżyca połyskujące na spokojnym morzu.

- Będzie z tego piękna suknia, *n'est-ce pas?* - zapytała pani Dupré.

Hélène brakowało oddechu.

- O tak! Ile to kosztuje?

- Ach! - Krawcowa spojrzała na nią przenikliwie i pokiwała palcem. - Nie myśl, że surowy jedwab to najlepsza tkanina, jaką tu mamy. Wełny są mocne, grube i ciepłe, ale mogą być również miękkie i delikatne. Płótno tak samo. Aksamit ma głęboką barwę. A bawełna jest chłodna i przewiewna. Każda tkanina ma własną osobowość i charakter. Ty musisz wiedzieć, która do ciebie pasuje. Królewskie materiały, jak jedwab i aksamit, nie nadają się na fartuchy czy szlafroki. Ale na suknię balową - tak! Len i bawełna są doskonałe na lato, a wełny na zimę. Są tkaniny na każdą porę roku i na każdą okazję.

Hélène była oszołomiona. Otworzyły się przed nią drzwi do wspaniałego świata.

Ktoś wszedł do sklepu i pani Dupré odwróciła się odruchowo. Hélène dyskretnie oglądała belę granatowego płótna, porównując je z jedwabiem.

- *Bonjour* - powiedziała pani Dupré.

- Potrzebne nam materiały - oznajmił impertynencki głos, który Hélène aż za dobrze знаła, Jeanne-Marie.

- Tak, chcemy coś niezwykłego - dodała jej przyjaciółka.

- Na coroczny pokaz bez wątpienia - zauważyła pani Dupré sucho.

- *Oui*. - Nagle rozległ się okrzyk. - Jeanne-Marie! Popatrz, kto tu jest!

Hélène zerknęła z boku na Jeanne-Marie i Edith. Jej dręczycielki pochyliły ku sobie głowy, szepcząc coś i chichocząc. Hélène zacisnęła pięści. Czowała się tak, jakby czarna chmura przesłoniła słońce. Te dwie złośliwe istoty nie mają prawa tu być, myślała. Nie wśród tych pięknych materiałów.

Edith spojrzała na nią protekcjonalnie.

- Co kupujesz? - zapytała.

- Ja... ja jeszcze nie wiem - wymamrotała Hélène.

Tamte poszeptały coś do siebie i znowu zaczęły chichotać. Pani Dupré spojrzała na nie surowo. Było jej przykro ze względu na tę małą, ale nie mogła wyprosić obu dziewcząt. Ich matki były najlepszymi klientkami; szyły w jej pracowni większość garderoby. Z tego pochodziła główna część dochodów pani Dupré. Sprzedaż materiałów była tylko dodatkiem. Nie, wyrzucenie tych dwóch nie wchodziło w grę. Ale postanowiła, że spróbuje się ich szybko pozbyć.

- Przepraszam na chwilę - rzuciła do Hélène. Dziewczynka kiwnęła głową i wycofała się do kąta.

Stała tam cicho i patrzyła. Przerażona przyglądała się, jak Edith natychmiast chwyciła zielony aksamit, szarpiąc go jak zwyczajny koc. Jeanne-Marie nie spieszyła się. Powoli oglądała wszystkie bele, obserwując przy tym kątem oka Hélène. Kiedy dotknęła szarego jedwabiu, zauważyła, że Hélène zesztyniała.

Jeanne-Marie uśmiechnęła się z triumfem i spojrzała na panią Dupré.

- Wezmę sześć metrów tego - oznajmiła słodkim głosem.

Serce Hélène zamarło. Popatrzyła błagalnie na krawcową. Madame Dupré odpowiedziała jej obojętnym spojrzeniem. Potem odwróciła się do Jeanne-Marie.

- To bardzo drogi materiał - zauważyła. - Może...

- Cena nie gra roli - oświadczyła Jeanne-Marie twardo. - Mama pozwoliła mi wybrać, co będę chciała. Proszę to zapisać na jej rachunek.

- Dobrze - powiedziała pani Dupré z westchnieniem. Popatrzyła na Hélène i serce jej się ścisnęło. Dziewczynka stała w kącie, ściskając rozpaczliwie w dłoni swoje monety.

Kilka minut później tamte wyszły, dumne ze swoich zakupów. Pod pachami niosły materiały zapakowane w brązowy papier. Gawędziły szczęśliwe, planując wspaniałe suknie. Edith miała zielony aksamit, a Jeanne-Marie - surowy jedwab.

- Myślałam, że już nigdy nie wyjdą - westchnęła pani Dupré zmęczonym głosem, kiedy drzwi się zamknęły. - Cóż za źle wychowane pannice! Przydałoby się im dobre lanie! - Potem odwróciła się do Hélène. - Teraz, *mademoiselle* - powiedziała łagodnie - czegoś cię nauczę.

Hélène milczała. Wciąż stała w kącie i wpatrywała się w krawcową. W oczach miała żal.

- Nie martw się, panienko - powiedziała pani Dupré pocieszającym tonem. - To wcale nie tak tragiczne, jak myślisz. Surowy jedwab i aksamit są dla was zdecydowanie nieodpowiednie. Nie nadają się na dziewczęce sukienki. Można z nich uszyć kreacje wieczorowe lub piękne kostiumy. A ten szary kolor jest zupełnie nieodpowiedni dla *mademoiselle* Berty. Nie przy tej okropnej bladej cerze. A zieleń jest równie niefortunna dla tej drugiej. Panna Edith ma zbyt ciemną karnację.

Hélène powoli kiwnęła głową. Wydawało jej się, że rozumie, co pani Dupré próbuje jej wyjaśnić.

- Ale... to...

- Nie przejmuj się, kochanie. - Pani Dupré zrobiła taki ruch ręką, jakby odganiała uprzykrzoną muchę. - Pozwólmy im zrobić z siebie widowisko. Nie mają gustu. Ty jesteś mądrzejsza, prawda?

Hélène skinęła głową. Poczowała się trochę lepiej. Niewiele, ale lepiej. Tylko niedawny blask w jej oczach zgasł. Zniknęła cała przyjemność wybierania materiału.

Pani Dupré dotknęła jej ramienia.

- Tak się składa, że nie mam dziś przymiarek. Pójdiesz ze mną na górę, wypijemy razem herbatę, a potem posłuchasz lekcji, której nigdy nie powinnaś zapomnieć. Danielle!

Maszyna umilkła. Chuda dziewczyna, która na niej szyła, spojrzała pytająco na swoją pracodawczynię.

- *Madame?*

- Idę na górę, Danielle. Zajmij się sklepem w czasie mojej nieobecności.

Hélène spojrzała na elegancki zegar ścienny. Była trzecia po południu. Rozmawiały ponad dwie godziny. Pani Dupré uniosła się z obitego perkalem krzesła.

- Wystarczy na jeden dzień - oznajmiła, wygładzając spódnicę. - Teraz idź do domu i przemyśl to, czego się dowiedziałaś. Nie zapomnij, co ci mówiłam o dwóch metodach podejścia do projektu. Pierwsza? - Spojrzała pytająco na Hélène.

Dziewczynka odetchnęła głęboko.

- Zaprojektowanie sukienki, a potem znalezienie odpowiedniego materiału.

- *Bon.* A druga?

- Zaprojektowanie sukienki z materiału, który już się ma.

- Świetnie. I którą wybierasz? Hélène nie wahała się ani chwili.

- Najpierw pomyślę, jaka sukienka będzie dla mnie odpowiednia. A potem wybiorę materiał, który będzie pasował do projektu i w którym będzie mi do twarzy.

Pani Dupré spojrzała na nią z uznaniem. Szybko się uczy, pomyślała. Mając dobrą nauczycielkę, może daleko zajść.

Rozdział 4

Dziesięć tygodni później, w sobotę, mademoiselle Gribius wstała zza biurka i klasnęła w dłonie, by zwrócić uwagę uczennic.

Dziewczęta siedziały wyprostowane, patrząc na nią z niepokojem. Na ławce przed każdą z nich leżała starannie złożona sukienka.

- Jak wiecie, jest to nasza ostatnia lekcja przed wakacjami. Starałam się dobrze was nauczyć. Teraz zobaczymy, czy mi się to udało - zaczęła mówić obojętnym, spokojnym głosem. Przez chwilę milczała, a jej przenikliwe oczy przesuwaly się po klasie. - Przebierzcie się w kreacje, które uszyłyście. Pozostaniecie w swoich sukienkach do końca zajęć. Jednakże nie pójdziecie w nich do domu. Przed końcem lekcji włożycie znowu szkolne mundurki. - Zmarszczyła brwi. - Myślę, że tak będzie lepiej, bo oszczędzicie sobie wstydu. Obserwowałam was podczas pracy i ze smutkiem muszę powiedzieć, że niektóre z was nauczyły się niewiele. Myślę, że wasi rodzice nie byłiby zadowoleni, widząc was poprzebierane jak na maskaradę. - Urwała na chwilę. - Dobrze, dziewczynki! Włóżcie swoje sukienki.

Serce Héléne uderzało głośno. Odetchnęła głęboko, aby nabrać odwagi, i powoli, drżącymi rękami zaczęła rozkładać swoją sukienkę. W tym momencie zapomniała o reszcie klasy i panie Gribius. Widziała tylko własne dzieło.

W ciągu ostatnich tygodni *mademoiselle* rzeczywiście z uwagą obserwowała dziewczęta. Ale nie udzielała rad ani nie komentowała niczego. Nie chwaliła ani nie okazywała dezaprobaty. Żadna z dziewcząt nie wiedziała, co myśleć. *Mademoiselle* nigdy się nie uśmiechała. Jej surowa twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Największe kłopoty miała Edith. Jej ciągłe „ochy” i mamrotane przekleństwa reszta dziewcząt kwitowała tłumionymi chichotami. Wyjątkowo trudno było kroić i szyć zielony aksamit, bo materiał okazał się gruby i sztywny. Edith ciągle musiała coś pruć i zszywać na nowo. W końcu materiał w wielu miejscach zaczął prześwitywać. Każdej soboty Edith była bliska łez.

Jeanne-Marie miała nie mniejsze kłopoty, ale podchodziła do szycia z entuzjazmem, nie chcąc narazić się na kpiny koleżanek. Za każdym razem, kiedy ukłuła się igłą,

zaciskała wargi z całej siły, by nie kląć ani nie krzyżeć. Ale jej gwałtowne westchnienia były wystarczające, a syknięcia słyszało się aż na końcu klasy. Odkryła, zbyt późno, że surowy jedwab, który kupiła na złość Hélène, jest tak samo trudny do szycia jak aksamit. Jedwab buntował się i wyślizgiwał spod igły. W dodatku piękny, lejący się materiał bardzo łatwo się strzepił, znacznie łatwiej niż zwyczajne tkaniny, jak bawełna czy płótno.

W dodatku obie przyjaciółki źle wybrały fasony swoich sukienek. Instrukcje *mademoiselle* co do prostoty zostały odmiennie zinterpretowane przez każdą z uczennic. Ale żaden z modeli nie był tak ambitny czy dziwaczny, jak kreacje Edith i Jeanne-Marie. Było jasne, że obie nie zastanowiły się nad tym, co chcą uszyć. Próbowaly stworzyć coś współczesnego z eleganckich osiemnastowiecznych tkanin. Wymagało to kolejnych wizyt u pani Dupré. Prawie codziennie niefortunne projektantki kupowały kolorowe kokardy i białe lub złote koronki.

Za każdym razem, kiedy dostrzegły coś nowego, chciały ozdobić tym swoje sukienki. Pani Dupré nie służyła im pomocą. Wiedząc, że przyjdą znowu, z premedytacją układała na wystawie coraz to nowe kokardy, wstążki i koronki. Było tego zbyt dużo dla Edith i Jeanne-Marie. Nie znały umiaru. I wszystkie te dodatki miały ozdobić ich kreacje.

Hélène była bardzo wdzięczna pani Dupré za lekcję. Wzięła sobie do serca to, czego się dowiedziała, i wymyśliła sukienkę najprostszą z możliwych. Inspiracji dostarczyło jej zdjęcie, które widziała w „L'Officiel”, przedstawiające ostatni krzyk paryskiej mody. Suknia miała prostą górę bez żadnych ozdób i rozszerzaną spódnicę. Rękawy były krótkie, a głęboki dekolt został wręcz skandalicznie wydłużony. Hélène wybrała lekką bordową welenkę, miękką i łatwą do szycia. Intensywna barwa doskonale harmonizowała z czarnymi włosami dziewczyny. Jedynym dodatkiem był uszyty z tej samej tkaniny pasek z piękną klamerką, którą podarowała jej pani Dupré.

Prostota sukni stanowiła o całej jej elegancji.

Dziewczęta przebierały się powoli. Większość drżała z niepokoju, wkładając swoje sukienki.

- Pospieszcie się! - ponaglała je *mademoiselle*. - Nie mamy na to całego dnia.

Potem *mademoiselle* kazała im po kolei przejść się po klasie. Przy biurku nauczycielki musiały wykonać obrót i wracały na miejsca. Dziewczęta siedzące z przodu pierwsze prezentowały swoje prace.

Kiedy podniosła się Edith, przez klasę przebiegł śmiech. Dziewczyna stała zarumieniona ze wstydu. Jej sukienka wyglądała wręcz fatalnie. Lewy rękaw był dłuższy i szerszy, dół krzywy i postrzępiony; na dodatek Edith zrobiła tyle fałd w talii, iż wydawało się, że jest w ciąży. Kokardy i wstążki jeszcze potęgowały koszmarnie wrażenie. Wyglądało to tak, jakby kilkunastu cukierników, z których żaden nie miał artystycznych zdolności, ozdobiło lukrem ten sam tort. Nawet Jeanne-Marie nie mogła opanować chichotu. Ale bardzo szybko spoważniała. Okazało się, że jest następna.

Podniosła się powoli. Po raz pierwszy straciła pewność siebie i niepewnie okrążyła salę. Z daleka surowy jedwab nie wyglądał źle, z bliska była to płatanina luźnych ściegów, pomarszczonego materiału i zwisających nici. Jednak postawa Jeanne-Marie sprawiła, że nikt się nie śmiał. Lecz kiedy niefortunna krawcowa zrobiła piruet, wszystkie dziewczęta zauważyły coś dziwnego z tyłu. Suknia marszczyła się okropnie na plecach i wydawało się, że Jeanne-Marie ma garb. Klasa wybuchnęła śmiechem. Nawet *mademoiselle* lekko zagryzła usta.

Hélène była ostatnia. Kiedy nauczycielka wymówiła jej imię, dziewczynkę ogarnął strach. Zamarła na swoim miejscu. Koleżanki odwróciły głowy i patrzyły na nią z uwagą. *Mademoiselle* wywołała ją ponownie i Hélène zmusiła się, by wstać.

Ruszyła powoli w kierunku nauczycielki, a każdy krok wymagał olbrzymiego wysiłku. W ogóle nie czuła nóg. Trzymała się sztywno i szła, zaciskając dłonie, zawstydzona. Na czole i pod pachami czuła zimny pot. Nie mogła przestać o tym myśleć; to nowa sukienka, a zaraz się zniszczy.

Wreszcie doszła do biurka *mademoiselle* Gribius i zatrzymała się półprzytomna, dręczona niepewnością. Pulsowało jej w skroniach. Serce waliło jak oszalałe.

W końcu udało jej się obrócić. Koleżanki gapiły się na nią z otwartymi ustami. Nagle rozległo się spontaniczne chóralne „ach”. Chwilę później Hélène zdała sobie sprawę ze znaczenia tego okrzyku. Jej oczy rozblęły dumą. Odniosła pierwszy sukces.

Po raz pierwszy w życiu była półprzytomna ze szczęścia.

Znalazła swoją pasję. Modę.

Rozdział 5

Po zakończeniu zajęć w szkole dziewczęta skupiły się wokół Hélène. Chciały wiedzieć wszystko o fasonie sukienki, błagały, by pozwoliła ją dokładnie obejrzeć, zadawały mnóstwo pytań. Skąd wzięła pomysł? Jak zwykła wełenka mogła tak pięknie wyglądać? Dlaczego tak prosty krój dał tak olśniewający efekt?

Hélène nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Nagle znalazła się w centrum zainteresowania. Sukienka dała jej popularność. Nawet Edith i Jeanne-Marie podeszły niechętnie.

Jeanne-Marie popatrzyła z wahaniem na Hélène.

- Czy mogłabyś zaprojektować i uszyć dla mnie sukienkę? - zapytała. - Oczywiście za pieniądze.

Hélène nie знаła dotąd radości, jaką dają pochwały koleżanek. Ciotka Janine nie pozwalała jej na kontakty z rówieśniczkami. Chodziła tylko do kościoła i pracowała w szklarniach. Nie miała czasu na nic innego. A teraz poczuła słodczy popularności.

Kiedy wyszła ze szkoły, oślepiło ją słońce. Pod pachą ścisnęła torbę, w której miała sukienkę. Wciąż otaczały ją paplające dziewczęta.

Nagle usłyszała z tyłu wesoły głos:

- Witaj, dzielna mała Francuzeczko!

Odwróciła się gwałtownie. Stał za nią szeroko uśmiechnięty Edmond, z jego ciemną opalenizną kontrastowały olśniewająco białe zęby. Dwóch z przodu brakowało, gdyż stracił je dawno temu w Paryżu. Hélène patrzyła na niego chwilę zdumiona, a potem zarzuciła mu ręce na szyję, brat zaś bez wysiłku uniósł ją do góry.

- Edmond! - zawołała. - Och, Edmondzie!

Jego statek właśnie zawinął do portu, Edmond nie zawracał sobie głowy myciem, miał kłujące policzki i śmierdział rybami, ale Hélène nie zwracała na to uwagi; w tej chwili był to najpiękniejszy zapach świata.

Kiedy wreszcie ją postawił, spojrzała na niego z dumą. Minęły dwa miesiące od ich ostatniego spotkania. Przez ten czas Edmond zmężniał i chyba wyrósł. Był przystojniejszy niż kiedykolwiek. Ciężka praca sprawiła, że miał teraz szerokie ramiona i twarde jak stal mięśnie. Czują je przez ubranie.

Przytuliła twarz do piersi brata i rozplakała się gwałtownie.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Co się stało? - zapytał łagodnie. Hélène uśmiechnęła się przez łzy.

- Wiem, że to zabrzmiało głupio. Ale... och, Edmondzie, Edmondzie! Jestem taka szczęśliwa, że cię widzę. - Pociągnęła nosem i wytarła oczy dłonią.

Edmond uśmiechnął się szeroko.

- Wiesz, właśnie mi zapłacili. Chodź, zapraszam cię na obiad do najlepszej restauracji w mieście. Będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- Nie chcesz pójść ze mną... do domu? Moglibyśmy tam porozmawiać.

Twarz mu spochmurniała. Pokręcił gwałtownie głową.

- Nie! - rzucił gwałtownie. - Nie chcę widzieć tej wiedzy.

Hélène rozumiała go aż za dobrze. Edmond nie zmienił zdania, nie chciał widzieć ciotki Janine i nie chciał jej już znać. Kiedy przypląwał do Saint-Nazaire, wynajmował pokój w pensjonacie na nabrzeżu. Przez chwilę szli w milczeniu. Potem nagle Edmond wziął Hélène za rękę.

- Będę tu dziesięć dni, a potem znowu ruszam w morze. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Więc zabierzesz mnie na festyn świętojański?

- Jasne. Będziesz tam drugą najpiękniejszą dziewczyną. Zatrzymała się i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Drugą! - powtórzyła zaskoczona. - A kto jest tą pierwszą?

- Ktoś, kogo zaraz poznasz w restauracji.

Nagle ogarnął ją dziwny lęk.

- Czy... czy to twoja... dziewczyna? - zapytała słabym głosem.

Edmond powoli kiwnął głową.

- Poznałem ją, kiedy ostatnim razem byliśmy w porcie. - Zauważył w oczach siostry żal. - Och, nie martw się, Jeanne jest wyjątkowa. Ale nigdy nie zajmie twojego miejsca. - Uśmiechnął się. - Ty jesteś moją dzielną małą Francuzeczką.

Odpowiedziała mu wymuszonym uśmiechem. Jej szczęście nagle gdzieś znikło. Nie była już jedyną dziewczyną w życiu brata. Miał ukochaną. Hélène myślała już wcześniej o tym, że Edmond kiedyś się zakocha. Był zbyt przystojny, żeby nie mieć dziewczyny. Nie, nie myślała o tym. Obawiała się tego.

Nagle zrozumiała, co teraz czuje. Zazdrość.

Restauracja nazywała się Au Petit Caporal. Hélène często obok niej przechodziła, ale nigdy nie była w środku. Musieli zejść dwa stopnie w dół i minąć starą, czystą kuchnię, bo sala jadalna znajdowała się z tyłu. Była prawie pusta, miała niski sufit, białe ściany i podłogę z kamiennych płyt.

Usiedli na wyplatanych krzesłach przy okrągłym stoliku nakrytym serwetą w kratę. Za plecami mieli niewielkie okienko. Na parapecie stały doniczki z geranium, na zewnątrz, przy brzegu, kołysały się przycumowane łodzie. Promienie słońca odbijały się od ich kadłubów.

Hélène od razu rozpoznała dziewczynę Edmonda; wystarczyło zobaczyć, jak spoglądała na jej brata młoda kelnerka. Hélène przyglądała jej się z niechęcią, porównując jej wygląd ze swoim. Tamta była chyba w wieku Edmonda - a więc miała prawie osiemnaście lat, brązowe myszowate włosy, miłą twarz i brązowe, łagodne oczy. Była śliczna, kiedy się uśmiechała.

Edmond wstał i pocałował dziewczynę w policzek. Hélène znowu poczuła ukłucie zazdrości. Odwróciła głowę.

- Witaj, Jeanne - odezwał się Edmond. W jego głosie zabrzmiała jakaś szczególna nuta, której Hélène nigdy wcześniej nie słyszała. - To moja siostra, Hélène. Hélène, to moja... Jeanne.

Spojrzała na dziewczynę.

- Witaj - rzuciła z rezerwą, nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

Jeanne jednak uśmiechnęła się życzliwie.

- Jak się masz - rzekła ciepło. Wyczuła, że Hélène jej się obawia. Wsunęła krzesło i usiadła. Potem wyciągnęła rękę, ujęła dłoń Hélène i spojrzała jej poważnie w oczy. - Bardzo lubię Edmonda - powiedziała szczerze. - I wiem, jak ty go kochasz. Mówił mi o tym. Jeżeli mi pozwolisz, ja... ja chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami.

Hélène natychmiast poczuła się lepiej. Spojrzała na Jeanne życzliwiej.

- Ja też bym chciała - odrzekła. - Nigdy nie miałam prawdziwej przyjaciółki.

Dzień świętego Jana był ciepły i pogodny. Słońce świeciło jasno, na bezchmurnym niebie. Nawet ciotka Janine zamknęła swój interes na dzisiejsze święto.

Wczesnie rano Hélène naląła wody do wielkich garnków i zagrzała je na kuchni. Wyszorowała się porządnie, wyczyściła z ziemi paznokcie, wymyła i wyszczotkowała włosy. Wyjątkowo zależało jej dziś na ładnym wyglądzie.

Miała przecież włożyć nową sukienkę! Nikomu jej jeszcze nie pokazała, ani ciotce Janine, ani pani Dupré, ani Edmondowi, który miał czekać z Jeanne przed bramą dokładnie o dwunastą.

- Powinnaś być już ubrana - warknęła ciotka Janine o wpół do dwunastą. Sama włożyła już tradycyjną odświętną czarną suknię z koronkowym kołnierzem. Siwy warkocz miała okręcony dookoła głowy, a na włosach upięła wysoki, sztywny koronkowy czepek. Wydawała się w pewien sposób niezwykła, wyższa niż w rzeczywistości.

Hélène posłusznie kiwnęła głową i poszła na górę do sypialni. Nie zamierzała mówić ciotce, że chce iść sama. Nie ośmieliłaby się nawet wspomnieć przy niej o Edmondzie. Ciotka Janine wpadłaby w szał.

Nie, Hélène miała lepszy plan. Kiedy ciotka nie będzie patrzyła, ona po prostu wymknie się z domu.

Ostrożnie włożyła sukienkę. Bordowa wełna miękko i przyjemnie dotykała czystej skóry. Hélène wstała któreś nocy, rozgrzała w piecu kuchennym żelazną duszę i włożyła ją do żelazka. Potem ostrożnie wyprasowała sukienkę, która teraz nie miała najmniejszej fałdki.

Szczęśliwa, obróciła się teraz, patrząc, jak materiał układa się na biodrach. Żałowała, że nie ma lustra, żeby się przejrzeć. Ale ciotka Janine nie tolerowała luster. Były symbolem grzechu próżności.

Hélène rozsunęła cienkie firanki i spojrzała na dół. Brat i Jeanne czekali już przy bramie. Edmond opierał się o słup i palił papierosa. Pomachała do niego. Dostrzegł ją i skinął ręką na powitanie.

Szybko wygładziła sukienkę, przesunęła dłonią po włosach i otworzyła drzwi. Nigdzie nie zauważyła ciotki Janine. Odetchnęła z ulgą i po cichutku, zaciskając zęby za każdym razem, kiedy zatrzeszczały schody, zeszła do kuchni.

Hélène jeszcze nigdy nie wyglądała tak uroczo. Bordowy kolor sukienki sprawił, że skóra dziewczyny nabrała ciepłego odcienia. Fiołkowe oczy błyszczały z przejęcia jak klejnoty. Hélène czuła się naprawdę szczęśliwa.

Podeszła na palcach do drzwi. Kiedy dotknęła klamki, poraził ją ostry głos.

- Dokąd to się wybierasz?

Odwróciła się powoli. Ciotka Janine stała przy szafie. Brwi miała groźnie ściągnięte, dłonie oparła na chudych biodrach.

Hélène wskazała na drzwi.

- Edmond czeka na mnie przy bramie.

Ciotka Janine zbliżała się do niej ukradkiem jak pająk.

- Biegniesz zobaczyć się z bratem, tak? - wypluła z siebie pogardliwie.

- Tak - odrzekła zimno Hélène. Ciotka Janine roześmiała się ironicznie.

- Taka wystrojona? - Zacisnęła groźnie wargi. - Skąd masz tę sukienkę?

- Uszyłam ją.

- Nie kłam!

- Uszyłam! Na lekcjach szycia *mademoiselle* Gribius.

- A materiał? Gdzie kupiłaś ten grzeszny kolor? Czerwony to kolor diabła!

- Nie jest grzeszny! - odparła Hélène. - Nawet biskup nosi czerwone szaty.

Ciotka Janine rzuciła się na nią z furją.

- Ty zła, przeklęta grzesznico! Jak śmiesz porównywać tę lubieżną suknię z ubiorem świętego pasterza Kościoła! - Uniosła dłoń, by spoliczkować Hélène, ale dziewczynka zasłoniła się ramieniem. Ciotka Janine jęknęła głośno z bólu. Potem nagle szarpnęła przód sukienki Hélène. Pociągnęła tkaninę z całej siły, na jaką mogły się zdobyć jej kościste palce.

Rozległ się trzask pękającego materiału, a Hélène krzyknęła z rozpaczy. Jej sukienka - jej wspaniała sukienka Kopciuszka - była zniszczona! Góra zwisała w strzępach i tylko biały staniczek osłaniał teraz małe piersi dziewczyny.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła.

- Włóż coś przyzwoitego - warknęła ciotka Janine. - Pójdiesz do spowiedzi.

- Nie - powiedziała Hélène cicho. Wyprostowała się, oczy jej zabłyśły. - Albo owszem, pójdę i powiem biskupowi, jaka jesteś zła! Jaka... jaka... - Uniosła strzępy opadającego stanika i uśmiechnęła się. - Jak specjalnie podarłaś mi sukienkę, żeby zobaczyć mnie naga!

- Nie ośmielisz się tego powiedzieć. To kłamstwo! - wyszeptała ciotka Janine. - Bóg cię ukarze, tak jak karze wszystkich grzeszników! Zobaczysz! - Potem odwróciła się i szeleszcząc halką, wybiegła z domu.

Rozdział 6

Lato minęło, nadeszła jesień, a później zima. Potem jeszcze raz powtórzył się odwieczny cykl natury. Wiosna, lato, jesień, zima. Szóstego stycznia 1952 roku Hélène skończyła piętnaście lat. Na sobotnie popołudnie została zaproszona do Jeanne.

- Witaj - Uśmiechnęła się do niej Jeanne, otworzywszy drzwi. - Edmond już jest. Wejdz.

Hélène ruszyła za nią do znajomej kuchni, która znajdowała się za wąskim korytarzykiem. Prowadziły do niej drzwi z matowymi szklanymi szybkami. Edmond siedział przy stole. Kiedy Hélène weszła, podniósł się i ucałował siostrę.

- Teraz mam przy sobie obie moje dziewczyny - powiedział ucieszony.

Hélène usiadła obok niego na drewnianej ławie, a Jeanne przeszła przez kuchnię i zniknęła w spiżarni. Po chwili wróciła z butelką białego wina. Wyjęła z kredensu trzy szklaneczki. Ostrożnie napełniła je i postawiła na stole. Potem usiadła obok Edmonda i uniosła swoją szklanę.

- Za Hélène - wzniosła toast - która za rok zda maturę!

Edmond też podniósł swoje wino.

- *À votre santé* - powiedział.

Hélène uśmiechnęła się do nich.

- *À votre santé*.

Przy drugiej szklaneczce ogarnęło ją miłe ciepło. Wino sprawiło, że czuła się zrelaksowana i zadowolona. Najprzyjemniejsze były zawsze chwile spędzane razem z nimi w małym mieszkaniu Jeanne, które odziedziczyła po śmierci swojej matki. Było przytulne, ciepłe i radosne. Edmond nadal wynajmował pokój w pensjonacie, ilekroć statek zawijał do portu. Ale większość czasu spędzał tutaj, wracał do siebie tylko na krótko.

Przez chwilę gawędzili i plotkowali. Potem Jeanne wzięła Edmonda za rękę. Popatrzyła z powagą na Hélène.

- Mamy ci coś do powiedzenia... - zaczęła z wahaniem.

Spojrzała na Edmonda i ścisnęła mu dłoń, dając znak, by teraz on mówił.

Kiwnął głową, a Jeanne odwróciła wzrok.

- Jeanne i ja... - zrobił pauzę i wziął głęboki oddech; w jego oczach błysnął niepokój. - Zamierzamy się pobrać.

Przez moment Hélène wpatrywała się w oboje z otwartymi ustami. Gdy nowina wreszcie do niej dotarła, jej serce zatrzepotało z radości. Pochyliła się, objęła Edmonda i uściskała go mocno. Popatrzył na nią zaskoczony. Potem ucałowała Jeanne.

- Wspaniale! - zawołała podekscytowana. - Kiedy to nastąpi? Ustaliliście już datę? Coś takiego! - Z niedowierzaniem pokręciła głową. - Będę miała bratową! Dostaniesz ode mnie w prezencie suknię ślubną - oznajmiła. - Sama ją uszyję!

- Naprawdę? - ucieszyła się Jeanne.

Hélène podniosła swoją szklaneczkę.

- Chcę wznieść toast - ogłosiła.

Edmond i Jeanne sięgnęli po swoje szklanki. Na twarzy Hélène pojawiły się rumieńce. Po raz pierwszy w życiu wygłaszała toast.

- Za mojego brata i bratową - powiedziała cicho. - Za dwoje ludzi, których kocham najbardziej na świecie.

Do domu ciotki Janine wracała sama. Wokoło panowała cisza, na brudnej drodze nie było nikogo. Wiał wiatr.

Lodowate podmuchy szarpały jej ubraniem, ale nie zwracała na to uwagi. Myślami przebywała w zupełnie innym świecie. Świecie mody. Marzyła o Paryżu i pismach pełnych kolorowych zdjęć.

Kiedy tylko skończy szkołę, natychmiast znajdzie sobie pracę. Będzie oszczędzała. A kiedy zbierze wystarczająco dużo pieniędzy, kupi bilet do Paryża, do królestwa mody. A tam zacznie realizować swoje marzenia. Wspaniałe marzenia o własnym piśmie zajmującym się modą. Lepszym niż te, które oglądała u pani Dupré. Piękniejszym niż „Elle”, wytworniejszym niż „L'Officiel”, bardziej opiniotwórczym niż „Vogue”. Samo snucie marzeń wprawiało ją w zachwyt. Uwielbiała projektować i szyc, ale nie chciała tego robić. Miała zdolności, to prawda, ale niewystarczające, by mogła współzawodniczyć z takimi geniuszami jak Madame Grès, Christian Dior czy Hubert de Givenchy. Miała jednak talent do czegoś innego. Do rozpoznawania wartościowych rzeczy. Wspaniałych materiałów. Biżuterii. Fasonów. Miała to, co pani Dupré nazywała „okiem”.

Kiedy dotarła do domu, dostrzegła w oknach słabe światło. Teraz, kiedy miała stanąć twarzą w twarz z ciotką Janine, wszystkie wielkie marzenia pierzchły nagle. Wróciwszy do rzeczywistości, Hélène poczuła, że jest bardzo zimno, a ona cała drży.

Ciotka siedziała w kuchni z gościem. Hélène natychmiast rozpoznała tego mężczyznę. Był to bezrobotny spawacz, który kiedyś pracował w stoczni, a teraz większość czasu spędzał w portowych tawernach. Był wysoki, miał ciemne oczy i włosy. Sprawiał wrażenie chytrego i bezwzględnego. Kilka razy, gdy Hélène mijala go na ulicy, robił pod jej adresem nieprzyzwoite uwagi. Nazywał się Pierre Péguy. Dziewczyna go nie lubiła.

- Podejdz tu, Hélène - odezwała się surowo ciotka Janine.

Posłusznie podeszła do stołu.

- Usiądz. - Ciotka wskazała kościstym palcem puste krzesło.

Hélène zareagowała nieufnie na tę nagłą zyczliwość. Po raz pierwszy ciotka wskazała jej miejsce obok siebie.

- Myślę, że powinnaś o czymś wiedzieć - oznajmiła stanowczym głosem ciotka Janine. Jej ciemne oczy rozbłysły, gdy popatrzyła na mężczyznę siedzącego naprzeciwko.
- Pan Péguy poprosił mnie o rękę.

Hélène otworzyła szeroko usta ze zdumienia i popatrzyła na ciotkę, a później na Pierre'a i potem znowu na ciotkę. Janine wychodzi za męża? I jej wybrankiem jest pijak bez grosza? To z pewnością głupi żart! Jeszcze raz spojrzała uważnie na ciotkę Janine. Nie, to nie był żart.

- Dałam panu Péguy odpowiedź twierdzącą - oznajmiła Janine. - Przyjęłam jego oświadczenia.

Hélène popatrzyła na nią przerażona, a potem szybko się podniosła.

- Dokąd to? - fuknęła ciotka. - Nie pozwoliłam ci wyjść!

- Ja... ja nie czuję się dobrze, ciociu - wyjąkała dziewczyna.

Zerwała się gwałtownie i przewróciła krzesło, które upadło z hukiem. Hélène szybko pochylila się, aby je podnieść. Kiedy się wyprostowała, dostrzegła spojrzenie Pierre'a. Patrzył na nią dziwnie. Zadrzała. Nie spodobał jej się wyraz oczu mężczyzny.

Tak samo spoglądał kiedyś na Catherine Niemiec.

W noc poślubną ciotki Hélène obudziła się nagle. Małżonkowie jeszcze nie spali; słyszała ich głosy w sypialni obok. Zaspana zmarszczyła brwi. Nie brzmiało to wcale jak rozmowa państwa młodych.

- Oczywiście, że mieli dom - powiedziała ciotka.

- Jesteś tego pewna? - pytał Pierre.

- Absolutnie. Na Mont...

Hélène nie słyszała dalszego ciągu. Tamci dwoje rozmawiali o domu na Mont-coś-tam. Montlucon? Montlivault? Ziewnęła i przestała się nad tym zastanawiać. Po chwili odwróciła się na drugi bok i niedługo ponownie zasnęła.

Kiedy obudziła się rano, słońce świeciło już jasno. Usiadła na łóżku, ziewnęła i przeciągnęła się. Potem ubrała się szybko i zeszła na dół. Zatrzymała się w połowie schodów i zajrzała do kuchni.

Przy stole siedział pochylony Pierre, popijając z kubka parującą kawę. Kot, Monsieur Champagne, przycupnął czujnie na chłodniejszej części wielkiego pieca

kuchennego, przyglądając się z uwagą ciotce Janine, która smażyła jajecznicę. Węszył różowym nosem, chwytając w nozdrza przyjemną woń. W kuchni pachniało smażoną szynką.

Dziewczyna poczuła, jak ślinka napływa jej do ust. Może małżeństwo odmieni ciotkę Janine, pomyślała z nadzieją. Nigdy wcześniej w tym domu nie było tak wystawnych śniadań. Na ogół obie jadły suchy chleb, popijając go słabą kawą. A kiedy już zrobiło się naprawdę zimno, rozgrzewały się gorącą owsianką. A dzisiaj nawet kawa pachniała tak rozkosznie jak nigdy.

- Dzień dobry - powiedziała Hélène i zakryła usta dłonią, by ukryć ziewnięcie. - Ładnie pachnie.

Ciotka Janine mruknęła coś, ale się nie odwróciła.

Dziewczyna podeszła do stołu i wysunęła krzesło. Kiedy siadała, uderzyła o coś kolanem. Zajrzała pod stół. Stała tam walizka.

- Czy ktoś wyjeżdża? - zapytała zdziwiona. Pierre popatrzył na nią przez długą chwilę.

- Ja - powiedział ochrypłym głosem. Potem znowu zajął się kawą.

- Dokąd jedziesz?

- Do Paryża.

- Do Paryża! - Oczy Hélène zabłyśły.

- Cicho! - warknęła ciotka Janine. Odwróciła się od kuchni i rzuciła mężowi gniewne spojrzenie. - To nie jej interes!

Wzruszył ramionami i hałaśliwie siorbnął kawę. Chwilę później ciotka Janine postawiła przed nim emaliowany talerz. Były na nim jajka z szynką i chleb. Pierre pospiesznie złapał widelec i zaczął łapczywie jeść.

- Ty dostaniesz później śniadanie - powiedziała ciotka Janine do Hélène. - On się spieszy na pociąg.

Osiem dni później Pierre wrócił z Paryża popołudniowym pociągiem. Hélène i ciotka Janine gracały grządki przy furtce, kiedy przed bramą zatrzymała się taksówka. Przestały pracować i patrzyły, jak Pierre wy dostał się z auta, zapłacił kierowcy i chwiejnie ruszył z walizką do domu.

Ciotka Janine wyczuła, że coś jest nie tak. Zesztywniała, odłożyła motykę i odgarnęła włosy z czoła. Potem podeszła do Pierre'a i złapała go za ramię.

- Dlaczego nie przyszedłeś z dworca na piechotę? - wysyczała.

Spojrzał na nią wytrzeszczonymi, przekrwionymi oczyma.

- Nie chciało mi się - burknął. Roześmiał się, widząc wyraz jej twarzy. - Nie martw się! Stać nas na to. Jesteśmy teraz bogaci!

- Pięś! - rzuciła pogardliwym tonem. - Nie powinnam była puszczać cię samego.

Pierre wyrwał ramię z jej uścisku.

- Zostaw mnie, kobieto! - warknął. Ciotka Janine spiorunowała go wzrokiem.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić? - Dopiero teraz zauważyła jego strój. - Ten garnitur! - krzyknęła oskarżycielskim tonem. - Skąd go masz?

- Kupiłem.

- W Paryżu, bez wątpienia. - Wyprostowała się groźnie. - To grzeszne miasto! Dzięki Bogu, dom poszedł i już nie ma potrzeby tam jeździć!

Hélène zmarszczyła brwi. Znała tylko jeden dom w Paryżu. Zadrzała. Tylko nie dom *maman*, myślała. O Boże, nie! Nie dom na... Montmartrze! Nagle przypomniała sobie rozmowę, którą słyszała w noc poślubną ciotki Janine. „Mont” znaczyło oczywiście Montmartre! Dlaczego o tym nie pomyślała? Przymknęła oczy. Chodziło o ich dom! Wciąż widziała go w myślach. Kanarkowożółte drzwi wejściowe, wymyślne kraty w oknach i białe kopuły Sacré Coeur w oddali. Mały park po drugiej stronie ulicy. O Boże, nie. Nigdy się nie zastanawiała, czy rodzice tylko wynajmowali tamten dom, czy też był ich własnością.

Ogarnęła ją fala przerażenia. Jeżeli dom należał do *maman*, teraz byłby ich! Jej i Edmonda! Mogliby zamieszkać w Paryżu! Czemu nie pomyślała o tym wcześniej? Możliwe, że wymazała ten dom z pamięci ze względu na tragiczne wydarzenia z czasów wojny.

Powoli zbliżyła się do ciotki Janine i Pierre'a.

- O czym wy mówicie? - zapytała cicho. Ciotka Janine spojrzała na nią ostro.

- Nie twój interes! Wracaj do pracy!

Jednak Hélène stała nieruchomo.

- Chodzi o dom *maman*, prawda? - zapytała, nagle mając już pewność, że tak jest.
Ciotka Janine odwróciła wzrok.

- A jeżeli nawet?

- Nie miałaś prawa go sprzedać! - wykrzyknęła Hélène. - Należał do Edmonda i do mnie!

Ciotka Janine wycelowała w nią palec.

- Ty niewdzięcznico! Kto się tobą opiekował przez te wszystkie lata? Kto cię żywił i ubierał? Kto cię wziął do siebie?

Tak, pomyślała Hélène. Rzeczywiście, kto? Kto zbierał dla niej po ludziach znoszone ubrania? Kto karmił ją najgorszym, niedobrym jedzeniem? Kto kazał jej harować jak niewolnicy od rana do nocy? No kto?

- Edmondowi to się nie spodoba - oświadczyła, szczękając zębami.

- Myślisz, że się go przestraszę? - zapytała groźnie ciotka Janine.

- Kto to jest Edmond? - chciał wiedzieć pijany Pierre. Ciotka Janine odwróciła się ku niemu.

- To jej brat.

- Tak - dodała Hélène. - Mój brat. Ciocia Janine wie, do czego jest zdolny. Prawda, ciociu? - Spojrzała na starszą kobietę surowo. - Kiedy miał jedenaście lat, zabił Niemca, który zgwałcił Catherine! Ciekawa jestem, co zrobi ze złodziejami, którzy ukradli dom *maman*.

Oczy Pierre'a zabłyśły i pociemniały.

- Nie chcę o tym więcej słyszeć! - warknęła ciotka Janine głosem drżącym od gniewu. - Wracaj do pracy!

Rozdział 7

Hélène poczuła na ramieniu ciepłą dłoń Jeanne. Odwróciła się i spojrzała z wahaniem na przyszłą bratową. Życzliwe oczy Jeanne rozpraszały wszelkie obawy, a jej łagodne dotknięcie dodawało odwagi. Weszły razem do ciemnego gabinetu pana Lefevre'a, gdzie śmierdziało pleśnią.

Hélène bardzo się denerwowała. Była u prawnika tylko raz w życiu, ponad sześć lat temu. Wciąż pamiętała ten dzień. Ciotka Janine upewniła się, że Hélène i Edmond są wyszorowani do czysta, a potem kazała im włożyć niedzielne ubrania. Już wtedy śmierdziało tu pleśnią i było duszno. Ale najlepiej Hélène zapamiętała niezwykle długą i nudną rozmowę, z której nic nie mogła zrozumieć. Wraz z Edmondem musieli siedzieć sztywno przez długi czas i dobrze się zachowywać, podczas gdy dorośli omawiali między sobą ich przyszłość. Hélène pamiętała, że nie sięgała wtedy nogami do ziemi.

Teraz znowu była w tym biurze, bo powiedziała Jeanne, że dom *maman* został sprzedany bez porozumienia z nimi.

Pan Lefevre wysłuchał jej, zacisnął różowe wargi i podszedł do drewnianej szafki. Powoli przeglądał wypchaną aktami szufladę. Wreszcie wyciągnął zniszczoną okładkę.

- Mam - powiedział. - Junot, Edmond i Hélène. - Usiadł za biurkiem i powoli przerzucał papiery, mruczając coś do siebie po cichu.

Hélène zerknęła na Jeanne, która kiwnęła głową i uśmiechnęła się, dodając dziewczynie odwagi.

Pan Lefevre wreszcie zamknął akta, złożył grube dłonie na biurku i spojrzał na Hélène.

- Dokumenty zostały sporządzone między czterdziestym piątym a czterdziestym szóstym rokiem. W kwietniu czterdziestego szóstego roku twoja ciotka Janine Junot złożyła wniosek o formalną adopcję ciebie i twojego brata. Z jakichś powodów potem nie kontynuowała tych starań. Została jednakże waszą prawną opiekunką.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że jest odpowiedzialna wobec prawa za wasze wychowanie i zobowiązana do jak najlepszej ochrony waszych interesów.

Hélène pochylała się do przodu.

- Proszę mi powiedzieć - odezwała się dziwnie cichym głosem. - Czy procedury adopcyjne zostały przerwane wcześniej czy po tym, jak wyznaczono ją na naszą opiekunkę?

Pan Lefèvre popatrzył na nią z uznaniem. Szybko chwyciła.

- Po - odpowiedział.

Dziewczyna kiwnęła głową. Więc ciotka Janine miała zamiar ich adoptować, potem jednak się dowiedziała, że to nie będzie konieczne. I tak zyskała nad nimi całkowitą kontrolę.

- A co z nieruchomością naszych rodziców? - zapytała. - Czy ciotka Janine mogła nią rozporządzać bez naszej zgody?

- Jaką nieruchomością?

- Rodzice mieli dom w Paryżu. Ciotka Janine i mój... - Hélène przełknęła ślinę - mój nowy wuj właśnie go sprzedali. Czy ja i brat nie mamy do niego żadnych praw?

Prawnik westchnął ciężko.

- Obawiam się, że nie. Widzisz, twoja ciotka nadal sprawuje nad wami opiekę. Może więc podejmować wszelkie decyzje dotyczące waszej przyszłości, tak jak uważa za stosowne, dopóki nie skończycie dwudziestu jeden lat.

W miarę upływu czasu Hélène starała się spędzać coraz mniej czasu w domu. Pierre dużo pił, częściej, od kiedy on i ciotka sprzedali dom *maman*, co czyniło jej życie wyjątkowo nieprzyjemnym. Przez całe dni przesiadywał w knajpach lub tkwił w kuchni z butelką wina. Ciotka Janine wpatrywała się ze złością w męża, ale zamiast coś robić, milczała, dusząc w sobie furię. Kiedy w końcu nie mogła się opanować, wyładowywała gniew na Hélène.

Dziewczyna celowo nie zdała egzaminów z matematyki i historii. W ten sposób mogła pozostawać do późna w szkole. Potem, przeciwstawiając się nakazom ciotki Janine, nie wracała szybko do domu, tylko biegła do mieszkania Jeanne i czekała, aż przyszła bratowa wróci z pracy.

Zawiązała się między nimi serdeczna więź. Jeanne była pierwszą prawdziwą przyjaciółką Hélène. Pomagała jej zyskać pewność siebie i odkrywać uroki kobiecości.

Jak starsza siostra, była zawsze przy H el ene, gdy ta jej potrzebowała. A H el ene potrzebowała jej tym bardziej,  e sytuacja w domu stawała si e coraz gorsza.

- Gdzie ciocia Janine? - zapytała H el ene. Pierre siedział sam w kuchni, a przed nim stała opr o niona do połowy butelka wina.

Pociągnął tęgi łyk i uśmiechnął si e obleśnie.

- Wyszła - odpowiedział zapitym głosem. Podniósł si e i ruszył chwiejnym krokiem w kierunku dziewczyny. Cofnęła si e. Jego oddech cuchnął nieprzetrawionym winem, a twarz była purpurowoczerwona. - Jesteś całkiem ładna, wiesz? - dodał i zakołysał si e do przodu.

H el ene odsunęła si e zr ecznie na bok, a Pierre potknął si e o stół.

- Zobaczysz, b edzie ci dobrze - zaszeptał. - Masz na sobie ciało. Nie jak ten worek kości, z którym si e ożeniłem.

- Przestań! - wyszeptała, zaczynając si e go bać. - Przestań!

Pierre spojrzał na nią z ukosa.

- Nie chcesz,  eby ci było dobrze? Ja wiem, jak sprawić,  eby kobieta poczuła si e kobietą!

H el ene odwróciła si e, by pójść na g orę, ale złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie. Pochylił si e, próbując ją pocałować, ale jego usta nie trafiły na wargi H el ene i zakończyło si e to obślinieniem jej nosa. Wykrzywiła si e z obrzydzenia i odepchnęła Pierre'a. Rękawem otarła jego ślinę z twarzy.

- Ty świni! - wyszczała. - Jeżeli jeszcze raz spr obujesz mnie dotknąć, koniec z tobą. Poskarżę si e ciotce Janine, a ona wyrzuci ci e z domu!

Roześmiał si e złośliwie.

- Wcale nie! - wybełkotał i spojrzał na nią przebiegle. - B edzie winiła ciebie! Powiem jej,  e mnie sprowokowałaś.

Ogarnęła ją wściekłość. Nie panując nad sobą, uderzyła Pierre'a w twarz.

- Nie ośmielisz si e! - Potem odwróciła si e i pobiegła na g orę. Ale mimo  e zamknęła drzwi sypialni, wciąż słyssała jego pijacki śmiech.

Tego wieczoru, zanim położyła się spać, zaklinowała klamkę krzesłem. Nie powstrzymałoby go to, ale gdyby próbował wejść, hałas wywracającego się krzesła musiałby ją obudzić i przynajmniej mogłaby się bronić.

Pomimo tych środków obrony leżała długo, obserwując, czy nie poruszy się klamka, dobrze widoczna w bladym świetle księżyca, prześwitującym przez cienkie zasłony. W końcu uznała, że Pierre musiał zasnąć w kuchni, i przestała nasłuchiwać. Wreszcie zasnęła, ale ciągle budziła się przestraszona, że zaraz zobaczy go przy łóżku. Jednak tej nocy nie próbował jej niepokoić. Kiedy obudziła się rano, usłyszała głośny hałas. Był to warkot zbliżających się pojazdów.

Podniosła się z ciekawością i podeszła do okna. Rozsunęła zasłony i wyjrzała. Poranne powietrze było rześkie i chłodne. Hélène zobaczyła kilka maszyn budowlanych stojących przed bramą. Dostrzegła koparkę, dużą betoniarkę i dwie brudne ciężarówki do wywożenia ziemi i gruzu. Potężne silniki pracowały głośno, w powietrzu unosił się smród spalin.

Wychyliła się bardziej, żeby mieć lepszy widok. Z ciężarówek zeskoczyli jacyś mężczyźni. Potem zobaczyła ciotkę Janine, która szła w kierunku furtki. Wskazywała coś ręką na prawo i na lewo, wykrzykując instrukcje, których Hélène nie mogła dosłyszeć z powodu hałasu silników.

Szybko zamknęła okno, ubrała się i zbiegła na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz. Kilka sekund później była w ogrodzie. Znalazła ciotkę pośród grupy robotników. Podeszła i dotknęła jej ramienia.

- Co tu się dzieje? - spytała.

Ciotka Janine spojrzała na nią zirytowana.

- Będą tu pracować - odpowiedziała zwięźle. Potem odwróciła się do robotników.

Hélène chodziła między nimi, próbując poskładać fragmenty usłyszanych informacji w całość. Nie miała pojęcia, o jakie prace chodzi. Wreszcie zatrzymała się, by posłuchać rozmowy dwóch mężczyzn.

Jeden z nich zapalał papierosa.

- Kupiła dwa hektary ziemi - powiedział. Pomachał zapałką, aby ją zgasić. - Zapłaciła gotówką. Wiem, bo moja siostra sprzedała jej swoje pole.

Jego rozmówca aż gwizdnał z wrażenia.

- Skąd wzięła taką forszę? Wygrała na loterii?

- Może. Albo obrabowała bank. - Ten pierwszy roześmiał się z własnego dowcipu. -

Chce postawić piętnaście olbrzymich szklarni.

Hélène stała porażona tą wiadomością. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. W końcu odwróciła się i wbiegła do domu.

A więc ciotka Janine powiększa szklarnie, myślała. Nie musiała pytać, skąd wujostwo wzięli pieniądze. Wiedziała doskonale. Ze sprzedaży domu *maman*.

Uznała, że jeśli zostanie tu dłużej, oszaleje. Musi stąd uciec. Czas wydostać się na wolność. Zdecydowała, że jutro pójdzie do pani Dupré.

Rozdział 8

Bonjour, madame - przywitała się grzecznie Hélène. Pani Dupré wyszła zza lady i uśmiechnęła się ciepło.

- Miło cię znowu zobaczyć. Minęło dużo czasu, odkąd się ostatnio widziałyśmy.

Hélène kiwnęła głową.

- Nie chciałam pani przeszkadzać.

- Nonsens! - odparła krawcowa z wyrzutem. - Nigdy mi nie przeszkadzasz.

Powinnaś o tym wiedzieć!

Dopiero teraz przyjrzała się Hélène. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że dziewczyna się zmieniła. Wyrosła. Ale to nie wszystko. Wydoroślała. Stawała się wyjątkowo piękną młodą kobietą. A te jej oczy! Dziwne, że nigdy wcześniej tego nie zauważyłam, pomyślała pani Dupré. Są jak dwa fiołki. Teraz jeszcze powinna stracić trochę tych dziecięcych okrągłości.

Zorientowała się, że Hélène patrzy na nią ze zdziwieniem.

- Przepraszam - rzuciła *madame* Dupré. - Zastanawiałam się nad czymś. -

Uśmiechnęła się zakłopotana. - Zaczynam się chyba starzeć.

Hélène nerwowo przełknęła ślinę. Gardło miała ściśnięte i suche.

- Pytałam... - W tym momencie głos jej się załamał. Poczuli się nagle jak żebraczka.
- O pracę, pani Dupré! - wykrztusiła wreszcie.

Madame spojrzała na nią zaskoczona.

- Ale przecież ty chodzisz jeszcze do szkoły.
- *Oui, madame*. Ale chcę zrezygnować.

Pani Dupré zmarszczyła brwi. Podeszła do okna i wyjrzała przez nie zamyślona. W zachowaniu Héléne było coś dziwnego. Dziewczyna prosiła o pracę nie dlatego, że kocha tkaniny i ma talent do szycia. Był inny, bardziej dramatyczny powód. Miała to wypisane na twarzy. A jednak gdzieś głębiej kryła się ogromna ambicja.

Madame wahała się tylko chwilę. Wiedziała, że Héléne ma wyjątkowy talent. Coś - może instynkt - podpowiedziało jej, że powinna zatrudnić tę dziewczynę. I tak Danielle, która szyła na maszynie, wkrótce zrezygnuje z pracy, bo wychodzi za mąż. Héléne szybko przejmie jej obowiązki.

Pani Dupré odwróciła się do dziewczyny. Widziała, z jakim napięciem i rozpaczą Héléne oczekuje na odpowiedź, niemal przygotowana na odmowę.

- Dostałaś tę pracę - powiedziała krawcowa z uśmiechem.

Cała rozpacz nagle zniknęła z twarzy Héléne. W oczach dziewczyny zabłysła radość. Chciała zarzucić ręce na szyję *madame*, by pokazać, jak bardzo jest szczęśliwa, ale powstrzymała się w porę. Nie powinna wprawiać pracodawczyni w zakłopotanie, pomyślała.

- Nie ciesz się za bardzo - ostrzegła ją pani Dupré. - Pracy jest dużo, a pensja niewielka.

- Nic nie szkodzi - szepnęła Héléne. Odetchnęła głęboko. - Kiedy mogę zacząć?
- Kiedy chcesz.
- Jutro? - zapytała gorliwie.
- Zatem widzimy się jutro rano.

Héléne na moment zamknęła oczy. To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe! Nie tylko odejście od Pierre'a i ciotki Janine, ale to również pierwszy krok - pierwszy konkretny krok - do Paryża. Tylko tam będzie mogła zrealizować swoje marzenia.

- Co? - zapytała ciotka Janine, a jej głos drżał od gniewu.

- Znalazłam pracę - oświadczyła Hélène krótko.

- Nie dałam ci na to pozwolenia - warknęła ciotka. - Poza tym wciąż chodzisz do szkoły.

- Mam zamiar pracować - powiedziała Hélène twardo. - I nikt mnie nie powstrzyma.

- A co z nauką? - spytała ciotka. - Myślałam, że będziesz dalej tu pracować, jak skończysz szkołę.

Hélène milczała.

- No i? Gdzie zamierzasz mieszkać?

- Myślałam, że zostanę tutaj, dopóki nie zarobię na wynajęcie pokoju.

Na ustach ciotki pojawił się krzywy brzydki uśmiech.

- Dlaczego się nie przeprowadzisz od razu, w tej minucie? - W jej głosie brzmiały ostre, nieprzyjemne tony.

Hélène wyczuła napięcie, które kryło się w tych słowach. Ciotka próbowała wywrzeć na nią nacisk, dając wybór pomiędzy pracą w szklarniach a opuszczeniem domu. I chciała osiągnąć swój cel w taki sposób, żeby wyglądało to na decyzję samej dziewczyny.

Hélène zacisnęła pięści. Nie wpadnie tak łatwo w pułapkę. Najbardziej ze wszystkiego pragnęła natychmiast się spakować i odejść stąd. Niestety, nie miała pieniędzy. Musi gdzieś mieszkać. Może u Jeanne? Ale natychmiast odrzuciła tę myśl. To nie byłoby fair w stosunku do przyszłej bratowej. Musi dać sobie radę z ciotką Janine. I bronić własnych decyzji, udowadniając, że nie jest popychadłem.

- A jeżeli zdecyduję się pracować i nadal tu mieszkać? - zapytała. - Co wtedy?

- Wyrzucę cię.

- Nie możesz tego zrobić.

Ciotka Janine uśmiechnęła się zimno.

- Przekonamy się. Masz wybór: ogrodnictwo albo twoja praca - powiedziała.

- Będę tu mieszkać, dopóki nie zarobię na wynajęcie pokoju. I zamierzam pracować - oświadczyła Hélène.

Patrzyła na ciotkę Janine przez długą chwilę. To, co zamierzała teraz zrobić, zakrawało na hazard. Nie wiedziała, jak daleko może się posunąć, ale zaryzykowała.

- Zgodnie z tym, co powiedział mi mecenas Lefevre - zaczęła mówić cichym głosem - jesteś moją prawną opiekunką. I Edmonda także, dopóki nie skończymy dwudziestu jeden lat. Tylko z racji opieki, którą nade mną sprawujesz, wolno ci było dysponować naszą własnością. - Zmusiła się do triumfalnego uśmiechu. - Jeżeli mnie wyrzucisz, przestanieś już być moją opiekunką, nieprawdaż, ciociu Janine? I będę mogła pozwać cię do sądu, by odzyskać dom *maman*. Oczywiście już go nie ma, bo są nowe szklarnie. Ponieważ postawiłaś je za pieniądze moje i Edmonda, możemy się stać ich właścicielami. Wtedy będziesz miała w sąsiedztwie konkurencję. - Umilkła na chwilę. - Jak ci się to podoba, ciociu? - spytała miękko.

Jedno musiała przyznać ciotce: ta kobieta wiedziała, kiedy się wycofać. Pobladła z wściekłości i wymaszerowała sztywnym krokiem z pokoju.

Rozdział 9

Powoli życie Héléne stawało się znośniejsze. Jej całym światem była teraz pracownia *madame Dupré*. Dziewczyna wychodziła do pracy wcześniej rano i wracała późno w nocy. Pensję miała niską, ale pani Dupré powiedziała jej w zaufaniu, że za trzy miesiące odchodzi Danielle i wtedy Héléne miała dostać podwyżkę.

Tymczasem Danielle wszystko jej objaśniała. Nauczyła Héléne szyć na maszynie tak, aby zadowolić panią Dupré, która była dużo bardziej wymagająca niż *mademoiselle Gribius*. Nowa pracownica musiała też przyswoić sobie tysiące małych umiejętności, jako że ich znajomość pani Dupré uważała za konieczną. I Héléne uczyła się szybko. W ciągu tygodnia posługiwała się maszyną lepiej niż Danielle. A żądny wiedzy umysł dziewczyny wchłaniał wiadomości jak gąbka.

Ale jej ulubioną porą były godziny po zamknięciu sklepu. Kiedy zostawała sama, gasiła wszystkie światła z wyjątkiem jednej lampy i siadała na podłodze za ladą. Ze skupionym wyrazem twarzy przeglądała cenne stare magazyny mody. Wtedy poznawała to, co uważała za prawdziwy świat - świat stylu, elegancji i mody, która przekraczała wszelkie granice i bariery. Héléne uważnie studiowała każde pismo strona po stronie. Oglądała w skupieniu każdy szkic, każde ogłoszenie, każdą modelkę, każdą pozę i zdjęcie.

Nauczyła się dostrzegać subtelne różnice między słynnymi projektantami. Prezentowano tam dzieła wielkich kreatorów mody - Odile Joly, Elisy Schiaparelli, Diora, Madame Grès i Chanel - i mnóstwo projektów utalentowanych młodych twórców rokujących wielkie nadzieje. Hélène zdecydowała, że kiedy będzie miała własne pismo, poświęci jeden artykuł w każdym numerze nowemu talentowi. Znała upodobania i styl każdego projektanta. Właśnie po stylu mogła rozpoznać tworzone przez nich stroje z taką łatwością jak ludzi po twarzach, sposobie chodzenia, manierach. Zaczęła nawet przewidywać, co może wylansować Madame Grès w następnej kolekcji albo czego Dior definitywnie nie zrobi, chociaż w najśmielszych marzeniach nie mogła przypuszczać, że Chanel zaproponuje sztuczną biżuterię. Potrafiła zrozumieć subtelną różnicę między klasyczną prostotą Chanel a brakiem odwagi Elisy Schiaparelli; elegancją Diora a śmiałością Madame Grès. A ponad wszystkimi była wspaniała, wielka Odile Joly, pierwsza dama mody, która królowała niepodzielnie pośród największych twórców. W jakiś przedziwny sposób umiała zawsze połączyć wszystkie zdobycze konkurencji w jeden prosty, płynny styl - tak indywidualny, tak odmienny, a zarazem subtelnie elegancki, że wprost emanował czystą magią i zdumiewał wszystkich pozostałych czarodziejów świata mody.

Hélène czytała i pochłaniała wiedzę, aż nie mogła już wchłonąć więcej. Nadal jednak uważnie studiowała magazyny, choćby po to, by dostrzec jakiś szczegół, który wcześniej przeoczyła. Jej ulubionymi dniami były te, kiedy listonosz przynosił „Elle” lub „L'Officiel” czy „Paris Vogue”. Pani Dupré rozumiała pasję dziewczyny i pozwalała jej pierwszej oglądać czasopisma.

Drżącymi palcami szybko odwijiała szary papier i wpatrywała się z przejęciem w kolorową, lśniącą okładkę. Zawsze przed otwarciem czasopisma gładziła gruby papier dłonią. Uwielbiała dotykać palcami luksusowego błyszczącego kartonu i czuć jego wytworny zapach.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Hélène spojrzała na jakąś fotografię i zmarszczyła brwi. Powiedziała sama do siebie: „Zrobiłabym to lepiej. Inaczej ustawiłabym modelkę. Na następnym zdjęciu ubrałabym ją w projekt Grès zamiast Schiaparelli. Skierowałabym obiektyw aparatu w górę zamiast wprost”. Był to moment, kiedy dostrzegła, że coś już widzi i wie.

Pani Dupré przyglądała się postępom dziewczyny z zainteresowaniem. Widziała to jasno: Hélène była urodzoną krawcową, cierpliwą uczennicą, a także miała świetny gust. Bezbłędnie odróżniała dobre od złego. A dzięki subtelnym wskazówkom pani Dupré - która starała się sprawić wrażenie, że jej podopieczna odkrywa wszystko sama - dziewczyna nauczyła się rozpoznawać różnicę między dobrym a wyjątkowym i między wyjątkowym a wysublimowanym.

Pewnego dnia *madame* przystanęła obok maszyny do szycia i w milczeniu przyglądała się pracy Hélène. Dziewczyna była zręczna i miała profesjonalną pewność siebie, której osiągnięcie wymagało zazwyczaj wielu lat pracy.

Hélène przestała szyć i podniosła oczy na swoją pracodawczynię.

- Chodź na górę do mojego mieszkania, Hélène. Chciałabym z tobą porozmawiać.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- *Oui, madame.* - Starannie złożyła sukienkę, którą szyła, i ruszyła za *madame*.

Gorączkowo zastanawiała się, co zrobiła źle.

Kiedy znalazły się w małym mieszkaniu nad sklepem, pani Dupré włączyła światło w pokoju i wskazała na obite kwiecistym perkalem krzesło.

Hélène niezręcznie złożyła ręce na kolanach i patrzyła, jak jej pracodawczyni siada naprzeciwko, elegancko układając nogi.

Pani Dupré zastanawiała się przez chwilę.

- Jak długo już u mnie pracujesz? - zapytała.

Hélène spojrzała na nią osłupiała.

- Nie... nie jestem pewna, proszę pani. Miesiąc?

Pani Dupré uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową.

- Dokładnie trzy miesiące - poprawiła ją. Hélène aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- To... to niemożliwe!

Pani Dupré pokiwała głową.

- Możliwe. Kiedy dojdiesz do mojego wieku, tygodnie będą ci się ciągnęły jak lata.

Jakie to dziwne, pomyślała Hélène. Każda minuta w domu ciotki Janine była wiecznością, a tutaj miesiące zdawały się trwać zaledwie minuty.

- Za dwa tygodnie odchodzi Danielle. Od tego dnia przejmujesz całkowicie jej obowiązki.

- *Oui, madame* - odpowiedziała dziewczyna z entuzjazmem.

Pani Dupré uniosła brwi. Hélène nie okazywała niepokoju z powodu dodatkowej odpowiedzialności. Była pewna, że sobie poradzi.

- Wygląda na to, że lubisz swoją pracę - zauważyła *madame*.

- Bardzo proszę pani. Nigdy nie czułam się szczęśliwsza.

Pani Dupré spojrzała na nią przenikliwie.

- Lecz nie jesteś usatysfakcjonowana. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

Hélène wahała się przez chwilę. Potem kiwnęła głową.

- Ależ jestem usatysfakcjonowana, *madame* - powiedziała ostrożnie. - I bardzo wdzięczna za to, że dała mi pani szansę.

- Ach! Jednak nie tego tak naprawdę pragniesz, mam rację?

Hélène milczała.

- Niezupełnie - odrzekła w końcu.

Pani Dupré pochyliła się do przodu i spojrzała jej w oczy.

- Opowiedz mi o tym. Co chciałabyś robić?

Hélène zaczęła coś mówić, ale przerwała. Wstała i podeszła do okna, odchyliła koronkowe zasłony, by wyrzec na brukowaną kocimi łbami ulicę i szereg kamiennych domów. Potem odwróciła się twarzą do szefowej.

- Potrafię dobrze szyć, *madame*. Mogłabym nawet projektować ubrania. Tylko że nigdy nie będę w tym dobra. Zbyt wiele biorę od innych. Ale.. - zrobiła pauzę, a potem ciągnęła z powagą: - Ale widzę, co jest dobre. Instynktownie wiem, jak łączyć rzeczy.

Pani Dupré przytaknęła. Dziewczyna była mądra nad swój wiek.

- Mów dalej - zachęciła ją łagodnie. Hélène wzięła głęboki oddech.

- Chcę jechać do Paryża - wyznała żarliwie. - Chcę wydawać własny... magazyn mody.

Pani Dupré nie była zaskoczona. Widziała ambicję i tęsknotę Hélène. Od pewnego czasu dostrzegała, że te pragnienia nabierają siły. Westchnęła. Kiedyś i ona miała podobne

marzenia. Ale teraz jest już za późno. Zbyt przywykła do swojego wygodnego życia. Może jej ambicje nie były wystarczająco silne. Ale Hélène osiągnie swój cel.

- Też kiedyś chciałam spróbować szczęścia w Paryżu - powiedziała. Jej oczy wpatrywały się w coś odległego.

Hélène była zdumiona.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła? Pani Dupré wzruszyła ramionami.

- Wpadłam w pułapkę. Byłam zbyt wygodna. Bałam się ryzyka. Zaczynania wszystkiego od początku. - Umilkła na chwilę, a potem dodała cicho. - Nie miałam wystarczającego talentu.

Hélène wpatrzyła się w nią zaskoczona. Zawsze myślała, że pani Dupré ma silną wolę i wyjątkowe zdolności. Nie wyobrażała sobie, że ta kobieta mogłaby nie osiągnąć czegoś, co postanowiła zdobyć. Nagle przypomniała sobie tamten pierwszy raz, kiedy weszła do sklepu i zobaczyła na wystawie piękną sukienkę. Kopię, poprawiła się w myślach. Teraz wiedziała, czyj to był model: Madame Grès.

Pani Dupré gwałtownie wstała.

- Chodź ze mną - powiedziała.

Hélène podniosła się i przeszła za nią do eleganckiej małej sypialni. Na ścianach była tapeta w niezapominajki, w rogu stała toaletka z lustrem, a naprzeciwko dwie duże szafy.

Pani Dupré wskazała Hélène, by usiadła.

- Chcę ci coś pokazać - powiedziała z zażenowaniem. - Kiedyś przywiozłam to z Paryża. - Otworzyła szafę i wyjęła wieszak przykryty długim prześcieradłem. Zdjęła przykrycie.

Hélène wstrzymała oddech. Była to suknia od Diora. Najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek widziała. Nawet na wieszaku zdawała się żyć własnym życiem. Delikatny atlas migotał bajecznym światłem.

- Jest piękna, *non*?

Hélène milczała. Ledwie była w stanie kiwnąć głową. Powoli, ostrożnie wyciągnęła dłoń i dotknęła tkaniny. Ułożyła ją ostrożnie na łóżku i oglądała krój, wykonanie, materiał.

Był to szczyt krawieckiej doskonałości. Dziewczyna uniosła brzeg spódnicy do ust i ucałowała z szacunkiem.

Madame Dupré przyglądała się jej uważnie.

- Teraz rozumiesz, dlaczego jestem... życiową bankrutką? - zapytała.

Hélène patrzyła na nią ze współczuciem.

- Nigdy nie zdołam samodzielnie stworzyć czegoś takiego - wyszeptała krawcowa. - Ale, och, jak bardzo tego pragnęłam. Teraz pogodziłam się z tym, że jestem tylko przeciętną krawcową. Brakuje mi prawdziwego talentu. Z trudem udało mi się to zaakceptować. Tak długo goniłam za nieuchwytnym. Dziwne, jak często powracają do mnie tamte utracone ambicje. - Uśmiechnęła się z żalem. - Tym razem ty je przywołałaś.

Hélène uroczyście skinęła głową.

Nagle pani Dupré chwyciła ją za rękę.

- Wyjedź z Saint-Nazaire! - wyszeptała. - Kiedy tylko będziesz mogła! Masz talent, szczęście, znasz swoje ambicje, swoje zdolności. Wyjedź, aby osiągnąć sukces w Paryżu!

Hélène przełknęła ślinę.

- Tak, *madame*. Wyjadę najszybciej, jak tylko będę mogła.

Pani Dupré ostrożnie zakryła suknię płótnem i powiesiła w szafie. Zamknęła drzwi, a potem obie wróciły do salonu. Przez chwilę milczały.

- Obiecałam ci podwyżkę - odezwała się w końcu *madame*. Podeszła do wytwornego biurka i otworzyła szufladę. Wyjęła małą książeczkę i podała Hélène.

- Co to jest? - Dziewczyna spojrzała ciekawie. - To... książeczka oszczędnościowa!

- Na twoje nazwisko. Pozwoliłam sobie zadysponować twoją pierwszą podwyżką. - Spojrzała jej w oczy. - To na Paryż - dodała cicho.

- Tak... - wyszeptała dziewczyna. - Na Paryż!

Późnym wieczorem Hélène wracała do domu ciotki. W ciemności trudno było dostrzec korzenie i zwalone pnie. Ale Hélène lubiła samotność nocy i odległe, uspokajające uderzenia fal o brzeg. Miała wtedy czas na rozmyślanie, na układanie planów. Pani Dupré ma rację, uznała. Powinna jak najszybciej wyjechać z Saint-Nazaire. Nie ma tu dla niej przyszłości. Ze smutkiem przypomniawszy sobie utracone marzenia i nadzieje pracodawczyni. Nie chciała wpaść w tę samą pułapkę. Musi jasno widzieć przed sobą cel.

Minęła znajomy zakręt. W oddali widziała światła domu Brocqsów. Włożyła ręce do kieszeni płaszcza. Dużo się dziś nauczyła. Uśmiechnęła się do siebie. Oceniała każdy dzień ilością zdobytej wiedzy.

- Tu jesteś, moja ślicznotko! - wyszeptał nagle męski głos w ciemności.

Hélène drgnęła z przerażenia. Pierre! Wyteżyła wzrok i próbowała odnaleźć go w ciemnościach, ale nie mogła nic dojrzeć. Co on tu robi, myślała w popłochu. Do domu jeszcze dobry kilometr. I nagle zrozumiała. Czekał. Zastawił pułapkę. Na nią.

Głos znowu wyszeptał:

- Moja ślicznotko, czekam tu na ciebie! Okręciła się dookoła własnej osi.

- Gdzie jesteś? - krzyknęła.

Liście na drzewach po lewej stronie nagle zaszeleściły. Zwróciła twarz w tym kierunku. Ale to był tylko wiatr.

- Jestem tutaj, moja ślicznotko! - Teraz jego głos zdawał się dobiegać z prawej strony. Hélène odwróciła się w tym kierunku.

- Nie, nie, moja ślicznotko! Nie uciekaj! Jestem przed tobą!

Cofnęła się instynktownie - i wpadła prosto w jego ramiona. Objął ją mocno i przytrzymał.

Zaczęła krzyczeć, ale zimna, twarda dłoń zakryła jej usta.

- Nie krzycz, moja ślicznotko! - szepnął, a jego gorący oddech owiał szyję dziewczyny.

Jęknęła rozpaczliwie. Muszę coś zrobić, myślała gorączkowo. Cokolwiek. Na chwilę poddała się jego uściskom. Zdumiony Pierre opuścił ręce, a wtedy Hélène wyslizgnęła się z jego ramion. Próbował objąć ją znowu, ale odwróciła się i kopnęła go kolanem w krocze. Syknął z bólu, a Hélène zaczęła biec przez ciemne pola tak szybko, jak tylko mogła. Rzuciła się między drzewa; ostre gałęzie rozrywały jej sukienkę i raniły twarz. Przerażał ją każdy konar. Były jak palce, a Hélène uciekała przed ich uściskiem. Potknęła się o kamień i upadła. Przez moment myślała, że to Pierre podstawił jej nogę. Podniosła się z trudem i ruszyła dalej, nie zatrzymując się nawet, by sprawdzić, czy ją ścigał. Zupełnie straciła wyczucie kierunku.

Płuca pękały jej ze zmęczenia. Zatrzymała się na moment i pełną piersią wciągnęła powietrze. Serce waliło jej jak młot.

- Czekam na ciebie, moja ślicznotko!

- Nie! - wrzasnęła i zakryła oczy dłońmi. - Nie, nie, nie, nie, nie!

Nagle poczuła, że ogarnia ją ciemność. Przez chwilę chwiała się niepewnie, a potem wydawało jej się, że pada. Miała wrażenie, że on jest blisko, ale nie była tego pewna. Zdawało jej się, że czuje, jak jego uda zaciskają się wokół jej twarzy. Było to jak... senny koszmar. Tak nierealne. Gdzieś nad sobą słyszała płytkie i urywane dyszenie.

Po chwili wróciła jej świadomość. Hélène poczuła na twarzy ciepłe krople. Czyżby zaczęło padać? - zastanawiała się zaskoczona. Potem usłyszała szelest oddalających się kroków. Odszedł.

Jęknęła i chwilę leżała bez ruchu. Nagle zorientowała się, że na ustach również ma jakiś płyn. Poczowała dziwnie słony smak.

Po chwili uświadomiła sobie, co to jest. Sperma. Z obrzydzeniem zaczęła wycierać usta nadgarstkiem. Ale nie mogła się opanować i nagle chwyciły ją mdłości. Zanim zdołała je powstrzymać, wymiotowała.

Kiedy zapaliły się światła w sklepie, Hélène spojrzała w górę i zamruwała. Pani Dupré stała w drzwiach, w płaszczu narzuconym na koszulę nocną i z włosami zakręconymi na metalowe wałki. Spoglądała na Hélène czerwonymi zaspanymi oczami, jakby dopiero się obudziła.

- Co ty tu robisz? - zapytała. - Już po północy. - Potem niemal zachłysnęła się własnym oddechem. - Co ci się stało? Twoja twarz... jest cała poraniona!

Hélène drżała. Odwróciła głowę.

- Nie mogę dłużej zostać u ciotki, *madame*, więc przyszłam tutaj. Staralam się wejść po cichu. Nie chciałam pani obudzić.

- W porządku. Usłyszałam hałas i zesłam sprawdzić, co się dzieje. - Pani Dupré podeszła bliżej i przyjrzała się badawczo twarzy dziewczyny. - Kto ci to zrobił? Wyglądasz, jakby ktoś cię pobił! - powiedziała ostrym głosem.

- Proszę... - błagała. - Niech się pani tym nie przejmuje.

- Nie przejmuj! - parsknęła pani Dupré. - Ktoś tu powinien się przejmować, ale na pewno nie ja! - Spojrzała na nią. - No więc! - naciskała. - Czy to któryś z chłopców?

Hélène w milczeniu pokręciła przecząco głową. Oczy pani Dupré rozszerzyły się ze zdumienia.

- Nie mów mi, że zrobił ci to ktoś z domowników! - powiedziała gniewnie.

Hélène niechętnie skinęła głową. Pani Dupré groźnie zmarszczyła brwi.

- Czy to twoja ciotka?

- Proszę... - odezwała się Hélène cichym, nieśmiałym szeptem.

- Dobrze, nie będziemy teraz o tym mówić - uspokoiła ją *madame*. - Ale powiedz mi, czy dlatego tak bardzo zależało ci na pracy? Żeby stamtąd uciec?

Hélène ponownie przytaknęła.

- Musiałam się wydostać z domu. Chciałam zaoszczędzić pieniądze na wynajęcie pokoju.

Pani Dupré objęła ją mocno.

- Biedna mała! Nie martw się, nie wrócisz tam. I nie będziesz musiała wydawać pieniędzy na pokój. Zostawisz je na podróż do Paryża!

Hélène popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Ale gdzie będę mieszkała?

- Coś się znajdzie.

Hélène spojrzała na nią pytająco. Krawcowa uśmiechnęła się i wskazała sufit.

- Mansarda na górze stoi pusta. Jest tam stare łóżko i trochę mebli. To będzie teraz twój pokój.

Twarz Hélène rozjaśniła się w uśmiechu.

- Naprawdę?

Pani Dupré potwierdziła ruchem głowy.

- Chodź ze mną. Dam ci pościel. Jutro możesz pójść do ciotki po swoje rzeczy. - Podniosła ostrzegawczo palec. - Ale nie sama! - dodała stanowczo.

- *Non, madame*. Pójdzie ze mną narzeczona brata.

- Zatem załatwione. Chodź, zobaczymy, jak wygląda twój nowy pokój.

Poszły na górę. Mansarda miała pochyły sufit, tak że tylko na środku można się było wyprostować. Pachniało tu stęchlizną, w powietrzu unosił się kurz. Od ściany do ściany wisały sznury do bielizny.

- Będziesz musiała trochę posprzątać - powiedziała krawcowa i uchyliła jedno z okien. - Ale powinno ci tu być dość wygodnie.

Hélène złożyła ręce.

- Nie wiem, jak pani dziękować. Pani Dupré wzruszyła ramionami.

- To nic takiego. Postaraj się szybko zasnąć. Jutro masz wolne. - Otarła kurz z dłoni i podeszła do drzwi. - Dobranoc, Hélène.

Hélène zaczekała, aż ucichną kroki jej pracodawczyni w dole schodów. Potem podeszła do okna i wyjrzała. Ponad szczytami dachów mogła dojrzeć światła portu, gdzie zwykle cumowały łodzie rybackie. O tej porze nabrzeże wydawało się dziwnie wymarłe i można było dojrzeć ledwie kilka łodzi. W dali ciemna zatoka łączyła się z równie ciemnym niebem. Uśmiechnęła się do siebie. Będzie można stąd zobaczyć statek Edmonda, pomyślała.

Jeanne wytrzepała zakurzony chodnik za oknem i zakasłała.

- Spryskaj podłogę wodą, zanim zaczniesz zamiatać. Inaczej zadławimy się kurzem na śmierć!

Były ubrane prawie identycznie, w stare sukienki Jeanne; głowy owinęły szalikami.

Jeanne potrząsnęła głową i zachichotała.

- Czyż nie wyglądamy jak dwie służące?

Hélène kiwnęła głową i pochyliła się, by starannie wymieść brudy z kąta.

- Kiedy sprzątniemy ten stryszek, będzie tu całkiem przyjemnie.

Jeanne rozejrzała się po poddaszu.

- Jest tu wystarczająco dużo miejsca dla jednej osoby - powiedziała z przejęciem. - I pomyśl, to twój własny pokój. - Nagle w jej głosie zabrzmiał gniew. - Już nigdy nie wrócisz do tych okropnych ludzi!

Hélène z westchnieniem opadła na rozchwiane krzesło.

- Nie mogę powiedzieć prawdy Edmondowi. To mnie boli, bo nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Ale boję się...

Jeanne spojrzała na nią.

- Wiem. Z mojej strony nie musisz się niczego obawiać, nie pisnę ani słowa. Ale co zamierzasz mu powiedzieć?

- Część prawdy. Że nie mogłam już wytrzymać z ciotką Janine. Będzie mi tu bardzo wygodnie. Wystarczy zejść na dół i już jestem w pracy. Muszę oszczędzać każdy grosz bo chcę wyjechać do Paryża.

- Dobrze. Powiem mu to samo.

Hélène podeszła do Jeanne i uściskała ją serdecznie.

- Kiedy się poznałyśmy, powiedziałaś, że chcesz, abyśmy zostały przyjaciółkami - wyszeptała ciepło. - Jestem bardzo szczęśliwa, że tak się stało.

- Wiem - odpowiedziała Jeanne. - Ale lepiej wracajmy do pracy. Edmond przyjeżdża za kilka dni. Chcemy, żeby mu się spodobało twoje poddasze, prawda?

Hélène przytaknęła. Przyglądała się z uwagą przyszelej bratowej.

- Czemu na mnie patrzysz? - zapytała Jeanne. Hélène uśmiechnęła się i odwróciła wzrok.

- Och, nieważne - odrzekła wymijająco.

Nie mówiła prawdy. Oceniała wzrost, budowę i figurę Jeanne. Patrzyła na młodą kobietę oczami krawcowej. Dzisiaj, kiedy Jeanne wyjdzie, pomyślała, zaczęła szkicować dla niej suknię ślubną. Przecież do ślubu pozostały zaledwie cztery miesiące.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Proszę - zawołała Hélène.

Weszła pani Dupré, niosąc drewnianą tacę przykrytą serwetką.

- Pomyślałam, że pewnie już zgłodniałyście - powiedziała z uśmiechem. - Przyniosłam wam więc maleńką przekąskę. - Położyła tacę na łóżku. - Wielkie nieba! Nigdy nie myślałam, że to poddasze może tak pięknie wyglądać!

- Dopiero zaczęłyśmy - odrzekła Hélène.

- Może powinnaś się zająć urządzeniem wnętrza zamiast modą?

Hélène uśmiechnęła się zadowolona.

- Jest tu może jeszcze trochę pusto. Ale mam sentyment do tego pokoju. - Spojrzała na poddasze okiem właścicielki. - Jak chyba każdy do swojego pierwszego własnego miejsca.

- Tak - zgodziła się z nią *madame*. - Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego pokoju. Wąska klitka z odłóżką tapetą w chińskie róże... - Zrobiła lekki ruch dłonią. - Ale jestem pewna, że macie do roboty coś. ciekawszego, niż wysłuchiwać wspomnień starej kobiety. Zostawię was same. - Dotykała już klamki, ale jeszcze się odwróciła. - Aha, Hélène...

- Tak, proszę pani?

- Dostałam dziś rano list od *comtesse* de Léger, potwierdzający jej zamówienie. Chyba ci jeszcze nie mówiłam.

- Nie, *madame*. Pani Dupré wyjaśniła.

- Hrabina co roku jeździ do Paryża i zamawia całą kolekcję u najlepszych projektantów. Nikt oprócz mnie nie wie, że nosi te stroje tylko podczas specjalnych okazji. Robię dla niej kopie wszystkiego, co kupuje. W ten sposób ma identyczne - tańsze - rzeczy do chodzenia po domu. Szycie dla niej zabiera mi zwykle cztery tygodnie. Zamykam pracownię na czas mojej wizyty w zamku. - Zrobiła pauzę. - Zawsze zabieram swoją najlepszą szwaczkę. Tym razem postanowiłam wziąć ciebie.

W oczach Hélène rozblęła radość.

- Strasznie bym chciała, *madame*. Kiedy to będzie?

- Cały wrzesień. Hélène posmutniała.

- Co się stało? Myślałam, że się ucieszysz.

- Cieszę się. Tylko że Jeanne i Edmond... - Odwróciła się i spojrzała z żalem na przyszłą bratową. - Oni biorą wtedy ślub i...

- Hélène, chcę, żebyś pojechała - wtrąciła się Jeanne. - Edmond i ja odłożymy nasze wesele. Pobierzemy się w grudniu.

- Ale...

- Cicho! To twoja życiowa szansa. Poza tym nigdy nie byłaś w żadnym zamku, prawda?

Hélène nie odpowiedziała. Nie chciała sięgać pamięcią do lat wojny i zajętego przez okupantów zamku nad Loarą, do Catherine i Marie...

- Zresztą kto wie? - rzuciła lekko Jeanne. - Możesz spotkać przystojnego hrabiego. - Spojrzała na panią Dupré. - Jest tam jakiś pan zamku, czyż nie?

- Och... tak. Ale to mąż *comtesse*. Jednakże mają dość przystojnego młodego syna. Chyba na imię mu Hubert. Tak, Hubert de Léger. - *Madame* spojrzała zamyślona na Hélène. - Chyba tylko rok czy dwa starszy od ciebie.

Rozdział 10

Było pochmurno i zanosilo się na deszcz, kiedy pani Dupré z Hélène wysiadły z pociągu w Bordeaux. Czekał na nie starszy siwy mężczyzna w granatowym uniformie z mosiężnymi guzikami, w wypolerowanych wysokich butach i czapce z daszkiem. Natychmiast rozpoznał *madame* Dupré i uklonił się nisko. Potem wskazał ręką bagaż i spojrzał na nie pytająco.

Pani Dupré uśmiechnęła się do mężczyzny.

- *Bonjour*, André. Tak, to nasze walizki.

Bagaze zostały szybko załadowane na wózek i zawieszono na parking, gdzie czekała stara czarna limuzyna. André przytrzymał drzwi, gdy *madame* Dupré i Hélène wsiadały, a potem sam usiadł za kierownicą. Podczas jazdy Hélène ukradkiem pogładziła dłońią welurowe siedzenie. Było twarde, ale gładkie w dotyku. Uśmiechnęła się do siebie. Oto prawdziwy luksus, pomyślała.

Sunęli powoli wąskimi uliczkami. Hélène przycisnęła nos do szyby. Bordeaux było dużo większe niż Saint-Nazaire i wydawało się nawet, że leży w innym kraju. Kamienne domy były duże i bogato zdobione. Niektóre miały nawet balkony. Znajdowało się tu dużo sklepów, a ulicami mknęło wiele samochodów. Minęli gwarne targowisko na placu. Parasole i markizy rozpościerały się nad straganami pełnymi serów, pieczywa, jajek, owoców i warzyw. Hélène dostrzegła misternie splecione główki czosnku, które kołysały się na sznurkach.

Przejechali przez ciemny, podobny do tunelu łuk i znaleźli się przed wielką wieżą. Była to ciekawa budowla. Wysoko, ponad łukiem znajdował się duży prostokątny zegar. A jeszcze wyżej, w następnym łuku otoczonym przez kamienne wieżyczki, wisiał wielki

dzwon dumnie milczący po porannym oznajmieniu, że raz jeszcze rozpoczęły się zbiory w winnicach Bordeaux. Kiedy już minęli wieżę, Hélène odwróciła się i wyrzała przez tylną szybę. Jeszcze przez chwilę podziwiała zegar. Ogromne złote wskazówki wskazywały wpół do szóstej.

Zostawili za sobą miasto i skierowali się na północ. Po obu stronach mijali zielone pastwiska, rozległe lasy i ożywione wsie. Kiedy przejeżdżali przez wioski, kierowca zwalniał i Hélène mogła przelotnie dojrzeć stare kamienne domy i skrzynki z bladoróżowym i ciemnoczerwonym geranium. Często też pojawiały się wokół łagodne wzgórza, które wyglądały tak, jakby ktoś przejechał po nich broną. Były to winnice - serce i dusza Gaskonii. Po pewnym czasie Hélène odwróciła się do pani Dupré.

- Czy jeszcze daleko?

Madame poklepała ją po ramieniu.

- Półtorej godziny. Odpręż się, odpocznij. Zamki de Légerów są w Medoc.

Hélène zdziwiła się, w jej głosie zabrzmiało niedowierzenie.

- Są? To znaczy, że jest ich więcej niż jeden?

- Są dwa. - Pani Dupré oparła się wygodnie. - Zamek Hautecloque-de Léger i Loustalot-de Léger.

- Obydwa są prawdziwymi zamkami?

Jej pracodawczyni przytaknęła.

- Obydwa. I każdy ma własną winnicę. Ale hrabiostwo mieszkają w Hautecloque. Jest większy i bardziej luksusowy. - Uśmiechnęła się lekko. - A także bardziej reprezentacyjny.

Po godzinie dotarli do granic posiadłości de Légerów i pani Dupré wskazała dziewczynie ich herb. Teraz mijali dużo większe winnice. Łagodnie opadające wzgórza wydawały się ciągnąć od horyzontu do horyzontu.

- To największa winnica we Francji - powiedziała madame.

Hélène kiwnęła głową. Milczała. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała.

- Spójrz prędko w lewo! - Pani Dupré wskazała okno po stronie Hélène.

Dziewczyna szybko odwróciła głowę. Pomiędzy sięgającymi piersi krzewami winorośli krzątali się robotnicy. Zrywali dojrzałe grona, co jakiś czas spoglądając z niepo-

kojem na zachmurzone niebo. Hélène zauważyła zawiły labirynt brukowanych drózek przecinających winnicę. W oddali, otoczony spokojnymi wodami olbrzymiej fosy, wznosił się majestatyczny zamek. Średniowieczne kamienne wieżyczki i chropowate ściany harmonizowały z eleganckimi renesansowymi ozdobami.

- To zamek Loustalot-de Léger - powiedziała pani Dupré. - Otacza go ponad tysiąc hektarów winnic.

- To... strasznie dużo! - zawołała Hélène. Jej pracodawczyni kiwnęła głową.

- Dwa lata temu produkowano tu prawie dwa miliony butelek wina. Możesz to sobie wyobrazić?

Hélène potrząsnęła głową zdumiona.

- Ci Légerowie muszą być bardzo bogaci - zauważyła. Pani Dupré uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała.

Tak, myślała, rzeczywiście są bardzo bogaci. Ale hrabina odznaczała się typową dla Francuzów chytrą i skąpstwem. Zamiast wydać dziesięć tysięcy franków więcej na drugą oryginalną kolekcję paryskich projektantów, wolała skopiować pierwszą za trzy tysiące. Aż trudno uwierzyć, że kobieta, która jest multimilionerką, woli zaoszczędzić siedem tysięcy franków!

- A zamek Hautecloque-de Léger? - zapytała Hélène.

- Jest trochę bardziej na północy. Otacza go tylko sto hektarów winnic. Wkrótce tam będziemy.

Właśnie dojeżdżali, kiedy z nieba spadły pierwsze ciężkie krople deszczu. André westchnął i mruknął coś o winogronach. Gdy zbliżyli się do bramy zamku, zwolnił.

Hélène wyjrzała przez przednią szybę. Wycieraczki z trudem zmagaly się ze strugami deszczu, ale udało jej się dostrzec dużą kamienną płytę na szczycie bramy. Widniały na niej lew i salamandra podtrzymujące tarczę. Był to herb rodu de Légerów.

Jechali aleją wysadzaną topolami. Po jednej stronie był duży park przypisywany słynnemu architektowi krajobrazu Le Notre'owi, który zaprojektował ogrody w Wersalu. Nawet przez ciężką zasłonę deszczu Hélène zdołała dostrzec zamek Hautecloque-de Léger. Głośno wciągnęła powietrze w płuca. Nie był podobny do żadnego zamku, jaki sobie kiedykolwiek wyobrażała. Nie miał ani baszt, ani wieżyczek. Widziała przed sobą

wytworną, nobliwą trzypiętrową budowlę, która sprawiała wrażenie zimnej z powodu doskonałej symetrii. Wąski główny gmach miał po obu stronach dwa boczne skrzydła zakończone dużymi pawilonami. Spadziste strome dachy osłaniały rząd wysokich latarni. Pośrodku znajdowały się imponujące marmurowe schody wiodące na taras.

Objechali budynek i samochód zatrzymał się przed małym wejściem z tyłu. André wyciągnął wielki czarny parasol, przytrzymał drzwi i osłaniał swoje pasażerki przed deszczem, kiedy szybko szły do budynku.

Gruba kobieta o czerwonej twarzy, ubrana na biało, otworzyła szeroko drzwi. Pani Dupré z Hélène wbiegły do środka, André zaś wrócił do samochodu.

Hélène rozejrzała się zdumiona. Znajdowała się w olbrzymiej kuchni. Na ścianach wisiały mosiężne i stalowe garnki oraz patelnie. Przy drewnianym stole młoda dziewczyna z wprawą wyrabiała ciasto. Hélène czuła się rozczarowana, że nie mogły wejść po majestatycznych schodach od frontu.

Gruba kobieta zapewne była kucharką. Zamknęła drzwi, uśmiechnęła się szeroko i wytarła wielkie dłonie o fartuch.

- *Bonjour, madame* - powiedziała przyjaźnie. - Czy miała pani przyjemną podróż?

Pani Dupré uśmiechnęła się do niej i strzepnęła kilka kropli deszczu z rękawów.

- *Bonjour, Thérèse*. Tak, podróż była przyjemna, dopóki nie zaczęło padać.

Thérèse uniosła w górę ręce dramatycznym gestem.

- Ta pogoda! Mieliśmy takie suche lato, a teraz ten deszcz! To nie wyjdzie na dobre biednym winogronom. - Wzruszyła ramionami. - Cóż, nie możemy oczekiwać, że każdy rok będzie dobry.

- Chyba tak - zgodziła się z nią pani Dupré.

- Pani hrabina poleciła mi, żeby umieścić panią tam, gdzie zwykle - powiedziała Thérèse. - Czy to pani odpowiada?

- Oczywiście, *merci* - odrzekła pani Dupré.

- Zatem chodźmy na górę. Jestem pewna, że chcecie się umyć i przebrać.

Madame spojrzała na Hélène.

- Chodź. Nasze bagaże zostaną przyniesione później.

Hélène szła za nimi po stromej klatce schodowej do kwater dla służby na ostatnim piętrze zamku. Ulokowano je na poddaszu, w pokojach z pochyłymi sufitami.

Usiadła ciężko na łóżku i rozejrzała się rozczarowana; tynki na ścianach były popękane, a meble, choć wygodne, całkiem zwyczajne. Jedyne okrągłe okno znajdowało się tak nisko nad podłogą, że musiała się pochylić, by przez nie wyjrzeć.

Raz jeszcze poczuła się urażona. Oczekiwała wytwornej sypialni, łóżka z baldachimem i kosztownych mebli. Przygryzła wargi. Musi uważać, żeby nie powiedzieć czegoś niestosownego. Limuzyna z szoferem świadczyła o tym, że hrabiostwo uważali je za lepsze niż reszta służby, ale dużo, dużo gorsze od de Légerów.

Następnego dnia późnym popołudniem *comtesse* wezwała *madame* Dupré do Gobelinowej Komnaty. Lokaj w liberii prowadził je po kamiennych schodach. Ta klatka schodowa w przeciwieństwie do schodów dla służby była delikatnie rzeźbiona w owoce i kwiaty. Hélène przekonała się, że zamek był rzeczywiście imponujący. Wspaniałe wnętrza zachowały się doskonale i wyglądały jak przed wiekami. Wszędzie znajdowały się siedemnasto- i osiemnastowieczne obrazy, flamandzkie gobeliny, chińskie stoliki z laki i dywany z Aubusson. Wytworne meble w stylu Ludwika XV podkreślały arystokratyczny charakter budowli.

- Wszystko autentyczne - zapewniła ją szeptem pani Dupré.

Hélène aż krzyknęła, kiedy służący otworzył olbrzymie podwójne drzwi Gobelinowej Komnaty. Ściany pokrywały czerwonozłote, subtelnie tkane arrasy, od których pomieszczenie wzięło swoją nazwę. Umeblowanie stanowiły fotele i sofy z epoki Ludwika XV. Ale nie było ani jednego obrazu. Zamiast tego wszędzie można było dostrzec chińską i japońską porcelanę. Stały tam rozmaite posążki, wazy i figurki mandarynów. Wytworny stół zdobiła wspaniała kompozycja kwiatowa. A na haftowanej sofie w głębi siedziała hrabina de la Brissac et de Léger.

Comtesse wywodziła się z rodu Brissac-Orleans, a jedną z jej odległych prababek była Anna z Bretanii, żona króla Ludwika XII. Hrabina była szczupłą, elegancką i tak samo wyniosłą, zauważyła Hélène, jak fasada zamku. Jej włosy miały kolor popiołu i były idealnie uczesane. Błada cera wydawała się porcelanowa, ale dłonie, którymi gładziła małego maltańskiego spaniela, zdradzały wiek. Upływające lata pozostawiły na nich

ciemniejsze plamki i przebarwienia. Miała wąski rzymski nos, a sieć maleńkich zmarszczek pojawiła się w kącikach zimnych, kamiennych oczu. Siedziała sztywno wyprostowana. Była ubrana w prostą bluzkę z białego jedwabiu i piękny bladożółty kostium. Chanel, rozpoznała Hélène.

Pani Dupré dygnęła grzecznie.

- *Bonjour, comtesse* - przywitała się oficjalnie.

- *Bonjour, madame.* - Głos hrabiny był głośny i dźwięczny. Bardzo wyraźnie wymawiała każdą sylabę.

- Chciałabym przedstawić moją nową szwaczkę, Hélène Junot. - Pani Dupré wskazała dłonią dziewczynę.

Hélène dygnęła tak, jak kazała jej spojrzeniem pani Dupré, ale jej ruchy były jakos dziwnie niezgrabne. Czuła, że się rumieni.

- *Bonjour, comtesse* - wyszeptała nerwowo.

Zimne, ciemne oczy hrabiny przesunęły się badawczo po Hélène.

- Jest bardzo młoda! - powiedziała zaskoczona.

- *Oui, comtesse* - odrzekła szybko pani Dupré. - Ale to najbardziej utalentowana szwaczka, jaką kiedykolwiek spotkałam. Daleko zajdzie.

- Czyżby? - Ciemne oczy raz jeszcze zwróciły się na Hélène, tym razem z uprzejmym zainteresowaniem. - Jest dość atrakcyjną młodą damą.

Hélène znowu poczuła, że na twarz wypływają jej rumieńce. Rzadko trafiały jej się komplementy, a kiedy je otrzymywała, nie wiedziała, jak zareagować. Teraz też stała bez słowa. Widząc zadowolony wyraz twarzy hrabiny de Léger, domyśliła się, że jej milczenie zostało odczytane jako wyraz skromności.

Comtesse pociągnęła za sznureczek dzwonka, który wisiał nad sofą. Chwilę później bezszelestnie pojawiła się młoda pokojówka ubrana na czarno.

- Lise, życzę sobie, żebyś udzieliła pani Dupré i jej pracownicy wszelkiej pomocy, jakiej będą potrzebowały.

- *Oui, comtesse.*

- *Bien.* Możesz je zaprowadzić do szwalni na górze. Potem zanieś tam stroje, które przysłano z Paryża. Wszystkie z wyjątkiem sukni.

- *Oui, comtesse.*

- To wszystko. - Hrabina odprawiła ją władczym gestem.

Pani Dupré spojrzała znacząco na Hélène. Raz jeszcze dygnęły i razem z Lise opuściły Gobelinową Komnatę.

Szwalnia znajdowała się na drugim piętrze północno-wschodniego skrzydła. Kiedyś musiała to być wspaniała sypialnia. Miała wysoki rzeźbiony sufit, boazerię na ścianach i długie okna, które dawały maksimum światła. Przykryte prześcieradłami sprzęty przypominały białe zjawy. Zimny, pełen kurzu pokój zdecydowanie wymagał wietrzenia. Hélène podeszła do okien i otworzyła je na oścież. Poczowała powiew świeżego powietrza i kilka migoczących kropelek deszczu spadło jej na twarz. Przez chwilę stała, oglądając park Le Notre'a.

Pani Dupré obeszła pokój i energicznymi ruchami pozdejmowała białe prześcieradła. Okazało się, że zakrywały maszynę do szycia, duży, zawalony papierami stół, manekiny, wieszak, trzyczęściowy parawan, za którym hrabina mogła się dyskretnie przebrać, i potrójne lustro w pozłacanych ramach. Potem *madame* podeszła do rzeźbionej szafy i otworzyła drzwi. Wewnątrz leżały bele materiałów, nici, igły, poduszcзки na szpilki, nożyce, różne dodatki i inne drobiazgi potrzebne krawcowej.

- *Comtesse* nalega na częste przymiarki - wyjaśniła pani Dupré przyciszonym głosem. - To dlatego szwalnia nie znajduje się w części przeznaczony dla służby. -

Hélène odsunęła od siebie talerz.

- Objadłam się - oznajmiła.

Pani Dupré spojrzała na nią ostro i pogroziła palcem.

- Dama nigdy nie mówi: „Objadłam się” - oświadczyła surowo. - W towarzystwie dama powie: „Jestem już najedzona, dziękuję”. Musisz zwracać uwagę na dobre maniery. Kiedy znajdziesz się w Paryżu, mogą zdecydować o twoim sukcesie lub porażce.

Hélène kiwnęła głową, zapamiętując tę informację. Jadły obiad przy małym stole w pokoju pani Dupré. Było to wynikiem dziwacznych zasad etykiety, która umieszczała je pomiędzy szczeblami drabiny społecznej; ich status był dużo niższy niż de Légerów, ale wyższy niż służby, więc musiały jeść posiłki osobno. Pani Dupré wyjaśniała dziewczynie, że gdyby w zamku była nauczycielka, jadłaby z nimi, ponieważ jednak nie ma tu

guwernantki, muszą jadać same. Hélène kręciło się w głowie od tych zawiłości i zastanawiała się, ile owa drabina może mieć szczebli.

Pani Dupré ostrożnie odłożyła nóż i widelec na talerz, dając w ten sposób znak, że ona również skończyła posiłek. Delikatnie musnęła usta serwetką.

- Thérèse przyniesie nam potem kawę i deser - powiedziała. - Wie, że lubię pić kawę dużo później.

Hélène kiwnęła głową, sącząc powoli wino.

- Nie mogę czekać do jutra - powiedziała. - Sukienki są takie piękne! I kostiumy Chanel - nie mogę wprost przestać się nimi zachwycać. Nigdy nie wpadłabym na to, żeby wszywać w obrąbek maleńkie łańcuszki, bo wtedy spódnica lepiej się układa.

Pani Dupré kiwnęła głową.

- Chanel jest genialna - powiedziała po prostu. Podniosła się i podeszła do małego okrągłego okna. Pochyliła się, rozsunęła cienkie firanki i wyjrzała. Opuściła je na miejsce i odwróciła się do dziewczyny. - Przestało padać. Pójdziemy na spacer?

Hélène odsunęła się z krzesłem i wstała.

- Chętnie. Chciałabym odetchnąć świeżym powietrzem. Wezmę tylko płaszcz.

Zeszły na dół przez kuchenne drzwi. Było jeszcze jasno, ale wkrótce miał zapaść zmierzch. Deszcz sprawił, że szara jesienna trawa stała się zielona jak wiosną. Nad parkiem unosiła się lekka mgiełka. Chmury przerzedziły się i przypominały szary kobierzec. Nagle się rozsunęły i wyjrzało przez nie słońce.

Pani Dupré z uśmiechem popatrzyła na niebo.

- Może jest jeszcze nadzieja na dojrzałe winogrona - powiedziała. - Przejdziemy się trochę.

Spacerowały przez kilka minut. Nagle ich oczom ukazały się stajnie. Hélène była zdumiona ich wielkością.

- De Légerowie muszą mieć dużo koni, skoro są tu takie duże stajnie.

Pani Dupré pokiwała głową.

- Owszem. De Légerowie są dumni ze swoich umiejętności jeździeckich. Trzymają wierzchowce do polowań na lisy, a nawet mają konie wyścigowe. - Przestały rozmawiać,

bo usłyszały zbliżający się stukot końskich kopyt. Odwróciły się, by spojrzeć w ich kierunku.

Hélène krzyknęła i zasłoniła sobą panią Dupré. Wspaniały czarny arab pędził przez trawnik wprost na nie. Wyglądało to tak, jakby jeździec stracił kontrolę nad wierzchowcem, ale w ostatniej chwili z wprawą ściągnął cugle. Wielki koń zarżał i zatrzymał się niecały metr od nich. Wokoło unosił się pył ulatujący spod kopyt ogiera. Hélène czuła ciepło bijące od konia.

Musiał galopować przez dłuższy czas.

Padł na nią cień jeźdźca. Uniosła wzrok.

Był niezaprzeczalnie przystojny. Miał ciemne włosy, wyraźnie zarysowany, wysunięty podbródek i głębokie, błyszczące oczy. Przypominały oczy hrabiny, ale jej były zimne, te zaś wydawały się złośliwe. Hélène zdołała też zauważyć muskularną sylwetkę jeźdźca, który doskonale trzymał się w siodle.

Hubert de Léger uśmiechnął się i dotknął szpicrutą daszka czapki.

- Ach, *madame* Dupré, witam - powiedział.

Pani Dupré skinęła mu głową.

- Przestraszył nas pan prawie na śmierć - rzekła z tłumioną furią.

Zignorował ją i skinął głową w kierunku Hélène.

- Kim jesteś? - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

Miał w sobie ten zniewalający urok, który sprawił, że nagle zaczęła się bać. Stała jak zahipnotyzowana.

- Hélène Junot - wymamrotała cicho, patrząc w bok.

- Wyglądasz dużo lepiej niż dziewczyna, którą *madame* przywiozła w zeszłym roku.

- Spojrzał na panią Dupré i uśmiechnął się rozbrajająco. - Czyż nie?

- Myślę, że to kwestia gustu - odpowiedziała sztywno.

Hubert de Léger odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, ukazując białe zęby. Potem spoważniał i spojrzał na Hélène.

- Jeździsz?

- Chodzi o jazdę... konną? - spytała zażenowana.

- A jaką? - odparł z kpiącym uśmiechem.

- Nigdy... nigdy nie próbowałam.

- To nic trudnego. - Ścisnął cugle w dłoniach; ogier ani chwili nie stał spokojnie.

- Nie jestem pewna, czy lubię konie - powiedziała szybko Hélène.

- Polubisz - rzucił władcym tonem. - Będiesz świetnie wyglądała na koniu. Mamy ich w stajniach mnóstwo. Niektóre są bardzo łagodne. Nauczę cię jeździć. - Zamilkł na chwilę. - Powinnaś czuć się zaszczycona.

Hélène wyglądała raczej na poruszoną. Gwałtownie zamachała dłońmi i odwróciła głowę.

- Może któregoś dnia - mruknęła wymijająco.

- Jutro? - zapytał szybko.

- Nie, jutro muszę pracować - odrzekła stanowczo, a potem spojrzała na panią Dupré, w widoczny sposób oczekując jej pomocy.

Madame pospieszyła na odsiecz.

- Pańska matka byłaby bardzo niezadowolona, gdyby jej stroje nie były gotowe na czas.

Hubert uśmiechnął się chytrze i pochylił w jej kierunku.

- Wiem przecież, że nigdy nie pracuje pani dłużej niż do szóstej po południu. - Potem spojrzał na Hélène. - Zatem umówmy się na lekcję jutro o wpół do siódmej.

Zanim zdołała odmówić, uderzył ogiera szpicrutą i ukłuł ostrogami. Wierzchowiec natychmiast pogalopował aleją, wzbijając kopytami grudki ziemi. Wkrótce zniknął między drzewami.

Hélène odwróciła się do pani Dupré.

- Co ja mam teraz zrobić? - jęknęła.

Jej mentorka wzruszyła ramionami.

- Hubert de Léger nie przyjmuje łatwo odpowiedzi „nie”. Odziedziczył upór po rodzinie matki.

Dziewczyna wyglądała na nieszczęśliwą.

- Może powinnam później pójść i z nim porozmawiać? Pani Dupré potrząsnęła głową.

- To byłąby strata czasu. Jest czarujący, ale złośliwy. Choćbyś szukała wszędzie, nie znajdziesz go do jutra do wpół do siódmej. Chyba nie masz wyjścia i po prostu musisz się z nim spotkać.

Rozdział 11

Kilka minut po wpół do siódmej następnego dnia pani Dupré odprowadziła Hélène aż do stajni i pomogła jej się przebrać w jeden ze strojów jeździeckich przeznaczonych dla gości. Kiedy dziewczyna była gotowa, *madame* cofnęła się i dokładnie ją obejrzała. Zmarszczyła brwi.

- Żakiet jest trochę za szeroki w biuście, ale poza tym leży nieźle. - Podeszła bliżej i poprawiła opadający z kapelusza welon. - Tak, całkiem nieźle - powtórzyła z satysfakcją.

Hélène podeszła do lustra w garderobie i stanęła przed nim zdumiona, patrząc na swoje odbicie. Kostium był piękny. Czarna spódnica miała wystarczającą długość, by nieco odsłonić lśniące buty, które wcisnęła na siłę, ponieważ były za niskie w podbiciu.

- Dama musi mieć szyte na miarę buty - zrzędziła pani Dupré, pomagając Hélène je wciągnąć.

Czarny żakiet i biała bluzka okazały się trochę za duże, ale miały elegancki krój, a czarny krawat dodawał im szyku. Hélène czuła się jednak zażenowana tym, że nosi strój, który do niej nie należy.

Weszły do wyłożonej jasnymi płytkami siodlarni, w której unosił się zapach skóry i drewna. W oszklonej szafce ustawiono jeździeckie trofea i medale, na ścianach wisiały siodła, mosiężne rogi do polowania i oprawione sztychy przedstawiające konie, które startowały w gonitwach w Chantilly i Longchamps.

Hélène spojrzała na to wszystko i cofnęła się do drzwi garderoby.

- Może lepiej...

Pani Dupré chwyciła ją za ramię.

- Och, nie! Dasz sobie radę.

- Ale...

- Bądź cicho! - Jej pracodawczyni gestykulowała z podniecenia. - Po prostu bądź sobą! Jesteś taka sztywna i nieśmiała. Odpręż się! Nie myśl o niczym. - Głos jej złągodniał. - Pamiętaj, że wyglądasz uroczo.

- Jestem głodna.

Pani Dupré zmarszczyła brwi.

- Krótka dieta jeszcze nikomu nie zaszkodziła - oświadczyła. - Przeżyjesz utratę kilku kilogramów.

Usłyszały tętent końskich kopyt.

- No już, wychodź - powiedziała stanowczo *madame* i popchnęła Héléne w kierunku drzwi. - Nie masz się czego bać. Baw się dobrze... i bądź ostrożna. - Spojrzała na nią znacząco.

Héléne zarumieniła się i zakłęła w duchu. Ostatnio ciągle się rumienie, pomyślała. Musi coś z tym wreszcie zrobić. Przecież nie może chodzić cały czas czerwona jak burak. Ale co pani Dupré rozumiała, mówiąc o byciu ostrożną? Ostrożną w stosunku do czego? Konia czy... jeźdźca?

Zobaczywszy ją, Hubert de Léger zręcznie zeskoczył z siodła i podszedł do niej, prowadząc araba za uzdę.

- Wspaniale wyglądasz. Wiedziałem, że przyjdiesz.

- Dziękuję - odrzekła zimno. Poczowała złość, słysząc w jego głosie arogancję i zarozumiałość.

- Chodź - powiedział. - Przywiążę tu Szejka, a stajenny przyprowadzi konia dla ciebie. Zostaniemy przez chwilę na padoku.

Nerwowo kiwnęła głową, a on przywołał jednego z chłopców stajennych, który po kilku minutach podprowadził konia. Była to wielka kasztanowa klacz z damskim siodłem. Héléne spojrzała na nią i cofnęła się przestraszona.

- To... to tak wysoko.

- Poradzisz sobie.

- Nie jestem tego taka pewna - mruknęła powątpiewająco.

Przez następne pół godziny uczył ją wyłącznie wsiadania i zsiadania. Hélène podejrzewała, że ćwiczył z nią tak pilnie dlatego, że mógł bezkarnie obejmować ją i trzymać za biodra czy też „przypadkowo” obściskiwać, kiedy ją podnosił.

Z zaskoczeniem odkryła, że dotyk jego rąk był całkiem przyjemny. Wyczuwała w tym mężczyźnie brutalną siłę i porywczosć, chociaż starał się być łagodny i uprzedzająco grzeczny. Kilka razy ich twarze znalazły się blisko siebie, a wtedy przez kilka chwil patrzyli sobie w oczy. Potem ona szybko odwracała wzrok, a on kontynuował lekcję jakby nigdy nic.

On coś knuje, myślała rozbawiona. Ale taką grę muszą prowadzić dwie osoby. Po prostu zmienię reguły i zagram po swojemu, postanowiła. Starła się szybko opanować wsiadanie i zsiadanie. Była wyjątkowo zadowolona, widząc rozczerowanie Huberta z powodu jej szybkich postępów. Jeden - zero, powiedziała sobie w duchu.

- Teraz pojedziemy - oznajmił Hubert w końcu. - Najpierw wolny kłus dookoła stajni, a potem spacer wokół parku. - Sięgnął do kieszeni po kostkę cukru i podał ją klaczy. Wsunęła pysk w jego dłoń i delikatnie wzięła cukier.

Hélène przećwiczyła kłus wokół stajni, a potem powoli ruszyła do parku. Musiała przyznać, że jazda konna ogromnie jej się spodobała. Wymagała skupienia i zręczności, ale dziewczyna uczyła się szybko. Raz nawet poderwała klacz do galopu, a wiatr dmuchnął jej w twarz.

Kiedy wracali, Hubert kazał Héléne zostać z tyłu. Potem pochylił się nisko, spiął konia ostrogami i skierował go na ogrodzenie. Héléne wstrzymała oddech. Zamierzał przeskoczyć przez płot! Zauważyła, że ogrodzenie składało się z wielu barierek różnej wysokości.

Arab posłusznie pokonywał kolejne przeszkody. Héléne z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Hubert popisywał się przed nią, zdawała sobie z tego sprawę. Mimo wszystko był to jednak imponujący pokaz umiejętności człowieka i konia.

Pokonawszy wszystkie płotki, de Léger zawrócił i podjechał do dziewczyny. Nic nie powiedziała, ale jej uśmiech wystarczył za słowa. Wyraźnie zadowolony Hubert zeskoczył z ogiera i gestem polecił Héléne zsiąść. Oddali cugle stajennym.

- Jesteś zmęczona? - zapytał.

- Tak, ale to przyjemne zmęczenie - odrzekła szczerze.
- Wiem, co masz na myśli. Czujesz ból od siodła?
- Ani trochę - oświadczyła stanowczo.
- Poczujesz jutro - zapewnił ją ze śmiechem.

Wrócili przez park do zamku. Zapadał zmierzch i niebo pokryło się ciemną purpurą. Przez kilka minut milczeli. Hubert uderzał szpicrutą o buty.

- Straciłaś przez tę lekcję kolację - zauważył w końcu. - Możesz zjeść ze mną.
- Nie jestem głodna.
- Nie przyjmuję takiej odpowiedzi - odparł.
- Ale... muszę się przebrać. - Wskazała na amazonkę.
- A więc idź i zrób to.
- Nie - powiedziała stanowczo. - Naprawdę nie mogę. To nie byłoby w porządku.

Spojrzał na nią pytająco.

- Co nie byłoby w porządku?
 - Nasz wspólny obiad.
 - Dlaczego? - Spojrzał na nią rozbawiony. - Bo jestem synem hrabiego de Léger?
- Poczuła, że znowu się rumieni.
- Tak - powiedziała cicho.

Ale on potrafił przekonywać. Mogłaby odmówić, gdyby próbował jej rozkazywać. Nie zrobił tego jednak, tylko prosił. Wreszcie Hélène się poddała. Odmowa była niemożliwa. Hélène podejrzewała, że Hubert wiedział, jaki wpływ ma na kobiety. Postanowiła nie zwracać na to uwagi.

Kiedy dotarli do domu, rozstali się na godzinę. Hélène pobiegła na górę, poczekała, aż jedna z pokojówek wyjdzie z łazienki, która była wspólna (to trwało tak długo!), i szybko wzięła kąpiel. Przez kilka minut pozwoliła sobie na luksus wylegiwania się w wannie, a potem poszła do swojego pokoju i ubrała się starannie. Kiedy skończyła, spojrzała w lustro. Czarna sukienka wydawała się prosta, niemal surowa, ale nadawała się na każdą okazję, od spaceru po nabożeństwo żałobne. Zresztą była to jedyna porządna sukienka, jaką miała. Z przejścia zapomniała zamknąć drzwi łączące jej pokój z sypialnią pani Dupré. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że *madame* przygląda jej się uśmiechnięta.

- Jak... jak wyglądam? - spytała Hélène z wahaniem.

- To zależy od tego, dokąd się wybierasz.

- Na dół. Hubert zaprosił mnie na obiad.

- W takim razie wyglądasz pięknie - powiedziała jej pracodawczyni i lekko zmarszczyła brwi. - Ale trochę surowo.

Hélène spojrzała na nią w panice.

- Co pani przez to rozumie?

- Musimy przełamać powagę czerni. Czerń jest elegancka, ale wymaga dodatków. -

Odpięła jeden z cienkich złotych łańcuszków, które miała na szyi. - Pożyczę ci go.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie mogę go wziąć.

- Nie martw się. Nic mu się nie stanie.

- Będę bardzo ostrożna - obiecała.

Pani Dupré zapięła łańcuszek na jej szyi. Hélène nigdy nie wyglądała lepiej. Na twarzy miała rumieńce, których z pewnością nie wywołała jazda konna. Była to oznaka szczęścia i podekscytowania. Miłość? - pomyślała nagle *madame*. Miała nadzieję, że nie. Hubert de Léger był zbyt gwałtowny, zbyt młody i z pewnością nie umiał traktować poważnie niczyich uczuć.

- Baw się dobrze - powiedziała, a potem dodała szeptem: - I pamiętaj o dobrych manierach.

Hélène pokiwała głową.

- Będę - obiecała cicho i wyszła z pokoju.

Hubert czekał na nią w salonie na pierwszym piętrze. Przeszedł przez dywan Savonnerie i spojrzał na dziewczynę z uznaniem.

- Musimy poczekać kilka minut. Moi rodzice zaraz zejdą. Serce Hélène niemal przestało bić.

- To znaczy... że jeszcze nie jedli?

Potrząsnął głową.

- Nie. Zwykle jadamy obiad późno. - Uśmiechnął się. - Nie martw się, oni nie gryzą.

Poprawiła nerwowo naszyjnik od pani Dupré. Myślała, że zje obiad z Hubertem, a nie z jego rodzicami. Nie widziała jeszcze hrabiego, ale *comtesse* zniechęciła ją wystarczająco. Była zbyt wyniosła, zbyt wystudiowana elegancka i wyrafinowana. Jej czarne zimne oczy przerażały Héléne. Przez chwilę miała ochotę wymamrotać jakąś wymówkę i uciec. Zamiast tego powiedziała nieswoim głosem:

- Jaki piękny obraz. - I wskazała na jedno z oprawionych w złote ramy płócien na pokrytej bladoniebieską morą ścianie.

- Podejdźmy bliżej, żeby go obejrzyć - zaproponował Hubert. Ujął ją pod ramię i poprowadził przez salon.

Zarumieniła się lekko, czując ciepło jego dłoni, co nadało jej twarzy piękny różowy koloryt. Spojrzała na Huberta i uśmiechnęła się nerwowo. Opuścił rękę i stanął z tyłu, patrząc, jak przechodziła od obrazu do obrazu. Długo nie mogła oderwać wzroku od małego płótna nad jedną z kanap. Było bardzo stare, tak że mogła dostrzec sieć drobnych pęknięć farby. Przedstawiało młodego chłopca z uśmiechem na ustach i półprzymkniętymi oczyma.

- Ten jest najpiękniejszy ze wszystkich - powiedziała miękko.

- Ma pani dobry gust, *mademoiselle*. To Rafael - odezwał się kobiecy głos.

Héléne zeszywniała i odwróciła się powoli. Znała aż za dobrze ten ostry głos i precyzyjną wymowę. Dygnęła grzecznie i sama była zaskoczona, że teraz udało jej się to zrobić tak zgrabnie.

- Dobry wieczór, *comtesse* - powiedziała grzecznie.

- Dobry wieczór, *mademoiselle*. - Hrabina uśmiechnęła się zimno i podeszła bliżej. - Hrabia wkrótce zejdzie. - Jej ciemne oczy spojrzały na dziewczynę z ciekawością. - Nie miałam pojęcia, że interesuje się pani sztuką. Kiedyś muszę panią oprowadzić po zamku. Jest tu wiele arcydzieł malarstwa włoskiego i francuskiego. Mówi się, że mamy największą kolekcję jej płócien Claude'a Lorraina w Europie. Jeden z moich przodków był jego wielbicielem.

Héléne grzecznie kiwnęła głową.

- Bardzo bym chciała je zobaczyć, pani hrabino.

Comtesse odwróciła się do Huberta.

- Jeździłeś dzisiaj konno? - zapytała.

Uśmiechnął się do matki.

- Tak, jeździłem z panną Junot.

Brwi hrabiny uniosły się na ułamek sekundy.

- Pani jeździ konno?

- Dopiero się uczę - odpowiedziała szybko Hélène.

- Każda młoda dama powinna umieć jeździć konno - oświadczyła stanowczo *comtesse*. - Kiedy byłam młoda, zdobyłam wiele nagród na pokazach.

- Naprawdę? - zapytała Hélène. Nie miała pojęcia, co to za pokazy, ale patrzyła na hrabinę zaskoczona. Ta elegancka dama nie wyglądała na entuzjastkę jazdy konnej.

Chwilę później do pokoju wszedł hrabia. Hélène dygnęła i raz jeszcze zaskoczyła ją własna zręczność. Momentalnie zauważyła, że to po ojcu Hubert odziedziczył postawę i sposób bycia. Jedynie rysy Huberta, jego ciemne oczy i wysunięty podbródek wyraźnie pochodziły od matki, bo hrabia miał jasnoniebieskie tęczęwki. W siwiejących włosach pozostały pasemka naturalnego koloru blond. Hélène zdecydowała, że hrabia wyglądał dystyngowanie.

- Idziemy? - zapytał, podając ramię żonie, która kiwnęła głową.

Hubert dotknął łokcia Hélène i wszyscy czworo przeszli do jadalni.

Dlaczego on mi to robi, zastanawiała się, gdy szli do jadalni.

Jadalnia była wytwornie i bogato urządzona. Hélène podziwiała błyszczący parkiet, lśniące boazerie na ścianach, marmurowy kominek, drogi żyrandol nad stołem i połączane rzeźbione krzesła. Wspaniałe kandelabry ze smukłymi świecami, ciężkie srebrne sztuce, wspaniała porcelana z Limoges i kryształowe kieliszki rozłożono na serwetkach wprost na lśniącym stole. Nie było obrusa.

Hélène zobaczyła cztery nakrycia z wprawiającymi w zakłopotanie rzędami widelców, łyżek i noży ułożonych z wojskową precyzją. Za każdym z krzesel stał lokaj w liberii. Hélène nigdy nawet nie marzyła o takim obiedzie.

Lokaje odsunęli krzesła od stołu. Hélène poczekała, aż hrabiostwo zajęli swoje miejsca, a potem usiadła i powtórzyła w myślach nauki pani Dupré: „Jeżeli masz wątpliwości co do przeznaczenia widelca, szklanki czy talerza - patrz, co robią inni. Naśladuj

ich, a nie popełnisz błędu". Spojrzała na hrabinę, która delikatnie rozłożyła płócienną serwetkę i umieściła ją na kolanach, i sama zrobiła to samo.

Obiad trwał długo, a większa część rozmowy okazała się nudna. Hélène uważała jednak, że to najbardziej fascynujący wieczór w jej życiu. Czuła się wyróżniona tym zaproszeniem. Oczywiście wiedziała, że nie udało jej się przełamać rygorystycznych barier towarzyskich, ale siedziała przy stole z de Légerami i już to samo w sobie było niewielkim sukcesem. Udowadniało, że czasami można się dostać do wyższej sfery. Była to kwestia obracania się we właściwym towarzystwie, poznawania ludzi należących do określonej klasy. Pozostanie w tym kręgu to już inna historia. Jednak piękność i wdzięk oraz wytworne maniere i błyskotliwy dowcip mogły zapewne pomóc zatuszować zbyt niskie pochodzenie.

Hélène podziękowała w duchu pani Dupré, kiedy lokaj podał jej po raz drugi wagę z zupą rakową.

- Jestem już najedzona, dziękuję - odmówiła grzecznie, mimo że miała ochotę na jeszcze. Wiedziała, że nie byłoby to właściwe, bo nikt inny nie wziął dokładki.

Była wręcz olśniona jedzeniem. Wyglądało nawet bardziej wspaniale, niż smakowało. Po zupie przyniesiono sorbet. Na początku myślała, że to deser. Ale tak nie było. Napój chłodzący miał oczyścić smak. Potem każdej osobie po kolei podawano wielką tacę. Był na niej cały szczupak faszerowany kremem z małży. Grzbiet ryby ozdobiono liśćmi sałaty i małymi kwiatkami. Dookoła leżały pieczarki. Do tego dania, serwowanego z białym sosem maślanym, podano butelkę Pouilly-Fuisse. Wino pozostało przez kilka minut odkorkowane, aby chwilę pooddychało. Hélène ujęła swój kieliszek i wdychała bukiet. *Comtesse* raz jeszcze uniosła brwi. Hélène powoli sączyła wino. Wszystko było naprawdę przepyszne. Pragnęła tylko, by mogła znaleźć się tu z nią pani Dupré.

Większa część konwersacji jej nie obchodziła. Mówiono o winnicach, samochodach, polityce, a także powtarzano plotki o jakiejś baronowej de Savonnières i jej pięknej córce Mirielle. Hélène słuchała w milczeniu zadowolona z samego faktu, że mówi się o takich rzeczach w jej obecności. Zaskoczyło ją, że plotek nie wypowiadano szeptem.

Tutaj plotkowało się otwarcie, z rozbawieniem, szcycąc się złośliwością i dowcipem ostrym niczym rapier.

Potem rozpoczęto temat, który ją zainteresował. Ostatniego wieczoru przed powrotem pani Dupré do Saint-Nazaire w zamku urządzano bal.

Hrabia rzucił żonie szybkie spojrzenie.

- Czy zaprosiłaś baronową de Savonnières? - zapytał.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała hrabina, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie.

Hrabia uniósł brwi, a w jego głosie zabrzmiało powątpiewanie:

- Czy nie sądzisz, że po tym ostatnim skandalu mądrzej byłoby jej nie zapraszać?

Wargi *comtesse* ułożyły się w złośliwy uśmiech.

- Wprost przeciwnie, Filipie. Wszyscy będą mnie za to chwalić! Wiesz, jak lubię stawiać ludzi naprzeciw siebie, szczególnie wrogów. - Z radości aż zmarszczyła swój wąski nos. - Dzięki temu mamy później tak rozkoszne plotki.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Ciszę przerywał jedynie dźwięk srebrnych sztućców stukających o porcelanę. W oczach Héléne błyszczało podniecenie. Okrągłe okno w jej pokoju wychodziło na frontowy podjazd. Będzie mogła przyglądać się nadjeżdżającym gościom. Ciekawe, czy rozpozna tę baronową de Savonnières i jej piękną córkę.

Podano deser: olbrzymie aksamitne brzoskwinie na porcelanowych talerzykach z Limoges. Héléne już miała wziąć owoc do ręki, ale na szczęście w porę dyskretnie przyjrzała się innym. Jedli swój deser sztućcami. Ostrożnie zaczęła ich naśladować. Nigdy nawet nie wyobrażała sobie, że są ludzie, którzy jedzą owoce nożykiem i widelcem! To tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że musi się jeszcze wiele nauczyć.

Hubert uśmiechnął się do niej przez stół.

- Oczywiście jesteś zaproszona - oznajmił. - Jako mój gość.

Wpatrywała się w niego bezmyślnie. Była tak bardzo pochłonięta przyglądaniem się, jak hrabina kroi swoją brzoskwinie, że nie zwracała uwagi na nic innego. Słowa Huberta ją zaskoczyły. Zaproszona? Na co?

- Przepraszam, nie dosłyszałam - powiedziała grzecznie.

- Na bal, oczywiście - wyjaśnił. - Będiesz moim gościem.

Nagle poczuła dreszcz podniecenia. Bal! Nie śmiała nawet o nim marzyć, a oto teraz Hubert ją zaprosił. W obecności swoich rodziców! Szybko spojrzała na hrabiego i hrabinę, oczekując jakiejś negatywnej reakcji z ich strony. Może nieznacznie potrząsną głowami, otworzą szerzej oczy, lekko uniosą brwi. Ale nic takiego nie dostrzegła.

Skromnie spuściła wzrok.

- Ja... nie wiem - odrzekła z wahaniem.

- Dlaczego nie? - naciskał. Ale kiedy tylko wypowiedział te słowa, zaklął w duchu. Wiedział dlaczego. Z tego samego powodu, dla którego chciała odrzucić zaproszenie na obiad. Ponieważ on był de Légerem i czuła się przy nim niezręcznie.

- Będiesz się świetnie bawić - zapewnił ją szybko. - Wierz mi, zrobisz furorę.

Hélène ogarnęło przygnębienie. Odkroiła maleńki kawałeczek brzoskwini i jadła go w milczeniu. Czy Hubert nie może tego zrozumieć? Tak pragnęła pójść na ten bal. Och, po prostu o tym marzyła. Już się nie bała. Nie martwiła się tym, że to nie jej sfera. Ale nie miała nic, w co mogłaby się ubrać. Surowa, czarna sukienka na pewno się nie nadawała. Rozczarowanie było jak tępy ból, który promieniował od jej serca, sięgając aż do rąk i nóg, tak że zdrętwiały jej palce. Westchnęła w duchu. Nic na to nie poradzi. Musi się z tym pogodzić.

Po obiedzie wrócili do salonu na kawę i koniak. Hélène sączyła kawę, ale podziękowała za alkohol. Nie była do niego przyzwyczajona i już samo wino sprawiło, że czuła się dziwnie lekka.

Hrabia zapalił cygaro. On i Hubert siedzieli naprzeciw siebie i dyskutowali o interesach oraz polityce. Hrabina usiadła na sofie obok Hélène, wskazywała niektóre z obrazów i opowiadała ich historię. Była zadowolona, mając wdzięczną słuchaczkę. Jej zimne ciemne źrenice błyszczały tak, jakby miała przed oczami to, o czym właśnie mówiła. Hélène słuchała oczarowana. Wyglądało na to, że de Légerowie przez stulecia byli obecni wszędzie - w polityce, winiarstwie i sztuce. Fascynowała ją rozległa wiedza hrabiny i czuła się zaszczycona tym, że taka arystokratka chciała jej tyle opowiedzieć. Chciwie chłoneła każde słowo wielkiej damy.

Wreszcie hrabia wstał. Potem wraz z żoną pożegnali się i odeszli, a służący zamknął za nimi drzwi. Hubert uśmiechnął się do Hélène.

- Czy cię nudzimy? - zapytał rozbawionym głosem.
- Ależ nie! - zaprotestowała. - Wszystko tutaj jest fascynujące.

Zmienił temat.

- Co powiesz na przejażdżkę? Potrząsnęła głową.
- Musiałabym się przebrać. Poza tym ostrzegałeś mnie przed efektem siodła.

Roześmiał się.

- Nie konno, tylko samochodem. Do wioski. Wiesz, możemy zajrzeć do Chez Gaston przed pójściem spać! Mają tam dobre płyty.

- Nie jestem pewna, czy powinnam - odpowiedziała szybko.

Spojrzał na nią kpiąco.

- Czyżbym słyszał w twoim głosie strach?
- Oczywiście, że nie - odpowiedziała ostro.

- Więc idź po płaszcz. Spotkamy się przy samochodzie. Będę czekał przed wejściem.

Przez chwilę Hélène nie wierzyła własnym uszom.

- Od frontu? - zapytała powoli. - To znaczy... przed tymi wielkimi schodami z marmuru?

- Oczywiście. To przecież wejście, prawda?

No tak, pomyślała z przekąsem. Może dla ciebie, przyszły panie hrabio de Léger. Tylko że pani Dupré, Thérèse, reszta służby i ja też mamy używać drzwi od kuchni. - Powstrzymała się jednak od tej złośliwej uwagi.

- Będę za pięć minut - odrzekła bezwiednie.
- Za dziesięć. Muszę jeszcze zatankować auto.

W pośpiechu wbiegła na schody dla służby i wpadła do pokoju. Drzwi do sypialni pani Dupré nadal były otwarte. Kiedy *madame* usłyszała, że Hélène wchodzi, odłożyła książkę i stanęła na progu.

- Jesteś bardzo przejęta - zauważyła.

Hélène kiwnęła głową, z trudem łapiąc oddech.

- Hubert de Léger zabiera mnie do wioski! - oznajmiła.

Pani Dupré rzuciła jej przeciągłe spojrzenie.

- Z pewnością spróbuje cię oczarować - zauważyła sucho. - Sprawia wrażenie, że jest tobą zajęty.

Hélène wyczuła w głosie swojej mentorki niezadowolenie. Spojrzała na nią z wahaniem.

- Myśli pani, że nie powinnam z nim jechać? - zapytała.

Pani Dupré uśmiechnęła się lekko.

- Idź - powiedziała, unosząc jednak ostrzegawczo palec. - Tylko bądź ostrożna. Hubert de Léger to kobieciarz. A kiedy dostanie to, czego chce, porzuca dziewczynę.

- Będę ostrożna - obiecała Hélène. - Pod wpływem impulsu przebiegła przez pokój i ucałowała panią Dupré w policzek. Potem wzięła płaszcz i wyszła w pośpiechu, zostawiając za sobą uchylone drzwi.

Bar Chez Gaston nie znajdował się w najbliższej wiosce, tylko w Saint-Médard, dziesięć kilometrów na północ od Bordeaux, w piwnicy starego budynku. Kamienne ściany pomalowano na biało; wewnątrz było ciemne i hałaśliwe, a powietrze siwe od dymu. Z trzeszczącego gramofonu płynęła amerykańska melodia.

Hélène zaskoczyła samą siebie, gdyż okazała się bardzo dobrą tancerką. Może dlatego, że pozwoliła się prowadzić Hubertowi. Kiedy poruszali się rytmicznie po parkiecie, na chwilę przymknęła oczy i czuła się, jakby płynęła w powietrzu.

Gdy kolejny wolny taniec się skończył, Hubert poprowadził ją za rękę do ich małego stolika. Pomógł Hélène usiąść i usadowił się naprzeciwko. Wyciągnął butelkę szampana z wiaderka z lodem, żeby napełnić kieliszki.

Hélène zakryła swój dłoń.

- Dziękuję, wypłam już wystarczająco dużo - powiedziała niewyraźnie.

Zmarszczyła brwi. Z wielkim wysiłkiem przychodziło jej sensowne formułowanie badań.

- Daj spokój - nalegał. - Jeszcze kieliszek ci nie zaszkodzi. Poza tym rozluźnisz się. Spojrzała mu w oczy.

- Sądzisz, że tego potrzebuję? - spytała kokieteryjnie.

- Troszeczkę. - Pokazał palcami ile.

Popatrzyła na jego drugą rękę. Hubert wciąż trzymał butelkę nad kieliszkiem. Czy to już druga? - zastanowiła się, ale potem wzruszyła ramionami i posłała do diabła ostrożność.

Cofnęła dłoń, a on napełnił oba kieliszki po brzegi.

- *À votre santé* - powiedział.

- *À votre santé* - powtórzyła i wypła połowę jednym długim łykiem. Poczwała nagle, że jest bardzo spragniona. Pewnie od tańca i dymu, pomyślała.

Hubert wpatrywał się w nią przez chwilę. Poczwała rozkoszne ciepło w całym ciele.

- Jesteś piękna - szepnął. - Wiesz o tym?

Zarumieniła się gwałtownie. Jak to dobrze, że w sali było ciemnawo. Przynajmniej Hubert nie widział jej rumieńców.

- Zawstydzilem cię? - zapytał cicho.

- Tak - szepnęła.

Uśmiechnął się, a potem jego spojrzenie zatrzymało się na piersiach Héléne. Zmusiła się, by nie patrzeć na swój biust. Co się stało, zastanawiała się gorączkowo. Sukienka jest rozdarta? A może zachlapała się szampanem? Co u licha? Nagle domyśliła się, o co mu chodzi, gwałtownie odepchnęła krzesło i chwiejnie wstała.

- Może... lepiej zatańczmy - powiedziała zmienionym głosem.

Hubert wyczuł zmieszanie Héléne i poszedł za nią na parkiet. Przez chwilę stała, patrząc na swoje stopy. Miała wrażenie, że są dziwnie lekkie, tak jakby ulatywała w powietrze.

Z gramofonu popłynęła wolna melodia.

Héléne objęła Huberta, a on ją przytulił. Powoli zaczęli się poruszać zgodnie z rytmem muzyki. Dziewczyna zamknęła oczy. Na parkiecie Hubert nie patrzył na nią z pożądaniem i nie mówił rzeczy, które ją zawstydzaly. Prowadził ją z wdziękiem w takt muzyki, czuła jego mocne mięśnie, jego męski zapach ją oszalał.

Hubert przesunął dłoń i przycisnął Héléne mocniej do siebie. Wzięła głęboki oddech. Znajomy rozkoszny ból narastał w głębi jej ciała. W popłochu usiłowała go opanować, ale im bardziej się starała, tym stawał się silniejszy i bardziej natarczywy. Nagle poczuła dziwną wilgoć między udami.

Hubert pochylił głowę, a jego wargi niemal dotknęły ucha dziewczyny.

- Chcę się z tobą kochać - wyszeptał żarliwie.

Powoli otworzyła oczy i spojrzała na niego oszołomiona.

- Chyba się upiłam.

- Nic nie szkodzi - odrzekł szybko. - To nie zmienia moich uczuć do ciebie.

Spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek.

- A co do mnie czujesz? - zapytała łagodnie.

- Pragnę cię.

Nagle poczuła ogromne rozczarowanie.

- Czy to wszystko?

Hubert westchnął i przycisnął twarz Héléne do piersi.

Nie widziała, jak wykrzywił ironicznie usta. W jego głosie zabrzmiało znużenie, ale do niej to nie dotarło. Usłyszała jedynie słowa, które chciała usłyszeć.

- Kocham cię - szepnął.

Rozdział 12

Z hałaśliwego baru wyszli w ciszę księżycowej nocy. Powietrze było chłodne i czyste po dusznej, wypełnionej dymem piwnicy. Héléne odetchnęła głęboko i oparła głowę na ramieniu Huberta. Ich buty stukały głośno po brukowanej ulicy.

Pomógł dziewczynie wsiąść, zatrzasnął drzwi samochodu i usiadł za kierownicą. W świetle księżycy jego twarz wydawała się blada. Héléne cofnęła się aż pod drzwi. Nagle Hubert pochylił się ku niej i wziął ją w ramiona. Pocałował ją namiętnie, a Héléne objęła go mocno.

Powoli odsunął się i włączył silnik.

- Dokąd jedziemy? - spytała cicho.

- Do hotelu.

Héléne pogładziła go po ramieniu.

- Nie do hotelu, Hubercie - wyszeptała. - Znajdź jakieś romantyczne miejsce.

Uderzył dłońmi w kierownicę, zastanawiając się szybko. Potem mruknął coś, włączył światła i zmienił bieg.

- Znam takie miejsce.

- Gdzie to jest? - szepnęła.

- Zaraz zobaczysz - odrzekł z czułym uśmiechem.

Ulice były puste, więc jechali szybko. Znaki odblaskowe na poboczach chwytały światło reflektorów i uciekały w tył.

W niecałe półgodziny dotarli do Loustalot-de Léger.

Z daleka zamek wyglądał jak zawieszony na ciemnym niebie czarny cień. Jak na zamówienie księżyc przedarł się przez chmury i rozjaśnił bladym magicznym blaskiem mury, średniowieczne wieżyczki oraz późniejsze, bardziej delikatne renesansowe ornamenty. Fosa wyglądała jak srebrna wstęga. Hélène wpatrywała się w zamek jak urzeczona.

- Czy jest wystarczająco romantyczny? - zapytał Hubert.

- Tak - odrzekła z zachwytem. - Jest piękny.

Hubert poprowadził samochód wąską drogą przecinającą winnicę i wreszcie dotarli do parkingu obok fosy. Z tego miejsca widać było jedynie średniowieczne mury. W świetle księżyca blanki i wieżyczki wydawały się potężne i nie do zdobycia.

Hubert objął Héléne i poprowadził przez długi kamienny most.

- Co będzie, jeżeli ktoś nas zobaczy? - wyszeptala, patrząc na niego z obawą.

Roześmiał się, a jego białe zęby błysnęły w świetle księżyca.

- Nie martw się - powiedział. - Jestem przecież właścicielem, a nie złodziejem.

Zresztą mamy tu niewielu służących. Nawet się nie pokażą. Wiedzą, że wchodzę i wychodzę o różnych porach.

Nagle zeszywniała.

- Z... kobietami? - zapytała cicho.

Co za głupie pytanie, ofuknęła się w myślach. Kogo próbowała oszukać?

Oczywiście, że Hubert przyjeżdżał tu z innymi kobietami! Jak go nazwała pani Dupré? Kobięciarzem. Héléne poczuła się nagle tak, jakby z jej oczu opadła zasłona. Zanim Hubert zdążył odpowiedzieć, dziewczyna wyprostowała się z godnością.

- Odwieź mnie z powrotem - zażądała stanowczym tonem. - Do Hautecloque.

Wracali w milczeniu. Hubert z wściekłością naciskał gaz do oporu. Hélène bała się cokolwiek powiedzieć. Bała się go prosić, by zwolnił. Siedziała blada i wpatrywała się w ciemne, uciekające do tyłu rzędy winorośli.

Rozbijemy się, myślała, przyciskając dłoń do piersi, a drugą ręką trzymając się kurczowo uchwytu przy drzwiach. Zaraz zginiemy oboje.

Kiedy w końcu samochód zatrzymał się przed marmurowymi schodami, spojrzała na Huberta z zawahaniem. Chciała coś powiedzieć - błagać, by się na nią nie gniewał, wyjaśniać coś. Była jednak zbyt zażenowana. Szarpała się chwilę z klamką (tym razem Hubert nie potraktował jej jak damy i nie wyszedł z auta), wysiadła i trzasnęła drzwiami. Nie zamknęły się i musiała popchnąć je mocniej. Hubert włączył silnik, zawrócił i odjechał. Z powrotem do Saint-Médard? - zastanawiała się Hélène. Do Chez Gaston? Do kobiety, którą już miał i która powita go chętna i stęskniona?

Spojrzała na białe marmurowe schody. Nagle wydały jej się zbyt wyniosłe, zimne i arystokratyczne. Zadrzała.

Szybko okrążyła zamek i weszła kuchennymi drzwiami.

Była wściekła na Huberta. Im więcej o nim myślała, tym większa ogarniała ją złość. Upił ją szampanem, prawdopodobnie podejrzewając, że nie przywykła do alkoholu. A potem chciał ją zaciągnąć do łóżka.

Lecz jeszcze bardziej była wściekła na siebie. Jak mogła się nie domyślić, dlaczego zabrał ją na przejażdżkę, myślała ze wstydem.

Nie widziała więcej Huberta ani on nie próbował jej szukać. Ich znajomość się skończyła. Było tak, jak uprzedzała pani Dupré: nie chciał, by go znaleziono, więc nie zamierzał dać się znaleźć. A może to Hélène nie chciała? Tak czy inaczej mieli niewiele okazji, żeby się spotkać. On mieszkał w reprezentacyjnej części zamku, ona w pomieszczeniach dla służby. Większość dni spędzała, pracując w szwalni, i starała się nie wychodzić do parku. Tylko kilkakrotnie dała się namówić na spacer pani Dupré. Nigdy nie opowiedziała swojej pracodawczyni, co zaszło, a jej mentorka była wystarczająco taktowna, żeby nie poruszać tego tematu.

Zbliżał się dzień balu. Hélène już o nim nie marzyła, prawdę mówiąc, wolałaby nawet nie przebywać tego wieczoru w zamku. Wszystko z powodu nieporozumienia z Hubertem, jak to określała. A bal będzie jej boleśnie przypominać całą tę sprawę.

Dzień przed balem pani Dupré zawiadomiła hrabinę, że praca została ukończona. Mimo panującego w pałacu zamieszania służący przyniósł odpowiedź, że *comtesse* przyjdzie za pół godziny.

- Z pewnością zechce przymierzyć każdy strój - mówiła *madame*. - Miejmy nadzieję, że będzie zadowolona.

Hélène spojrzała na nią niepewnie.

- Nie czuję się dobrze - wymamrotała. - Czy mogłabym odejść?

Pani Dupré zmarszczyła brwi.

- Usiądź - poleciła, wskazując jedno z krzeseł. Hélène usiadła i spojrzała nerwowo na swoją pracodawczynię.

Madame zmrużyła oczy.

- Nie wiem, co zaszło czy nie zaszło między tobą a Hubertem de Légerem - zaczęła - ale to sprawa między wami. Zakładam, że hrabina nie odegrała w tym żadnej roli? - Uniosła pytająco brwi.

Hélène milczała przez moment, a potem pokręciła głową.

- Nie - odrzekła w końcu.

- W takim razie uważam, że powinnaś zostać. Przecież pracowałaś bardzo ciężko i właściwie jesteś odpowiedzialna tak samo jak ja za nasz sukces czy też niepowodzenie. Jeżeli hrabina będzie chciała coś pochwalić albo skrytykować, powinnaś przy tym być.

- Ale ja... nie czuję się dobrze - zaprotestowała słabo Hélène.

Pani Dupré nie dała się przekonać.

- Wiem, że czujesz się świetnie - odparła stanowczo. - Nalegam, żebyś została.

Przygnębiona Hélène pochyliła głowę.

Hrabina przyszła punktualnie; dokładnie pół godziny później rozległo się pukanie. Lokaj otworzył drzwi i pojawiła się pani de Léger.

Miała na sobie powiewny orientalny kaftan. Siwiejące, starannie ułożone włosy połyskiwały jak srebrny haft na rękawach.

Pani Dupré rzuciła szybkie spojrzenie na Hélène i obie grzecznie dygnęły. Służący wycofał się i zamknął drzwi. Hrabina przeszła przez pokój i stanęła za parawanem, a krawcowa podawała jej uszyte stroje. Każda rzecz wisiała na pokrytym satyną wieszaku. Rękawy były starannie wypchane bibułą, grzbiety wieszaków również były pokryte bibułą, żeby kołnierze dobrze się układały.

Najpierw pani Dupré przyniosła kopię jasnożółtego kostiumu Chanel. Potem były jeszcze dwa takie komplety - jeden błękitny, a drugi tweedowy. Następnie błyszcząca czerwona suknia według projektu Elisy Schiaparelli i dwie Balenciagi - jedna biała, druga czarna. Wreszcie trzy modele Givenchy'ego: dwa kostiumy i sukienka w kolorach ziemi.

Każda rzecz pasowała idealnie. Pani Dupré patrzyła na swoje dzieło z satysfakcją. Nawet profesjonalne oko miałoby trudności z odróżnieniem kopii od oryginału.

Comtesse stawiała raz po raz przed trójdzielnym lustrem. Uważnie przyglądała się sobie z każdej strony, unosiła ramiona, obracała się powoli. W końcu, po przymierzeniu ostatniego modelu Givenchy'ego z aprobatą kiwnęła głową.

- Dobra robota, *madame* - pochwaliła panią Dupré. Krawcowa wyglądała na zadowoloną.

- To była przyjemność, pani hrabino - odrzekła skromnie.

Pani de Léger kiwnęła głową i weszła za parawan. Kiedy znów się pojawiła w orientalnym kaftanie, powiedziała:

- Lise zabierze ubrania za kilka minut. Pani Dupré przytaknęła.

Hrabina spojrzała teraz na Hélène.

- Miałam nadzieję, że będziemy się częściej widywać, *mademoiselle* - odezwała się z wyrzutem.

Hélène oblała się pąsem.

- *Oui, comtesse* - wymamrotała. - Ja też miałam taką nadzieję.

- Przypominam sobie, że mój syn zaprosił cię na jutrzejszy bal. Przyjdiesz?

Pani Dupré aż się zakrztusiła z wrażenia. To dopiero nowina! Szybko spojrzała na Hélène. Dziewczyna nie objawiała żadnych uczuć; fiołkowe oczy miały barwę przydymionego ametystu.

- Obawiam się, że nie mogę przyjąć tego uprzejmego zaproszenia, hrabino - powiedziała grzecznie. - Mam nadzieję, że mi pani wybaczy.

Pani Dupré zabrakło tchu, a hrabina spojrzała zaskoczona na tę, która śmiała jej odmówić.

- Ależ to niemożliwe! Mój syn bardzo się zmartwi, jeśli się nie pojawisz. Prosił, bym powiedziała ci osobiście, że będzie czekał na ciebie w salonie jutro o ósmej wieczorem.

Serce Hélène zabiło mocniej. Hubert rzeczywiście tak powiedział? pytała się w duchu. Czy to możliwe, że chciał się z nią spotkać? Nie jest już na nią zły? Z radości czuła się lekka jak piórko. Ale nie mogę iść na bal, pomyślała w popłochu. Nie miała w co się ubrać. Musi znaleźć jakieś usprawiedliwienie.

- Przykro mi - rzekła. - Myślałam, że on... ja... - Spojrzała bezradnie na panią Dupré, błagając o pomoc. *Madame* prawie niedostrzegalnie pokręciła głową.

Hrabina wyciągnęła dłoń, uniosła podbródek Hélène i odwróciła jej twarz ku sobie.

- Nie wiem, czy jesteś bardzo głupia, czy bardzo mądra, *mademoiselle* - powiedziała. - Mój syn był niezwykle poruszony twoim zachowaniem.

- Ja... przepraszam.

- Nie masz za co. Właściwie jesteś pierwszą kobietą, która ośmieliła się czegoś mu odmówić. - W ciemnych oczach hrabiny zabłyśły iskierki rozbawienia. - Był bardzo urażony, ale co dziwne, szanuje cię za to. I ja również. - Uśmiechnęła się. - Będzie w Okrągłym Salonie o ósmej.

- Przykro mi, pani hrabino - Hélène bezradnie rozłożyła ręce. - Nie sądziłam, że będę mile widziana na balu, nie przygotowałam sobie żadnej... - spuściła wzrok - ...sukni.

Hrabina w zamyśleniu zmarszczyła brwi. Potem spojrzała na panią Dupré.

- Czy mogłaby pani szybko coś dla niej uszyć? Pani Dupré pochyliła głowę.

- Oczywiście, pani hrabino. Ale nie mam materiału.

- Coś chyba jeszcze zostało w szafie, czyż nie? - Hrabina wskazała wymanikiowanym palcem tkaniny.

- *Oui, comtesse*. Ale głównie bardzo drogie jasne jedwabie.

Pani de Léger lekceważąco machnęła ręką.

- Niech pani weźmie, ile trzeba, ale proszę uszyć coś pięknego. Dostanie pani dodatkowe wynagrodzenie.

- *Oui, comtesse.* - *Madame Dupré* przyszedł nagle do głowy jakiś pomysł. - Wiem, że proszę o zbyt wiele, ale cieplarnie...

- Tak? - Hrabina spojrzała na nią pytająco.

- Trochę kwiatów. Do ozdobienia sukni. Czy mogłabym poprosić ogrodnika o dostarczenie ich?

- Świeże kwiaty do sukni? - *Comtesse* zmarszczyła brwi. - To nieco zaskakujące. Ale jeżeli pani uważa, że będzie to piękne, proszę wziąć tyle kwiatów, ile pani potrzeba,

- Dziękuję, pani hrabino.

Pani de Léger ruszyła w kierunku drzwi. *Hélène* i *madame Dupré* dygnęły. Nagle hrabina odwróciła się i spojrzała na *Hélène*.

- Zatem do jutra do ósmej. W Okrągłym Salonie. Drzwi się za nią zamknęły.

Hélène westchnęła i opadła na krzesło.

- I co ja teraz zrobię? - jęknęła.

Pani Dupré spojrzała na nią podekscytowana.

- Wiem, co ja teraz zrobię. Zamierzam wymyślić i uszyć suknię swojego życia! - Oczy jej zabłyśły z podniecenia. Gwałtownie machnęła dłońmi. - Szybko, rozbieraj się! Muszę cię natychmiast wymierzyć. Nie ma czasu do stracenia!

Pani Dupré nie jadła obiadu ani kolacji.

- Nie mam czasu! - krzyczała. - Będę szyć całą noc!

Hélène również ogarnęło podniecenie, kiedy patrzyła, jak jej pracodawczyni atakuje nożycami belę jedwabiu. Materiał rozdzielał się gładko. *Hélène* ostrożnie przesunęła dłoń po jedwabiu. Był miękki, biały i delikatny. Błyszczał i migotał jak śnieg w promieniach słońca.

Pani Dupré oczami wyobraźni widziała już rezultat swoich wysiłków. Kroić i szyć bez formy, z szybkością i pasją, jakiej *Hélène* nigdy wcześniej u niej nie widziała. Tworzyła kreację absolutnie oryginalną, nowatorską. Nie miała być naśladownictwem Givenchy'ego, Balenciagi, Odile Joly czy Diora.

W miarę upływu godzin suknia powoli nabierała kształtu. Dziewczyna mogła już dojrzeć prostokątny, głęboki dekolt i mocno przymarszczoną spódnicę. Nie było rękawów, góra miała się trzymać na szerokich ramiączkach. Od czasu do czasu pani Dupré przykładała do Héléne kawałki jedwabiu. Potem cofała się z ustami pełnymi szpilek i ze zmarszczonymi brwiami oceniała swoje dzieło. Tu robiła zakładkę, tam rysowała coś kredką, a potem całość wracała na pokryty papierem stół.

Szyła wszystko w ręku. Héléne była zdumiona. Wydawało się, że igła w palcach *madame* śmiga szybciej niż w maszynie.

Około północy Héléne nie mogła opanować znużenia i zasnęła na krześle. Pani Dupré spojrzała na nią z uśmiechem. Dziewczyna miała nogi wyprostowane, stopy skrzyżowane, dłonie położyła na kolanach. Głowa opadła jej na ramię, a czarne włosy przykryły twarz. Ach, nie masz to jak sen młodości, pomyślała pani Dupré. Taki bez troski i odświeżający. Cóż, Héléne potrzebuje odpoczynku. Bal będzie trwał całą noc.

Kiedy nadszedł ranek, pani Dupré nadal pracowała, i co najważniejsze, wcale nie czuła zmęczenia. Twórcze podniecenie odsunęło potrzebę snu.

Héléne obudziła się nagle. Otworzyła oczy i coś wymamrotała. Ziewnęła głośno i przetrzała palcami powieki. Przez wielkie okna do pokoju zaglądało słońce. Spojrzała zdumiona na panią Dupré.

- Ależ... jest już dzień!

Madame uśmiechnęła się do niej.

- Tak, i mamy piękny poranek.

Héléne aż się zachłysnęła, gdy zobaczyła leżącą na stole suknię. Podniosła się powoli i podeszła bliżej. Jej balowa kreacja wyglądała na skończoną. Słońce podkreślało biel; jedwab błyszczał i odbijał światło. Patrząc na nią, dziewczyna musiała zmrużyć oczy.

- Jaka piękna! - westchnęła.

Pani Dupré rzuciła jej zagadkowe spojrzenie.

- Będzie, ale za parę godzin. Dobrze spałaś? Héléne kiwnęła głową i przeciągnęła się mocno. Zesztywniała od spania na krześle.

- Tak, całkiem nieźle. Ale pani nie zmrużyła oka!

- Prześlę się, jak już skończę twoją suknię. Teraz chcę, żebyś ją szybko przymierzyła, zanim wrócę do pracy. Pamiętaj, żebyś dziś zjadła tylko lekkie śniadanie i skromny obiad. Im bardziej będziesz głodna, tym lepiej będziesz wyglądać. Musimy pokazać, że jesteś szczupła i zgrabna.

Hélène przytaknęła.

- I muszę się wykapać, umyć włosy, coś z nimi zrobić...

- Nie rób nic, tylko je umyj i wysusz! - poleciła pani Dupré.

- Dlaczego?

Jej pracodawczyni uśmiechnęła się tajemniczo i wstała.

- Zobaczysz. Teraz stań tutaj, zrobimy przymiarke.

Hélène rozebrała się szybko, a *madame* pomogła jej włożyć suknię. Głęboko wycięty stanik był obcisły i dziewczyna zauważyła, że wypychał jej małe sprężyste piersi do przodu, sprawiając, że wydawały się większe i okrągłe niż w rzeczywistości. Spódnica była szeroka i powiewna - metry miękkiego, przymarszczonego jedwabiu falującego jak mgła. Ucieszona Hélène podeszła do lustra i zrobiła obrót. Dostrzegła w przelocie swoje odbicie. Suknia jakby płynęła wokół jej nóg. Usłyszała delikatny szum jedwabiu.

- Jest... jest cudowna! - zawołała.

Obróciła się jeszcze raz i nagle rozpacz starła zachwyty z jej twarzy. Ramiona dziewczyny nagle opadły. Zobaczyła swoje buty. Te, które wzięła ze sobą, z pewnością nie nadawały się do takiej sukni. Serce jej się ścisnęło.

- O co chodzi? - zapytała pani Dupré, natychmiast zauważając przygnębienie Hélène.

Jej podopieczna bez słowa uniosła spódnice i pokazała swoje buty.

Pani Dupré uśmiechnęła się ze spokojem.

- Już o tym pomyślałam.

Hélène ożywiła się na nowo. Zaczęła poruszać się przed lustrem, obserwując fałdy unoszącego się i opadającego jedwabiu. Suknia jak gdyby żyła własnym życiem.

- Pomyślała pani o butach? - Odwróciła się do pani Dupré.

- Uszyję ci jedwabne pantofelki na miękkich, skórzanych podszwach. Na kostkach zwiążemy je białymi jedwabnymi kokardami, tak jak pantofle baletnic.

Rozpromieniona Hélène uściskała swoją mentorkę.

- Jest pani genialna! - zawołała radośnie.

Pani Dupré była zadowolona z efektu, ale nie okazała tego.

- Ostrożnie - burknęła. - Podrzesz suknię! Zdejmuj ją, ale już! Chcę skończyć na czas. Zostało niecałe dziewięć godzin do balu. - Pomogła Hélène się rozebrać. - Idź coś zjeść. Jak będziesz szła do łazienki, zajrzyj do mojej szafki nocnej. Mam tam trochę pachnących ziół do kąpieli. Wsyp garść do wanny.

Do czwartej po południu Hélène zakończyła przygotowania. Wykąpała się dwukrotnie i starannie umyła włosy. Kiedy wyschły, pani Dupré kazała jej zwinąć je jak najciaśniej wokół głowy i upiąć. Potem Hélène zeszła do szwalni.

Suknia była prawie gotowa. Dziewczyna stanęła, wpatrując się w nią jak urzeczona. Potrząsnęła niedowierzająco głową. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak cudownego. Leżała na stole, a pani Dupré zręcznie obszywała od spodu dół tasiemką. Nie było to tak naprawdę konieczne, ale obszycie stanowiło ostateczne luksusowe wykończenie. Hélène wiedziała, że mają je tylko najwytworniejsze kreacje i że zapobiega to strzępieniu się brzegów. Ta suknia nie miała być noszona tak długo, aby mogła się wystrzępić, ale Hélène rozumiała, że pani Dupré pragnie, by jej dzieło pod każdym względem dorównywało najdroższym strojom na balu.

- Już. Koniec. - *Madame* westchnęła z aprobatą i dół sukni opadł na blat stołu. - Przymierz ją raz jeszcze - powiedziała. - Muszę zobaczyć, czy nie trzeba jeszcze czegoś poprawić.

Hélène ostrożnie wsunęła na siebie suknię. Oczy jej błyszczały, nie śmiała głębiej odetchnąć. Kreacja pani Dupré była naprawdę wspaniała. Jej prostota stanowiła styl sam w sobie. Krawcowa odstąpiła krok w tył, by ocenić efekt, i pokiwała głową usatysfakcjonowana.

- Jest piękniejsza niż wszystko, co kiedykolwiek widziałam w „Vogue'u” - rzekła Hélène ochryłym głosem.

Pani Dupré przytaknęła.

- Leży doskonale. Dzięki Bogu, nie potrzeba żadnych poprawek. Wyskakuj z niej i powieś ją na którymś z wieszaków. Uszyję pantofle. A ty pójdziesz do ogrodnika. Powiedz mu, żeby przyniósł nam niezwłocznie olbrzymi bukiet jaśminu. Hrabina pozwoliła.

Hélène zmarszczyła brwi. Zupełnie zapomniała o kwiatkach. Zastanawiała się, do czego, u licha, mogą być potrzebne.

O siódmej trzydzieści zaczęła się ubierać. Pani Dupré trzęsła się nad nią i gdakała jak kwoka. Najpierw pantofelki. Hélène wsunęła je i zawiązała jedwabne wstążki na kostkach. Spróbowała przejść się po pokoju. Czuła się, jakby płynęła w powietrzu. Pozwalały jej poruszać się z wdziękiem, którego nie miała wcześniej. Potem suknia. Wreszcie pani Dupré sięgnęła po jedwabny turban, który uszyła z tego samego materiału, i osłoniła nim włosy Hélène. Obejmował ciasno jej głowę, podkreślając owal twarzy i wysokie czoło.

Potem nastąpiło ukoronowanie dzieła - kwiaty. Pani Dupré podniosła delikatne, puszyste boa z paczków jaśminu naszytych na jedwab. Udrapowała je zręcznie wokół ramion Hélène. Potem wzięła igłę i ostrożnie przyszyła boa do stanika.

Dziewczyna spojrzała w lustro i westchnęła. Była to suknia jak z bajki.

Żywe, przypominające koronkę kwiaty były dużo bardziej eleganckie niż jakakolwiek biżuteria.

Madame zerknęła na zegarek. Brakowało pięciu minut do ósmej. Odsunęła się w tył i uśmiechnęła z satysfakcją. Wiedziała, że po raz pierwszy w życiu stworzyła arcydzieło. Arcydzieło, które nie było kopią, ale jej własnym pomysłem. Nagle poczuła się zmęczona. Wkrótce odpoczne, pocieszyła się w myślach.

- Wyglądasz pięknie! - powiedziała z dumą do Hélène. Oczy dziewczyny były wilgotne od łez.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się pani za to odwdziżyć.

Pani Dupré zmrużyła oczy i odezwała się szorstko:

- Otrzyj łzy! Nie chcesz mieć zapuchniętych, czerwonych powiek, prawda?

Dziewczyna gwałtownie potrząsnęła głową.

- Baw się dobrze. - *Madame* wzięła ją za rękę i mocno uściśniła.

A potem rozległo się pukanie do drzwi. Lokaj w czerwonej odświętnej liberii przyszedł, by zaprowadzić Hélène na dół.

Goście już przybywali. Kiedy Hélène schodziła po rzeźbionej kamiennej klatce schodowej za służącym, mogła słyszeć orkiestrę grającą gdzieś w głębi zamku. Próbowała nie okazywać po sobie zdenerwowania. Delikatnie uniosła dół sukni, żeby się nie potknąć. Ujrzała w przelocie swoje odbicie w lustrze zdobionym filar i z wrażenia aż zabrakło jej tchu. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to naprawdę ona tak wygląda.

Kilkoro gości tłoczyło się przy schodach - mężczyźni w smokingach szytych na miarę, kobiety w kosztownych sukniach i wspaniałej biżuterii. Oczy Hélène uchwyciły iskry rzucane przez diamentowe kolczyki i błyski podobnych do pajęczych sieci kolii z brylantów i szmaragdów, głębokie, ogniste lśnienie rubinów, chłodny, księżycowy blask szafirów. Dostrzegła wyraz twarzy gości, którzy spoglądali na nią z zainteresowaniem. Wszyscy byli oszołomieni.

Rozsunęli się, aby mogła przejść, a lokaj zaprowadził ją do salonu. Hrabia i hrabina stali w otwartych drzwiach i witali gości. W odległym krańcu Hélène dostrzegła Huberta, który chodził niecierpliwie tam i z powrotem, spoglądając na złoty zegarek kieszonkowy. Zamknął go nagle szybkim ruchem. Był bardzo przystojny w czarnym nieskazitelnym smokingu, białej jedwabnej koszuli i muszce.

Nagle wszelkie rozmowy wokoło ucichły. Przez moment Hélène zastanawiała się dlaczego. Potem zrozumiała. Czowała na sobie oczy wszystkich.

Przez chwilę wahała się, potem zgrabnie dygnęła przed hrabią i hrabiną. Kiedy się wyprostowała, stał obok niej Hubert.

Hrabina uśmiechnęła się do Hélène.

- To wyjątkowa suknia - szepnęła. - Wyglądasz uroczo, a pani Dupré jest genialna. Musisz jej to przekazać.

- Dziękuję, *comtesse*. Zrobię to.

Hrabia posłał jej uśmiech; w jego niebieskich oczach dostrzegła rosnące zainteresowanie. Potem Hubert wziął ją pod rękę. Zatrzymał się przy nich lokaj niosący srebrną tacę wypełnioną kieliszkami szampana. Hélène wzięła jeden. Piła bardzo wolno,

patrząc na Huberta. Zdecydowała, że nie wolno jej wypić więcej niż dwa kieliszki przez całą noc. Nie będzie wtedy miała żadnych kłopotów.

- Kim ona jest? - Usłyszała pytanie młodej kobiety w morelowej sukni od Diora.

- Nie wiem, *chérie* - odpowiedziała jej starsza towarzyszka. - Ale zamierzam się dowiedzieć, od kogo jest ta suknia.

Hubert uśmiechnął się do Hélène.

- Stałaś się sensacją. Nie miałem pojęcia, że z ciebie taka piękność.

Oddała mu uśmiech szczerze uradowana.

- Chciałabyś przejść do sali balowej? - zapytał, a Hélène kiwnęła głową.

Ujął ją pod ramię i poprowadził przez hol. Westchnęła ze zdumienia. Ustawiono tu przykryte białymi obrusami stoły pełne przekąsek: krewetek, ostryg i maleńkich jajek przepiórczych ułożonych na irańskim kawiorze. Była tam obfitość wykwintnych przystawek artystycznie ułożonych wokół połyskującej lodowej rzeźby. Prawdopodobnie wyobrażała ona lwa i salamandrę trzymające herb de Légerów.

Hélène była jeszcze bardziej olśniona, kiedy weszli do sali balowej. Przez chwilę stała i patrzyła. Nigdy wcześniej nie widziała tak imponującego wnętrza. Sala była olbrzymia, z wysokim sufitem i kolumnami. Pod ścianami stały palmy przyniesione z oranżerii. W kryształowych kandelabrach błyszcząły setki smukłych białych świec, a ich płomyki tańczyły i migotały. Na małej scenie orkiestra grała walce.

- Chciałabyś zatańczyć? - zapytał Hubert, wykonując uroczysty ukłon.

Hélène spojrzała na lśniący parkiet. Było jeszcze wcześniej.

Nikt nie tańczył. Hélène skinęła głową, oddała szampana przechodzącemu lokajowi i pozwoliła, by Hubert wziął ją pod rękę. W milczeniu poprowadził dziewczynę przez salę. Jej suknia szeleściła i połyskiwała jak delikatna biała mgła, a kwiaty przypominały setki zamrożonych płatków śniegu.

Skończył się walc i natychmiast rozpoczął się następny.

Wirowało teraz obok nich kilka innych par. Jeden walc przechodził w drugi. I następny. I kolejny. Hélène nie miała pojęcia, jak długo tańczyli.

- Chciałabym chwilę odpocząć - powiedziała wreszcie.

Hubert objął ją ramieniem i poprowadził daleko od wirujących gości. Zobaczyła, że hrabia i hrabina stoją teraz w sali balowej. Pewnie już wszyscy goście przyjechali, pomyślała Hélène.

Hrabia kiwnął lekko głową synowi i posłał jej uśmiech. Poczula na sobie jego uważny wzrok. Zarumieniła się.

- Czy zrobi mi pani zaszczyt i zatańczy ze mną ten taniec? - zapytał, stając przy nich.

Potem poczula jego dłoń na plecach. Drgnęła. Cokolwiek czuła, będąc z Hubertem, okazało się niczym w porównaniu z potężną falą, która teraz przepłynęła przez jej ciało. Czy będzie tak zawsze, gdy jakiś mężczyzna mnie dotknie, zastanawiała się w popłochu.

- Wygląda pani uroczo - rzekł hrabia, kiedy wirowali na parkiecie. - Czy wolno mi pochwalić suknię?

- Dziękuję - odrzekła grzecznie. - Jest pan bardzo uprzejmy, panie hrabio.

- Lepiej pani w bieli niż w czerni - oznajmił. - Powinna pani zawsze ubierać się na biało.

Jej serce zatrzepotało gwałtownie, kiedy na niego spojrzała. Pamiętał, co miała na sobie podczas obiadu całe tygodnie temu! Czy to możliwe? Przecież nie zamienili ze sobą nawet dwóch zdań. Ledwie na nią wtedy spojrzał.

Kiedy taniec się skończył, hrabia odprowadził ją do Huberta. Hrabina uśmiechnęła się. Hélène zauważyła jej wspaniałe kolczyki. Były ze złota i wyglądały na bardzo stare. Wygrawerowano na nich salamandrę, lwa i herb de Légerów. Hélène zdawała sobie sprawę z tego, że *comtesse* musi posiadać wspaniałą biżuterię, ale ponieważ dziś włożyła tylko te kolczyki, musiały być one z pewnością bardzo cenne.

- Moja droga hrabino - rozległ się kobiecy głos z tyłu. Wszyscy się odwrócili.

- Ależ, baronowo, jak miło, że pani przyszała - odezwała się hrabina słodkim głosem.

- Niepokoiłam się, że coś pani przeszkodziło.

Kobieta roześmiała się głośno i skrzekliwie.

- Zawsze się spóźniam.

Hélène wpatrywała się w baronową. Była w średnim wieku, miała rude włosy i bystre oczy. Nosila suknię od Balmaina ze szkarłatnego atłasu i naszyjnik z wielkich

rubinów. Po jednej stronie przybyłej stał pochyłony stary siwowłosy mężczyzna, po drugiej piękna młoda kobieta w zieleni. Młoda dama miała szmaragdowy naszyjnik i kolczyki. Spoglądała na gości z chłodną pewnością siebie.

Hélène zastanawiała się, czy ta ruda kobieta to baronowa de Savonnières. Spojrzała na zimną piękność u jej boku. Czyżby to była owa Mirielle? Czy to o nich plotkowała hrabina podczas obiadu?

Pani de Léger uśmiechnęła się i przedstawiła Hélène. Więc to jednak były baronowa de Savonnières i Mirielle. A stary mężczyzna to baron.

Mirielle spojrzała na Huberta z wyrzutem i dotknęła jego ramienia.

- Nie widziałam cię od wieków - powiedziała głosem pełnym wyrzutu.

Uśmiechnął się do niej z przymusem.

- Obawiam się, że byłem ostatnio bardzo zajęty. Muszę przeprosić za zaniechanie.

Oczy baronowej rozbłysły i uśmiechnęła się jak rekin, ukazując długie i ostre zęby.

- Nie poprosisz Mirielle do tańca? - spytała zachęcającym tonem.

Hubert, widząc, że został przyparty do muru, ukłonił się Hélène.

- Przepraszam na kilka minut - powiedział. Wziął Mirielle pod ramię i poprowadził na parkiet.

- Czarująca para, nieprawdaż? - zachwyciła się baronowa, patrząc, jak szli.

Hrabina bez słowa kiwnęła głową. Gładko zmieniła temat i wciągnęła do rozmowy Hélène. Po jednym tańcu Hubert i Mirielle wrócili.

- Cóż to? - zapytała baronowa z nieukrywaną irytacją. - Tylko jeden walc? Nie mów mi, że już nie lubisz tańczyć! - Rzuciła Hubertowi spojrzenie pełne dezaprobaty.

Uśmiechnął się grzecznie i wskazał na Hélène.

- Zaprosiłem na bal *mademoiselle* Junot. Myślę, że jest moim obowiązkiem poświęcić jej trochę uwagi. - Zanim baronowa zdążyła odpowiedzieć, zwrócił się do Hélène. - Czy mogę prosić?

Nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok jadowitego spojrzenia Mirielle, gdy zaczęli tańczyć.

- Kto to jest? - zapytała baronowa ze złością, spoglądając na dziewczynę.

- Przyjaciółka rodziny - odpowiedziała hrabina wymijająco. - Czarująca młoda dama.

- Tak... - Baronowa zamilkła, rozglądając się uważnie po sali. - Chodź, Mirielle. Widzę tam Rothschildów... - Wskazała palcem grupę gości w oddali i natychmiast do nich pospieszyły; stary baron człapał za nimi z tyłu. Rothschildowie zauważyli ją jednak i uciekli na parkiet, tańcząc w przeciwnym kierunku.

- Cóż za okropna kobieta - odezwał się hrabia, kiedy baronowa odeszła. - Nie rozumiem, dlaczego wszyscy zawsze ją zapraszają.

Jego żona uśmiechnęła się chytrze.

- Żeby dodać smaczku przyjęciu oczywiście. Ludzie lubią napięcie, a ona go dostarcza. - Spojrzała na parkiet z satysfakcją. Do tej pory bal był olbrzymim sukcesem. Zerknęła przelotnie na Hélène.

- Hubert i ta dziewczyna świetnie razem wyglądają, nie uważasz?

Hrabia przytaknął.

- Rzeczywiście - powiedział powoli. - Jest bardzo piękna. I dobrze tańczy.

- Tak - odrzekła hrabina z westchnieniem. - Szkoda, że nie ma tytułu. - Spojrzała na męża. - Cóż, Philippe, nie zamierzasz poprosić mnie do tańca?

Odwrócił wzrok od tańczącej pary.

- Oczywiście. - Skłonił się z galanterią przed żoną. Tańcząc, od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenia na syna i Hélène. Tak, dziewczyna jest oszałamiająca, pomyślał ogarnięty nagłym pożądaniem. I porusza się lekko, jak anioł. W jakiś sposób uświadamia ci, że jest kobietą, a ty mężczyzną.

Hélène wyszła z balu o pierwszej.

- Dokąd to? - Hubert złapał ją za ramię.

Uśmiechnęła się smutno.

- Na górę. Jutro mamy przed sobą długą podróż. Powinnam odpocząć.

- A więc wyjeżdżasz?

Kiwnęła głową.

- Tak. Skończyłyśmy pracę.

- I nie chcesz zostać?

Spojrzała mu w oczy. Dostrzegła w nich cień smutku.

- Chciałabym zostać, ale nie mogę. Są rzeczy, które muszę zrobić.

- Jakie?

Przez chwilę milczała. Czy on kiedykolwiek zrozumie, co zamierzała zrobić? Jak mogła mu wyjaśnić, że jej cel to błyszczący kolorowy magazyn mody? Była pewna, że Hubert nigdy by nie zrozumiał jej potrzeby stworzenia czegoś od zera. Dla niego życie to wspaniałe przyjęcia, piękne kobiety, słodkie winogrona, szampan i konie.

- Muszę już iść, Hubercie - oświadczyła stanowczo.

- Przykro mi. - Spojrzał na nią posepnie. - Myślałem, że mnie kochasz - powiedział cicho.

Hélène popatrzyła na zatłoczony parkiet. Ujrzała pięknie ubrane pary poruszające się lekko w rytm muzyki, dostrzegła biżuterię zdobiącą eleganckie damy i ich piękne suknie. Widziała pewność siebie tych kobiet, ich dumne miny, klasę i zarozumiałość, które dawało tylko arystokratyczne urodzenie. Takiej kobiety potrzebuje Hubert, pomyślała. Wytwornej, pewnej siebie, kulturalnej i opanowanej. Takiej, która wie, jak prowadzić grzeczne rozmowy, jakie wina podawać do obiadu, których gości zaprosić, żeby przyjęcie się udało.

- Ja również myślałam, że cię Kocham - odrzekła miękko. - Ale nie jestem gotowa do miłości. I nie jestem odpowiednią kobietą dla ciebie.

Hubert chwycił ją za rękę.

- Możemy wziąć ślub! - zawołał z przejęciem. - Jestem przecież spadkobiercą tytułu. Zostałabyś kiedyś hrabiną! Moglibyśmy mieszkać w zamku Loustalot, dopóki moi rodzice żyją. Potem przeprowadzilibyśmy się tutaj. Z czasem mnie pokochasz.

Spojrzała na niego. Milczała przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Potem uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową.

- To by nam nie wyszło, Hubercie - powiedziała łagodnie. - Przepraszam.

Na poddaszu, gdzie mieściły się pokoiki służby, Hélène nie mogła już słyszeć muzyki. Pomimo że drzwi łączące jej izdebkę z sypialnią pani Dupré były zamknięte, dziewczyna zachowywała się bardzo cicho. Wiedziała, że jej mentorka musi być śmiertelnie zmęczona, i nie chciała jej budzić. Powoli zdjęła turban, zsunęła suknię i

powiesiła ją ostrożnie na wieszaku. Rano usunie kwiaty i spakuje swoją kreację. Szczęście Kopciuszka nie trwało długo; miała pięć pięknych, ekscytujących godzin. Teraz znowu jest szwaczką. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo czuje się zmęczona. Bolały ją nogi.

Usiadła na łóżku i rozwiązała pantofelki. Wreszcie miała czas, żeby zebrać myśli. Masując stopy, zastanawiała się, czy propozycja Huberta była poważna. Prawdopodobnie tak. Jednak aby małżeństwo było udane, potrzebne są dwie rzeczy: miłość i akceptacja rodziny. Hélène wiedziała, że nie kocha Huberta wystarczająco mocno, by zostać jego żoną. Nie była też pewna, czy on ją kocha. Może po prostu wziął namiętność za prawdziwe uczucie? A akceptacja rodziców? Ona nie miała rodziny, ale on tak. Czy hrabia i hrabina pozwoliliby synowi na małżeństwo ze szwaczką? Najprawdopodobniej nie.

Wstała i podeszła do okna. Pochyliła się, rozsunęła zasłony i wyjrzała. Noc była ciemna i mglista. W świetle latarni widziała limuzyny podjeżdżające pod marmurowe schody. Szoferzy otwierali drzwi. Goście wsiadali. Bal się kończył.

Dla wszystkich. Ale najbardziej dla Hélène.

Rozdział 13

Opowiadaj o wszystkim! - zawołała podniecona Jeanne, kiedy Hélène wróciła do Saint-Nazaire. - Widziałas hrabiego? Czy jego syn jest przystojny?

Hélène spojrzała na nią przez kuchenny stół i uśmiechnęła się słabo.

- Tak - odpowiedziała powoli. - Nawet bardzo przystojny.

- No i co, zakochałaś się w nim do szaleństwa?

To miał być dowcip, jednak Hélène się nie roześmiała. Pokręciła głową przecząco.

- Początkowo myślałam, że tak. Ale to on zakochał się we mnie.

Jeanne wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Czy to znaczy, że on...?

- Poprosił mnie o rękę - przyznała się Hélène.

- Nie mówisz poważnie! - Jeanne spojrzała na nią bacznie. - Mówisz poważnie... -

W jej głosie zabrzmiał podziw.

Hélène kiwnęła głową.

- Nie powiesz chyba, że mu odmówiłaś! - wykrzyknęła przyszła bratowa.
- Owszem - odrzekła Hélène z uśmiechem.
- Naprawdę? Opowiedz mi wszystko ze szczegółami!

Rozmawiały do późnej nocy. Hélène nie ukrywała niczego. Kiedy doszła do opisu balu, Jeanne pokręciła głową. Nie mogła wyobrazić sobie tego wszystkiego.

- Musisz zobaczyć moją suknię - dodała Hélène w zadumie. - Była najpiękniejsza. Oczy Jeanne zabłyśły.

- Nie mogę się już doczekać!

Nagle Hélène wychyliła się przez stół i chwyciła Jeanne za rękę.

- Wiesz co? Dam ci ją. Trzeba ją trochę dopasować, bo jesteś szczuplejsza ode mnie, ale będziesz miała wspaniałą suknię ślubną.

Jeanne pokręciła głową.

- Nie mogę jej wziąć - zaprotestowała. - Zbyt... zbyt wiele dla ciebie znaczy.

Hélène uśmiechnęła się serdecznie.

- Musisz ją przyjąć. Miałam zamiar sama uszyć dla ciebie suknię, ale ta jest po prostu idealna. Chcę, żebyś pięknie wyglądała. Poza tym raz się wychodzi za mąż, prawda? - przekonywała Jeanne. - A ty też chciałabyś pięknie wyglądać dla Edmonda, czyż nie?

- Tak, ale... może ci się jeszcze kiedyś przydać... Hélène zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nigdy już nie będę miała takiej okazji. Jeanne nie wydawała się przekonana.

- Kiedy wyjedziesz do Paryża... Hélène westchnęła.

- Do tego jeszcze daleko. Pani Dupré dała mi wprawdzie dużą premię i zaoszczędziłam już trochę pieniędzy, ale to nie wystarczy. Nie na Paryż. - Nagle twarz jej się rozpromieniła. - Jak się miewa Edmond?

- Przyjechał tylko na dwa dni - powiedziała Jeanne. - Uznał, że będziemy potrzebowali więcej pieniędzy i zamiast wziąć urlop, wrócił na morze. Myślę, że twoja ambicja pcha go do działania.

- Co masz na myśli?

Jeanne nagle przykryła usta dłonią.

- Och! Wygadałam się.

Hélène wbiła w nią wzrok.

- Powiedz wszystko - zażądała.

- Miałam ci nie mówić - opierała się Jeanne. - Edmond sam chciał to zrobić.

Hélène zachichotała.

- Skoro już mi tyle powiedziałaś, równie dobrze mogę usłyszeć resztę.

Jeanne zawahała się i pokręciła głową. Potem ściszyła głos.

- Oszczędzamy, żeby Edmond mógł się dalej uczyć. Hélène otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Nie spodziewała się takiej nowiny.

- Nauka... - powiedziała na głos. Edmond ma rację, pomyślała. Wykształcenie jest mu potrzebne.

W oczach Jeanne błyszczało uczucie, gdy mówiła dziwnie łagodnym głosem:

- Edmond chce od życia więcej, niż tylko być rybakiem, Hélène. Myśli o przyszłości. Chce zostać kimś. A kiedy będziemy mieli dzieci, też chcemy dla nich tego, co najlepsze. Więc myśli o studiach prawniczych. - Zrobiła pauzę. - Tak jak ty zdecydował, że aby czegoś dokonać, musimy wyjechać do Paryża.

- Paryż! - Oczy Hélène rozbłysły, a serce zaczęło uderzać mocniej. - To cudownie! - zawołała.

Jeanne kontynuowała jednym tchem:

- Wszystko przemyśleliśmy. Przez następne dwa lata będziemy oszczędzać. Potem tak szybko, jak tylko zdołamy, pojedziemy za tobą do stolicy. Podobno jest tam dużo pracy, więc chyba bez trudu zostanę kelnerką. Będę zarabiać, by pomóc mu ukończyć studia! - zakończyła, patrząc dumnie na przyszłą szwagierkę.

Jaka szkoda, że nie mamy już domu na Montmartrze, pomyślała Hélène z goryczą. Gdyby był nasz, ani ja, ani Edmond nie musielibyśmy teraz tak oszczędzać na wyjazd do Paryża. Ale zamiast wypowiedzieć na głos swoje żale, zapytała wesoło:

- Kiedy on wraca?

- W przyszły piątek. A ślub w sobotę. Tylko pomyśl, Edmond będzie miał cały tydzień urlopu!

Hélène klasnęła w ręce.

- Dobrze. Będzie czas na świętowanie.

Jeanne zmarszczyła brwi.

- Przecież ma być ślub. Czy myśleliście już o weselu? - zapytała Hélène.

Jeanne kiwnęła głową.

- Dobrze. Musimy urządzić uroczysty obiad i... dobry Boże! Jeszcze tyle pracy przed nami. Nie mamy czasu do stracenia! Musisz przyjść w niedzielę. Zaczę natychmiast poprawiać suknię! A jeżeli znajdę odpowiedni materiał, uszyję ci też welon.

Jeanne wpatrywała się w nią zaskoczona. Nagle zaczęła się śmiać.

Hélène przestała chodzić i spojrzała na nią.

- Co cię tak bawi?

- Jesteś taka przejęta, że można by pomyśleć, że to ty będziesz panną młodą.

Rozdział 14

Ślub wypadł wspaniale, a Jeanne była tak cudowną panną młodą, jaką pragnie być każda zakochana dziewczyna. Hélène westchnęła. To był cud, który zdarza się tylko raz w życiu, pomyślała. Edmond zdenerwowany i niespokojny jak każdy pan młody, czekał w kościele na swoją ukochaną, a potem połączyli się na zawsze. Teraz ceremonia się skończyła i Hélène zdała sobie sprawę z tego, że nadszedł jej czas - nie aby spotkać miłość, lecz by wreszcie wyruszyć do upragnionego Paryża i zrealizować marzenia. Była gotowa.

Ostrożnie przeszła przez szyny na peron trzeci. Edmond postawił u jej stóp walizkę. Hélène odwróciła się i spojrzała na niewielką grupkę tych, którzy jej dobrze życzyli. Jeanne, Edmond i pani Dupré. Jedyni przyjaciele, jakich kiedykolwiek miała. A teraz będzie sama. Łzy stanęły jej w oczach. Kiedy ich znowu zobaczę, zastanawiała się.

Słyszała już sapanie lokomotywy. Spojrzała na tory. W oddali pióropusz białego dymu uprzedzał, że zbliża się pociąg.

- Jedzie - wykrztusiła Jeanne.

Hélène wstrzymała oddech i pełna obawy kiwnęła głową.

Pani Dupré podała jej małą paczkę.

- Zrobiłam ci parę kanapek - powiedziała. Dziewczyna przyjęła je z wdzięcznością.

- Poczekaj, mam jeszcze coś. - Pani Dupré sięgnęła do książeczki

oszczędnościowej, wyjęła kopertę i wcisnęła ją Hélène w dłoń.

Dziewczyna spojrzała na nią zdumiona.

- Co to jest?

- Drobiazg, który może ci się przydać - odrzekła pani Dupré wymijająco.

Hélène zajrzała do środka. Były tam pieniądze.

- Nie - powiedziała stanowczo.

- Będiesz ich potrzebowała - perswadowała *madame*, odpychając jej dłoń. - To nieduża suma. Nie zdążyłam pójść do banku. To wszystko, co miałam w kasie.

Hélène objęła panią Dupré i przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Dziękuję - wykrztusiła w końcu. - Za wszystko. Nigdy nie zapomnę tego, co pani dla mnie zrobiła.

Oczy pani Dupré zwilgotniały.

- Zobaczysz, odniesiesz sukces! - wyszeptała. - Podbijesz Paryż!

- Tak będzie - obiecała Hélène. Odwróciła się do bratowej. - Do widzenia, moja jedyna przyjaciółko.

Usta Jeanne drżały. Bez słowa przyciągnęła do siebie szwagierkę.

- Zaopiekujesz się Edmondem? - zapytała miękko Hélène.

Jeanne przytaknęła. Wyglądało na to, że zaraz wybuchnie płaczem.

Hélène odwróciła się do brata.

- Cóż, chyba wreszcie jesteś na dobrej drodze, dzielna mała Francuzeczko - zauważył łagodnie.

Poczuła, że zaraz się rozpłacze. Objęła go mocno i uściskała.

- Jestem przerażona - szepnęła mu do ucha.

Brat spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Czym?

- Paryżem.

- Nie bój się - powiedział z mocą.

- Nie chcę być sama.

- Nie martw się. Przyjedziemy do ciebie tak szybko, jak to będzie możliwe. A Jeanne będzie pisać do ciebie list raz na tydzień.

Hélène kiwnęła głową i uśmiechnęła się przez łzy.

- Jeśli stanę się bogata wcześniej niż ty, pomogę ci skończyć szkołę.

- A jeśli ja skończę szkołę, zanim ty będziesz bogata, dzielna mała Francuzeczko, pomogę ci wydawać ten magazyn.

Pociąg wjechał na stację z głośnym stukotem i stanął, szarpiąc gwałtownie. Hélène spojrzała na ponure zielone wagony. Potem popatrzyła na swoich najbliższych. Nie było już nic więcej do powiedzenia.

- Wsiadaj - rzekł Edmond radośnie, uwalniając się z jej objęć. - Ruszaj na podbój Paryża!

Coś utkwilo jej w gardle i dławilo ją, utrudniając mówienie.

- Do Paryża - wykrztusiła w końcu cicho Hélène.

DZISIAJ

Czwartek, 11 stycznia

Rozdział 1

Było wpół do jedenastej rano, kiedy James Cortland Gore III odwrócił swój skórzany fotel w kierunku okna. Mógł przez nie widzieć nowojorski port i East River. Leniwie spojrział w dół. Dwadzieścia jeden pięter niżej malutkie postacie turystów chodziły po pokładach starych statków przycumowanych w South Street Seaport.

Zwrócił się znowu twarzą do biurka i wysunął górną szufladę, w której trzymał cygara. Otworzył drewnianą kasetkę, wybrał jedno, powąchał je, podniósł do ucha i ostrożnie nim potrząsnął. Usatysfakcjonowany obciął koniec, odchylił się do tyłu w fotelu i zapalił. Kosztowny aromat hawańskiego tytoniu wypełnił gabinet, gdy James z zadowoleniem wypuszczał z ust kłęby dymu.

Jest lepiej, pomyślał z satysfakcją. Już za kilka dni będzie mógł zrobić Geraldine niespodziankę, kupując wart pół miliona dolarów jacht, o którym tak marzyła. Rozmyślał o tym przez chwilę. Tak, jacht może być całkiem przyjemną rozrywką. Przecież w czasie rejsu nie będzie nic innego do roboty poza jedzeniem i piciem, a James właśnie to uwielbiał robić. I w dodatku będzie go stać na to wszystko. Zeszłej nocy odebrał kolejny telefon...

Pracował w domu. Przeglądał ważne dokumenty, a na kominku paliła się pachnąca świeca. Nagle zadzwonił telefon.

- Wiesz, kto mówi? - zapytał znajomy głos.

Serce zabiło mu mocniej. Rozejrzał się, czy jest sam. Geraldine miała denerwujący zwyczaj wślizgiwać się do pokoju bezszelestnie jak myszka, tak że często wcale nie wiedział, że przyszła.

- Tak - wyszeptał do słuchawki bardzo cicho, jakby się bał, że ktoś go może podsłuchać.

- No i...? Podjąłeś decyzję?

James wyjął jedwabną chusteczkę z kieszeni czerwonej bonzurki i osuszył czoło. Zdążył już się spocić.

- Tak - wykrztusił w końcu. - Podjąłem.

- Jaka jest odpowiedź?

Zawahał się, ale tylko na ułamek sekundy.

- Zrobię to - wyszeptał. - Nie dostanie prolongaty. Zorganizuję to tak, żebyście mogli kupić jej udziały.

- Dobrze. - Głos wydał się usatysfakcjonowany. - W momencie, kiedy podpiszemy papiery, dostaniesz walizkę zawierającą milion dolarów.

- Sprawa będzie załatwiona.

Telefon szczęknął i zamilkł. Minęła długa chwila, zanim James zrozumiał, że odwieszono słuchawkę. Drżały mu policzki, gdy odkładał swoją. Czuł ulgę, ale jednocześnie był zdenerwowany. Tak samo jak wtedy, gdy podpisywał sobie pożyczki z banku.

Interkom na biurku zabręczał. Gore wychylił się do przodu i nacisnął guzik.

- Tak, Alice?

- Panie Gore, jest tu dwóch panów z księgowości, którzy chcą się z panem zobaczyć.

Wpatrywał się w interkom, myśląc gorączkowo. Twarz mu pobladła. Ktoś z księgowości? Znowu zaczął się pocić. Dobry Boże, tylko nie kontrolerzy, modlił się w duchu. Nie teraz, kiedy mógł zwrócić wszystkie „pożyczki”. Potrzeba mu zaledwie tygodnia! Litościwy Boże, tylko nie to. Potem starał się opanować idiotyczny strach. Wpadasz w histerię, ale w rzeczywistości nie ma się czego bać, tłumaczył sobie w duchu. Nie możesz panikować przy każdym spotkaniu z tamtymi. Ta myśl sprawiła, że poczuł się lepiej, ale postanowił, że kiedy tylko dostanie ten swój milion, natychmiast uzupełni braki w kasie. Po długiej chwili zebrał się na odwagę.

- Wpuść ich, proszę - polecił.

Kilka sekund później Alice otworzyła drzwi i wprowadziła przybyłych do gabinetu. Jamesowi załomotało serce, bał się, że zaraz zwymiotuje. To nie byli po prostu dwaj pracownicy księgowości. Znał ich. Niski i krępy mężczyzna to Paluzzi; drugi, wysoki

blondyn, nazywał się O'Rourke. Byli najlepszymi specjalistami od wewnętrznej kontroli finansów.

Umysł Gore'a pracował na najwyższych obrotach. Jeżeli szybko czegoś nie wymyśli, to cały jego świat, marzenia, całe jego życie rozleci się w jednej sekundzie. Musiał ich przechytryć i w jakiś sposób zyskać tydzień na wyjście z tego bagna. Przede wszystkim jednak trzeba opanować strach. I wyrzuty sumienia.

- Witam panów - odezwał się z wymuszonym uśmiechem. - Proszę, usiądźcie.

Skinęli obojętnie głowami i usiedli naprzeciw biurka.

Gore oparł wilgotne dłonie na wypolerowanym mahoniowym blacie, próbując opanować drżenie rąk. Obrzucił przybyłych niewinnym spojrzeniem.

- Czym mogę służyć? - zapytał, starając się nadać głosowi normalne brzmienie.

Paluzzi spojrział na niego uważnie. Mocno zbudowany Włoch z gęstymi czarnymi włosami i wyjątkowo grubymi brwiami wyglądał bardziej na ciężarowca niż na kontrolera finansów. Ale pozory mylą. Gore zdawał sobie sprawę, że ten człowiek cieszy się opinią doskonałego audytora. Był najlepszym wewnętrznym kontrolerem w Manhattan Bank.

- Panie Gore - odezwał się uprzejmie - przejrzelśmy pańskie operacje finansowe z ostatnich pięciu lat. Pierwsze czterdzieści trzy miesiące są w porządku. Ale w pozostałych siedemnastu wykryliśmy niezgodności.

- Niezgodności? - Gore czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. - Jakie niezgodności?

W ciemnych oczach Paluzziego nie było żadnych emocji.

- Sam pan wie najlepiej.

To się nie dzieje naprawdę, powtarzał sobie w myślach James. To tylko koszmarne sen. Koszmarne sen. Zaraz się skończy, gdy się obudzę.

- Czy zna pan sumę niedoborów, panie Gore? - włączył się O'Rourke.

Nie! Nie chcę słyszeć ani słowa więcej, pomyślał; dłużej tego nie znoję! Ale obcy głos, który należał do niego, zapytał:

- Ile?

- Dokładnie pięćset tysięcy dziewięćdziesiąt pięć dolarów - powiedział Paluzzi. - Takiej kwoty brakuje na pańskich rachunkach.

Gore zmusił się do słabego śmiechu, ale natychmiast zdał sobie sprawę z tego, jak nieprzekonująco on zabrzmiał.

- Gdzieś musi być jakiś błąd - powiedział. - Macie wykazy operacji?

- Są w naszym biurze. Nie ma w nich żadnej pomyłki. Gore odsunął krzesło i wstał.

- Chciałbym je z panami przejrzeć, jeśli to możliwe. Czy mogliby panowie zostawić mnie na chwilę samego? Muszę pilnie zatelefonować. - Zauważył, jak wymienili spojrzenia, i wyprostował się z godnością. - Nie, panowie - oświadczył spokojnie. - Nie zamierzam dzwonić po adwokata. Niepotrzebny mi obrońca.

O'Rourke spojrział pytająco na swojego kolegę. Paluzzi wzruszył ramionami, a potem obydwaj wstali i wyszli do sekretariatu. Cicho zamknęli za sobą drzwi.

Gore ukrył twarz w dłoniach. Wszystko skończone, pomyślał. Nie miał już żadnej możliwości obrony. Zostanie oskarżony o kradzież, pójdzie do więzienia, wyrzucą go z klubów i już nigdy nie znajdzie dobrej pracy. A w każdym razie nie w banku. Po tym, co zrobił, żaden bank na świecie go nie zatrudni. Stał się złodziejem!

Jeszcze tylko tydzień i wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale teraz już za późno. Nagle zastanowił się, co powie Geraldine. Uśmiechnął się gorzko. Prawdopodobnie żona wpadnie w szal, że po tylu latach ciężkiej walki o swoją pozycję towarzyską znajdzie się na samym dnie. Znienawidzi go, uznał.

Geraldine nigdy nie lubiła tych, którzy przegrywali.

Wolno podszedł do drzwi, ale przystanął i odwrócił się, by spojrzeć w okno. Ze swojego miejsca widział tylko niebo. Wabiło go słodko jak śpiewająca syrena.

Nagle James zrozumiał, co musi zrobić. Miał tylko jedną drogę ucieczki.

Wziął głęboki oddech. Potem szybko, zanim zdążył zmienić zdanie, rzucił się do przodu z wyciągniętymi rękami. Szklana tafla roztrzaskała się na kawałki pod wpływem uderzenia. James wyleciał przez okno, wykonując groteskowe, niezgrabne salto całym ciałem.

Poczuł gwałtowny powiew zimnego orzeźwiającego powietrza. Zdążył jedynie krzyknąć, a potem wszystko się skończyło.

Geraldine miała rację. Jej mąż popełnił samobójstwo. Jeżeli nie z powodu bransoletki Bulgari, to z jakichś innych przyczyn.

Rozdział 2

Hélène stała za biurkiem tyłem do okna. Z zamyślonym wyrazem twarzy patrzyła na arkusze papieru pokrywające pięknie inkrustowany blat. Były to kolorowe kserokopie okładek jej magazynów. Błyszczące kobiece twarze patrzyły na nią zimno. Studiowała z uwagą każdą z okładek.

Oto „La Moda” z patrzącą prosto w obiektyw supermodelką; francuski numer „Les Modes” z wyzywającą dziewczyną o prowokująco wydętych, wilgotnych wargach; blada Niemka z okładki „Mode” stała w agresywnej pozie, a słodka blondynka z potarganymi przez wiatr włosami uśmiechała się z amerykańskiego „Les Modes”.

Ciekawe, że przeciętna Amerykanka woli słodką, bezmyślną ślicznotkę od przystojnej amazonki, którą uwielbiają Europejki, zauważyła w duchu Hélène.

Angielska edycja „Les Modes” prezentowała modelkę o kształtach sportsmenki, ubraną w powiewną letnią sukienkę od Haldsona, a w „Yachting and Boating” zamieszczono zdjęcia dwóch dziewcząt w uwodzicielskich skąpych bikini, za sterem niesłychanie kosztownej motorówki Riva.

Wszystkie okładki były doskonałe, wiedziała o tym. Ale mimo to w każdej coś jej się nie zgadzało. W pierwszej chwili Hélène nie mogła sobie uświadomić, co to takiego, potem jednak zrozumiała: miała przed sobą okładki czerwcowych magazynów, a za oknem wciąż szalała zima. Chociaż zawsze przygotowywano okładki cztery do sześciu miesięcy wcześniej, nie mogła przywyknąć do kostiumów kąpielowych i szyfonowych sukni zimą oraz wełnianych ubrań i futer latem. Było w tym coś dziwnie niewłaściwego. Czula się jak wróżka przepowiadająca przyszłość; na myśl o tym przechodził ją dreszcz podniecenia. Każda pora roku przynosiła jej konfrontację z tym szczególnym *déjà vu*.

Usłyszała, że otwierają się drzwi, i podniosła wzrok. Do gabinetu wkroczył bez pukania Edmond. On jedyny mógł do niej wejść niezapowiedziany, ale zwykle nie korzystał z tego przywileju. Zawsze czekał, aby Julie zawiadomiła jego siostrę, że przyszedł. To, że brat odstąpił od swoich zwyczajów, wywołało u Hélène złe przeczucia. Musiało się wydarzyć coś bardzo ważnego. Przez tyle lat tylko dwa razy wbiegł do niej tak jak dzisiaj. I w obu wypadkach stało się coś złego.

Podszedł do niej energicznie i nie czekając na pytania, oznajmił:

- Masz tygodniową prolongatę! Manhattan Bank nie zażąda jutro zwrotu pożyczki.

Hélène zmarszczyła brwi, analizując w milczeniu nieoczekiwany rozwój wydarzeń. Przesunięcie nieprzekraczalnego terminu zwrotu pożyczki o tydzień na dłuższą metę nie rozwiązywało jednak ich problemów; nadal mieli nóż na gardle. Ale ta zwłoka była czymś niespotykanym.

- Nie rozumiem - szepnęła w końcu.

- Więc usiądź, a ja ci wszystko opowiem.

Kiwnęła głową i usiadła na jednym z rzeźbionych francuskich foteli przed biurkiem. Założyła nogę na nogę i czekała bez słowa, aż Edmond zapali papierosa.

- Właśnie odkryłem, że Gore nie prowadzi już twoich rachunków - oznajmił. - Ten, kto go zastąpi, będzie musiał się zapoznać z dokumentacją, zbadać twoje sprawy finansowe i podjąć decyzję. Minie tydzień - a może nawet dłużej - aż się z tym upora.

Hélène rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Ale dlaczego? Gore zrezygnował z pracy? - zapytała z ciekawością. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby dobrze opłacany finansista zrobił coś takiego.

Edmond potrząsnął głową i spojrzał na siostrę. Jego głos zabrzmiał dziwnie.

- Popęłił samobójstwo. Wyskoczył z okna w gabinecie.

Hélène pobladła i zadrzała. Nagle zrobiło jej się zimno.

- Czuję się, jakby śmierć koło mnie przeszła - odezwała się cicho.

- Co masz na myśli? Spuściła wzrok na swoje dłonie.

- Wczoraj spotkałam jego żonę. Pokazała mi bransoletkę, którą właśnie kupiła u Bulgari, i wiesz, co powiedziała?

Edmond w milczeniu potrząsnął głową.

- Zażartowała: „Mój mąż chyba popełni samobójstwo, kiedy ją zobaczy”. Dokładnie takie były jej słowa.

Edmond popatrzył na siostrę.

- To smutne - rzekł ze współczuciem. - Mam nadzieję, że biedaczka nie będzie się winiła za to, co się stało. - Umilkł na chwilę. - Niemniej jednak swoim postępkami Gore

wyświadczył nam olbrzymią przysługę. Załatwił ci prolongatę. Nawet jeżeli będzie to tylko tydzień.

Hélène z namysłem kiwnęła głową. Przynajmniej zyskała więcej czasu, żeby wszystko przemyśleć, ocenić możliwości i podjąć właściwą decyzję. Ale wciąż nie rozumiała jednej rzeczy.

- Edmondzie, dlaczego on to zrobił?

Wzruszył ramionami i zaciągnął się głęboko dymem z papierosa.

- Nikt nie wie tego na pewno. Pojawiły się jednak pewne pogłoski. Manhattan Bank próbował je wyciszyć, ale plotki zawsze przeciekają. Mówi się, że Gore zdefraudował dużą sumę. Widocznie uznał, że śmierć jest jedynym wyjściem.

Hubert de Léger czekał w swojej bibliotece na piętrze na sygnał telefonu. Wreszcie aparat zadzwonił.

- *Monsieur le comte* - odezwał się po francusku jego lokaj - wszyscy już są.

- Dziękuję, Eduardzie - odpowiedział. - Zaraz tam będę. Zajmij się gośćmi. Podaj drinki.

- Już to zrobiłem, panie hrabio.

- Dobrze. - Hrabia odłożył słuchawkę i skończył czytać list.

Nie spieszył się. Niech czekają, pomyślał. To tylko powiększy ich niepewność.

Wezwał ich pospiesznie trochę ponad pół godziny temu i każde chciało znać przyczynę tego niespodziewanego spotkania. Celowo nie zdradził przez telefon żadnych szczegółów, dlatego wszyscy natychmiast się u niego stawili. Teraz postanowił trochę ich przetrzymać.

Zrobił kilka notatek, wysłał faks. Skończył swój koniak i wreszcie wstał. Już pewnie rozsadza ich wszystkich niecierpliwość, uznał.

Zjechał małą windą do holu na parterze. Przy drzwiach salonu zatrzymał się, potem pchnął je i wszedł.

Powoli rozejrzał się po wielkim, umeblowanym w stylu empire pokoju. Na fotelach i sofie z rzeźbionymi złożonymi nogami w kształcie łap zwierząt siedzieli Z.Z. Bavier, Karl von Eiderfeld i Marcello d'Itri. W oczach Huberta błysnęła satysfakcja. Nie, nikt z wrogów Hélène nie stracił ani sekundy, żeby się tu zjawić. Wszyscy trzymali w dłoniach pełne kieliszki.

Hrabia odgadł myśli swoich gości i na jego ustach pojawił się niespodziewanie uprzejmy uśmiech.

- Cieszę się, że mogliście przyjechać tak szybko. Szczególnie na tak niespodziewane wezwanie.

Z.Z. popatrzyła na niego, mrużąc swoje rysie oczy.

- I dlatego kazałeś nam tak długo czekać? - wysyczała z irytacją.

- Oczywiście, że nie, moja droga Z.Z. Spóźniłem się z powodu niezwykle ważnego telefonu. - Podszedł do kobiety, pochylił się i ucałował ją w policzek. - Moje najszczerze przeprosiny.

Spojrzała na niego powątpiewająco. Podejrziwa suka, pomyślał. Podszedł do barku, nalał sobie kieliszek armaniaku i oparł się o marmurowy komin. Ponieważ tamci wszyscy siedzieli, Hubert postanowił stać. Dawało mu to poczucie dominacji.

- Więc? - zażądała wyjaśnień Z.Z. - Czy mógłbyś nam wyjaśnić, co takiego się stało, że musieliśmy wszystko rzucić i przyjechać tutaj?

Hrabia sączył powoli armaniak.

- Nieprzewidziany rozwój wypadków. Musimy zweryfikować nasze plany.

Z.Z. spojrzała na niego ostro.

- Nieprzewidziany rozwój wypadków? Co, do licha masz na myśli?

- Gore - odpowiedział łagodnie. - Bankier.

D'Itri i Z.Z. wymienili spojrzenia.

- Co z nim? - zapytał włoski projektant. - Zmienił zdanie? Nie sprzeda nam jej udziałów?

Hrabia popatrzył teraz na niego.

- Nie chodzi o to, że nie sprzeda. Nie może.

- Nie widzę różnicy między „nie sprzeda” i „nie może sprzedać”. - D'Itri był zdumiony.

- Ach, jest pewna subtelna różnica - odparł de Léger.

- Chodzi o to, że ona nagle może spłacić tę pożyczkę? - W głosie Z.Z. brzmiało niedowierzanie.

D'Itri i von Eiderfeld zaczęli jednocześnie mówić coś z podnieceniem.

Hrabia uniósł dłoń, aby ich uciszyć.

- Za piętnaście jedenasta dziś rano pan Gore przedwcześnie pożegnał się z życiem.

Popęłnił samobójstwo.

- *Verdammt!* - Von Eiderfeld uderzył otwartą dłońią w głowę sfinksa zdobiącą fotel.

- Wiedziałem, że nie powinniśmy mu ufać!

D'Itri spojrział ponuro na gospodarza.

- Co teraz zrobimy?

- Co możemy zrobić! - wrzasnęła Z.Z. Spojrzała oskarżycielsko na Huberta. -

Zapewniałeś nas, że wszystko załatwione, że musi się udać! - Drżącymi palcami zapaliła dunhilla.

Hubert był spokojny. Nie miał zamiaru wdawać się w kłótnie.

- Czegoś takiego nie mogłem przewidzieć - wyjaśnił cierpliwie. - Też mi się to nie podoba. Wygląda na to, że Gore sprzeniewierzył pieniądze banku. I został przyłapany w momencie najgorszym z możliwych.

- O Jezu! - jęknęła Z.Z. Wychyliła zawartość swojego kieliszka jednym długim haustem.

- Teraz, kiedy Gore odszedł - zapytał von Eiderfeld z zadumą - co z naszym planem?

Hrabia wzruszył ramionami.

- Ktoś inny zajmie jego miejsce. Musimy tylko cierpliwie poczekać i zobaczyć, kto to będzie. Potem z nim porozmawiamy.

- A jeżeli nie da się go przekupić? - warknął d'Itri. - Co wtedy?

- Mój drogi Marcello - odparł Hubert zimnym tonem. - Każdy ma swoją cenę.

Powinieneś to wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny.

D'Itri zarumienił się gwałtownie.

- O co ci chodzi? - zażądał odpowiedzi. W jego głosie zabrzmiała złość.

Hrabia uśmiechnął się.

- Chodzi mi o to, że z nas wszystkich ty jeden nie masz najmniejszego powodu, by nienawidzić Hélène. Bez niej byłbyś nikim. Och, może miałbyś trzeciorzędny sklep z

odzież. Przyznaj się, to ona cię stworzyła. A teraz nie odpowiada ci cena. - Zrobił pauzę.
- Marcello, gryziesz rękę, która cię karmi.

D'Itri zakrył dłońmi uszy.

- Zamknij się! - krzyknął z furją. - Przestań! - Gwałtownie zerwał się z fotela. - A co z tobą? - Wskazywał po kolei każde z nich oskarżycielskim gestem. - A ty? A ty?

Hrabia uśmiechnął się dobrotliwie.

- Mamy swoje powody, Marcello. Ważniejsze powody. Dla nas to nie tylko kwestia zapomnienia o długach wdzięczności.

- Dobrze, pieprzę was! - D'Itri wykonał pogardliwy ruch dłońmi i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Potem Z.Z. zaczęła się śmiać.

- Ojej! Och! Co za wulgarny typ!

Hrabia przeszedł przez pokój i nalał sobie następny kieliszek armaniaku.

- To prostak - oświadczył pogardliwie. - Może mieć pieniądze, ale tak czy inaczej liczy się klasa. Nie ma nic gorszego niż nuworysz. - Spojrzał na von Eiderfelda i uśmiechnął się przepraszająco. - Z pańskim wyjątkiem oczywiście. Nie zaliczam pana do tej kategorii.

- Mam nadzieję, że nie - oświadczył z godnością przemysłowiec. Wstał. - Czy da nam pan znać, gdy tylko skontaktuje się z tym nowym człowiekiem w banku?

Hubert pokiwał głową.

- Oczywiście.

- Dobrze. Teraz, niestety, muszę już iść. Mam ważne spotkanie, na które już jestem spóźniony. - Sztywno uściśnął dłoń hrabiego i ruszył do drzwi.

Kiedy zostali sami, Z.Z. potrząsnęła głową.

- Na widok von Eiderfelda zawsze przechodzą mnie ciarki - powiedziała z obrzydzeniem w głosie. - Ta odrażająco biała skóra i czerwone oczy. Przypomina monstrum z horroru. - Wzdrygnęła się.

Hrabia milczał; Z.Z. zrozumiała to właściwie.

- Cóż, myślę, że na mnie też już czas - rzekła z westchnieniem. - Po tych złych nowinach chyba zajrzę do Bendelsa i kupię sobie jakiś drobiazg dla poprawy nastroju.

Wszedł Eduard z futrem ze srebrnych lisów i podał je Z.Z. Potem hrabia osobiście odprowadził ją do drzwi.

W holu zatrzymała się nagle i odwróciła do niego. Jej wargi ułożyły się w drwiący uśmiech, a w oczach zabłysło złośliwe rozbawienie.

- Drogi hrabio, nigdy nam nie mówiłeś, dlaczego ty tak bardzo nienawidzisz Héléne Junot. Czy to zbyt odrażające dla moich delikatnych uszu?

Hubert spojrział na swój kieliszek. Na jego twarzy pojawił się nagle taki ból, że Z.Z. aż się wzdrygnęła. Poczula się naprawdę winna, że poruszyła ten temat.

Kiedy przemówił, jego słowa były tak ciche, że ledwie mogła je dosłyszeć.

- Ja... kiedyś ją kochałem.

Spojrzała na niego zaintrygowana. Ciekawość wyparła chwilowe zakłopotanie.

- No i... Co się stało?

Nagle zaczął drżeć, a potem ścisnął kieliszek tak mocno, że cienki kryształ pękł mu w dłoni. Z palców Huberta zaczęła kapać krew, gdy kawałki szkła powbijały się w skórę.

Z.Z. usłyszała dźwięk, który zabrzmiał jak zduszony szloch.

- Co się stało? - powtórzył. Potem w holu rozległ się jego histeryczny śmiech.

WCZORAJ III UTRZYMANKA

Rozdział 1

Paryż, 1953

Kiedy pociąg dotarł do Paryża, Hélène poczuła, jak coś ściska ją w gardle. Wstała, otworzyła okno i wysunęła przez nie głowę. Poczowała uderzenie zimnego wiatru w twarz. Wciągnęła w płuca pierwszy haust paryskiego powietrza i z jej oczu trysnęły łzy. W oddali widziała wieżę Eiffla. Przez chwilę wpatrywała się w nią z nagłą tęsknotą. Żelazna konstrukcja wzbijała się triumfalnie w niebo ponad niekończącym się morzem szarych dachów, jak długo wypatrywana latarnia morska. Potem zniknęła, a pociąg zaczął wydawać zgrzytliwe i piskliwe dźwięki oznajmiające, że zbliżają się do stacji.

W końcu zatrzymał się z szarpnięciem, a Hélène ostrożnie zeszła na peron. Z przodu chmury pary kłębiły się nad i pod syczącą lokomotywą. Wydawało się, że jakiś olbrzym głęboko wzdycha. Wysoko w górze metalowe belki podtrzymywały szklany dach dworca Montparnasse w całkowitej sprzeczności z prawem grawitacji. Dziewczyna postawiła walizkę na betonie i rozejrzała się wokół. Od razu rzuciło się jej w oczy, że teraz podróźni wyglądają lepiej niż paryżanie, których zapamiętała z czasów wojny, i że są dobrze ubrani. Dookoła pulsowało życie, jak nazywają to Francuzi *joie de vivre*. Zniknęły mroczne sprawy, które pozostawiły cień w jej wspomnieniach: straszna cisza, przerażenie na twarzach przechodniów, ciągłe, ukradkowe spojrzenia przez ramię, grzebanie w tych wszystkich potrzebnych dokumentach - oficjalnych, ostemplowanych pieczęciami okupanta. Zniknęły również swastyki i wszechobecni Niemcy o przenikliwych oczach. Paryż był inny. Widziała to i czuła się tu dobrze.

Podszedł do niej starszy bagażowy.

- *Mademoiselle?* - Spojrzał na nią pytająco. Szybko potrząsnęła głową.

- *Non, merci* - powiedziała cicho. Bagażowym się płaci, a Hélène nie miała ani jednego sou do wyrzucenia. Nie stać jej było na taką ekstrawagancję. Chwyła starą walizkę i wyniosła ją na ulicę.

Jasne słońce uderzyło ją w oczy. Zamrugła, ale nie z powodu światła. Przed dworcem zobaczyła coś najbardziej niewiarygodnego, co mogła sobie wyobrazić. Rząd błyszczących, czarnych taksówek. Potrząsnęła głową ze zdziwieniem. Czy te cuda nigdy się nie skończą? I ulice - po raz pierwszy w życiu widziała tak zatłoczone jezdnie. Zniknęły tramwaje konne i rowery. Zamiast nich wszędzie jeździły samochody we wszystkich kolorach tęczy. Jak inaczej wyglądało tu wszystko podczas okupacji! Gdyby tylko *maman* mogła to zobaczyć.

- Taksówkę, panienko? - Wąsaty kierowca otworzył przed nią drzwi auta.

Zawahała się i spojrzała do środka. Eleganckie czyściutkie siedzenia zapraszały, aby wsiąść. Przez moment Hélène o mało nie uległa pokusie. Byłoby miło uczcić swój powrót przejażdżką po Polach Elizejskich i wąskich uliczkach prawego brzegu Sekwany. Ale to także byłaby bezsensowna strata pieniędzy. Hélène szybko ścisnęła uchwyt walizki i odeszła. Potrzebowała każdego sou. Najpierw bezwzględnie musi znaleźć tanie lokum. Potem kupić coś do jedzenia.

Zmęczona Hélène wdrapała się po schodach na czwarte piętro do swojego mieszkania. Kolejny stracony dzień, pomyślała apatycznie, otwierając drzwi. Rzuciła klucz na rozchwiany stolik kuchenny, nogą zatrzęsnęła za sobą drzwi i zrzuciła płaszcz. Opadła na łóżko, a materac ugiął się pod nią. Była wykończona. Kiedy przyjechała do Paryża, jej nadzieje sięgały nieba. Wszystko wydawało się możliwe. Teraz rzeczywistość weryfikowała te plany powoli, ale wytrwale.

Wciąż nie miała pracy. Od trzech tygodni szukała jakiegoś zajęcia i ciągle bez skutku. Podczas gdy cały Paryż się krzątał, ona wydeptywała chodniki. A dzisiejszy dzień był najgorszy ze wszystkich. Zamknęła oczy.

Dzisiaj odpowiedziała na ogłoszenie, w którym właściciel pracowni szyjącej staniki poszukiwał modelek. Nie była to praca odpowiadająca Hélène, ale zrozpaczona dziewczyna chwyciła się już wszystkiego. Popelniła karygodny błąd. „Pracownia” okazała się elegancką nazwą podrzędnego domu publicznego. A odrażający, tłusty wieprz, który

kierował interesem, rzucił się na nią i gonił ją po brudnym „biurze”. Wzdrygnęła się z obrzydzenia. Na szczęście udało jej się zmylić go, dopaść drzwi i uciec. Co robić, zastanawiała się teraz.

Miała już tylko niecałe pięćdziesiąt franków. W małej szafce zostały jedynie dwa jajka i butelka mleka. A za dwa dni musi zapłacić komorne.

Westchnęła i otworzyła oczy. Usiadła i rozejrzała się po swojej mansardzie. To wprost nieprawdopodobne! Jedna izdebka na poddaszu Montmartre'u kosztowała krocie. Hélène zacisnęła wargi. W obszernych listach do Edmonda i pani Dupré pisała, że mieszkanie jest małe, ale czarujące i ma stąd wspaniały widok. Prosiła, żeby się o nią nie martwili, i skłamała nawet, że dostała już kilka propozycji pracy. I że musi je starannie przemyśleć, żeby wybrać taką, która zapewni jej przyszłość.

Przyszłość? Jaką przyszłość? - pytała się w myślach. Propozycje pracy? Atak drania, który śmierdział tanim winem? Czy to była oferta pracy?

Nagle Hélène zaczęła się śmiać.

Czarujące mieszkanie? Rzeczywiście czarujące, pomyślała. Brudne ściany, pomalowane kiedyś zapewne białą farbą, popękane linoleum, trzy z dziewięciu szyb wybite i załatane deskami. A widok, o którym tak ciepło pisała? Znowu dostała napadu śmiechu. Ten widok ograniczał się do okna po przeciwnej stronie podwórka. Mieszkał tam zarośnięty artysta, który onanizował się dużo częściej, niż malował. Kiedy Hélène to zobaczyła, natychmiast zerwała ze stołu postrzępioną serwetę i zasłoniła nią szybę. Była szczęśliwa, że może sobie oszczędzić tego widoku.

A wielkość mieszkania? Była to klitka długości trzech i pół metra i szerokości niespełna trzech metrów. Nie miała szafy. Wszystkie rzeczy wisiały na gwoździach w ścianie, które wbił tam zapewne jakiś wcześniejszy lokator. Toaleta w korytarzu była nieogrzewana, Hélène dzieliła ją z trzema sąsiadami. Nie było łazienki.

Nienawidziła tego miejsca.

Hélène spojrzała na podłogę. Leżała tam sukienka, którą rzuciła. Dziś wieczorem trzeba ją znowu uprać, wysuszyć i pożyczyć żelazko. Jutro włoży ją znowu; musi znowu wydeptywać chodniki w poszukiwaniu pracy.

Nagle jej śmiech zmienił się w płacz. Ukryła twarz w poduszce. Jej ciałem wstrząsnął gwałtowny szloch. Jaki to wszystko ma sens, pytała samą siebie. Z pewnością to już koniec.

Właśnie wtedy usłyszała ciężkie kroki na schodach, a potem rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Zmarszczyła brwi. Nikogo nie oczekiwała; nie знаła nikogo w Paryżu. Uniosła głowę z poduszki, trochę przestraszona. Może to konsjerżka? Czy to możliwe, że już dzisiaj przyszła po komorne?

Ta myśl zmroziła Hélène. Nie miała dość pieniędzy, aby zapłacić. Zawahała się i spojrzała na drzwi. Może jeżeli będzie naprawdę cicho, ta stara wiedźma pomyśli, że nikogo nie ma, i sobie pójdzie, uznała.

Pukanie powtórzyło się jednak, tym razem głośniejsze.

Hélène westchnęła.

- Chwileczkę! - zawołała wreszcie słabym głosem, podnosząc się z łóżka. Zdjęła z wieszaka szlafrok, włożyła go szybko i otarła oczy dłońmi. Zawijając pasek, podeszła do drzwi i otworzyła je z trzaskiem.

Stała jak wryta, patrząc z zaskoczeniem na gościa. Był wysoki, bardzo wysoki. Musiał mieć przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, niesforne rude włosy, rudą brodę i rozbrajający uśmiech.

Nie widziała go nigdy wcześniej. Oczy miał łagodne, błękitne jak niebo. W ręce trzymał do połowy opróżnioną butelkę wina i zwiniętą gazetę, z której wystawał bochenek chleba.

Hélène zamrugła oczami.

- Kim jesteś? - spytała.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Jestem Guy Barbeau - powiedział po prostu. - Artysta albo ladaco, wedle uznania.

- Mieszkam po drugiej stronie korytarza. - Wyciągnął wolną rękę.

- Nazywam się Hélène Junot - wybąkała zażenowana. Potrząsną jej dłonią. Kiedy ją puścił, wskazała gestem za siebie. - Ja... hm mieszkam tutaj.

Roześmiał się i zerknął do środka.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zawołał.

Popatrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- W co?

- Że masz więcej przestrzeni niż ja!

Uśmiechnęła się mimo woli.

- A ja nie wierzę, że może być cokolwiek mniejszego niż ten gołębnik.

- Będziesz zaskoczona, kiedy zobaczysz mój śmietnik. Mogę wejść?

Pytanie ją zaskoczyło. Zawahała się. Czy powinna go wpuścić? Chociaż się nie bała, nie wiedziała, czy to właściwe. Potem jednak kiwnęła głową i wpuściła gościa. Guy Barbeau wszedł i położył przyniesione rzeczy na kuchennym stole.

- Jadłeś już kolację? - zapytał.

- Czy jadłam...?

- Widzę, że nie. - Był bardzo pewny siebie. - Zjemy więc razem. Masz dwa kieliszki i nóż?

Hélène zarumieniła się z zakłopotania.

- Nie mam kieliszków - odrzekła nieśmiało. - Czy wystarczą dwie małe butelki od mleka?

- Wspaniale. Szczyt luksusu. Dzięki Bogu twoja kuchnia jest lepiej wyposażona niż moja.

Przysunął stół bliżej łóżka i rozwinął gazetę. Poza chlebem miał tam kawałek sera, puszkę sardynek i kilka plastrów twardego salami. Z wprawą otworzył puszkę, a potem wygładził gazetę i artystycznie rozłożył na niej jedzenie. Kiedy Hélène skończyła płukać w zlewie butelki, Guy siedział już na łóżku.

- Wygląda to pysznie - powiedziała grzecznie, siadając obok niego.

Roześmiał się beztrąsko.

- Zwykle jedzenie biedaków. Paliwo dla ciała. Niestety, niezdolne wykarmić duszy.

- Nalał trochę wina do każdej z butelek po mleku.

- *Santé.*

- *Santé.*

Hélène zatrzasnęła za sobą szklane drzwi sklepu. Nadal padało, więc podniosła wyżej kołnierz płaszcza. Kolejna porażka. Westchnęła ciężko. Dzisiaj musi zapłacić komorne.

Skręciła w prawo i skierowała się na Boulevard St. Germain. Starła się o pracę sprzedawczyni w eleganckim nowym butiku naprzeciwko Sainte Clotilde. Właścicielka, *madame d'Arbeuf*, rozmawiała z nią w małym pokoiku za sklepem.

Madame d'Arbeuf wierzyła w pierwsze wrażenie. Jej surowe oczy z uwagą badały dziewczynę. To, co zobaczyła, nie olśniło jej. Nawet najlepsza sukienka Hélène stanowiła smutny kontrast, a właściwie kłopot w bogato urządzonego sklepie. Co gorsza, zaczęło padać i Hélène zmokła.

- Jakie ma pani doświadczenie w handlu, *mademoiselle*? - burknęła *madame d'Arbeuf*.

- Ja... pracowałam w sklepie z odzieżą - odpowiedziała Hélène.

- Och. Gdzie?

- W Saint-Nazaire.

Madame d'Arbeuf zmarszczyła brwi.

- Saint-Nazaire? Zaraz, zaraz, Saint-Nazaire... - Potrząsnęła głową. - Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to jest. Gdzieś w pobliżu Cannes?

Hélène nie mogła powstrzymać uśmiechu. Saint-Nazaire równie dobrze mogłoby być miliony lat świetlnych od Cannes.

- Nie, proszę pani. To nad Zatoką Biskajską.

- Och! - Właścicielka wstała. - Właściwie szukam kogoś bardziej... - Uśmiechnęła się blado - bardziej wyrobionego. Bardziej ogładzonego. Sama pani rozumie, butik Chat Blanc ma międzynarodową klientelę, *mademoiselle*. Obawiam się... - Na twarzy Hélène odmalowała się rozpacz.

- Ale ja jestem bardzo inteligentna! Szybko się uczę! Sama pani zobaczy...

Madame d'Arbeuf spojrzała na nią z niesmakiem spod eleganckich okularów w niebieskich oprawkach.

- Nie ma mowy - oświadczyła stanowczo. - Przykro mi, że zabrałam pani czas.

Rozdział 2

Kiedy dziewczyna wróciła do domu, konsjerżka czekała już koło schodów. Nie było sposobu, by ją ominąć. Na kłęczkach szorowała linoleum szczotką ryżową. Kiedy zauważyła Héléne, podniosła się i wytarła czerwone ręce o fartuch.

- Panienko! Dzisiaj płaci się komorne. Héléne spojrzała na nią błagalnie.

- Przepraszam, pani Guerin. Nie mam jeszcze pieniędzy. Może jutro.

- Jutro! - prychnęła pani Guerin. - Zbieram pieniądze wtedy, kiedy się należy. To znaczy dzisiaj. Zgodziła się pani na to, wprowadzając się.

- Wiem. Proszę mi dać kilka dni - błagała Héléne. - Proszę. Brat przyśle mi pieniądze.

- Przykro mi, *mademoiselle*. W tym domu pobiera się komorne z góry. Albo się płaci, albo wyprowadza!

Drzwi wejściowe za nimi otworzyły się z trzaskiem, wchodzący jednak wyraźnie zmienił zamiar i postanowił się wycofać. Héléne odwróciła się i przelotnie spojrzała na Guy Barbeau, który skradał się jak kot polujący na kanarka.

- Panie Barbeau!

Przeraźliwy głos konsjerżki zatrzymał Guy w miejscu.

- Pan również! Tak jak mówiłam pannie Junot, dziś płaci się komorne.

Podszedł do nich bojaźliwie, strzepując z płaszcza krople deszczu. Przemoknięte rude włosy przylgnęły mu do głowy. Uśmiechnął się słabo do Héléne.

- Witaj ponownie.

- Cześć - odpowiedziała.

- Poszczyściło ci się? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- Nie - odrzekła cicho.

Pani Guerin oparła ręce na biodrach i spojrzała na niego groźnie.

- Ma pan pieniądze? Westchnął ciężko i spuścił wzrok.

- Tylko kilka dni. Proszę.

- Przerabialiśmy to wystarczająco często. Niech pan idzie na górę i pakuje się, zanim wezwę policję.

- Ale moje obrazy! Płótna! Potrzebuję kilku dni, żeby je przenieść. - Spojrzał zrozpaczony na Héléne. - Czy nie mogłabyś...

Z żalem potrząsnęła głową.

- Zostałam wyrzucona, nie słyszałeś?

Nagle Guy chwycił ją za ramię i pociągnął na bok.

- Słuchaj - szepnął z przejęciem - ile masz pieniędzy?

- Około czterdziestu franków - odrzekła zdumiona. - Dlaczego pytasz?

Coś sobie kalkulował.

- A ja mam pięćdziesiąt!

- Więc oboje musimy się wynosić.

- Nie rozumiesz? Twoje komorne wynosi siedemdziesiąt franków, tak?

Héléne kiwnęła głową.

- Więc wprowadzę się do ciebie! Będziemy współlokatorami.

Zawahała się chwilę.

- Nie wiem - odrzekła z namysłem. - Będzie nam strasznie ciasno.

- Wolisz wylądować na ulicy?

To miało sens. Héléne wolno kiwnęła głową.

- Dopóki to będzie wyłącznie wspólne mieszkanie - zastrzegła od razu.

Uniósł prawą dłoń.

- Tak mi, Boże, dopomóż. Héléne uśmiechnęła się z ulgą.

- *Monsieur* Barbeau, kupiliśmy sobie właśnie miesięczne zawieszenie wyroku.

Pięć minut później wszystko było załatwione i poszli na górę, aby przenieść dobytek Guy. W drzwiach pokoju malarza Héléne szeroko otworzyła oczy. Stało tam olbrzymie płótno oparte o ścianę.

Było prawie długości poddasza. Héléne cofnęła się pod drzwi, oglądając obraz.

- Jest wyjątkowy! - wykrzyknęła.

- Jak dotąd to moje najlepsze dzieło - powiedział Guy. Odsunął stos małych płócien i stanął obok dziewczyny. - Nazywa się „Hiperboliczne wniebowstąpienie”. Pracuję nad nim od dziewięciu miesięcy. Za kilka dni skończę.

Nie mogła oderwać oczu od tego obrazu. Przedstawiał surrealistyczną Madonnę wybuchającą w powietrzu pełnym światła. Wyglądało to tak, jakby ktoś nafaszerował ją dynamitem, a potem uwiecznił chwilę eksplozji.

- Kiedy tylko skończę, zabiorę ją do Lichtenstein Gallery - wyjaśnił Guy. - Sam André Lichtenstein przyszedł tu kilka tygodni temu. Chce ją u siebie wystawić. To jest coś. To najważniejszy marszand w Paryżu.

- Jest wspaniała! - wykrzyknęła Hélène z entuzjazmem.

Guy kiwnął głową.

- Mam nadzieję, że jakiś kolekcjoner też tak pomyśli. Uśmiechnęła się uspokajająco.

- Myślę, że nie musisz się o to martwić. Jestem pewna, że twój obraz zostanie natychmiast zauważony. I ktokolwiek go kupi, będzie bardzo szczęśliwy.

Spojrzał na nią z ciekawością.

- Naprawdę w to wierzysz? Przytaknęła, nie odrywając oczu od płótna.

- Jest piękniejszy niż większość tych, które widziałam w Luwrze. Przypomina mi Rafaela. Tylko u niego jest więcej głębi. - Potrząsnęła głową. - Jest niesamowity.

W sobotę rano zjedli skromne śniadanie składające się z chleba i owoców.

Chleb był twardy i suchy, miał już dwa dni, ale właśnie dlatego kupili go bardzo tanio. Nadpsute owoce można było wieczorem znaleźć koło pojemników na śmieci w hali targowej.

Hélène pokroiła owoce na małe kawałki i zrobiła z nich sałatkę, która wyglądała przepysznie.

Kiedy skończyli jeść, Guy przeniósł stół do odległego kąta.

- Jedzenie - wymamrotał. - Nie mówiłaś, że jesteś tak wspaniałą kucharką. Oprócz współlokatorki zdobyłem szefa kuchni pierwszej klasy. Wspaniała sałatka. Była to miła odmiana po gryzieniu nadgniłych jabłek.

Hélène ucieszyła się, że docenił jej wysiłki.

- Będiesz teraz malował? - zapytała. Przytaknął ruchem głowy.

- Dobrze. Zatem idę na długi spacer. Przez dwa weekendy zwiedzałam Luwr, a każdy dzień roboczy spędziłam, szukając pracy. Dzisiaj zamierzam spacerować bez celu,

po prostu dla przyjemności. - Sięgnęła za „Hiperboliczne wniebowstąpienie” i wyciągnęła zza obrazu brązową wełnianą spódnicę i gruby, zrobiony na drutach sweter, który miała zamiar włożyć na wierzch i ścisnąć skórzanym paskiem. Zastanawiała się, co zrobić, aby upodobnić się do modnych i szykownych paryżanek, które widywała na ulicach. Może powinnam upiąć włosy, pomyślała. Ten pomysł wywołał na jej twarzy uśmiech. Zastanowiła się, jak by wyglądała.

- Chcesz, żebym wyszedł, kiedy się będziesz przebierać? - zapytał Guy.

Pokręciła głową przecząco.

- Nie musisz. Skorzystam z toalety. Przynajmniej jest tam lustro.

Kiwnął głową, zdjął serwetę z okna i otworzył je. Mansardę zalała powódź słonecznego światła. Wpadł też do środka chłodny wiaterek.

- Włóż płaszcz, bo się przeziębisz - powiedziała malarzowi Hélène.

Skinął obojętnie głową. Był już w innym świecie; jego oczy widziały tylko wielkie płótno. Nie słyszał nawet, kiedy zamknęły się za nią drzwi.

Spacerowała kilka godzin. Początkowo była to wędrówka bez celu. Hélène zostawiła za sobą stare uliczki Montmartre'u i przeszła jednym z łukowatych mostów na lewy brzeg Sekwany. Na chodnikach pełno było sobotnich zakupowiczów i przechadzających się rodzin. Nawet w kawiarenkach na świeżym powietrzu siedzieli już klienci, którzy nie obawiali się chłodu. Wiosna była już blisko. W powietrzu czuło się jej zapach.

Mijając sklep z damską bielizną, pomiędzy stanikami Hélène zobaczyła swoje odbicie. Podeszła bliżej. Nie mogła uwierzyć, że to ona. Upięte włosy zupełnie ją odmieniły. Wydawała się wyższa, bardziej dojrzała, a zarazem pełna młodzieńczego entuzjazmu. I o dziwo, ostatnie głodowe tygodnie wcale jej nie zaszkodziły. Wprost przeciwnie, utraciła dziecinne okrągłości. Nie była już smukłą; zrobiła się bardzo chuda. Miała figurę modelki.

Przyjrzała się sobie dokładniej. Kości policzkowe miała teraz bardziej wyraźne, oczy wydawały się większe i dziwnie błyszczące. Pasek eksponował szczupłą talię.

Odwróciła się, sprawdzając profil. Usatysfakcjonowana zanotowała w pamięci, by zawsze podkreślać talię.

Spacerowała dalej, mrużąc coś do siebie cicho. Nagle poczuła się piękniejsza, pewniejsza siebie, stylowa. Jak prawdziwa paryżanka. Teraz potrzeba jej tylko trochę oglądy. Będzie się przyglądać eleganckim damom, postanowiła. Nauczy się ich sposobu chodzenia, przejmie maniery.

Za każdym razem, gdy mijała wystawę, rzucała ukradkowe spojrzenia na własne odbicie. Tak, to prawda. Rzeczywiście się zmieniła.

Kiedy dotarła do bulwaru St. Germain, właśnie popisywali się żonglerzy. Otaczała ich gromada dzieci, które krzyczały i klaskały w dłonie. Uśmiechnięta Hélène przystanęła i patrzyła na tę scenę z rozbawieniem. Nagle ujrzała obraz z przeszłości. Radość zniknęła, a na jej miejsce w oczach dziewczyny pojawił się smutek. Kiedyś stała tu z Michelle, oglądając występ innych żonglerów.

Dawno temu.

Nagle otoczyły ją wspomnienia. Może wywołały je hipnotyczne ruchy czerwonych piłeczek rzuconych i łapanych z zawodową precyzją. Może krzyki dzieci. Albo zapach wiosny w powietrzu. Cokolwiek to było, otworzyło długo zatrzaśnięte drzwi do czasów dzieciństwa, sprawiając, że nagle zobaczyła tamto wszystko na nowo. Zrobiło jej się słabo. Czuli się jak na karuzeli, a cały świat wirował wokół niej.

Odwróciła się jak w transie i zaczęła iść przed siebie. Nie był to już spacer bez celu. Teraz jakaś niewytłumaczalna siła przyciągała ją niczym magnes do określonego miejsca.

Odgłosy miasta były teraz cichsze. Krzyki dzieci przerodziły się w szept. Hélène słyszała wyraźnie jedynie stukot własnych obcasów na chodniku. Szła coraz szybciej i szybciej. Każdy następny krok wydawał się głośniejszy od poprzedniego jak narastający grzmot zbliżającej się burzy. Chodnik kołysał się jak falująca wstęga.

Potem tuż nad sobą usłyszała huk piorunu. Owiąło ją nagle ciepło i zaczęła się osuwać na ziemię. W zasięgu ręki miała żelazny słup lampy, objęła go więc, żeby utrzymać się na nogach. Trwała tak przez chwilę.

Obok zatrzymał się starszy mężczyzna i spojrzał na Hélène.

- *Mademoiselle?* - zapytał zaniepokojony. - Wszystko w porządku?

Wzięła głęboki oddech i kiwnęła głową. Staruszek odszedł. Wszystko w porządku?

- pytała samą siebie. Nie, wcale nie. Ale nikt nie zdołałby jej pomóc.

Przez następne pół godziny żwawo maszerowała przed siebie. Zawroty głowy minęły, gdy się zdecydowała. Już wiedziała, dokąd może pójść.

Nie miała kłopotów ze znalezieniem kamiennych stopni, które prowadziły na wzgórze. Minęło ponad dziesięć lat, odkąd tu była po raz ostatni, ale trafiła tak łatwo, jakby to było wczoraj.

W połowie drogi zobaczyła mały park. Nadal tu był, tak samo jak ławka, na której bawiła się Antoinette. I tak jak drzewa akacjowe. Nie miały liści, tak jak wtedy, kiedy widziała je po raz ostatni. Tylko teraz były dużo większe. Akacje szybko rosną.

A po drugiej stronie stał dom. Spojrzała na niego ciekawie. Wydawał jej się teraz mniejszy niż wówczas, gdy była dzieckiem. Ale rozpoznawała go, mimo że wyglądał na nowszy niż dom ze wspomnień. Wymieniono frontowe drzwi; teraz były z ciemnego dębu. Odeszła na zawsze kanarkowa żółć. Ale dolne okna nadal miały ozdobne poskręcane w esy-floresy kraty, a wysoko, ponad dachem, błyszcząły białe kopuły Sacré Coeur. W powietrzu wisiał ciężki zapach smażonej wieprzowiny.

Tutaj mieszkałabym, gdyby ciotka Janine nie sprzedała domu, pomyślała z goryczą Hélène. To wszystko należałoby do mnie i Edmonda. Ale nie ma sensu ciągle tego rozpamiętywać - powiedziała sobie. Trzeba myśleć rozsądnie i być praktyczną. Ona i Edmond nie mieli już żadnego prawa do tego domu. Został im ukradziony. Zaciśnęła usta i powtórzyła sobie w myślach: ukradziony.

Spojrzała na budynek. Gdyby nadal do nich należał, rozwiązałoby to mnóstwo problemów. Mogłaby mieszkać na parterze i urządzić sobie sypialnię w dawnej jadalni. Położyłaby na ścianach wesołe tapety. Miałaby salonik i kuchnię, mogłaby także korzystać z ogródka na tyłach. Nie musiałyby mieszkać z Guy Barbeau w tej obskurnej klitce.

I na dodatek mogłaby wynajmować całą górę. Nie miałyby kłopotów finansowych, nie błagałaby jędzowatej konsjerżki o cierpliwość, nie zbierałaby zgniłych owoców...

Znowu zakręciło jej się w głowie i opadła na twarde deski ławki.

Jak na zwolnionym filmie, przed jej oczami przesuwały się zniekształcone obrazy. Zobaczyła *maman* bezlitośnie kopaną w brzuch przez niemieckiego oficera o czerwonych oczach. Nawet teraz mogła słyszeć jej krzyki odbijające się echem w domu. Raz jeszcze

przeżyła serię z karabinu maszynowego, która odrzuciła Michelle na drzwi, gdzie ich opiekunka upadła jak bezwładny wór ziemniaków.

Hélène podniosła się gwałtownie i zaczęła szybko biec przed siebie.

Łzy przesłaniały jej oczy i gwałtownie ocierała je dłońmi. Mogła sobie poradzić ze wszystkim, ale nie z tym domem. Nie chcę go już nigdy widzieć, myślała. Nigdy w życiu.

- To dobrze, że ten złodziej Pierre go sprzedał - powiedziała na głos do siebie, biegnąc po kocich łbach. - Nie mogłabym tam mieszkać. Nigdy. Nie można żyć w domu pełnym duchów.

Ruszyła prosto do swojego pokoiku, dziwnie zadowolona, że Guy tam jest. Jego towarzystwo wydawało jej się teraz czymś wspaniałym.

Kiedy wróciła, okno było nadal otwarte. W pokoju panowało lodowate zimno. Guy się nie odzywał. Siedział na podłodze oparty plecami o ścianę. Był śmiertelnie zmęczony. Oczy miał wlepione w „Hiperboliczne wniebowstąpienie”.

Hélène przeskoczyła przez paletę i usiadła obok niego. Wpatrzyła się w płótno, które emanowało jakąś dziwną mocą. Nie musiał nic mówić. Obraz był skończony.

Wstała i wyszła bez słowa. Po dziesięciu minutach wróciła z butelką szampana. Wydała na niego wszystkie pieniądze, jakie mieli. Kiedy otworzyła butelkę, korek przeleciał przez pokój i wypadł przez okno. Ostrożnie napełniła ich butelki do picia i podała jedną Guy. Stuknęli się szkłem.

- Za twoją przyszłość. - Hélène spojrzała mu w oczy.

Kiwnął głową. „Hiperboliczne wniebowstąpienie” było arcydziełem, a z André Lichtensteinem nawet niemożliwe stawało się możliwe. Marszand umiał wylansować nowy talent.

Guy uśmiechnął się pełen nadziei. Droga do sławy i fortuny zdawała się stać przed nim otworem. Będzie nie tylko sławnym malarzem, ale może także wejdzie do tej małej grupy artystów, którzy odnosili sukcesy finansowe. Kto wie? Może nawet zostanie następnym Picassem, kolejnym Dalim. Teraz wszystko wydawało się możliwe.

Ale to nigdy nie nastąpiło.

Rozdział 3

Hélène odepchnęła zaskoczoną panią Guerin i pobiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Gwałtownie otworzyła drzwi i wpadła na poddasze. Pot spływał jej z czoła, a pierś unosiła się z wysiłkiem. Biegła całą drogę.

Guy stał przy zlewie. Odwrócił się do niej i spojrzał zaskoczony na jej czerwoną twarz.

- Gdzie się pali?

Odetchnęła głęboko i rzuciła się na łóżko.

- Nowiny... nie mogłam się doczekać... żeby ci powiedzieć... biegłam...

- Najpierw złap oddech - polecił spokojnie. - Potem mi wszystko opowiesz. Może napijesz się wody?

Kiwnęła głową i czekała niecierpliwie, kiedy podchodził do zlewu i napełniał pod kranem butelkę. Gdy ją niósł, woda kapiała na podłogę.

- Dzięki. - Wzięła butelkę drżącymi dłońmi i piła chciwie.

Guy usiadł obok Hélène na łóżku.

- Złapałaś oddech?

Bez słowa kiwnęła głową i grzbietem dłoni otarła wodę z ust. Guy otworzył szerzej oczy, domyślając się nowiny.

- Co? - Uścisnął ją mocno, a potem cofnął się szybko. - Gdzie? Jak? Mów!

Oczy Hélène błyszczały.

- Odpowiedziałam na ogłoszenie. Nie mówiłam ci, bo nie chciałam, żebyś się martwił, gdyby nic z tego nie wyszło. Tak naprawdę to nie miałam nadziei! Ale wreszcie wpadnie nam trochę pieniędzy! Będziemy mogli kupić coś do jedzenia, a nawet zapłacić czynsz!

Zerwała się z łóżka i zaczęła tańczyć po pokoju. Sukienka wirowała wokół jej kolan.

- Będziemy bogaci! - śpiewała. - Będziemy bogaci!

Pod nimi ktoś zaczął walić w sufit, uradowana Hélène tańczyła jednak dalej. Wreszcie zmęczona opadła na łóżko. Znowu zabrakło jej tchu.

- No więc? - Guy się zniecierpliwiał. - Zamierzasz tańczyć przez całą noc czy też może powiesz mi, co to za praca i gdzie?

- To doprawdy nic wielkiego. Będę szatniarką! Ale to niedaleko i mogę chodzić tam pieszo. Nawet w deszcz. Myślę, że pierwszą rzeczą, jaką sobie kupię, będzie parasol. - Jej oczy zabłysły. - I będę się cieszyć za każdym razem, gdy zacznie padać. Nigdy już nie zmoknę!

- Będiesz szatniarką? - powtórzył cicho Guy.

- Tak. - Pomachała lekceważąco dłonią. - Och, wiem, że to nic specjalnego. Ale mówili mi, że są dobre napiwki.

- Gdzie to jest? - zapytał nieufnie.

- Na rue de la Tour-d'Auvergne.

Powoli pokiwał głową.

- Czy nie jest to przypadkiem Folies de Babylon?

Hélène spojrzała na niego zaskoczona.

- Byłeś tam!

Pokręcił głową z wahaniem.

- Nie, nie byłem. Ale słyszałem wystarczająco dużo. To nie jest przyzwoity lokal. Ma... powiedzmy, złą reputację.

- Nie jest przyzwoity? Reputacja? Co chcesz mi powiedzieć? Że nie powinnam tam pracować, bo to nocny klub? - naskoczyła na niego ze złością.

- Nie dlatego. Ale przychodzą tam mężczyźni, którzy szukają dziewczyn do towarzystwa. Niezbyt porządnych dziewczyn. Wiesz, o co mi chodzi.

- Tak, wiem - odrzekła znużonym głosem Hélène. - Jestem w Paryżu dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że istnieje coś takiego jak prostytutka. No więc co? Nie jestem prostytutką i nie zamierzam nią zostać. Będę zwykłą szatniarką.

Guy wzruszył ramionami.

- Zrobisz, jak zechcesz. Ale nie zostaniesz tam długo. Oni stale zmieniają dziewczęta.

- Więc będę pracowała dwa razy więcej. Trzy razy. Na pewno utrzymam tę pracę.

Zdenerwowany Guy wcisnął ręce w kieszenie i zaczął chodzić po pokoju.

Hélène patrzyła na niego przez chwilę bez słowa. W końcu zapytała:

- Nie chcesz, żebym tam pracowała, tak?

- Nie mogę ci mówić, co masz robić - odrzekł, przystając na chwilę.

Hélène złapała go za rękę i ścisnęła z całej siły.

- Potrzebujemy pieniędzy, Guy, nie rozumiesz tego? To jest szansa! Jeszcze dwa tygodnie i musimy zapłacić komorne. - Teraz ona maszerowała tam i z powrotem po poddaszu. - Musimy mieć pieniądze, żeby jeść. - Spojrzała na niego błagalnie. - Proszę, zrozum mnie. Chcę wreszcie jeść jak inni ludzie. Jestem zmęczona przeszukiwaniem śmieci i odganianiem much, żeby zdobyć resztki, które ktoś wyrzucił!

- To ty nie rozumiesz - odrzekł cicho. - W Folies de Babylon będzie gorzej. Tam ty sama staniesz się śmieciem.

- Więc stanę się taka jak te resztki, które jem! - oświadczyła ze złością. - A znam już dobrze ich smak. Czy naprawdę myślisz, że praca w śmietniku jest czymś gorszym niż wyciąganie resztek z niego?

Guy sięgnął po wiszący na haku płaszcz.

- Idę na spacer. - Spojrzył na nią z niesmakiem. - Potrzebuję świeżego powietrza.

Patrzyła z zaskoczeniem, jak wychodził. Chciała otworzyć drzwi i go zawołać, ale zmieniła zdanie. Westchnęła i odwróciła się. To bez sensu. Był zbyt uparty, aby jej posłuchać.

Nagle zauważyła jakąś zmianę w pokoju. Po chwili uświadomiła sobie, że „Hiperboliczne wniebowstąpienie” zniknęło. Widocznie André Lichtenstein zabrał obraz podczas jej nieobecności. Zrozumiała, że zepsuła radość Guy, ciesząc się swoją pożałowania godną pracą. Nic dziwnego, że poczuł się urażony.

Podbiegła do drzwi i otworzyła je szeroko.

- Guy! - zawołała. - Guy! Proszę, zaczekaj!

Ale było już za późno. W odpowiedzi usłyszała jedynie wściekłe trzaśnięcie wejściowych drzwi, aż zadźwięczały szybki.

- Ty głupcze! - Krzyk pani Guerin rozległ się echem po klatce schodowej. - Chcesz rozwalić dom?

Hélène powoli zamknęła drzwi i oparła się o nie ciężko. Żałowała, że nie ma czasu, by usiąść, odprężyć się i zastanowić nad tym, co zaszło. Ale wkrótce musiała zacząć się przygotowywać. Za niecałe dwie godziny miała być w pracy.

Uśmiechnęła się z goryczą. Świetny początek, nie ma co.

Przyszła na rue de la Tour-d'Auvergne pół godziny przed otwarciem klubu. Noc była ciemna, ale duży czerwony neon nad wejściem jeszcze się nie świecił.

Hélène zawahała się przez chwilę, stojąc w wielkich, szklanych, podwójnych drzwiach. Były pomalowane liliową farbą, żeby klienci nie mogli przez nie zerknąć bez płacenia, ale jej wydawały się złowieszcze. Była tak zdenerwowana, że zęby stukały jej jak kastaniety. Nigdy wcześniej nie pracowała w wielkim mieście, a w dodatku w nocnym lokalu, i ogarnął ją strach. Może ci tutaj będą na nią patrzyli tak jak *madame* d'Arbeuf i uznają, że jest prowincjonalną gęsią. Albo jeszcze gorzej... Serce zaczęło jej mocno bić. A jeśli to miejsce okaże się jeszcze gorsze, niż mówił Guy? Już chciała uciec, ale zmusiła się do pozostania. Myśl o pieniądzach, mówiła do siebie surowo. Chyba nie chcesz głodować? Popatrzyła na liliowe drzwi, a potem odetchnęła głęboko, pchnęła je i weszła do środka. Próbowała ze wszystkich sił być dzielna, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Trzęsła się jak w febrze.

Jasne światła pod sufitem jeszcze się paliły, a w ich blasku wewnątrz wydawało się niegustowne i tandetne. Hélène mimo woli zmarszczyła nos, czując smród zestarzałego tytoniu i rozlanego alkoholu wiszący w powietrzu. Mijając pokój hostess, zatrzymała się i zerknęła do środka. Potem ruszyła między małymi stolikami w kierunku sceny, która zajmowała cały przód wielkiej sali. Idąc, rozglądała się wokoło.

Jej obawy z wolna się rozwiały. Podświadomie oczekiwała jaskini rozpusty, a tymczasem całość wyglądała raczej teatralnie i zabawnie. Ten, kto urządzał to miejsce, nie miał dobrego smaku, a z kolorów znał tylko połączenie lila z różem. Ściany były liliowe, ozdobione różowymi cekinami, podobnie jak kurtyna zasłaniająca scenę. Po obu stronach stały figury Murzynek w turbanach. Z wyjątkiem twarzy one również były całe w kolorze liliowym z różowymi cekinami.

W sali znajdowało się chyba około stu stolików. Każdy przykryty różową serwetą, z małą lampką z różowym abażurem, wielką różową kartą z czarnym numerem i różowym

telefonem. H el ene od razu si  domy li a, do czego s u a te aparaty. Można ich by o u ywa , by dzwoni  z jednego stolika do drugiego, wykr caj c jego numer. Miał to by  dyskretny spos b zawierania znajomo ci.

Za r zowym barem dw ch znudzonych Algierczyk w w  rednim wieku polerowa o kieliszki. Z przodu siedzia  na taborecie wielki wykidaj o. Spojrza  na ni  zezem. Czy ci  syczorykiem paznokcie. Z o y  go ostro nie i kiwn a na ni  grubym paluchem. Podesz a i spojrza a pytaj co. Jego ciemne oczy b yszcz ały pod g stymi czarnymi rz sami.

- Frontowe drzwi tylko dla klient w - o wiadczy  kiepskim francuskim. - Drzwi dla pracowników w bocznej alei. - Kiwn a w lewo.

H el ene by a zak opotana.

- Przepraszam - wykrztusi a. - Nie powiedziano mi.

- Dobrze, nie zapominaj na przysz o . Ten klub nale y do *monsieur* Blonda. On nie lubi pomy ek. Szczeg lnie ze strony pi knych dziewcz at. - Obejrza  j  od st p do g w. - Tutaj trzeba s ucha  *monsieur* Blonda.

Kiwn a g w a i u miechn a si  niewyra nie.

- Zapami tam.

- Bardzo dobrze. - Si gn a do kieszeni po papierosa i patrzc na H el ene, zaci gn a si  dymem.

Pokiwa  g w a. Wygl da  wie o i zdrowo, nie jak te zniszczone dziwki o ziemistej cerze i wymalowane stare pud a. Tak, jest rzeczywi cie pi kna. Je eli *monsieur* Blond nie zainteresuje si  ni , to mo e... - U miechn a si  do swoich my li.

- Teraz b d  grzeczn a dziewczynk  i przejd  przez scen . Zapytaj o Matk . Da ci kostium i powie, co masz robi  - zwr ci  si  przyja nie do H el ene.

Kostium? - zdziwi a si . Jaki kostium? Nikt jej nic nie m wi  o kostiumie. Potem wzruszy a ramionami. Odwr ci a si , min a bar i wesz a po stopniach na scen . Po omacku dotyka a przez chwil  kurtyny, potem znalaz a wej cie i w lizgn a si  za kulisy.

Panowa  tam o ywiony ruch. G rne  wiat a  wieci y ja niej ni  te w sali. H el ene zobaczy a wysokie, d ugonogie tancerki w nabijanych cekinami sk pych kostiumach i wielu muskularnych statyst w w opi tych strojach lub jedynie w przepaskach na biodrach. Stali znudzeni i palili papierosy. Z bliska ich makija  by  krzykliwy, a sk ra pod pow ok 

pudru chropowata i pokryta pryszczami. Zaskoczona zauważyła, że tancerki miały pomalowane różem piersi, a płaskie brzuchy chłopców podkolorowano brązową szminką.

W kącie orkiestra stroiła instrumenty; klarnet zapiszczał głośno.

Hélène zdumiała kiczowata świetność tego wszystkiego. Maszyneria unosząca kurtynę była wielka i błyszcząca. Dziewczyna spojrzała na nią z lękiem. Na szczycie sze-rokiej złotej piramidy znajdowały się figury stojących dęba koni z kolorowymi pióropuszcami na łbach. Spojrzała wyżej, na sufit. Było tam jeszcze więcej dekoracji zawieszonych wysoko nad sceną i gotowych do opuszczenia w określonym momencie.

Nagle podłoga pod nią zaczęła się poruszać. Przerazona spojrzała w dół. Zorientowała się, że stoi na obrotowej scenie. Zeskoczyła na nieruchomą część i znalazła się w środku grupy plotkujących dziewcząt. Większość z nich miała na sobie różowe bikini i wielkie turbany z różowymi strusimi piórami. Trzymały sztywno głowy, aby imponujące zawoje się nie zsunęły.

- Nie znoszę tego kostiumu - narzekała ze złością jedna z dziewcząt. Miała gruby różowy koński ogon przymocowany na pośladkach, a drugi na czubku głowy. - *Monsieur Blond* jest sadystą, że kazał nam się ubrać tak wcześniej. Bola mnie stopy i chcę usiąść! - Parsknęła i zatupała. Ogon podskakiwał w górę i dół, tak jak u konia. Hélène nie mogła powstrzymać chichotu.

Dziewczyna odwróciła mocno umalowaną twarz i oparła ręce na nagich biodrach.

- Może mi powiesz, z czego się śmiejesz? - zapytała groźnie.

Hélène zakryła dłonią usta i cofnęła się szybko.

- N-nie, *mademoiselle* - wyjąkała zakłopotana. - *Excusez-moi*, nie śmiałam się z pani. Tylko... szukam Matki.

- Och! - Dziewczyna zmrużyła oczy. - Jesteś tu nowa, co? Hélène kiwnęła głową.

- Jestem nową szatniarką.

- Słuchaj, kochanie, wszystkie jesteśmy szatniarkami. Czyż nie, moje panie? -

Spojrzała na pozostałe i mrugnęła.

Wybuchnęły śmiechem. Hélène czuła, że się rumieni. Jedna z dziewcząt wystąpiła do przodu.

- Nie zwracaj uwagi na Angelique - powiedziała życzliwie. - Jest wściekła, bo zaszła w ciążę i musi sama zapłacić za skrobankę. Chodź, zaprowadzę cię do Matki. - Wzięła Hélène pod rękę i popatrzyła groźnie na koleżankę. Potem ponownie zwróciła się do Hélène: - Mam na imię Denise.

- A ja Hélène. - Uśmiechnęła się nieśmiało. Poszły dalej przez ciemny wąski korytarz.

- Nie przejmuj się dziewczętami - powiedziała Denise. - Tak naprawdę nie są złe. Tylko lubią udawać takie ostre. A te wszystkie pióra są ciężkie i grzeją, wierz mi. To zdumiewające, że nie kłócimy się częściej. Ach, jest Matka.

Zatrzymały się w drzwiach jednej z garderób. Były otwarte i Hélène mogła zerknąć do środka. Stary, pomarszczony, drobny mężczyzna z krótką brązową grzywką, ubrany w białą falbaniastą koszulę robił makijaż jakiejś statystce.

- Nic nie widzę przez te rzęsy, Matko! - jęczała dziewczyna. - Są sztywne jak szczotka!

- Nie martw się, *chérie*. Najwyżej wyklują ci oczy - zagadał piskliwym głosem i coś poprawił. - Gotowe. - Odstąpił do tyłu, by ocenić efekt, i złożył ręce. - Wyglądasz szykownie.

Hélène spojrzała zdumiona na Denise.

- To jest Matka? - wyszeptała z niedowierzaniem, pokazując palcem mężczyznę. Denise przytaknęła.

- Poza tym, że ma ostry język, jest nieszkodliwy. Jeżeli jesteś dziewczyną. Chłopcy go nie lubią, bo ciągle próbuje ich obściskać. Nazywamy go Matką, bo to pedzio. Właściwie podoba mu się to, bo czuje się jedną z nas.

- Jedną z nas?

- Jasne. Nas, dziewcząt. - Denise uśmiechnęła się. - W każdym razie matkuje nam wszystkim. Jest jak stara kwoka, ale bardzo go kochamy.

Hélène pokręciła głową. Kobiety z końskimi ogonami. Sztuczne rzęsy. Mężczyzna nazywany Matką, który lubi chłopców. To wszystko było bardzo dziwne.

Patrzyła, jak statystka pochyliła się nad lustrem i zamrugła oczami.

- Prawdopodobnie oślepnę w ciągu pięciu minut - zawodziła. Matka wzięła ją za ramię i skierował ku drzwiom.

- Zmykaj, *chérie*. - Nagle spojrzał na Hélène i uderzył się dłonią w czoło. - Chyba zemdleję! - krzyknął. - Skąd się tu wzięła ta zdrowa istota? *Mon Dieu!* Czy mam zrobić z niej wymalowaną lafiryndę? Och, chyba zaraz zemdleję!

- Jest nową szatniarką - wyjaśniła Denise. Matka uśmiechnęła się do Hélène.

- Jak się masz? Hm. Masz uroczą skórkę. Może dam ci kostium mleczarki? - zastanawiał się.

- Kostium... mleczarki? - zapytała zmieszana Hélène, patrząc na Denise.

Jej towarzyszka zmarszczyła groźnie brwi.

- Nie ośmielisz się! To jeden z jego wiejskich kostiumów. Po prostu najbrzydszy, jaki można sobie wyobrazić. Dotąd żadna dziewczyna nie zgodziła się go włożyć. Ma tak głęboko wycięty dekolt, że cycki praktycznie wiszą na wierzchu, do tego lamówki z koronki, a jeszcze ten paskudny wiejski kapelusz à la Maria Antonina. Fe! - wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

Matka spojrzał na nią z wściekłością.

- Co rozumiesz przez „fe”? Sam go zaprojektowałem. Prosta góra, siatkowe pończochy i to wszystko. Jest bardzo seksowny.

- Jest ohydny - warknęła Denise. - Masz kataraktę na oczach? Gdzie twój gust? Nie widzisz, że ona ma klasę? Daj jej coś przyzwoitego, żeby nie wyglądała jak stara szmata. W przeciwnym razie zmówimy się i odetniemy ci jaja.

Wydał z siebie piskliwy krzyk.

- Wstrętne dziewczęta! Nie ośmielicie się!

Była szósta rano, kiedy dziewczęta wreszcie wyszły z klubu. Świtało. Hélène zamrugała. Po atmosferze zabawy karnawałowej w środku, po wielkiej ciemnej sali pełnej różowych lampek, po występach tancerzy, smokingach mężczyzn i pięknych sukniach kobiet zdumiewające było znaleźć się nagle na świeżym powietrzu i przekonać się, że jest już dzień.

W alejce czekał na nią Guy. Kiedy go ujrzała, serce zabiło jej mocniej.

- Jak było? - zapytał z uśmiechem. Poczwała się szczęśliwa.

- Zaczynam myśleć, że nie najgorzej.

Mówiła prawdę. W jakiś dziwny sposób była właściwie zadowolona. Może dlatego, że wreszcie skończyła pracę. A może z powodu dziewcząt? Denise miała rację, nie były złe.

- Dobrze - powiedział. - Chcę usłyszeć o wszystkim.

Hélène poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciła się. Stała przed nią Denise z bladą, bezbarwną twarzą bez makijażu. Rude włosy miała ukryte pod szalem.

- Do zobaczenia wieczorem - powiedziała. Spojrzała kątem oka na Guy, a potem pochyliła się i przysunęła wargi do ucha Hélène. - Masz przystojnego chłopaka - szepnęła cichutko. - I do tego dżentelmena. Pomyśl tylko, czekał tutaj, żeby odprowadzić cię do domu! Nie wypuszczaj go z rąk i jak najszybciej włóż mu na palec obrączkę! - Potem jej głos zabrzmiał normalnie. Pomachała im ręką. - *Bon nuit!* - zaśpiewała.

Hélène roześmiała się i również jej pomachała.

- *Bon nuit*, Denise. Śpij dobrze.

Guy wziął ją pod ramię.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważył, gdy szli do domu.

- Czuję się wykończona! Nigdy w życiu nie pracowałam tak ciężko. Jestem na nogach od dziewiątej wieczorem. Wiesz, co zrobię, kiedy tylko przyjdziemy do domu? Zagrzeję wielki garnek wody i wymoczę nogi.

Pogładził ją po dłoni.

- Nawet o tym nie myśl. Usiądziesz i odpoczniesz, a ja zagrzeję wodę dla ciebie.

Przez kilka minut szli w milczeniu. Potem Hélène zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Słuchaj, Guy - powiedziała cicho. - Przepraszam.

- Za co?

- Za wczorajsze przedpołudnie. Byłam taka przejęta pracą, że nie zauważyłam, iż nie ma obrazu.

Guy beztrąsko wzruszył ramionami.

- Spójrzmy na to od innej strony. Obojgu nam udało się coś osiągnąć tego samego dnia. - Umilkł i spojrzał jej w oczy ze skrucą. - Ja także przepraszam za to, jak się

zachowałem. Nie miałem prawa tak mówić. Nigdy nie będziesz szmatą, Hélène. -

Uśmiechnął się łagodnie. - Czy wciąż wybierasz się do galerii na otwarcie wystawy?

- Możesz na mnie liczyć. Nie zrezygnowałabym z tego za żadne skarby świata.

Pokiwał głową zadowolony.

- Oczywiście nie jestem jedynym artystą. Trzeba mieć dwadzieścia lub trzydzieści obrazów, żeby móc wystawić je samodzielnie. Ale to początek. A pan Lichtenstein uważa, że są spore szanse na sprzedaż obrazu za przyzwoitą cenę. Tak jak ci mówiłem, on kreuje geniuszy. Teraz ty mów. Jak ci poszło?

Hélène pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła pogniecione banknoty.

- Patrz!

- Dobry Boże! Ile tego jest?

Schowała pieniądze z powrotem i zaśmiała się z dumą.

- Jeszcze nie liczyłam. Dostałam jedną trzecią napiwków. Tyle samo zatrzymuje klub i Yvette, druga szatniarka. Słuchaj, może znajdziemy jakąś kawiarnię otwartą o tak nieprzyzwoitej porze i uczymy to śniadaniem?

Zmarszczył brwi.

- Myślisz, że powinniśmy?

- Oczywiście. To tylko pieniądze.

- Mówisz jak prawdziwa milionerka.

Pół godziny później skończyli pić kawę i jeść bułeczki w niewielkiej kafejce otwieranej bardzo wcześnie dla robotników. Hélène odstawiła filiżankę na mały stolik. Popatrzyła na Guya i roześmiała się szczerze.

- Doprawdy, Guy! - powiedziała. - Mówię poważnie. Nie miałam pojęcia!

Obawiałam się... no że będę musiała się opętać, wiesz? Przed mężczyznami. Ale w pewnym momencie zainteresował się mną starszy, siwy dżentelmen. Chciał, bym z nim posiedziała i napiła się szampana. Nie chciałam, ale Yvette powiedziała mi, że nie mogę odmówić. No więc podeszłam do jego stolika. Ten starszy pan był bardzo uprzejmy i poprosił, żebym usiadła. Potem jeden z kelnerów - wszyscy są Algierczykami, wiesz - podszedł i zapytał: „Czy życzy sobie pani coś do picia, *mademoiselle*?”. A ja na to: „Tak, proszę. Chciałabym szklankę wody mineralnej”. Za jakieś trzy minuty kelner wrócił i

powiedział, że *monsieur* Blond chce mnie widzieć. To szef, wiesz. Cóż, myślałam, iż będzie nalegał, żebym poszła do hotelu czy gdzie indziej z tym starym mężczyzną. Po drodze wymyślałam sobie różne wymówki. Ale kiedy weszłam do biura, dostałam chyba najostrzejszą naganę w życiu! „*Mademoiselle* - oświadczył pan Blond - naśladowała jego zimny syczący głos. - Nie wiem, z jakiego cholernego regionu pani pochodzi, ale chcę coś pani wyjaśnić. Czy pani wie, jak tu zarabiamy pieniądze?” Popatrzyłam na niego, pewnie miałam głupi wyraz twarzy. „Pobierając opłatę za wstęp?” - spytałam zażenowana. „Sprzedając szampana. Za każdym razem, gdy gość chce pani postawić coś do picia, zamawia pani szampana. Czy to jasne?”

Guy śmiał się tak, że aż łzy popłynęły mu z kącików oczu. Było to zaraźliwe i Hélène również roześmiała się histerycznie.

- Wiesz co - powiedział - jeżeli ktoś może zniszczyć ten klub, to tylko ty!

Rozdział 4

Tydzień później, krótko po północy, do Folies de Babylon weszła Jocelyne. Ostrożnie położyła eleganckie futro na blacie w szatni, wzięła plastikowy numerki i poszła za szefem sali do stolika oznaczonego liczbą dwadzieścia jeden. Była świadoma tego, że wszyscy mężczyźni pozerali ją oczami. Unosił się za nią intensywny, słodki zapach lawendy.

Lawenda. Ta suka wciąż używa lawendy, pomyślała Hélène, chwytając się blatu. Nagle cofnęła się do roku 1944 w okupowanym przez Niemców Paryżu. Znowu znajdowała się wraz z rodzeństwem w luksusowym burdelu prowadzonym przez elegancką filigranową *madame* Chang. Przypomniała sobie, gdzie obudziło ją ciche pukanie do drzwi pokoju Gisele. Jocelyne w błękitnym szyfonowym peniuarze rozmawiała z Gisele gardłowym szeptem.

- „Ale dlaczego SS szuka tych dzieci?” - zapytała Gisele.

- „Są mordercami” - wysyczała Jocelyne.

Gisele roześmiała się z niedowierzaniem.

- „Mordercami? Te kochane dzieciaki?”

- „Zabiły wczoraj niemieckiego żołnierza... Jest nagroda za informacje, które pomogą w ich ujęciu... pół miliona franków... Możemy za to kupić trzy, a nawet cztery sukienki”.

Taka była ich cena. Czwooro dzieci wydanych wrogom w zamian za trzy, a może cztery sukienki. Dla tych dwóch kobiet suknie były cenne, a czyjeś życie nie miało żadnej wartości.

Hélène patrzyła na Jocelyne. Początkowy szok mijał i poczuła, jak ogarnia ją zimna śmiertelna nienawiść.

Yvette spojrzała na nią zaskoczona.

- Coś nie tak? - zapytała z obawą w głosie. Hélène ponuro patrzyła przed siebie.

- Wszystko w porządku! - odrzekła ochryplym głosem.

- Zatem pospiesz się i powieś to futro.

Hélène odsunęła się od okrycia Jocelyne, jakby to był wąż.

- Przepraszam! - Yvette spojrzała na Hélène, chwyciła futro i poszła je powiesić.

Przez całą noc Hélène nie odrywała wzroku od Jocelyne. Ta kobieta wyglądała wspaniale; musiała to przyznać. Kiedy wchodziła do sali, wszyscy ją zauważali. Miała urodę i królewską postawę. Ani razu nie spojrzała na tandetne widowisko na scenie. To ona była gwiazdą w Folies de Babylon.

Nawet ubierała się jak gwiazda; miała czerwoną wieczorową suknię i długie rękawiczki. Nadal była uderzająco piękna: szczupłe ciało i pełne, okrągłe piersi. Złote kręcone włosy, cienkie złote brwi. Zmieniły się tylko niebieskie oczy - wydawały się teraz dziwnie puste.

Więc Jocelyne nie pracuje już w luksusowym burdelu, pomyślała Hélène z satysfakcją. Stała się zwykłą barową dziwką. Ale zasłużyła na coś gorszego! Ta suka wydała Edmonda, Catherine, Marie i mnie. To Zdrajczyni. Kolaborantka!

Hélène zmrużyła oczy. Jocelyne tak samo jak Niemcy była winna tego, co spotkało Catherine i Marie. To przez nią ich malutką siostrzyczkę przypalano papierosem. Przez nią Catherine i Marie zginęły gdzieś w obozie.

Tak, a dla Jocelyne los był łaskawy. Zbyt łaskawy.

Przez godzinę siedziała przy stoliku, sączyła szampana, paliła papierosy i odpowiadała na telefony. Ale w miarę upływu czasu zaczęła tracić opanowanie. Wydawała się czymś zdenerwowana. Hélène zastanawiała się czym. Z pewnością nie brakiem zainteresowania ze strony panów. Telefon dzwonił bez przerwy.

Wreszcie do stolika Jocelyne podszedł wysoki, śniady mężczyzna z brodą. Hélène patrzyła z uwagą. Mężczyzna nie usiadł, zamienił kilka słów z Jocelyne, a potem dyskretnie sięgnął do kieszeni i wsunął Jocelyne coś do ręki. Kiedy zniknął, rozejrzała się z niepokojem i wstała. Hélène myślała, że tamta wychodzi. Jednak ona skierowała się do toalety.

Hélène wahała się przez chwilę, a potem zwróciła się do Yvette:

- Muszę iść do łazienki. Zastąpisz mnie?

- Jasne. Dobrze się czujesz?

- Chyba zjadłam coś, co mi zaszkodziło - powiedziała szybko Hélène i zanim koleżanka zdążyła zapytać o coś jeszcze, pospieszyła śladem Jocelyne.

Toaleta była w głębi małego korytarza. Hélène zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę stała w jasno oświetlonym pomieszczeniu. Było tu zupełnie cicho. Dźwięki dochodzące ze sceny wydawały się słabe i odległe. Zerknęła na drzwi prowadzące do trzech kabin. Wiedziała, że miały zamki, ale wiedziała również, że wszystkie były zepsute. *Monsieur* Blond nie życzył sobie, aby jego pracownicy marnowały czas w toalecie. Raz przyłapał tam jedną z dziewczyn na picciu alkoholu.

Hélène podeszła do pierwszych drzwi i pchnęła je. Kabina była pusta. Druga również. W końcu pchnęła trzecie drzwi. Z trudem powstrzymała okrzyk.

Jocelyne siedziała z zamkniętymi oczami na sedesie. Zsunęła długą białą rękawiczkę; a z ramienia wystawała igła.

Dziewczyna cichuteńko zamknęła drzwi; oszołomiona Jocelyne nawet jej nie zauważyła. Hélène szybko wyszła z łazienki i przez chwilę stała bez ruchu. Potem zobaczyła telefon na ścianie obok drzwi toalety. Zaciśnęła wargi. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł, ale potrzebowała drobnych. Pobiegnęła z powrotem.

Yvette popatrzyła na nią podejrzliwie.

- Po co ci drobne? - zapytała.

- Nie bądź taka ciekawa. Muszę zadzwonić.

Yvette niechętnie sięgnęła do pudełka z napiwkami i podała jej monetę.

- Zrób to szybko. *Monsieur* Blond nie lubi, gdy dziewczęta gadają przez telefon.

Hélène obejrzała się; Jocelyne nie wyszła jeszcze z toalety.

- Dzięki za radę - rzekła sucho. Potem zadzwoniła na policję. Podała rysopis Jocelyne, numer stolika, wyjaśniła, gdzie znajduje się toaleta. Kiedy telefonowała, minął ją jeden z porządkowych. Przestała rozmawiać, gdy był obok niej.

Wróciła do pracy i niecierpliwie czekała na żandarmów. W pewnej chwili niespokojnie odwróciła się do Yvette.

- Która godzina?

Yvette westchnęła i spojrzała na zegarek.

- Dwie minuty później niż było ostatnio, kiedy pytałaś - odrzekła zmęczonym głosem i spojrzała na nią podejrzliwie. - O co chodzi? Czekasz na kogoś?

Hélène potrząsnęła głową.

- Nie...

Nagle zamarła. Jocelyne wracała do stolika. Nie była już spięta ani zdenerwowana. Narkotyk zrobił swoje. Jeden z kelnerów podał jej butelkę szampana w wiaderku z lodem i napelnił kieliszek. Uśmiechnęła się, a potem odebrała telefon, rozejrzała po sali i rzuciła komuś wystudiowany uśmiech. Skinęła aprobująco głową, a chwilę później Hélène zobaczyła niskiego, grubego mężczyznę w wieczorowym garniturze. Podniósł się od swojego stolika i zadowolony podszedł do Jocelyne. Odsunął krzesło, usiadł naprzeciw niej i zapalił papierosa.

Kilka minut później przy drzwiach nastąpiło zamieszanie. Hélène wychyliła się zza lady. Dwóch umundurowanych żandarmów odpychało Algierczyków. Rozejrzeli się i podeszli do stolika Jocelyne, która sprawiała wrażenie zaskoczonej. Niski grubas skoczył na równe nogi i mówił coś nerwowo, żywo gestykułując. Jeden z żandarmów chwycił torebkę Jocelyne i wysypał jej zawartość na stół. Kobieta krzyknęła. Zsunął rękawiczkę z jej ramienia. Stała bez ruchu, ramiona jej drżały, kręcone włosy opadły na twarz. Wszelkie rozmowy ustały. *Monsieur* Blond i jeden z jego goryli pospiesznie szli do stolika. Ciemny garnitur i przeciwsłoneczne okulary właściciela kontrastowały z jego jasnymi włosami.

Odciągnął jednego z żandarmów na bok i próbował coś tłumaczyć. Orkiestra na scenie nie przestawała grać, a dziewczęta z rewii robiły, co mogły, by zainteresować gości swoim występem. Nikt na nie nie patrzył. Klienci wołali o rachunki, a prostytutki szukały torebek, zbierając się do wyjścia.

- Co się dzieje? - spytała zaciekawiona Yvette. Odsunęła Hélène, żeby mieć lepszy widok.

- Wyprowadzają kogoś - odrzekła cicho Hélène. Yvette spojrzała na nią oskarżycielsko.

- To ty, prawda? Ty wezwałaś policję! Po to szukałaś drobnych. Dlatego byłaś taka zdenerwowana!

Hélène spuściła wzrok.

- Ty idiotko! - wyszczała Yvette. - Nie wiedziałaś, że to miejsce balansuje na granicy prawa! Chcesz, żeby zamknęli klub? Chcesz, żebyśmy wszystkie straciły pracę?

Hélène potrząsnęła głową.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie pomyślałam o tym.

- Nie pomyślałaś! Do diabła, to o czym myślałaś? Jeżeli dziewczyny się dowiedzą, wydrapią ci oczy!

- Nie powiesz im, prawda? Yvette uśmiechnęła się złośliwie.

- Nie tym razem. Jocelyne to najohydniejsza suka, jaką znam.

Jocelyne została wyprowadzona, a atmosfera w klubie powoli się uspokajała.

Monsieur Blond rozmawiał ze wszystkimi wychodzącymi klientami i większość z nich zdecydowała się zostać. Potem Hélène zauważyła, że podszedł do niego algierski bramkarz i coś mu szeptał. Ten sam, który widział, jak telefonowała. Szef kiwnął głową i wrócił do biura. Algierczyk podszedł do Hélène.

- *Monsieur* Blond chce cię widzieć - oświadczył ponuro. - Natychmiast.

Yvette spojrzała na nią zmartwiona. Hélène uśmiechnęła się słabo i ruszyła za bramkarzem.

Gabinet właściciela znajdował się w tym samym korytarzu co toalety. Kiedy Hélène weszła, szef siedział za biurkiem. Teraz też nosił okulary przeciwsłoneczne. Nigdy nie widziała go bez nich.

Spojrzał na nią obojętnie i wskazał na bramkarza.

- Houari powiedział mi, że korzystałaś z telefonu w holu. - Jego głos był ostry i zimny.

Hélène wzięła głęboki oddech. Nie było sensu zaprzeczać. Wielu ludzi mogło ją zauważyć.

- Tak - odrzekła cicho.

- I wezwałaś policję?

Przytaknęła.

Monsieur Blond strzelił palcami.

- Możesz mi powiedzieć dlaczego?

Hélène spuściła wzrok na kosztowny dywan. Jej oczy śledziły intrygujący wzór. Wreszcie potrząsnęła głową.

- To osobista sprawa - odpowiedziała cicho.

- Jesteś bardzo tajemnicza, *mademoiselle*. Wygląda na to, że chcesz nas zrujnować.

- Nie chciałam narobić kłopotów - odrzekła pospiesznie. Potem przygryzła wargi.

Czuła się głupio. Co mogła powiedzieć? Że wezwanie policji było prywatną wendetą? Że nie pomyślała o następstwach dla klubu?

- Obawiam się, że nie mam wyboru, *mademoiselle* - oznajmił sucho *monsieur* Blond. - Od tej chwili już tu nie pracujesz.

Hélène podniosła wzrok na imponujący kamienny budynek przy Faubourg St. Honoré. Był to przykład najlepszej paryskiej architektury osiemnastowiecznego neoklasycyzmu. Miał fasadę z kolumnami i spadziste dachy. Wyglądał raczej na pałac niż na budynek o przeznaczeniu handlowym. Galeria André Lichtensteina zajmowała większość parteru.

- Wygląda dość surowo - zauważyła nerwowo.

Guy roześmiał się.

- Nie pozwól, by cokolwiek cię onieśmiało.

- Czuję się tu niezręcznie. Nie jestem gotowa na spotkanie ze śmietanką towarzyską.

- A kto mówi, że oni są gotowi na spotkanie z tobą? No już, wchodzimy. - Wziął ją pod ramię i poprowadził do dużych oszklonych drzwi, które przytrzymał dla nich odzwierny.

Galeria była pełna ludzi. Większość gości miała oryginalne, pełne fantazji stroje, po których można było odróżnić artystów od kupujących. Ci pierwsi byli biedniej ubrani i nieuczesani. Hélène od razu zauważyła „Hiperboliczne wniebowstąpienie”. Wisiało wysoko, na honorowym miejscu, na czarnej ścianie w głównej sali, naprzeciwko schodów wiodących na półpiętro, tak że można było podziwiać obraz z dwóch poziomów.

Pojawił się kelner z tacą pełną kieliszków i Guy podał jeden Hélène.

- Za „Hiperboliczne wniebowstąpienie”. - Uśmiechnęła się i stuknęła z nim kieliszkiem.

- Amen.

André Lichtenstein, mężczyzna w doskonale skrojonym wieczorowym garniturze, torował sobie drogę do nich przez tłum. Wysoki, dystyngowany, wyglądał bardziej na menedżera niż marszanda. Widać handel dziełami sztuki przynosi wielkie pieniądze, pomyślała Hélène. Właściciel galerii miał ciemne, posiwiałe na skroniach włosy i nosił okulary w złotych oprawkach.

- Jak się miewa nasz geniusz? - zapytał gładkim głosem.

Guy uśmiechnął się nerwowo.

- Chyba dobrze.

Lichtenstein odwrócił się do Hélène.

- *Mademoiselle* Junot - przedstawił ją Guy. - Hélène, poznaj *monsieur* Lichtensteina.

Uśmiechnęła się, przełożyła kieliszek do lewej ręki i wyciągnęła prawą. Zdumiała się, kiedy marszand uniósł jej dłoń do ust i pocałował. Ledwie poczuła muśnięcie jego warg. Potem wyprostował się i uśmiechnął.

- Jest pani bardzo piękna, *mademoiselle* - powiedział i zwrócił się do Guy. - Chcę, żebyś poznał pewne małżeństwo, które wyraziło chęć kupienia twojego płótna.

Guy otworzył usta ze zdumienia.

- Tak szybko? Poważnie?

Lichtenstein kiwnął głową.

- Poważnie - odrzekł z kamienną twarzą.

Hélène spojrzała na przyjaciela. W jej oczach błyszczał entuzjazm. „Słyszałeś?” - pytała go bez słów.

Lichtenstein odwrócił się na chwilę i rozejrzał po sali, szukając kogoś.

- Są prawdopodobnie na górze - powiedział. Wziął Hélène pod ramię i poprowadził na środek sali, gdzie wznosiły się kręcone schody prowadzące na półpiętro.

Roztaczał się stamtąd wspaniały widok na główną salę. „Hiperboliczne wniebowstąpienie” zdawało się eksplodować w powietrzu, barwne fragmenty Madonny zawieszono były w zamrażniętej próżni.

André Lichtenstein podszedł do małżeństwa w średnim wieku.

- *Madame Vanel*, chciałbym państwu przedstawić artystę, który namalował „Hiperboliczne wniebowstąpienie”, Guy Barbeau - powiedział z lekkim ukłonem.

Państwo Vanelowie należeli do dwudziestowiecznej klasy nuworyszy. *Monsieur Vanel* zbił fortunę dość przypadkowo, wypiekając chleb i ciasta. Był niski i pulchny, miał rumianą cerę i szpakowate włosy. Wciąż zdumiewało go nagle bogactwo i chociaż stał się milionerem, wyglądał nadal tak, jakby całe dni spędzał przy piecu. *Madame Vanel* różniła się od niego krańcowo. Korzystała bez umiaru z pieniędzy męża. Była szczupła, miała brązowe, starannie ułożone włosy. A także zbyt wiele biżuterii i ostrej makijaż. Zarówno jej ubiór, jak i głos były krzykliwe.

Guy uśmiechnął się do niej nerwowo.

- Miło mi panią poznać - rzekł oficjalnie.

Madame Vanel wyciągnęła rękę. Pochylił się i z zażenowaniem ucałował jej dłoń.

Lichtenstein uśmiechnął się do pana Vanela.

- *Monsieur Barbeau* z radością odpowie na pytania, jakie mogą państwo mieć odnośnie do obrazu. Proszę z nim podyskutować. Kiedy państwo podejmą decyzję, proszę mnie zawiadomić.

Monsieur Vanel obojętnie kiwnął głową i sięgnął po kieliszek szampana. Jego żona odciągnęła Guy na bok. Ta kobieta nie miała pojęcia o surrealizmie, ale wiedziała, że w najbogatszych domach wieszono na ścianach obrazy, których nikt nie rozumie.

Świadczyło to o poziomie kultury, a *madame* Vanel chciała być uważana za kulturalną. Miała zamiar nabyć jeden z tych śmiesznych zagadkowych obrazów. I porozmawiać z prawdziwym artystą, o którym André Lichtenstein mówił, że jest wschodzącą gwiazdą.

- Niech go pani kupi teraz, kiedy jest tańszy - powiedział jej konfidentycznie marszand. - Za kilka lat jego cena wzrośnie stukrotnie.

Lichtenstein uśmiechnął się do Hélène.

- Pozwólmy im chwilę pogadać - rzekł. - Obraz jest już prawie sprzedany.

Zatrzymali się znowu, bo chciał porozmawiać z jakimś potencjalnym nabywcą. Aby nie podsłuchiwać, Hélène rozejrzała się po sali i nagle serce skoczyło jej do gardła. Zobaczyła starszą kobietę, która wiodła prym w otaczającej ją grupie. Widywała jej zdjęcia w magazynach mody, była jedną z jej wielbicielek. Żywa legenda - Odile Joly, najbardziej zaskakująca projektantka mody dwudziestego wieku. Hélène nie mogła oderwać od niej wzroku.

Odile Joly była tak drobna, że wyglądała jak mała dziewczynka. Skończyła już siedemdziesiąt lat i wydawała się chuda jak zagłodzony ptak. Miała cienką, żylastą szyję, w której odznaczały się struny głosowe sterczące jak naciągnięte kable. Nosila grube okulary w szylkretowych oprawkach, a spod podobnego do miski kapelusza wyglądały obcięte na pazia czarne włosy. Miała na sobie własnego projektu kostium w bladoperłowym kolorze. Tkanina mieniła się lekko złotem. Krążyły plotki, że to jej jedyny kostium. Kiedy się śmiała, pokazywała wszystkie zęby, a rysy jej twarzy były niezwykle wyraziste. Bez przerwy mocno gestykulowała; jej ręce poruszały się jak skrzydła uczącego się latać ptaka. Z jakiegoś powodu - może ze zdenerwowania - gniotła w palcach brzeg marynarki. Paliła papierosa za papierosem, a jej wielkie brązowe oczy bez przerwy przesuwaly się po zgromadzonych na wystawie. Chociaż niewielu ludzi mogło dokładnie zrozumieć, co mówiła, wszyscy z uwagą słuchali jej ostrego, zgrzytliwego głosu.

Nagle Odile Joly dostrzegła Hélène. Jej oczy błysnęły spoza okularów - studiując, analizując i oceniając jednym spojrzeniem wygląd dziewczyny. Potem słynna projektantka zaczęła powoli iść do przodu. Otaczająca ją grupa rozstała się z szacunkiem.

Serce Hélène zaczęło bić szaleńczym rytmem. Czy to możliwe? Czy Odile Joly zbliżała się właśnie do niej?

- Zawsze ubieraj się na biało, *chérie* - rozkazała Odile Joly władczym tonem, wymachując energicznie w powietrzu ręką, w której trzymała papierosa. - Nigdy, nigdy nie noś granatu takiego jak ten teraz. - Zmarszczyła brwi z dezaprobatą. - Nie, nawet nie biel. Biel jest zbyt ostra. Zbyt błyszcząca. Oślepia. Noś kolor szampana. Tak, to jest to. Szampan! - Jak gdyby smakowała to słowo językiem.

Hélène bała się oddychać. Rzuciła szybkie spojrzenie na bok. Znajomi projektantki stali za nią, słuchając werdyktu wielkiej Odile i kiwając aprobowo głowami.

Wreszcie odważyła się przemówić.

- Ja... będę od tej pory nosić kolor szampana - wyjąkała. Odile Joly wykonała ptasi ruch głową.

- Dobrze. Szampan przede wszystkim, ale także wszystkie blade odcienie. Ale nie pastelowego i sorbetowego. Są bezbarwne. Dla tchórzy. Ludzi, którzy chcą wyglądać „bezpiecznie”, a wyglądają jak mdłe rożki lodów. - Jej oczy przesunęły się po Hélène. - Masz wspaniałą figurę. Figurę modelki. Twoje proporcje są fantastyczne. Powiedz, *chérie*, jesteś modelką?

- N-nie - wyjąkała Hélène.

Czuła, że się poci.

- Cóż zatem robisz?

- Obecnie nic.

Wielkie brązowe oczy spojrzały na nią przenikliwie.

- Powinnaś być modelką. Jeżeli cię to interesuje, przyjdź do mojego atelier. Maison d'Odile Joly.

Hélène bez słowa kiwnęła głową. Zdarzyło się to, o czym nie ośmieliłaby się nawet marzyć. Słyszała, że należy znaleźć się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu, ale czy mogła przewidzieć, że to będzie tutaj? I pomyśleć, że wcale nie miała ochoty tu przyjść. Nie po tym, jak straciła posadę, przepracowawszy zaledwie tydzień. Przyszła tylko ze względu na Guy. I co się wydarzyło? Spotkała wielką Odile, która zaproponowała jej pracę modelki! Bez rozmowy kwalifikacyjnej, nie pytając Hélène o doświadczenie. To zbyt piękne, by mogło być prawdą.

- Dziękuję - powiedziała do Odile drżącym głosem. - Ja... będę w atelier w poniedziałek.

Chociaż kłębiący się wokół niej tłum trajkotał niczym tysiąc srok, zupełnie go nie słyszała. Potrzebowała czasu, by zrozumieć swoje niewiarygodne szczęście. Spotkała sławną Odile Joly. Największa dyktatorka mody w świecie - i najpotężniejsza - zaproponowała jej posadę. Czy to możliwe, pytała się w myślach raz po raz. Czy to się dzieje naprawdę? To coś, o czym nawet nie śmiała marzyć. Przybyła do Paryża, pełna naiwnych złudzeń, które rozwiały się jedno po drugim. Teraz, nagle, nie tylko znalazła się pośród ludzi sukcesu, bogaczy, których nigdy nie spodziewała się poznać, ale, co więcej, spotkała osobę, którą uwielbiała od lat.

Stała samotnie w kącie od ponad pięciu minut, kiedy podszedł do niej wysoki, atrakcyjny mężczyzna. Uśmiechnął się i podał Hélène kieliszek szampana.

- Czy nie przeszkadzam? - zapytał grzecznie. Ale jego francuski, co natychmiast zauważyła, miał ciężki akcent charakterystyczny dla Anglika z wyższych sfer.

- Nie, oczywiście, że mi pan nie przeszkadza - zapewniła go szybko.

Uśmiechnął się.

- Co by pani powiedziała na to, żebyśmy obeszlą salę i rzucili okiem na wystawione tu dzieła? Nikt tego nie robi.

I tak nie zobaczymy nic oprócz tłumu, pomyślała, ale zgodziła się grzecznie.

- Bardzo chętnie.

Anglik wziął ją delikatnie pod ramię i zaczął oprowadzać po galerii, wskazując różne obrazy i rzeźby. Onieśmielona Hélène szła jak we śnie.

Kiedy stali przed białą rzeźbą Brancusiego, która nie miała twarzy, rzuciła okiem na swojego towarzysza. Przyglądał jej się z rozbawieniem.

Szybko odwróciła wzrok. Zachowujesz się jak uczennica, skarciła się w myślach.

- Nie wiem, jak się pani nazywa - zauważył. Spojrzała na niego ponownie i przełknęła ślinę.

- *Mademoiselle Junot.*

Uklonił się lekko.

- Ja jestem Nigel.

- Miło mi pana poznać, *monsieur* Nigel - odrzekła poważnie Hélène.

Odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Czy... Czy powiedziałam coś niewłaściwego? - spytała zaskoczona.

- Nie, nie. Wcale nie. Tylko że Nigel to moje imię. A nazywam się Somerset.

Możesz do mnie mówić Nigel.

Serce zaczęło jej bić mocniej. Poczowała, że ten mężczyzna niesamowicie ją pociąga.

Co się dzieje? - pomyślała. Najpierw Odile Joly, a teraz ten intrygujący człowiek.

- Nigel... - powtórzyła powoli, jakby do siebie. - To piękne imię. Ja... jestem Hélène.

- To również piękne imię. I pełne majestatu. Spojrzała na niego szybko, by sprawdzić, czy nie żartuje, i uznała, że nie.

- Mam nadzieję, że nie uznasz tego za niewłaściwe - zaczął - ale ciekaw jestem, czy nie zechciałabyś...

Nagle od wysokich ścian galerii odbił się głośny krzyk. Wszyscy ucichli.

- O mój Boże, nie! - Hélène usłyszała mamroczonego do siebie André Lichtensteina, który przepychał się przez tłum elegancko ubranych ludzi.

- Do diabła! - wrzeszczał głos na półpiętrze. - Zielony! Zwariowałaś? Kto słyszał, żeby dopasowywać barwy obrazu do koloru sofy w salonie!

Hélène zbladła. Był to Guy. Co się stało? - pomyślała. Na kogo tak krzyczał?

- Przepraszam - rzuciła szybko do Nigela.

Podążyła mu swym kieliszkiem i ruszyła za Lichtensteinem. Znaleźli Guya na półpiętrze. Miał czerwoną twarz; skronie mu pulsowały. Przerażona *madame* Vanel schowała się za mężem.

- On zwariował! - wykrztusiła drżącym ze strachu głosem. - Zwariował!

Guy zwrócił się do tłumu gości.

- Ta... ta kobieta - wskazał drżącym palcem na *madame* Vanel - chce, żebym zmienił kolory obrazu. Mojego obrazu! - Okręcił się i wskazał „Hiperboliczne wniebowstąpienie”. - Chce, żebym sprostytuował swój talent jak tania dziwka.

Lichtenstein chwycił go za ramię, ale Guy wyrwał się ze złością.

Hélène podeszła do przyjaciela.

- Chodź, Guy - powiedziała cicho. - Myślę, że czas, abyśmy poszli do domu.

Zaśmiał się ironicznie.

- Do domu? Do jakiego domu? Do tej gównianej szcurzej nory? Gdzie? Nikt nie przejmuje się tym, jak żyją artyści. Ci ludzie pieprzą wszystko z wyjątkiem własnych sof i rachunków w banku.

Potrząsnęła nim gwałtownie.

- Guy, chodź - wyszeptała zrozpaczona.

Roześmiał się znowu i odepchnął jej rękę. W oczach miał szaleństwo.

- Nie bez obrazu! Jest za dobry dla tych... dla tych... - zabrakło mu słów i wyrzucił pięści w górę. Cały drżał. Nagle ruszył w kierunku schodów. Ludzie cofnęli się przerażeni. Guy zbiegał na dół po dwa stopnie naraz. Teraz wszyscy ci, którzy stali na półpiętrze, skupili się, by zobaczyć, co będzie się działo na dole. Hélène oparła się o stalową poręcz. Guy przepchnął się przez tłum i stanął przed obrazem. Zaczął krzyczeć jak szalony, wpatrując się w swoje dzieło.

- Jesteś za dobry dla tego świata! Za dobry! Słyszysz? Obraz nie odpowiadał.

Twarz Lichtensteina była niczym kamienna maska.

- Jesteś skończony! - wysyczał marszand. - Dopilnuję, by zamknięto przed tym wariatem wszystkie galerie w mieście!

Hélène zamknęła oczy. Dlaczego Guy to robi? - pomyślała. Wszystko układało się tak dobrze. Obraz był prawie sprzedany! Dlaczego nie wytłumaczył po cichu *madame Vanel*, że nie może spełnić jej prośby? Dlaczego wywołał taki skandal? Dlaczego? Dlaczego?

Nagle tłum jęknął. Hélène otworzyła oczy. Guy podskakiwał, by dosięgnąć obrazu. Za pierwszym razem mu się nie udało, ale potem chwycił ręką za dolną ramę i zawisł w powietrzu z nogami nad ziemią. Przez chwilę „Hiperboliczne wniebowstąpienie” kołysało się na boki. Wreszcie jeden z drutów, na których powieszono płótno, zerwał się, Guy stracił równowagę i upadł na dywan. Lewy róg ramy ominął go i runął na podłogę, a wielkie płótno zadrżało od impetu uderzenia. Przez chwilę Guy był jak ogłuszony. Potem zerwał się na nogi, złapał stojącą w pobliżu ławkę i zaatakował nią obraz. Kiedy pokazały się dziury, odrzucił ławkę i własnymi rękoma dokończył dzieła zniszczenia.

Te same palce, które stworzyły „Hiperboliczne wniebowstąpienie”, podarły je teraz na strzępy.

Rozdział 5

Hélène otarła dłonią pot z czoła. Włożyła pędzel do puszki, wytarła ręce w ścierkę i rozejrzała się dookoła. Była zadowolona. To zdumiewające, czego może dokonać puszka farby, pomyślała. Brudnobiały pokój został całkowicie przeobrażony. Krwistoczerwona farba zakryła nierówności ścian i pęknięcia tynku. Druga warstwa była już prawie sucha.

Trzyczęściowy parawan kupiony na pchlim targu również pomalowała na czerwono. Ustawiła go tak, aby zasłaniał zlew i piecyk. Materiał, który wyszukała w sklepie na prawym brzegu, dopełni przemiany. Tania czerwona tkanina miała granatowosrebrny połysk. Z jednego kawałka Hélène zrobiła serwetkę na kuchenny stół. Prostokątne szkło, które również tam wypatrzyła, miało chronić blat. Teraz kiedy nareszcie zarobiła trochę pieniędzy, zdecydowała się kupić kilka drobiazgów. Lampę z abażurem i popękany stary krajobraz w złotych ramach znalazła na pchlim targu. To nie Rembrandt, pomyślała, ale jest całkiem ładny. Szczytem luksusu miały być czerwone firanki. Uszyła też narzutę na łóżko i poszewki na poduszki - granatowe i czerwone. Sprytnie zawiesiła w odległym kącie pokoju długą zasłonę. Powbijając w ścianę wieszaki i w ten sposób zyskała praktyczną szafę. Przynajmniej ubrania nie wisały na wierzchu.

Spojrzała na podłogę i skrzywiła się z niesmakiem. Pomędzy rozpostartymi gazetami prześwitywały łaty żółtego linoleum. W następnej kolejności trzeba je czymś zakryć, postanowiła. Może znajdzie się gdzieś kawałek taniego czerwonego linoleum. Po zapastowaniu będzie wyglądało całkiem ładnie.

Usiadła na łóżku. Teraz, kiedy skończyła, pokój wydawał się strasznie cichy i pusty. Odkąd Guy odszedł, tęskniła za ich rozmowami, jego uśmiechem i poszukiwaniem natchnienia. Po wystawie wypadł z galerii i poszedł pić. W niedzielę rano wrócił zawstydzony i zaczął się pakować.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

Uśmiechnął się pośpiesznie.

- Wracam do domu.
- Chyba nie do Strasburga?! Zwrócił na nią smutne niebieskie oczy.
- Tak, z powrotem do Strasburga.
- Ale, Guy! - protestowała. - Masz olbrzymi talent! - W jej głosie zabrzmiał żal. -

Nie możesz go zmarnować.

Potrząsnął głową.

- Nie potrafię już malować - wyznał cicho. - Nie, kiedy moje obrazy mają kupować tacy ludzie jak Vanelowie.

Hélène westchnęła i wstała. Zniosła puszkę i pędzel do zlewu i starannie opłukała. Potem pozbierała z podłogi gazety, posprzątała mieszkanie i przygotowała sobie sałatkę na obiad. Teraz, kiedy została modelką, musiała dbać o linię. Po umyciu naczyń usiadła przy stole, by napisać listy. W zamyśleniu gryzła gumkę na czubku ołówka. Zaczęła pisać:

Paryż, 30.07.1953

Kochani Jeanne i Edmondzie!

Wiem, że długo nie pisałam, i czuję się z tego powodu winna. Uwierzcie mi, naprawdę byłam bardzo zajęta i nie mogłam znaleźć ani chwili.

Jestem teraz modelką. Nie w czasopiśmie, tylko w prawdziwym domu mody, w Maison d'Odile Joly. Brzmi to wspaniale. Ale na razie jestem czymś w rodzaju manekina dla Odile Joly. Projektuje ona swoje ubiory w bardzo dziwaczny sposób. Używa żywych modelek zamiast manekinów i razem z innymi dziewczętami muszę stać nieruchomo całe godziny, mając na sobie sterty materiałów, podczas gdy Odile Joly wycina formy i przypina je do nas.

W przyszłym tygodniu nastąpi wielkie wydarzenie - pokaz zimowy - i zostanie przeniesiona z grupy manekinów do modelek prezentujących stroje. To ekscytujące. Przyjadą wszyscy ważni klienci, prasa i fotoreporterzy z całego świata. Będę w gazetach i czasopismach! Jeżeli uda mi się znaleźć zdjęcia, wytnę je i wyślę Wam.

Mam nadzieję, że u Was wszystko w porządku. Nie mogę się doczekać Waszego przyjazdu do Paryża. Tu jest cudownie i wiem, że go pokochacie.

Całuję i ściskam, Wasza dzielna mała Francuzeczka w Paryżu

Przeczytała list, złożyła go, wsunęła do koperty pocałowała przed zaklejeniem. Potem zaczęła pisać następny:

Paryż, 30.07.1953

Droga pani Dupré!

Wiem, że to dopiero mój drugi list, ale byłam bardzo zajęta i chwytalam się różnych dziwnych prac. Wreszcie znalazłam odpowiednie zajęcie. Uwielbiam to, co robię - jestem modelką w Maison d'Odile Joly. Naprawdę! Muszę Pani opowiedzieć, jak to wszystko wygląda.

Przed wszystkim wszyscy nazywają ją Odile Joly - nigdy Odile lub *madame* Joly. Odróżnia ją to od innych; na przykład Jacques Feth to zawsze „Jacques”, Chanel - „Chanel”, Dior - „Christian”, a *madame* Grès - „Madame Grès”. Zaczynam już się orientować w różnych drobiazgach.

Odile (będę tak ją teraz nazywać i marny mój los, jeżeli to kiedyś odkryje) jest bardzo drobna i szczupła. Jak Pani wie, znana jest głównie z kostiumów, ale projektuje też sukienki, kreacje balowe i płaszcze. Wie też pani prawdopodobnie, że zawsze nosi zabawne małe (albo wielkie) kapelusze i mieszka w apartamencie na Plaza Athénée. Ale czy Pani wiedziała, że jest nałogową palaczką? Atelier na Faubourg St. Honoré mieści się w jednym z tych wielkich gmachów, z których słynie Paryż. Odile jest właścicielką całego budynku i również drugiego, mniejszego, znajdującego się obok. Jedna z modelek powiedziała mi, że u Odile pracuje tysiąc dziewcząt. W zeszłym roku firma sprzedała ponad trzydzieści tysięcy sztuk odzieży - a wiadomo, jakie drogie są te ubrania! Biedna rodzina w Saint-Nazaire mogłaby żyć za taki kostium cały rok. Ale tu nie jest Saint-Nazaire. To Paryż.

Spędzam większość czasu w pracowni. Jest to właściwie sala pokazów. Odile tworzy swoje stroje w wielu pokojach i pracuje nad tuzinem różnych projektów naraz. Zwykle jednak pracuje w olbrzymim pomieszczeniu wyłożonym szarym linoleum. Ma swoją metodę. Układa na mnie całe metry płótna czy wełny, czy czegoś tam innego, i odchodzi w tył, przycina coś tu i tam nożycami - ciach, ciach; ma pełne usta szpilek i dosłownie używa swojego swetra i spódnicy jako poduszczyk na szpilki, więc ciągle się

kłuje, a potem przesuwa się po podłodze na kolanach, by obejrzeć ze wszystkich stron swoje dzieło. W ten sposób powstają oryginalne projekty. Firma szyje także gotową odzież na eksport (głównie do Ameryki). Wyobraża sobie Pani, że ponad pięćset szwaczek kopiuje ubrania Odile dzień i noc przez cały czas?

W zeszłym tygodniu po raz pierwszy weszłam do salonu wystawowego. To dlatego, że mam awansować. Na razie ciągle jestem ulubionym manekinem Odile, ale będę modelką na zimowym pokazie. Czy to nie cudownie? Obiecałam Jeanne i Edmondowi zdjęcia z gazet, wyślę je także Pani.

Zaprezentuję najwspanialszy kostium z wełny w kolorze szampana, ślicznie wykończony futrem.

Kiedy przyjedzie Pani do Paryża, zorganizuję dla Pani wstęp na jeden z pokazów. Sala składa się właściwie z pięciu mniejszych, połączonych sceną dla modelek. Wszystkie pomieszczenia są pięknie ozdobione i przypominają zamek Hautecloque. Wszędzie leżą dywany, a w największym pokoju znajdują się schody prowadzące do pracowni Odile. Przyjmowani są tam superważni klienci. Ściany pokrywa biała boazeria, a kryształowe kandelabry rzucają długie cienie na ściany.

Na razie to wszystkie nowiny. Napiszę natychmiast, gdy coś się wydarzy.

Z poważaniem, Hélène

Znowu przeczytała uważnie list, zastanawiając się, czy jest coś, co powinna dodać w postscriptum. Przez chwilę pomyślała o intrygującym Angliku, którego spotkała w galerii, ale zdecydowała, że lepiej o nim nie wspominać. Od tamtej pory dużo myślała o Nigelu i żałowała, że pobiegła za Guy, ale nic nie mogła już zrobić. Najlepiej byłoby zapomnieć o tym mężczyźnie, bo nie miała najmniejszej nadziei na powtórne spotkanie. Westchnęła, zaadresowała i zakleiła kopertę. Odetchnęła z ulgą, bo po raz pierwszy napisała prawdę.

W pozbawionej wentylacji garderobie za ciężką aksamitną kurtyną było jak w piecu. Paryż smażył się w upale od prawie dwóch tygodni. Wszyscy czekali na chłodny deszcz, ale nikt nie marzył o nim tak bardzo jak modelki Odile Joly. Zimowe stroje były grube i ciężkie.

Hélène nerwowo obejrzała swoje odbicie w trzyczęściowym lustrze. Jedna z garderobianych źle zapięła jej bluzkę z tyłu. Otyła kobieta w średnim wieku cofnęła się, zmarszczyła brwi, zbliżyła się ponownie i zaczęła coś poprawiać przy kołnierzyku. W ostatnim momencie Hélène miała włożyć ciepły tweedowy żakiet. W całym pokoju garderobiane pomagały modelkom się ubrać. Wzdłuż ścian znajdowały się metalowe wieszaki. Na nich wisiała zimowa kolekcja 1953-1954.

Tym razem Odile nie została z dziewczętami w atelier. To był moment jej chwały. Stała na szczycie słynnych kręconych schodów w głównej sali; z tego miejsca widziała wszystko. Mogła mieć na oku modelki, najważniejszych klientów i najbardziej wpływowych dziennikarzy. Ale najlepiej widziała śmietankę towarzyską. Wszyscy uprzywilejowani mieli honorowe miejsca - poniżej niej, na stopniach wyłożonych dywanem schodów.

Odile Joly była odprężona i spokojna. Zakończyła swoją pracę, kolekcja została skompletowana. Wiedziała, że jest dobra. Na moment przymknęła oczy. Czuła iskierki podniecenia unoszące się w powietrzu niczym drobinki elektryczności. Takie samo podniecenie panowało w teatrze przed podniesieniem kurtyny. Ale ona tego nie odczuwała. Dla niej podniecający był sam proces tworzenia. Krojenie. Szycie. Odkrywanie nowego stylu, zaprojektowanie nowej kieszeni, nowego guzika.

Spojrzała w dół na wybieg dla modelek. Miał on kształt litery X. W centrum była środkowa sala, a każde ramię litery prowadziło do jednego z czterech pozostałych pomieszczeń. Jednak liczyli się tylko goście w głównej sali. W pozostałych siedzieli zwyczajni widzowie. Turyści, którym właściciele hoteli zorganizowali wstęp na pokaz. Mierni dziennikarze. Gapie, którzy nigdy niczego nie kupią.

Wielkie ciemne oczy Odile rejestrowały wszystko, co działo się wokół niej. Wysokie okna były otwarte, by wpuścić wiatr, którego wcale się nie czuło. Sale pokazu zapępniały się z wolna. Honorowi goście zajmowali miejsca na schodach. Znaleźli się wśród nich dwaj książęta. Starszy, Alfonse, był właściwie nędzarzem. Odile Joly wiedziała, że walczył z Niemcami podczas wojny, próbując ocalić skarby francuskiej kultury, i kochała go za to. Zawsze upewniała się, czy książę i księżna otrzymali najlepsze miejsca. I nalegała, by księżna ubierała się u niej za darmo.

Przyszły też dwie inne księżne. Jedna, starsza, ze sztywno ułożoną fryzurą, była rozwódką z Cleveland, która poślubiła duńskiego arystokratę. Słyszała z tego, że nigdy w życiu za nic nie płaciła - ani za wykwintne dania w kosztownych restauracjach, ani za najlepsze apartamenty w hotelach, ani nawet za stroje. Rachunki pokrywał jej przyjaciel, młody amerykański spadkobierca imperium samochodowego, który ją uwielbiał i towarzyszył jej wszędzie. Zidiociały stary książę się nie liczył. Młody mężczyzna był homoseksualistą, zatem księżna obracała się w „bezpiecznym” towarzystwie. Odile Joly należała do tych nielicznych osób, którym płacono za dostarczane rzeczy. Inaczej przestałaby ubierać księżną.

Projektantka uśmiechnęła się do żony dalekowschodniego monarchy na wygnaniu. W ciągu ostatnich trzech lat Sammyo Kittilongkhon kupiła ponad trzysta pięćdziesiąt różnych kreacji w Maison d'Odile Joly. Była najlepszą klientką.

Dalej siedziała diuszesa, a za nią niemiecka aktorka .. i żona amerykańskiego polityka, Barbara Sennett. Bajecznie bogata pani Sennett rok wcześniej stała się bohaterką sporego skandalu - próbowała sfalszować rachunek u Odile Joly z dwudziestu pięciu tysięcy dolarów na dwa tysiące pięćset. Jej niezręczne oszustwo zostało wykryte przez straż celną USA na lotnisku w Idlewild.

Na pokazie znaleźli się również wpływowi dziennikarze. Oczy Odile Joly przesunęły się po krzesłach wzdłuż wybiegu. Między ludźmi z towarzystwa siedzieli głównie dziennikarze, a ich status określał rząd, w którym otrzymali miejsca. Pierwszy był prestiżowy, ostatni nazywano Syberią. Każde miejsce było uważnie obserwowane i komentowane; plotki trwały w nieskończoność, gdy ktoś osiągnął lub utracił dotychczasową pozycję.

Na samym przodzie Odile Joly dostrzegła Pauline Mounier - reporterkę z kroniki towarzyskiej „Couture Magazine”. Pauline zasługiwała na ostatni rząd, ale przyszła w towarzystwie Daphne Epaminondas. *Madame* Epaminondas była pierwszą żoną najbogatszego człowieka na świecie, greckiego magnata przemysłowego, Zeno Callicratesa Skouriego. Kupowała trzydzieści kreacji rocznie. Również w pierwszym rzędzie, ale po przeciwnej stronie chodnika, znalazła się Cynthia Skouri, obecna amerykańska żona potentata. Dwa miejsca dalej siedziała Ariadne Cosindas, znana

balerina. Takie rozlokowanie pań miało być tematem plotek na długo po pokazie, powszechnie wiadomo bowiem, że Ariadne Cosindas była kochanką Zeno Skouriego podczas obydwóch jego związków. Teraz trzy kobiety, które dzieliły łóżko z tym samym mężczyzną, pilnie unikały swojego wzroku.

Przedstawiciele paryskiego oddziału „Women's Wear Daily” - reporter, grafik i fotograf - dostali się do dalszych rzędów, w głównej sali. Dziennikarze „Women's Wear Daily” zwykle zajmowali miejsca w jednym z czterech dodatkowych pomieszczeń, ale Odile Joly umiała patrzeć w przyszłość. Przewidywała, że w przeciągu dziesięciu lat „WWD” stanie się najpotężniejszym magazynem mody na świecie, chociaż obecnie nawet najgorsze miejsca w głównej sali były dla reporterów tego pisma zaszczytem. Jeżeli „WWD” istotnie zacznie zwiększać swoje wpływy, Odile Joly zacznie ich przesuwając rząd po rzędzie do przodu.

Za grupą „WWD” siedzieli hrabia i hrabina de la Brissac de Léger. Pomarszczona twarz Odile Joly rozjaśniła się złośliwym uśmiechem. Hrabia i hrabina zostali wypędzeni na te miejsca ze względu na zdjęcie *comtesse*, które ostatnio zobaczyła. Wykonano je na lokalnych zawodach polo w Bordeaux. Aczkolwiek w zwykłych okolicznościach nie miało prawa znaleźć się w prasie, nieoczekiwana obecność kuzyna hrabiego - dawnego pułkownika armii francuskiej, a obecnie zdobywającego uznanie polityka - uczyniła je wydarzeniem godnym wzmianki. Hrabina została uwieczniona z opuszczonymi majtkami. Jej kolorowe zdjęcie na całą stronę ukazało się w „Paris Match” i Odile Joly je zobaczyła. Jej jastrzębie oczy natychmiast dostrzegły, że pani de Léger miała na sobie skopiowany kostium. Ponieważ ta dama była stałą klientką, Odile nie mogła jej wyrzucić z głównej sali. Ale mogła - i zrobiła to - przesunąć hrabinę i hrabiego z ich zwykłych miejsc w drugim rzędzie na najmniej ważne w tyle. Ten fakt z pewnością zostanie odnotowany przez dziennikarzy i skomentowany. W przyszłości pani de Léger będzie ostrożniejsza. I, co najważniejsze, Odile była pewna, że tym razem wielka dama kupi trzy razy więcej ubrań niż zazwyczaj, żeby się zrehabilitować i zapewnić sobie na przyszłość drugi rząd. To dawało Odile Joly poczucie satysfakcji i siły.

Oczy projektantki przesunęły się po wybiegu dla modelek do jednego z dodatkowych pomieszczeń. Widziała tylko jego część. Nagle zeszytniała. Ktoś wydał jej

się znajomy. Zmarszczyła brwi, próbując przypomnieć sobie twarz w okularach przeciwsłonecznych i wystającą spod kapelusza blond perukę. Kobieta zapaliła papierosa. Trzymała go między kciukiem a palcem wskazującym, wdychając dym.

Odile Joly skinęła głową na pracownicę obsługi. Czarnowłosa kobieta w ciemnej sukience pospieszyła do schodów. Odile Joly wychyliła się przez poręcz.

- Pokój trzeci, miejsce trzydzieści siedem! - wyszeptała z wściekłością. - Jak ona się tu dostała?

Kobieta odwróciła się dyskretnie i spojrzała przez otwarte drzwi. Dama na krześle numer trzydzieści siedem nosiła okulary, szeroki kapelusz przybrany futrem z ocelota i jedwabną bluzkę z wielką koronkową kokardą przy kołnierzyku. Pracownica spojrzała ponownie na Odile Joly.

- Właścicielka hotelu Cusset załatwiła jej rezerwację. Nie widziałam nic...

- Ty głupia! - wysyczała Odile. - To Simone Doucet! Nie widzisz?

Jej pracownica spojrzała ponownie w kierunku krzesła. Nagle twarz jej pobladła.

- Na Boga, to ona! - wyszeptała przerażona. - Ja... ja nie umiem powiedzieć, jak mi przykro! Nie rozpoznałam jej w tym stroju.

Odile Joly prychnęła.

- Strój, też coś! Raczej przebranie. Ten nędzny szpieg wcisnął się tu przebrany za damę! Wyrzuć ją natychmiast!

Porządkowa pospieszyła wykonać polecenie. Simone Doucet była projektantką w jednym z mniejszych domów mody, które egzystowały, kradnąc pomysły wielkim twórcom. Na pokazach ściśle przestrzegano więc zasady, by dla pracowników innych salonów drzwi były zamknięte. Odile Joly z satysfakcją patrzyła, jak ochrona eksportuje Simone Doucet do wyjścia.

Projektantka dała sygnał dłonią i światła kandelabrow natychmiast przygasły. Rozpoczął się pokaz.

W garderobie robiło się z każdą minutą goręcej. Modelki ociekały potem. Ustawiły się w kolejności, w jakiej miały prezentować stroje. Garderobiane w pośpiechu dokonywały ostatnich poprawek przy kreacjach dziewcząt, wygładzały spódnice i żakiety, delikatnie osuszały bibułkami pot na umalowanych twarzach. Wszystko było wyliczone co

do ułamka sekundy. Półtorej minuty po opuszczeniu garderoby pierwsza modelka miała być z powrotem.

W tym czasie na scenę wychodziły cztery następne. W ciągu trzech minut każda z dziewcząt musiała się przebrać i przygotować do kolejnego wyjścia. Każda miała zmieniać strój siedem razy.

Hélène występowała ostatnia. Patrzyła nerwowo, gdy pierwsza koleżanka wychodziła za kurtynę. Usłyszała, jak ktoś w sali anonsował strój, który tamta miała na sobie. Cztery inne modelki ruszyły w kierunku wyjścia. Ta, która wróciła, szybko zrzuciła prezentowaną odzież i pospiesznie przebierała się w kolejną kreację.

A potem była już przed nią tylko jedna dziewczyna. Odwróciła się do Hélène.

- Powodzenia - wyszeptła. Hélène uśmiechnęła się słabo.

- Dzięki, Lione. I nawzajem.

A potem przyszła jej kolej. Kolana jej drżały. Wzięła głęboki oddech i wysunęła się za kurtynę. Udawała przed sobą, że to tylko próba generalna. Przez ostatni tydzień uczyły się ładnie chodzić. Choreografia była bardzo ważna. Każdy krok miał być naturalny i lekki jak w tańcu. Tylko modelki Odile Joly wiedziały, jak trudne to było w rzeczywistości. Zaplanowano, że na wybiegu mają się znajdować jednocześnie cztery modelki poruszające się po różnych ramionach iksa, ale dokładnie w tej samej linii. Miały się spotykać w centrum i wymieniać na poszczególnych odgałęzieniach.

Hélène sunęła w kierunku głównej sali, patrząc nieprzytomnie przed siebie, nieświadoma kierujących się na nią spojrzeń. Rozległ się uprzejmy aplauz. Trzaskające flesze aparatów fotograficznych oślepiły ją na moment, ale się nie zachwiała. Widzowie wydawali się rozmazani; poczuła na sobie oczy Odile Joly, lecz nie zwracała uwagi na spojrzenie szefowej.

Robiła obrót na końcu każdego odgałęzienia wybiegu i wracała do głównej sali. Przeszła wszystkie cztery i wbiegła do garderoby.

Hrabina de Léger natychmiast rozpoznała Hélène. Zimne oczy arystokratki zmrużyły się, a program, którym się wachlowała, zawisł w powietrzu. Ta dziewczyna wiedziała o kopiowanych ubraniach. *Comtesse* opanowała się błyskawicznie. Spuściła wzrok na kolana. Czy może stąd to nieoczekiwane zdjęcie w „Paris Match”? Wiedziała, że tylko

jedna osoba mogła rozpoznać wspaniale wykonane przez madame Dupré kopie kostiumów Odile Joly - nawet z odległości lub na fotografii - sama projektantka. Do diabła z tym zdjęciem! Czy to dlatego Odile posadziła ich oboje na tych okropnych miejscach? Co za skandal! Wszyscy będą plotkować! Jedyne, co teraz mogła zrobić, to udawać, że nic się nie wydarzyło, i ułagodzić Odile olbrzymim zamówieniem.

Hélène raz jeszcze wyszła zza kurtyny. Na skrzyżowaniu w centrum iksa minęła Lione, która wdzięcznie płynęła do garderoby. Hélène prezentowała teraz wełniany kostium. Rozległ się spontaniczny pomruk aprobaty.

Hrabia de Léger trącił żonę łokciem.

- Czy to nie ta sama dziewczyna, która była w zamku? - zapytał szeptem.

Hrabina przytaknęła obojętnie.

- Jak się nazywa?

- Junot czy jakoś tak. Tak, Hélène Junot. - Poirytowana zanotowała na kartce, że chce mieć ten kostium z alpaki. Była gotowa kupić wszystko, byle tylko odzyskać krzesło w drugim rzędzie. Miejsce z tyłu uraziło ją do głębi.

Kiedy Hélène wróciła do garderoby, panowało tam zamieszanie.

- Lione zemdlą! - wyszeptała jedna z koleżanek. Garderobiana pobiegła, by ocucić dziewczynę.

- To te światła! - syczała inna modelka. - To zbyt wiele... przy tym upale!

- Nieważne! - warknęła ze złością garderobiana. - Jedna z was musi ją zastąpić. - Rozejrzała się dookoła. Jej oczy spoczęły na Hélène. - Masz podobną figurę. To musisz być ty. Pamiętaj, że będzie tylko po półtorej minuty na zmianę ubrań. Wyjdiesz jeszcze dwanaście razy. Prezenterka przestawi ci kolejność. No już, szybko! Unieś ręce! Nie ma chwili do stracenia.

Hélène została przebrana w strój Lione w rekordowym czasie. Pomagały jej dwie garderobiane, jedna zręcznie spinała sukienkę, by ją zwęzić. Hélène czuła, że strasznie się poci. Potem wypchnięto ją za kurtynę. Uśmiechnęła się automatycznie.

I nagle nie była już zdenerwowana. Prezentowanie ubrań stało się jej pasją.

Rano do atelier zapukał posłaniec z długim, wąskim pudełkiem z kwaciarni na Polach Elizejskich. Zaskoczona Hélène podpisała żółty kwit i wzięła przesyłkę. Kiedy

chłopiec wyszedł, uniosła wieko. W pudełku zobaczyła tuzin czerwonych róż na długich łodygach. Zmarszczyła brwi.

- Wiesz, od kogo je dostałaś? - zapytała Lione przez drzwi.

Hélène spojrzała na nią i potrząsnęła głową. Potem sięgnęła na dno i wyjęła małą białą kopertę. Wyciągnęła z niej kartkę. Był na niej niezapomniany symbol. Lew, salamandra i herb de Légerów. Odwróciła kartkę. Z tyłu napisano niebieskim atramentem: „Jutro o dziewiątej wieczorem. Czekam u Maxima. Zapytaj o mój stolik”. Niżej był podpis: „Filip de Léger”.

Opadła na rozchwiane krzesło.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Lione.

Hélène kiwnęła głową.

- Tak - odrzekła drżącym głosem. - Czy mogłabyś... zostawić mnie na chwilę samą?

Koleżanka skinęła głową.

- Oczywiście. Przepraszam, że ci przeszkodziłam. Porozmawiamy później. -

Pomachała dłonią i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Zadumana Hélène obracała w dłoniach kartkę, patrząc to na herb, to na wiadomość. Mieszkała w Paryżu od ponad pół roku i przestała być naiwną gąską z prowincji. W Paryżu uczysz się szybko, myślała. Przez sześć miesięcy dowiedziała się wszystkiego, co trzeba wiedzieć. I rozumiała doskonale, że mężczyzna taki jak Filip de Léger nie zaprasza do Maxima dziewczyny tylko dlatego, że szła kiedyś ubrania dla jego żony, albo dlatego, że raz z nią zatańczył. Poza tym jest sprawa samego Maxima.

Nie była to zwykła restauracja, ale restauracja najwspanialsza na świecie.

Znajdowała się przy ulicy Royale. Na początku stulecia bywały tam kokoty; teraz przekształciła się w miejsce spotkań osób z towarzystwa. Każdy szedł tam, by się pokazać. Śmietanka towarzyska. Turyści. Wystarczyło tylko być bogatym i płacić słone rachunki bez mrugnięcia okiem.

Hélène zacisnęła usta, uderzając w kartę otwartą dłonią. Możliwe, że Filip de Léger szuka panienki do towarzystwa, ale z drugiej strony wcale nie musiała się na nic zgodzić. Co ważniejsze, na karcie nie było adresu. Nie dał jej możliwości odmowy.

Uśmiechnęła się do siebie. Prawdopodobnie będzie tylko obiad, więc po co robić wiele hałasu o nic. Wizyta u Maxima jest pewnie dla hrabiego równie ekscytująca jak dla niej zakupy na targu za rogiem. Trzeba spojrzeć na to z odpowiedniej perspektywy - tłumaczyła sobie.

Dzisiaj zatrzyma się przed tą restauracją i popatrzy, co mają na sobie siedzące tam kobiety. Zaoszczędziła trochę pieniędzy. Nie wystarczy na kreację od Diora czy Odile Joly, ale mogła kupić prostą, czarną sukienkę w Bon Marché czy Au Printemps. Czerwone linoleum, które widziała w małym sklepie przy rue Victor-Masse, będzie musiało poczekać.

Celowo została w atelier do późna. Zanim o wpół do ósmej wyszła Odile, włożyła róże do pudełka, wsunęła je pod ramię i ruszyła wzdłuż Faubourg St. Honoré. Kiedy dotarła do ulicy Royale, skręciła w prawo, przeszła na drugą stronę i zatrzymała się naprzeciwko Maxima, ale trochę z boku. Po piętnastu minutach wiedziała już wszystko. Prosta, czarna sukienka będzie całkiem odpowiednia.

Następnego ranka zjawiała się w atelier o zwykłej porze. Po pewnym czasie nadeszła cała procesja posłańców z pudłami. Wszystkie były dla Héléne Junot.

- Co to jest? - zapytała Lione.

Héléne była zaskoczona.

- Nie... nie wiem.

Lione zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Wczoraj róże, dzisiaj... - urwała w pół zdania.

- O co chodzi? - zdziwiła się Héléne.

- Lepiej nie pokazuj tych pudełek Odile Joly.

- Dlaczego?

- Nie poznajesz?

- Nie, a powinnam?

Lione uśmiechnęła się złośliwie.

- Odile Joly je rozpozna. Są od konkurencji. Na przykład to duże jest od Diora.

Podeszły i podniosły pokrywkę z pierwszego. W środku były długie do łokci rękawiczki.

- Jakie piękne! - westchnęła Lione.

Następne pudełko było od Germaine Guerin. Hélène wyjęła czerwoną, jedwabną, wieczorową torebkę. Kolejna paczka pochodziła od Charles'a Jourdana. Była w niej para eleganckich czerwonych pantofli na szpilkach. W następnym znajdowały się identyczne czerwone szpilki, tylko o numer większe. W sumie były cztery pary w różnych rozmiarach.

Hélène powoli rozpakowała wielkie pudło od Diora. Rozchyliła delikatną bibułkę i stanęła jak oniemiała.

- Mój Boże! - rzekła Lione cicho. - To wieczorowy kostium!

Hélène ostrożnie wyjęła z pudła rubinowoczerwony żakiet. Był dopasowany w biodrach, miał szerokie rękawy do łokci, wąskie klapy i wąski czerwony pasek. Obcisła spódnica sięgała do połowy łydki.

Koleżanka gwizdnęła przeciągle.

- Musiał się w tobie zakochać - zadecydowała. Hélène odwróciła się i zaczęła spacerować po pokoju.

Przez chwilę milczała.

- Nie wiem. To zbyt wiele, bym mogła przyjąć.

- Ale nie możesz mu tego zwrócić! - powiedziała szybko Lione. - To by złamało biedakowi serce. - Spojrzała na Hélène. - Musi być bardzo bogaty.

Hélène kiwnęła głową.

- Owszem.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Chwileczkę! - zawołała Hélène.

Szybko złożyła kostium, schowała go do pudła i zakryła je pokrywą. Rozejrzała się, zebrała pozostałe rzeczy i pochowała do pudełek. Potem otarła czoło i podeszła do drzwi.

- Kolejny posłaniec - zauważyła sucho jedna ze starszych kobiet pracujących w atelier, wskazując młodego mężczyznę za sobą.

Hélène spiesznie podpisała kolejny papier, przyjęła małą paczkę i zamknęła drzwi.

- Skąd był? - zapytała Lione.

- Nie wiem - odrzekła Hélène. - Nie pomyślałam, żeby mu się przyjrzeć.

Koleżanka oparła ręce na biodrach.

- Cóż, odpakuj to! - zaproponowała.

Hélène w milczeniu rozwiązała wstążkę i rozdarła papier. Zabrakło jej tchu. Na skórzanym pudełku był wytłoczony złoty napis „Chaumet”. Drżącymi palcami uniosła wieczko.

Na tle czarnego aksamitu błyszcząły diamentowo-rubinowe kolczyki w kształcie papug.

- No tak... - Lione była pod wrażeniem. - A teraz biżuteria.

Rozdział 6

Hélène postępowała za *maître* przez salę Maxima. Szła powoli, jej długa suknia w kolorze szampana zamiatała podłogę, a na futrze błyszcząły kropelki topniejącego śniegu. Posłuchała rady Lione i upięła włosy w kok, odsłaniając policzki. W uszach miała diamentowe kolczyki. Idąc, uśmiechała się do znajomych. Dwukrotnie przystanąła, wymieniając serdeczne pozdrowienia i najnowsze plotki, podczas gdy *maître* czekał cierpliwie.

- Wygląda jak kokota z dawnych czasów - zauważyła starsza kobieta suchym szeptem, który przywodził na myśl wiatr przelatujący nad pustynią. Westchnęła z żalem, kiedy Hélène ją mijała. - Było ich tu niegdyś pełno. Słyszało się tylko szelest atlasu, szum jedwabiu. Nosiły najwytworniejsze suknie. Po tym można je było poznać - zamiatające podłogę suknie, wielkie kapelusze. Nosiły je z dumą. Były jak chińskie damy, które nosiły długie paznokcie. Pokazywały, że nie są kimś przeciętnym. Nie pracowały.

- Ona pracuje - odezwała się jej młodsza towarzyszka. - Chociaż trzeba przyznać, że nie musi.

- Tak, jest modelką. Ale przypomina mi te wszystkie kokoty. Nigdy nie zapomnę pewnej nocy tutaj... - Staruszka urwała na chwilę. - Był rok tysiąc dziewięćset trzynasty. A może czternasty? Jedna z nich złapała butelkę wina i uderzyła nią w twarz swojego kochanka. Wszystko dlatego, że przyszedł z inną kobietą. To były piękne dni!

Hrabia uśmiechnął się, kiedy Hélène opadła na czerwone wyściełane krzesło i zsunęła norki, pozwalając, by opadły z ramion. Dopasowana suknia uwydatniała jej doskonałe kształty. Ujął dłoń dziewczyny i podniósł do ust.

- Za każdym razem jesteś piękniejsza - powiedział.

Spojrzała mu w oczy... Miały ten znaczący wyraz, który znała aż za dobrze. Ujął jej dłoń i wsunął sobie między nogi. Jego penis stwardniał.

Uśmiechnęła się i cofnęła dłoń, bo przyniesiono im do stolika butelkę szampana w wiaderku z lodem. Spędzali tyle czasu u Maxima, że nie musieli zamawiać alkoholu. Wszyscy kelnerzy wiedzieli, że najpierw będzie szampan, a potem butelka wina z Hautescloque-de Léger do obiadu (jeżeli jedli rybę, zamawiali białe Château Haut-Brion), a na koniec kawa i koniak. Hélène nigdy nie piła więcej niż po pół kieliszka wina i szampana i tylko kilka łyżek koniaku.

- Przepraszam, że nie mogłem cię przyjąć w domu. - Hrabia znacząco wzruszył ramionami.

Hélène kiwnęła głową. Znała ten ruch. Hrabina była w mieście. Wypiła mały łyk szampana. Wspominał o żonie tylko wtedy, kiedy opóźniała jego wizyty. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął długi skórzany futerał od Van Cleefa i podał go dziewczynie.

- Żebyś nie czuła się zaniedbywana, przyniosłem ci mały upominek.

Uśmiechnęła się i otworzyła pudełko. Zimne szafiry otoczone diamentami błysnęły ogniem. Wzięła głęboki oddech. Był to najbardziej kosztowny prezent, jaki do tej pory otrzymała.

- Podobają ci się?

Spojrzała na niego.

- Są cudowne - rzekła cicho. Zdjęła kolczyki i pozwoliła, by zapiął jej na szyi kolie z szafirów. Uniosła dłoń i wyczuła pod palcami ich chłód. Cieszyła się, że je ma.

Teraz będę mogła zrobić dobry użytek z kolczyków, pomyślała. Podobnie jak z rubinowo-diaamentowych papug. Potem, kiedy hrabia znowu jej coś podaruje, naszyjnik z szafirów podąży śladem poprzednich klejnotów.

Czy to możliwe, że dostała już siedem sztuk, pytała samą siebie. Czy to możliwe, że spotyka się z tym mężczyzną już od sześciu miesięcy? Że przychodzi regularnie do Maxima? Nigdy nie zapomni tego pierwszego razu.

Szła za szefem sali do stolika hrabiego i patrzyła nieobecny wzrokiem przed siebie. W duchu dziękowała Odile Joly, że musiała tyle razy to ćwiczyć. Teraz przekonała się, że było warto. Rutyna pozwalała opanować nerwy i drżenie nóg. Sprawiała, że Hélène czuła się pewna siebie. Niedostępna. Zblazowana.

Restauracja ją onieśmieliła. Wielkie sale były urządzone w stylu art nouveau. Freski na ścianach przedstawiały nimfy nalewające wino. Za stolikami stały żółte lampy, a ich światło odbijało się w olbrzymich lustrach. Przyciemnione górne oświetlenie przypominało odwrócone parasole. Idąc, mijała spiralne schody, drewniane filary, kolumny z czarnego żelaza i stare brązy, które błyszcząły jak nowe. Białe serwety były sztywne, srebra lśniły, kryształ rzucał blask. Kobiety nosiły wspaniałe suknie i kosztowną biżuterię. Mężczyźni mieli na sobie eleganckie garnitury.

Szmer konwersacji nagle ustał, jak gdyby ktoś nacisnął niewidzialny wyłącznik. Hélène czuła, że wszystkie oczy przyglądają jej się z ciekawością. Goście pochylali się do siebie i szeptali. Wiedziała, że mówią o niej.

- Dior - dobiegł ją szept jakiejś kobiety.

- Jest piękna! - dodał inny głos. - Popatrz na te kości policzkowe!

W tym momencie Hélène zrozumiała. Roześmiała się w duchu lekceważąco. Ależ była głupia, że się denerwowała. Ci ludzie ją podziwiali.

Teraz ośmieliła się rozejrzeć po sali. Była zadowolona, że zdecydowała się mimo wszystko włożyć czerwony kostium. Jedno spojrzenie powiedziało jej, że była najlepiej ubraną kobietą w restauracji. Nagle poczuła się niezwykła. Dobrze ubranie dziwnie dodaje kobiecie pewności siebie.

Hrabia wstał, gdy *maitre* pomógł jej usiąść. De Léger zamówił szampana. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

- Byłam zaszokowana, otrzymawszy te wszystkie rzeczy - odezwała się Hélène z wahaniem. - Nie chciałam zrobić panu wstydu, przychodząc w łachmanach, dlatego pozwoliłam sobie przyjąć te prezenty.

- Cieszę się, że to zrobiłaś. Wiedziałem, że będziesz w nich oszalamiająca.

Otworzyła torebkę i drżącymi palcami wyjęła pudełko od Chaumeta. Położyła je na stoliku. Hrabia patrzył na nią z rozbawieniem.

- Ale nie mogę przyjąć tego - oświadczyła cicho. - Te kolczyki są zbyt drogie.

Roześmiał się nagle.

- Jest pani rozpaczliwie poprawna, *mademoiselle*.

Czuła, że się rumieni. Spuściła oczy. I równie nagle, jak się pojawił, rumieniec zniknął. Hélène spojrzała w oczy hrabiemu.

- Jestem nieuczciwa - powiedziała z nagłą mądrością.

- Nie ma różnicy między przyjmowaniem strojów od Diora i biżuterii Chaumeta.

Popatrzył na nią zaskoczony. Potem kiwnął głową, sięgnął po pudełko i otworzył je. Papugi uchwyciły światła lamp i luster, rozbłyskując czerwonymi i białymi iskrami.

Powoli wyjął kolczyki i delikatnie włożył jej w uszy.

- Wyglądają, jakby były zrobione specjalnie dla ciebie - powiedział, cofając dłoń.

- A jaka jest cena za nie? - zapytała cicho Hélène. - Czego pan ode mnie chce?

Przez chwilę milczał. Odchylił się do tyłu na krześle i zapalił papierosa. Zgasił zapalniczkę i rzucił ją do popielniczki. Spojrzał uważnie na Hélène.

- Nie żądam zapłaty - odrzekł wreszcie. - Ale mam dla ciebie propozycję. Możesz ją przyjąć lub odrzucić. Dam ci tyle czasu, ile zechcesz, żebyś mogła wszystko przemyśleć.

Spojrzała na niego pytająco. Nagle wyschły jej wargi. Czuła to samo napięcie między udami co w Hautecloque, kiedy ją poprosił do tańca. Tylko że tym razem nie musiał jej dotykać.

- Co to za propozycja? - zapytała, doskonale wiedząc, o co chodzi.

- Chcę, żebyś została moją kochanką - powiedział otwarcie.

Popatrzyła na niego trzeźwo. A więc miała rację. Hrabia de Léger szuka metresy. To jej nawet nie zdziwiło, nie zaszokowało. Ucieszyła się w pewien sposób, że nie próbował jej oszukać, nie wymyślał żadnych historii i nie używał czułych słów. Poza tym był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Pamiętała tamto drzenie, które ją ogarnęło, gdy tańczyli na balu w Hautecloque. Teraz było tak samo. Kto wie? To, co proponował, mogłoby być... całkiem interesujące.

Hélène zacisnęła usta, a po chwili uśmiechnęła się zimno.

- I co byśmy osiągnęli z takiego... układu?

Zaciągnął się papierosem i wypuścił dym do góry.

- Ja chcę mieć kochankę - powiedział głębokim głosem. - Zwykle bywam w Paryżu przez dwa dni każdego tygodnia. Oczekuję, że będziesz spędzała ze mną te wieczory. Jeżeli chodzi o ciebie, to możesz zamieszkać w moim domu przy Boulevard Maillot. Dostaniesz miesięczną pensję i otworzę ci rachunki w lepszych sklepach. Będziesz też otrzymywać prezenty.

- Ale ja mam pracę - zauważyła. - Nie chcę jej zostawić. Daje mi poczucie bezpieczeństwa.

- Nie musisz z niej rezygnować - odparł.

Hélène długo siedziała w milczeniu, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Hrabia oferował jej dom w jednej z najlepszych dzielnic Paryża i otwarte rachunki w najdroższych sklepach. I, co ważniejsze, mogła nie tylko nadal pracować u Odile Joly, ale miałaby też dodatkowe dochody. Plus prezenty. Prawdopodobnie klejnoty. Jest to ten typ oferty, który porządne dziewczęta natychmiast odrzucają. Oczywiście jeśli zostanie jego utrzymanką, znajdzie się w najlepszym razie w kategorii „kochanek” lub też „dziwek” - w najgorszym wypadku. Ale była też druga strona, której Hélène nie mogła nie zauważyć.

Dawno temu przysięgła sobie odnaleźć dwóch niemieckich łotrów - sierżanta o nazwisku Schmidt i oficera o długiej, okrutnej twarzy - sprawców nieszczęść całej rodziny. Przysięgła sobie, że odda w ręce sprawiedliwości bestie, które sprawiły, że *maman*, Catherine i Marie cierpiały i odeszły na zawsze. Znalezienie tych potworów nie będzie łatwym zadaniem. Potrzebowała na to pieniędzy. Dużo pieniędzy.

Przysięgła sobie także, że odniesie sukces przed Edmondem i pomoże bratu. On i Jeanne byli teraz przykuci do Saint-Nazaire. Sam nie da sobie rady, ona musi mu pomóc. Znowu potrzebowała tylko jednego, aby spełnić marzenia brata: pieniędzy.

I wreszcie jej własny cel. Jej pismo. To będzie wymagało większych pieniędzy, niż kiedykolwiek sama mogłaby zarobić.

Westchnęła smutno. Wszystko, czego pragnęła, wymagało pieniędzy. To prawda, że miała dobrą pracę u Odile Joly. Ale jako modelka nie zarabiała nawet tyle, żeby móc zrealizować choć jedno ze swoich zamierzeń. I prawdopodobnie nigdy jej się to nie uda. A co gorsza, kariera modelki trwa krótko. Pojawią się oznaki starości - i co wtedy? Wtedy jej przyszłość będzie równie beznadziejna jak terażniejszość Edmonda i Jeanne. Nadeszła pora, by pomyśleć o przyszłości - żeby zrealizować marzenia. Pora, by działać zdecydowanie. Aby jej pragnienia i ambicje przekształciły się w rzeczywistość.

Propozycja hrabiego stanowiła pierwszy krok do celu.

Podano szampana. Hélène przyglądała się, jak kelner otwierał butelkę i napełniał kieliszki. Kiedy znowu zostali sami, wypła mały łyk. Spojrzała na hrabiego i podjęła decyzję.

Zawieram pakt z diabłem, postanowiła.

- *Monsieur le comte* - rzekła miękko - umowa stoi.

Tej nocy podarował jej jeszcze dwa prezenty. Rubinowo-diaamentowy naszyjnik stanowiący komplet z kolczykami i złoty klucz - symboliczny klucz do nowego domu. Do praktycznego użytku dostała też normalny klucz. Po obiedzie pojechali do hrabiego czarno-wiśniowym rolls-royce'em. Na miejscu szofer otworzył przed nią drzwi auta. Hélène spojrzała na dom z trwogą. Stary biały budynek w ogrodzie wyglądał jak mały pałacyk. Ponad wielkimi podwójnymi drzwiami, na pierwszym i drugim piętrze, znajdowały się otoczone balustradami balkony. Ostatnie piętro z mansardowym dachem miało pięć owalnych okienek. Pozostałe okna były olbrzymie.

- Czy ci odpowiada? - zapytał hrabia.

Hélène odwróciła się i spojrzała na niego. Nie mogła wykrztusić słowa. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wreszcie zdołała kiwnąć głową.

- Wejdziemy?

Nie czekając na jej odpowiedź, ujął ją pod ramię i poprowadził przez ogród w kierunku marmurowych schodów. Wyjęła swój klucz i po raz pierwszy otworzyła drzwi nowego domu. Z niedowierzaniem rozejrzała się po holu, podziwiając lśniąca posadzkę i ściany wyłożone marmurem. Miała wielką chęć obejrzeć cały budynek, chciała przejść się

od pokoju do pokoju i zapoznać z nowym miejscem. Ale musiała z tym poczekać do rana. Wyczuwała, że tego wieczora hrabia ma w planach coś dużo bardziej pilnego.

Bez zwłoki weszli na górę do olbrzymiej przyciemnionej sypialni. Patrzyła, jak podszedł do okna i zaciągnął ciężkie zasłony. Wiedziała, czego od niej oczekiwał. Rozebrała się w milczeniu.

Kiedy i on był nagi, nagle zaczęła się bać. Podeszła do szerokiego łóża, zdjęła narzutę i ułożyła się sztywno na pościeli, przyglądając się mężczyźnie z przerażeniem.

Podszedł do niej powoli. Usiadł na łóżku i przesuwając palcami po jej piersiach. Na początku była spięta. Nie chciała ulec własnym pragnieniom. Potem nagle przestała się opierać. Zamknęła oczy i poddała się przyjemnym dreszczom, które małymi falami ogarniały jej ciało. Jej piersi unosiły się i opadały, brodawki stwardniały pod palcami mężczyzny. Potem położył się na niej, a ich ramiona i uda splotły się ciasno. Między nogami czuła jego pulsujący członek. Jęknęła cicho, gdy fala namiętności ogarnęła jej ciało.

- Kochaj mnie - wyszeptała, oddając mu się zupełnie.

Poczuła, że się cofnął i uwolnił ją z uścisku. Przesunął się niżej i pochylił głowę. Potem było rozkoszne uczucie między udami. Zerknęła w dół i zadrżała, czując zapowiedź pierwszego orgazmu. Hrabia czekał, aż jej podniecenie opadnie, a potem wszedł w nią jednym zdecydowanym ruchem. Objęła go mocno, rozkoszując się naciskiem jego ciała. Nagle opuścił ją.

- Nie przestawaj! - błagała.

Uniósł jej nogi wysoko w powietrze, ponad głowę. Pośladki Hélène znajdowały się teraz w powietrzu nad łóżkiem. Bez uprzedzenia wcisnął członek w jej odbytnicę. Instynktownie zacisnęła mięśnie, ale wszedł głębiej. Jego biodra wykonywały gwałtowne ruchy. Hélène wiła się jak w agonii, ból był przeszywający. Z jej ust wydarł się krzyk.

- Dziwka! - wysyczał i spoliczkował ją. Krzyk zamarł w jej gardle. - Dziwka! - powtórzył głośnie.

Wyciągnął dłoń, by ponownie uderzyć Hélène. Uchyliła się i kręciła głową na boki. Nagle krzyknął. Jego ciałem wstrząsnął spazm. Puścił jej nogi, pochylił się i wtulił twarz w piersi dziewczyny.

- Mamo! - załkał. - Mamo!

Hélène delikatnie pogładziła go po głowie. Czowała jego łzy spływające po jej piersiach.

Pokojówka zapukała delikatnie do drzwi, a potem weszła do sypialni i cichutko przesunęła się do okna. Zasłony nie przepuszczały światła. Dwoma ruchami rozsunęła je, a wtedy słabe, zimowe słońce wpadło do pokoju. Hélène poruszyła się w wielkim łóżku i zwinęła w kłębek, chowając twarz w poduszce. Pokojówka podeszła do marmurowego kominka, uklękła, ułożyła na palenisku kłodę i kilka polan i rozpałała ogień. Podsycała płomienie, dopóki nie rozpałały się na dobre, a potem wstała. Spojrzała na dziewczynę.

- Pora na śniadanie, *mademoiselle*.

Hélène usiadła i zamruwała oczami. Ziewnęła i przetarła oczy.

- Która godzina, Marthe?

- Ósma trzydzieści, *mademoiselle*. Prosiła pani, aby ją obudzić.

Hélène kiwnęła głową. Teraz sobie przypomniała. Była sobota. Poprosiła Odile Joly o wolny dzień, bo miała do załatwienia bardzo ważną sprawę. Szybko zerknęła na drugą poduszkę. Hrabia już wyszedł. Tylko wgniecenie na poduszce wskazywało, że spędził tutaj noc.

- W porządku, Marthe. Podaj śniadanie.

Pokojówka wyszła i po chwili wróciła z drewnianą tacą. Umieściła ją na szafce nocnej. Zaczekała, aż Hélène pochylił się do przodu, a potem podsunęła jej pod plecy poduszkę. Ostrożnie umieściła tacę na kolanach dziewczyny i naląła kawy z porcelanowego dzbanka do jednej z delikatnych filiżanek ze złożonymi brzegami. Hélène wypła łyk i wzdrygnęła się. Odstawiła filiżankę. Nie znosiła czarnej kawy. Lubiła słodką, ze śmietanką i cukrem, ale musiała uważać na wagę. Spojrzała na talerz. Była na nim gorąca bułeczka, a obok miniaturowy kawałek masła i łyżeczka dżemu malinowego. Hélène miała za sobą długą, męczącą noc. Hrabia był nienasycony. Po seksie zawsze czuła większy apetyt. Była głodna jak wilk. Może jeśli zje bułeczkę bardzo powoli, zaspokoi głód. Westchnęła, odłamała kawałek i zaczęła starannie smarować masłem.

- Czy życzy sobie pani czegoś jeszcze, *mademoiselle*?

Hélène rozejrzała się po pokoju. Zauważyła suknię od Balmaina leżącą na oparciu krzesła.

- Weź ją do pralni. Och... i nie zapomnij zmienić pościeli.

Marthe dygnęła.

- *Oui, mademoiselle.* - Wiedziała, że trzeba zmienić dziś pościel. Zawsze po wizycie hrabiego *mademoiselle* chciała mieć wszystko czyste.

- To wszystko, Marthe, dziękuję.

Pokojówka zabrała suknię i wyszła, cicho zamykając drzwi.

Hélène odgryzła kęs bułeczki i żuła go powoli. Nagle spojrzała na resztę i odłożyła ją na talerz. Nie była już głodna. Miała zbyt wiele do zrobienia.

Odstawiła tacę, po czym odrzuciła kołdrę. Po miękkim dywanie przeszła do wielkiej łazienki. Pochyliła się nad wanną, odkręciła złocone kurki i patrzyła, jak parująca woda uderza o gładkie emaliowane dno. Pochyliła się na moment nad wanną, pozwalając, by obłoki pary dosięgły jej twarzy. To luksus, myślała. Gorąca woda w kranie. Nie pojedynczy lodowaty strumień, jak w domu u ciotki Janine czy u Jeanne.

Nucąc cicho, wlała do wody kolejną porcję perfumowanego olejku do kąpieli. Zdjęła szlafroczek i ostrożnie weszła do wanny. Woda była gorąca i rozkoszna. Hélène zakręciła krany i zanurzyła się po szyję, delektując się przez kilka minut kąpielą. Potem zaczęła się myć migdałowym mydłem. Starannie wymyła łono, a potem splukała prysznicem. Ta część ciała pozwoliła jej się dostać na Boulevard Maillot. Ona także pomoże jej zrealizować marzenia. Uśmiechnęła się do siebie. Jej marzenia. Jej magazyn. Teraz trzeba jak najszybciej zacząć.

Skończyła się ubierać i zerknęła do lustra. Prawie się nie malowała; z taką karnacją nie potrzebowała tego robić. Tylko jej policzki wymagały cienkiej warstwy różu. Za każdym razem, kiedy hrabia miał orgazm, nazywał ją dziwką i uderzał w twarz. Potem stawał się skruszonym małym chłopcem, wołał z płaczem: „Mamo! Mamo!”, i szybko usypiał z twarzą zalaną łzami na piersiach Hélène. To było dziwaczne i nie rozumiała tego, pragnęła tylko, by nie bił jej tak mocno. Na jej policzkach pojawiały się siniaki i tylko artystyczna mieszanina różnych odcieni pudru i różu tuszowała ślady uderzeń. Co będzie, to będzie,

powiedziała sobie Hélène. Pochyliła się nad lustrem. Nawet w pełnym świetle nie było widać ani siniaków, ani makijażu.

Przeszła przez pokój do obrazu w połączonych ramach. Przesunęła dłonią wzdłuż ramy, odnalazła przycisk i obraz rozsunał się na boki. Pod nim znajdował się mały sejf, Hélène szarpnęła za żelazny uchwyt i otworzyła drzwiczki. Sięgnęła do środka i wyjęła pudełko od Cartiera. Były w nim diamentowe kolczyki.

- Żegnaj, Cartier! - wyszeptała.

Baghat Cheops sięgnął po lupę i zbliżył ją do prawego oka. Zmrużył lewe i oglądał jeden z kolczyków przez szkło powiększające. Potem odłożył go i wziął do ręki drugi. Przyjrzał mu się równie uważnie. Wreszcie odłożył lupę do wysłanego aksamitem pudełeczka.

- Nie są złe - zwrócił się do Hélène na pozór całkiem obojętnie.

Jej twarz była bez wyrazu. Hélène wiedziała, co zamierza mały Egipcjanin. Chciał obniżyć cenę. Zaproponować ułamek prawdziwej wartości klejnotów. Wiedział i ona też wiedziała, że kamienie są bez skazy. Każdy kolczyk składał się z trzech diamentów, trzy-, dwu- i półkaratowego. Ich cena była zapewne równa cenie sześciu limuzyn citroena. Na początek jubiler spróbuje zaoferować jej jedną szesnastą ich wartości, a skończy się na jednej dwunastej. Potem sprzeda kolczyki dwa lub trzy razy drożej. Jedyną pociechę stanowiło zapewnienie Cheopsa, że sprzeda je cudzoziemcom. Bizuterię można łatwo rozpoznać. Szczególnie taką bizuterię. Hélène nie mogła odnieść tych rzeczy do Cartiera. Nawet dyskretnie. Znalazłyby się znowu w sklepie, a to byłoby zbyt niebezpieczne. Hrabia mógłby się zorientować, że sprzedała otrzymaną od niego bizuterię, i byłby wściekły.

Cheops ostrożnie ułożył kolczyki w puzderku. Zamknął je i stuknął w wieczko żółtym od nikotyny paznokciem.

- Dwanaście tysięcy - oznajmił, błyskając złotym zębem.

Twarz Hélène była nieprzenikniona. To najniższa cena, jaką kiedykolwiek mi zaproponował. Widocznie uznał, że znalazł kogoś, kto uprawia hazard lub bierze narkotyki. Spokojnie sięgnęła po puzderko i niedbale wrzuciła je do torebki.

- Do widzenia, panie Cheops - powiedziała. - Szkoda, że nie dobijemy dziś targu.

Ruszyła ku drzwiom.

Egipcjanin przyglądał jej się bacznie, zastanawiając się, czy Hélène naprawdę wyjdzie. Na pewno zawróci przy drzwiach, pomyślał. Często tak się zdarzało.

Hélène zamknęła za sobą drzwi, spojrzała w jedną, a potem w drugą stronę ulicy i energicznie ruszyła przed siebie. Tuż za rogiem dogonił ją zdyszany Cheops. Teraz to ona się uśmiechnęła.

- Dwadzieścia tysięcy - wysapał jubiler, z trudem chwytając powietrze.

Marthe właśnie rozmawiała przez telefon, kiedy Hélène wróciła do domu.

- *Un moment, monsieur comte!* - zawołała szybko. - *Mademoiselle* właśnie wróciła.

- Zakryła dłonią słuchawkę. - To hrabia! - szepnęła wzburzonym głosem.

Hélène skinęła głową i wzięła słuchawkę.

- Philippe? - zapytała miękko. - Gdzie jesteś?

Jak zwykle się spieszył. Mówił szybko.

- Na Orly. Zaraz odlatuję.

- Orly! Dokąd lecisz?

- Do Skandynawii.

Ale nowina, pomyślała. Nic o tym nie wspomniał zeszłej nocy.

- Mam coś do załatwienia - wyjaśniał szybko. - Wrócę za tydzień.

Jej serce uderzyło mocniej z nadzieją. Miała czas, by zrealizować swój plan. Dbała jednak, aby w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie.

- Czy to znaczy, że nie spotkamy się we wtorek? - zapytała, udając zawiedzioną.

- Tak - odrzekł z irytacją. - Zobaczymy się w piątek i sobotę. Zarezerwuj sobie czas.

Uśmiechnęła się do siebie. W poniedziałek Marthe zadzwoni do Maison d'Odile Joly i powie, że Hélène zachorowała. A ona zaraz po rozmowie z Filipem zrobi sobie rezerwację na pociąg. Dopiero teraz zobaczyła starannie ułożoną obok telefonu pocztę. Zaczęła przeglądać koperty. Rachunki za elektryczność, od Hermesa, za telefon, a wreszcie list. Natychmiast rozpoznała pismo Jeanne i odłożyła pozostałe koperty.

- Jesteś tam? - zapytał zimno hrabia.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała automatycznie. Jest dzisiaj bardzo zdenerwowany, pomyślała. W oddali usłyszała przytłumione głosy.

- Zapowiadają mój lot - oznajmił Philippe. - Muszę iść.

- Życzę ci szczęśliwej podróży.

Nie usłyszał tego, bo odwiesił już słuchawkę. Hélène wykrzywiła się i położyła swoją na widelkach.

Szybko rozdarła kopertę listu Jeanne i czytała, idąc do salonu.

Saint-Nazaire, 30.01.1954

Droga Siostró!

U nas nic się nie dzieje. Edmond wciąż na morzu. Przyjedzie za tydzień. Kiedy wraca, żyjemy w takim chaosie, że postanowiłam napisać do Ciebie teraz, na spokojnie. Strasznie mi żal, że Edmond musi pracować poza domem, szczególnie kiedy jest tak zimno. Zawsze gdy wypływa, modlę się za niego.

Kilka razy widziałam panią Dupré. Ciągle o Ciebie pyta. Nie wyobrażasz sobie nawet, jaka jest z Ciebie dumna! Obwiesiła cały sklep Twoimi zdjęciami z gazet. Są nawet na wystawie! Nasze wiszą na drzwiach kuchennego kredensu. Jesteś najślawniejszą osobą w Saint-Nazaire, wiesz?

Spotkałam kiedyś na ulicy Twoją ciotkę. Nie odezwała się do mnie. Nigdy nikt nie patrzył na mnie z taką nienawiścią.

Nie mogę powiedzieć Edmondowi, bo jest na morzu, więc ty pierwsza się o tym dowiesz. Hélène, jestem w ciąży! Urodzę Edmondowi dziecko! Wiem, że będzie tak samo zachwycony jak ja. A jeżeli to będzie dziewczynka, nazwiemy ją Twoim imieniem! Martwię się tylko, że Edmond zacznie mnie traktować jak inwalidkę, kiedy usłyszy o moim stanie. Tak bardzo bym chciała, żebyś przyjechała na chrzciny. To cała ja, jak zawsze wybiegam myślami za bardzo do przodu!

Nigdy nie zapominaj, że bardzo Cię kochamy.

Twoja siostra, Jeanne

Hélène odłożyła list i uśmiechnęła się. Czy to możliwe? Jeanne będzie matką? Tak szybko? Nagle poczuła w kącikach oczu łzy. Jeanne i Edmond są tacy szczęśliwi, pomyślała z nagłym uczuciem zazdrości. Mają siebie nawzajem. I swoją miłość.

Po raz pierwszy było jej żal samej siebie. A co ją może podtrzymać na duchu? Zastanawiała się chwilę. Mnóstwo rzeczy, odpowiedziała sobie stanowczo, natychmiast wycierając oczy. Masz swoje marzenia i ambicje, swój magazyn. Masz pracę i zemstę. Pragniesz pieniędzy i władzy. Możesz wiele osiągnąć. A miłość? Pustym wzrokiem spojrziała na list od bratowej.

Nigdy wcześniej nie myślała o dzieciach.

Rozdział 7

Kamienne wieże wielkiej gotyckiej katedry sterczały groźnie na tle ponurego, szarego nieba. Hélène wysiadła z pociągu, postawiła na ziemi walizkę i podniosła kołnierz futra z norek. Spojrzała na niewzruszone iglice potężnej świątyni. „Köln” - odczytała napis na peronie. Kolonia.

Wąskie uliczki były zatłoczone. Kończyły się godziny szczytu, wkrótce miał zapaść zmrok. Hélène przyglądała się starym kobietom w czarnych chustach ciasno zawiązanych pod brodami. Zauważyła młode pary przystające obok oświetlonych wystaw. Odnotowała w pamięci, że najlepiej ubrane kobiety nosiły futra z karakułów. Dzieci kroczyły cicho przy rodzicach, grzeczne i schludne. Wszystko było czyste i uporządkowane.

W hotelu turyści i biznesmeni stali wokół eleganckiej, nieskazitelnej recepcji. Słysząc było rozmowy w różnych językach; nie tylko gardłowy niemiecki, który Hélène pamiętała z czasów okupacji.

Kobiety w powojennych Niemczech mogły nosić karakuły świadczące b zamożności i statusie społecznym, ale nic nie robi takiego wrażenia jak norki. Recepcjonista obrzucił uważnym spojrzeniem futro Hélène i natychmiast do niej podszedł.

- *Darfish...**

* Czy mogę (niem.)

- Hélène Junot - oznajmiła krótko i dodała po francusku: - Mam rezerwację.

- *Oui, madame* - odpowiedział, gładko przechodząc na francuski. - Jedną chwileczkę.

Spojrzał w rejestr rezerwacji, przesuając po nazwiskach zadbanym paznokciem. Hélène przyglądała mu się, nie mogąc przestać myśleć o tym, czy był we Francji w latach wojny. Wiek miał odpowiedni, mówił dobrze po francusku. Nauczył się tego w Paryżu? Służył w gestapo? Czy tylko w Wehrmachcie? Przestań, nakazała sobie surowo. O to samo mogłabyś pytać wszystkich dorosłych Niemców.

Pracownik recepcji podniósł wzrok i uśmiechnął się profesjonalnie.

- Mam. *Madame Junot*. Pięć dni, pokój czterdzieści trzy.

Sięgnął po jeden z kluczy wiszących na tablicy. Hélène bez słowa otworzyła torebkę i podała mu paszport. Podpisała się szybko w księdze meldunkowej, a potem ją odsunęła.

- Wkrótce otrzyma pani paszport z powrotem, *madame* - zapewnił recepcjonista.

- Chciałabym przechować coś w sejfie - powiedziała i podała mu grubą kopertę.

Były tam pieniądze. Dużo pieniędzy. Wszystko, co otrzymała od Baghata Cheopsa. Następnego dnia miała je zamiar zdeponować w jakimś niemieckim banku.

Hélène zatrzymała się przed oszklonymi drzwiami. Złote drukowane litery głosiły: „K. Häberle”. I pod spodem: „Prywatny detektyw”.

Było to jedenaste biuro, które odwiedziła w ciągu ostatnich trzech dni. Z tego czy innego powodu żadne z poprzednich jej nie odpowiadało. Zanim zdążyła zmienić zdanie dotyczące tego, nacisnęła mosiężną klamkę i weszła do środka.

Znalazła się w sekretariacie. Młoda blondynka za biurkiem miała narzucony na ramiona beżowy, rozpinany sweter. Spojrzała na Hélène i uśmiechnęła się uprzejmie.

- *Guten morgen* - powitała ją. Hélène zmusiła się do uśmiechu.

- *Parlez-vous français?* - zapytała.

Kobieta uśmiechnęła się, pokazując kciukiem i palcem wskazującym, jaka jest jej znajomość francuskiego.

- *Un peu* - odpowiedziała. - Czy zechce pani usiąść? - Wskazała ręką lakierowane krzesło naprzeciw biurka.

Hélène potrząsnęła głową. Przekonała się, że szybciej załatwi każdą sprawę, stojąc.

- Nie, dziękuję - odrzekła. - Czy zastałam pana Häberle? Uśmiech blondynki zrobił się szerszy.

- Tak, oczywiście. Proszę chwilę poczekać. - Odsunęła krzesło, wstała i podeszła do drugich szklanych drzwi. Otworzyła je i zaczęła rozmawiać z kimś w środku. Hélène słyszała głosy, ale nie rozumiała ani słowa. Nigdy nie chciała się uczyć niemieckiego.

Sekretarka zaprosiła ją ruchem ręki. Hélène szybko przeszła przez biuro i weszła do gabinetu. Kobieta zamknęła za nią drzwi, a sama pozostała w sekretariacie.

Za zniszczonym biurkiem siedział szczupły młody mężczyzna o gęstych posiwiałych włosach. Jego niebieskie oczy spoglądały łagodnie, ale czujnie i oceniająco. Był ubrany w ciemny luźny garnitur i białą spraną koszulę, kołnierzyk miał rozpięty, krawat luźno zawiązany. Podniósł się i wyciągnął dłoń.

- Jestem Karl Häberle - przedstawił się oficjalnie po francusku. - Proszę mi wybaczyć słownictwo i wymowę. Minęło dobrych parę lat od czasów, kiedy uczyłem się francuskiego.

Grzecznie wysunął wyściełane krzesło i Hélène usiadła.

- Czy napije się pani kawy? - zapytał.

- Nie, dziękuję. - Potrząsnęła głową.

Häberle obszedł biurko i usiadł. Oparł się wygodnie i obserwował nieznajomą z ciekawością.

- Proszę mi powiedzieć, *mademoiselle...* czy dobrze mówię, *mademoiselle*? - Hélène potwierdziła - dlaczego szuka pani prywatnego detektywa?

Popatrzyła na kolana, jakby tam mogła znaleźć odpowiedź. Przez chwilę milczała. Potem uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Chcę kogoś odnaleźć - wyjaśniła krótko. Karl Häberle skinął głową ze zrozumieniem.

- Kogo?

- Mężczyznę. Kogoś, kto podczas wojny był we Francji.

Popatrzył na nią ponuro.

- Niemca.

- Tak - odpowiedziała cicho. - Niemca.

Jego niebieskie oczy wpatrywały się w nią uważnie.

- Dlaczego chce pani odnaleźć? Hélène odwróciła wzrok.
- Był dla mnie dobry. On... ocalił mi życie. Detektyw potrząsnął głową.
- Pani kłamie. Nienawidzi go pani.

Hélène popatrzyła na niego, a potem wychyliła się do przodu. Jej oczy zabłysły.

- Tak! - powiedziała szeptem, który odbijał się echem od ścian pokoju. -

Nienawidzę go!

- A dlaczego chce pani odnaleźć tego człowieka? Żeby go postawić przed sądem czy... żeby się zemścić?

- Chcę, by zapłacił za to, co uczynił - odrzekła drżącym głosem.
- Muszę wiedzieć, co to było.

Zamknęła oczy. Jej głos był pełen bólu, monotony, zmęczony.

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku miałam siedem lat - zaczęła. - Niem... przepraszam, hitlerowcy przyszli do naszego domu. Moja matka działała w podziemiu, była wtedy w ciąży. Znaleźli ukryty nadajnik radiowy. Bili i kopali *maman* w brzuch, dopóki... dopóki...

- Chwileczkę, *mademoiselle*.

Hélène drgnęła i zamrugała oczami jak ktoś, kogo nagle obudzono z koszmarnego snu. Detektyw sięgnął do biurka, wyciągnął butelkę wódki i nalał trochę do kieliszka. Podał jej alkohol. Hélène skinęła głową z wdzięcznością i wypila łyk. Ręce jej drżały.

- Proszę kontynuować - zachęcił ją łagodnie detektyw.

Kiwnęła głową i przełknęła ślinę. Odstawiła kieliszek na biurko.

- Moja matka poroniła, panie Häberle. Nigdy nie zapomnę widoku krwi spływającej po szarych pończochach. Michelle, nasza służąca, próbowała nas bronić i została zastrzelona. Mój brat, nasza starsza siostra Catherine, maleńka siostrzyczka Marie i ja zdołaliśmy uciec. Rozdzieliliśmy się. Kilka tygodni później hitlerowcy znaleźli mnie i brata. Mieli już Catherine i Marie. Catherine udawała, że nas nie zna. Aby nas złamać, tamci torturowali wtedy Marie. Na naszych oczach! Czy ktoś, kto może zrobić krzywdę bezbronnemu dziecku, jest człowiekiem?

Häberle milczał. Nie miał na to odpowiedzi. Hélène na chwilę zabrakło słów.

- Catherine się nie załamała i my oboje zostaliśmy wypuszczeni. Nigdy więcej nie zobaczyłam moich sióstr - zakończyła. - Myślę, że wysłano je do obozu w Polsce.

Detektyw popatrzył na nią ze współczuciem.

- I wie pani, kto był za to odpowiedzialny?

Przytaknęła.

- Nigdy go nie zapomnę.

- Możliwe, że ten mężczyzna został już skazany za swoje zbrodnie. Albo uniewinniony. Czy pomyślała pani o tym?

- Tak. Ale w głębi duszy wiem, że go nie schwytano. Jest wolny i żyje gdzieś spokojnie, w Berlinie, Monachium czy w Buenos Aires. Może nawet chodzi sobie po Kolonii. Czuję to!

- Musi pani pamiętać, że we Francji służyło wielu Niemców. Niektórzy zostali potem wysłani na front wschodni albo przeniesieni do Włoch, Holandii czy też z powrotem do kraju... - Wzruszył ramionami. - Mnóstwo ich zginęło. Akta mogły zostać zniszczone. Trudno będzie prześledzić ludzkie losy w tych latach chaosu.

- Wiem o tym.

- Byłoby łatwiej, gdyby zwróciła się pani do jakiejś organizacji żydowskiej lub amerykańskiej - zasugerował detektyw. - To dużo tańsze.

- Nie! - Gwałtownie potrząsnęła głową, próbując panować nad swoim głosem. - Nie - powtórzyła cicho. - Nie chcę. Nie chcę, żeby tamci go złapali. Muszę to zrobić sama.

- Czy zna pani jego nazwisko?

- Nie.

- Wie pani, skąd pochodził?

- Nie.

Häberle westchnął.

- Zatem będzie to bardzo trudne.

Hélène pochyliła się i chwyciła go mocno za ramię. Na jej twarzy odmalowało się zdenerwowanie.

- Muszę go odnaleźć - powiedziała posepnie.

- Jak pani sobie życzy. Ale nie mogę ręczyć za rezultaty i to będzie drogo kosztowało. Osobiście radzę, by pani zrezygnowała. Może to panią wiele kosztować. Zarówno pieniędzy - spojrzał na nią ze współczuciem - jak i nerwów - dodał łagodnie.

Hélène instynktownie go polubiła. Był uczciwy. Nie jak inni, którzy, jak czuła, oszukiwaliby ją, by wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy.

- Jestem przygotowana na koszty - oświadczyła stanowczo. - Chcę, żeby poświęcił pan tej sprawie niepodzielną uwagę.

- To może potrwać - uprzedził ją. - Miesiące, a nawet lata.

- Mam czas. - Jej głos był ostry jak brzytwa. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła grubą kopertę. Rzuciła ją na biurko. - To zaliczka.

Detektyw bez pośpiechu rozłożył banknoty niczym wachlarz.

- Dwadzieścia tysięcy marek - powiedziała Hélène. - Gotówką. A jeżeli go pan znajdzie, zapłacę najwyższą stawkę i premię. Zdeponowałam dwieście tysięcy marek w Dresdener Bank. Czekają na pana.

Detektyw uniósł brwi.

- Bardzo pani na tym zależy - zauważył.

- Tak, panie Häberle. Czy przyjmie pan tę sprawę? - Popatrzyła na niego surowo. Häberle z uśmiechem pokiwał głową.

- Skoro pani proponuje takie warunki. Teraz proszę mi opowiedzieć wszystko o tym mężczyźnie.

- Po pierwsze, wiem, że towarzyszył mu sierżant Schmidt. Gruby mężczyzna w średnim wieku.

- W tym kraju są setki tysięcy Schmidtów. To jedno z najbardziej popularnych niemieckich nazwisk. Czy może go pani opisać?

- Był niski, miał ciemne włosy. Czerwoną twarz. Wydawał mi się olbrzymi, jak wszyscy dorośli dzieciom. - Uśmiechnęła się smutno. - Miał pieprzyk na brodzie. Gdzieś tutaj. - Wskazała palcem swój podbródek.

- Coś jeszcze?

- Przykro mi, ale nie.

- A ten mężczyzna, którego pani szuka? Parsknęła krótkim ponurym śmiechem.

- Znam jego stopień wojskowy, wiem, że był w SS, i mogę go opisać. Wysoki, długa wąska twarz przypominająca trupa czaszkę. - Zrobiła pauzę. - Wydawał mi się ohydny, panie Häberle. On był albinosem.

Rozdział 8

Hrabia uprzejmie pomógł Hélène zdjąć norki. Położył je niedbale na oparciu jednego z aksamitnych foteli. Usiadła ostrożnie, by nie pognieść sukni, i wychyliła się ponad balkonem łoży Filipa de Légera.

Uwielbiała chodzić do opery. Lubiała siedzieć na fotelu, elegancko ubrana i oglądać wystrojonych ludzi. Kiedy wchodziła po wspaniałych schodach, czuła dreszcz podniecenia. Ale nade wszystko uwielbiała słuchać muzyki i obserwować dramat rozgrywający się na scenie. W jakiś sposób ów świat był zarazem nierealny i prawdziwy. Podczas każdego przedstawienia Hélène dostawała gęsiej skórki.

Jej oczy przesuwały się po olbrzymiej sali. Wszędzie były kolorowe marmury w bladych odcieniach bieli i różu, a także głębszych, bogatszych barwach zieleni, czerwieni czy błękitu. Ogromny błyszczący żyrandol zwisający spod kopuły sufitu ważył podobno sześć ton. Hélène zerknęła na stronę tytułową programu; „Alceste” - głosiły wielkie litery; kompozytor: Christoph Willibald Gluck. Otworzyła program i zaczęła go czytać ze wzrastającym zainteresowaniem. Nigdy nie słyszała o tej operze i to podwoiło jej podniecenie.

Hrabia pochylił się ku niej.

- Pierwszy rząd naprzeciwko orkiestry. Widzisz tego starszego mężczyznę z siwymi włosami?

Hélène zmarszczyła brwi i wyciągnęła szyję. Spojrzała w dół, a potem ponownie na swojego towarzysza.

- Tak - powiedziała. - Kto to jest?

- Stanisław Kowalsky, pianista.

W milczeniu skinęła głową. Nie musiała pytać, kim był Kowalsky. Każde dziecko we Francji wiedziało, że to jeden z najlepszych światowych pianistów. Chociaż raz surowi

krytycy i entuzjastyczna publiczność zgadzali się w swoich ocenach: był lepszy od Rubinsteina i Horowitza.

Nagle drzwi ich łoży się otworzyły.

- Przepraszam - rozległ się dźwięczny głos. - Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

Hélène i hrabia odwrócili głowy. W głębi łoży stał Hubert de Léger. A obok niego wytworna młoda panna w różowej sukni. Obrzuciła Hélène zimnym spojrzeniem.

Hélène i Hubert przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Hubert zwrócił się do swojej towarzyszki:

- Lille, bądź aniołem i poczekaj na zewnątrz. Dziewczyna wyglądała na zmieszaną. Potem niechętnie kiwnęła głową i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Hubert postąpił do przodu.

- Myślałem, że Lille i ja możemy się wybrać do opery, skoro nikt nigdy nie korzysta z naszej łoży - powiedział cicho. - Ale widzę, że się myliłem.

- Zaproś ją do nas - zaproponował hrabia. - Miejsca jest dość.

Hubert roześmiał się i spojrzał na Hélène z nagłym błyskiem zrozumienia w oczach.

- Pewnie mieszkasz na Boulevard Maillot?

Nie odpowiedziała.

- Ojciec zawsze lokuje tam swoje utrzymanki. Nie wiedziałaś o tym?

- Zapomnę o tych słowach - odezwał się cicho hrabia. - Uważam, że teraz powinieneś przeprosić Hélène i wyjść.

Wracaj do książek. Twoim ocenom na uniwersytecie nie zaszkodzi, jeżeli się więcej pouczysz.

Na twarzy Huberta pojawiły się rumieńce.

- Dlaczego mnie wyrzucasz? Żebyś mógł zostać sam ze swoją dziwką?

Hélène wstała. Kiedy spojrzała na Filipa de Légera, jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Chyba straciłam ochotę na oglądanie tej opery - oświadczyła ze spokojem.

Hrabia podniósł się również. Zarzucił jej futro na ramiona.

- Ucieczka ci nie pomoże - rzucił Hubert przez zęby. - Niczego nie zmieni. Dziwka pozostaje dziwką.

Wzdrygnęła się. Już prawie była przy drzwiach, kiedy Hubert złapał ją za ramię i obrócił twarzą ku sobie.

- Hélène! - zawołał. - Zostaw go i chodź ze mną!

- Pozwól mi wyjść - powiedziała zimnym głosem.

- Za chwilę. - Przyciągnął ją bliżej. - Sypiasz z nim, prawda? - zapytał syczącym głosem, zerkając to na ojca, to na dziewczynę. - Ale nie chciałaś sypiać ze mną. Dlaczego? Chodzi ci o pieniądze? Mam fundusz powierniczy. A może wolisz starych mężczyzn?

Szarpnęła się ze złością i uwolniła ramię. Palce Huberta zacisnęły się na jej nadgarstku.

- Puść mnie, to boli - odezwała się, szcękając zębami.

- Dlaczego mnie odrzucasz? - naciskał. - Chcesz tak po prostu odwrócić się i z nim wyjść? Tak na ciebie działa tytuł hrabiego?

- Puść ją! - szepnął jego ojciec.

Twarz miał napiętą. Hubert spojrzał na niego.

- Lubisz odbijać mi kobiety, nieprawdaż, ojcze? To sprawia, że czujesz się jeszcze mężczyzną, tak?

Nagle Hélène uderzyła go w twarz. Hubert puścił jej nadgarstek i patrzył na nią zaskoczony, ostrożnie przykładając palce do czerwieniejącego policzka.

- Może jestem dziwką - wysyczała - ale nie zasługujesz na takiego ojca. Nie zasługujesz nawet na mnie! - Odepchnęła go i wybiegła z łoży.

Kasztanowce w Lasku Bulońskim żółkły już, kiedy taksówka zatrzymała się przy krawężniku.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Hélène.

Pani Dupré sięgnęła do torebki, ale dziewczyna potrząsnęła głową i powstrzymała *madame* ruchem ręki.

- Jest pani moim gościem - oznajmiła stanowczo.

Pani Dupré zawahała się, a potem posłała jej uśmiech.

- Dobrze. Dziękuję.

Wysiadły z taksówki i patrzyły, jak kierowca wyjmuje z bagażnika walizkę. Postawił ją na chodniku. Hélène szybko mu zapłaciła i chwyciła rączkę walizki.

- Co za uroczy dom! - zachwyciła się pani Dupré, kręcąc głową ze zdumienia. - I jakie sztywne miejsce, Lasek tak blisko.

- Owszem, bardzo tu miło - przytaknęła Hélène.

- Będę często spacerowała po Lasku. - Pani Dupré uśmiechnęła się. - Kocham jesień w Paryżu. Prawie zapomniałam, jaki bywa wtedy piękny. Ale najcudowniejszy jest wiosną.

Ruszyła za Hélène po marmurowych stopniach i poczekała, aż dziewczyna otworzy drzwi.

- Proszę. - Hélène zrobiła zachęcający ruch ręką. Pani Dupré weszła do holu i rozejrzała się zaskoczona.

- Ależ... myślałam, że wynajmujesz tu tylko pokój! - zawołała.

Hélène uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Nigdy tego nie twierdziłam. - Zaczęła zamykać drzwi, ale poczekała chwilę. Po schodach biegł młody mężczyzna w pocztowym uniformie. Poczekała, aż dotrze do wejścia.

- Telegram do panny Junot - powiedział.

- To ja.

Podał jej kopertę i bloczek do podpisu. Potem chciał odejść.

- Chwileczkę - zatrzymała go. Wyjęła z torebki kilka monet i podała je posłańcowi.

- Co to? - zapytała pani Dupré.

- Telegram - odrzekła Hélène zamyślona. Ze zmarszczonymi brwiami rozerwała kopertę. Potem wyciągnęła kartkę, rozłożyła ją i szybko przeczytała:

DZIELNA MAŁA FRANCUZECZKO STOP MAMY CÓRECZKĘ A TY
BRATANICĘ STOP JEANNE NALEGA ŻEBY OCHRZCIĆ JĄ HÉLÈNE STOP ŻEBY
NIE BYŁO NIEPOROZUMIEŃ BĘDZIEMY JĄ NAZYWAĆ PETITE HÉLÈNE STOP
KOCHAMY CIĘ STOP DUMNA MATKA I OJCIEC JEANNE I EDMOND

- Jeanne urodziła córeczkę! - wykrzyknęła uradowana.

Wcisnęła depeszę w dłoń pani Dupré.

Pani Dupré przeczytała wiadomość i pokiwała głową.

- Musiała urodzić, kiedy byłam w pociągu! Hélène zaśmiała się głośno.

- Proszę sobie wyobrazić, zostałam... ciotką! - Potem dodała miękko: - Petite Hélène
- ładnie, prawda?

Starsza dama przytaknęła.

- Oczywiście. I założę się, że jest pięknym dzieckiem - powiedziała ciepło. - Jeanne musi być bardzo szczęśliwa.

Hélène uroczyście skinęła głową.

- Będzie cudowną matką. - Potem się uśmiechnęła. - Może teraz zaprowadzę panią do pokoju. Podróż na pewno była męcząca. Myślę, że chce się pani umyć, a potem trochę zdrzemnąć, żeby wypocząć. Zaplanowałam już najbliższe dni; mamy wyczerpujący program. Jutro pracuję, ale zarezerwowałam dla pani miejsce na pokazie u Odile Joly. Wprawdzie to tylko zwyczajny pokaz, oczywiście nie tak podniecający jak prezentacja letniej i zimowej kolekcji, ale zobaczy pani jej projekty. - Hélène uściskała mocno krawcową. - Jestem taka szczęśliwa, że przyjechała pani mnie odwiedzić! Nawet jeżeli tylko na pięć dni.

Pani Dupré uśmiechnęła się do niej.

- I ja jestem szczęśliwa.

- Chodźmy na górę. *Madame* chciała wziąć walizkę.

- Proszę to zostawić! - powiedziała Hélène. - Marthe przyniesie ją później.

- Marthe?

- Moja pokojówka - wyjaśniła nieco zakłopotana.

Pani Dupré w milczeniu kiwnęła głową. Kiedy doszły do pokoju gościnnego, Hélène szeroko otworzyła drzwi i cofnęła się.

- *Voilà!*

Pani Dupré weszła do środka. Zasłony były rozsunięte i sypialnię wypełniało światło dnia. Popatrzyła przez okno na Lasek, a potem rozejrzała się po pokoju. Pod jedną z kremowych ścian znajdowało się wielkie łóżko przykryte kremową satynową kapą.

- Jak tu pięknie! - zachwyciła się *madame*.

Hélène uśmiechnęła się i otworzyła po kolei różne drzwi.

- Tu jest toaleta, a tu łazienka. Przygotowałam mydła i ręczniki. Może się pani umyć, zanim Marthe przyniesie walizkę.

Pani Dupré pokiwała głową.

- Co za luksus! - powiedziała z uśmiechem, który zbladł, gdy ujrzała w łazience grube białe ręczniki kąpielowe. Wyhaftowany był na nich znajomy herb. Herb rodziny de Légerów.

Hélène zauważyła wyraz twarzy swojej dawnej pracodawczyni.

- I znowu oni - zażartowała cicho. - Tylko tym razem to nie są klitki dla służby.

Starsza kobieta podeszła bliżej i ujęła ją za rękę. W jej oczach pojawił się smutek zmieszany z obawą.

- Bądź ostrożna - rzekła cicho. - Kiedy kobieta jest w takiej sytuacji... Chodzi mi o to... - zawahała się zażenowana.

- Wiem - odpowiedziała Hélène, starając się, by jej głos zabrzmiał lekko. - Jestem utrzymanką, która w każdej chwili może się znaleźć na bruku.

Pani Dupré odwróciła wzrok.

- Nie to mnie martwi. My, Francuzi, jesteśmy pobłażliwi. Akceptujemy romanse. Tylko pamiętaj... - Potrząsnęła głową. - Przepraszam. Nie powinnam się wtrącać. Nie powiem już ani słowa.

Twarz Hélène była bez wyrazu.

- Nie. Proszę mówić.

Jej mentorka uniosła dłoń.

- Hubert jest... cóż, tak jak cię ostrzegałam w Hautecloque, jest kobieciarzem. Nie dochowa wierności jednej dziewczynie. Nie wystarczy mu nawet żona i kochanka, jak jego ojcu. To playboy, on kocha wszystkie kobiety. Teraz, kiedy już cię zdobył, jego zainteresowanie szybko zniknie. Boję się o ciebie, Hélène. Nie chcę, żebyś cierpiała.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Chichocząc, usiadła na łóżku i spojrzała na swoje stopy.

- Co cię tak śmieszy? - spytała *madame*.

Śmiech ucichł i twarz Hélène zrobiła się poważna. Dziewczyna spojrzała w oczy pani Dupré.

- Nie widuję się z Hubertem - odparła cicho. - Jestem kochanką hrabiego.

Punktualnie o siódmej zasiadły do obiadu w wielkiej jadalni. Hélène sama wszystko przygotowała.

- Jak to uroczo wygląda! - zachwyciła się pani Dupré.

Hélène starała się dzisiaj wyjątkowo i ta pochwała ją ucieszyła.

Przyniosła z piwnicy butelkę Château Hautecloque-de Léger. Otworzyła ją i odstawiła, by wino pooddychało. Teraz ostrożnie przelała je do kryształowej karafki, uważając, by nie zmącić osadu. Napełniła kieliszek pani Dupré.

Starsza kobieta uniosła go i przez chwilę wdychała aromat. Potem wypiła mały łyk i zamknęła oczy, delektując się smakiem.

- Doskonale - orzekła.

Zadowolona Hélène dołała pani Dupré wina i usiadła naprzeciwko niej. Marthe podała główne danie i wyszła. Hélène chciała zostać sama ze swoją dawną pracodawczynią.

- Czy smakują pani żeberka?

Starsza dama zrobiła zachwyconą minę.

- Przepyszne. Nigdy nie jadłam tak smacznych.

- Marthe umie gotować - przyznała Hélène.

Przez chwilę jadły w milczeniu. Potem pani Dupré odłożyła sztućce.

- Czy myślisz nadal o swoim magazynie? - zapytała. Hélène kiwnęła głową, bawiąc się widelcem.

- Tak, ale jeszcze na to nie pora. Na wydawanie magazynu potrzeba olbrzymich pieniędzy.

- A hrabia? Nie pomoże ci? Nie chodzi mi o... prezent - dodała szybko madame, spuszczać oczy - tylko o pożyczkę lub inwestycję. - Spojrzała na Hélène przez stół.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno.

- Tak, jednak on jest, niestety, bardzo staroświecki. Uważa, że miejsce kobiety jest w domu. Myślę, że z trudem akceptuje moją pracę u Odile Joly.

- Nie próbowałaś mu wytłumaczyć, że nie ma większej różnicy między pracą u kogoś a na swoim?

- Tak. - H el ene westchn ela. - Ale on twierdzi,  e kobiety nie maj  g owy do interes w.

- Czy by? - W oczach *madame* b ysn elo oburzenie. - Niech popatrzy na s ynne projektantki mody! Chanel, Madame Gr es, Madame Vionnet. Wszystkie z powodzeniem prowadz  w asne firmy.

- I Odile Joly - doda a H el ene z u miechem.

- Przede wszystkim Odile Joly - przytakn ela pani Dupr e. - Te kobiety odnios y wielki sukces!

- Obawiam si ,  e hrabia tego nie widzi. W a ciwie chyba si  boi,  e kiedy zaczn  wydawa  w asne pismo, nie b ed  miao  dla niego wystarczaj co du o czasu.

- Co zatem zamierzasz zrobi ?

- Nie wiem. Wiem,  e nigdy nie uda mi si  wydawa  pisma z pensji modelki. Po prostu zarabiam zbyt ma o. Nie mog  te  liczy  na pomoc i b ogos awie stwo hrabiego. - Westchn ela bezradnie. - Bardzo mnie to gn bi. Nie przychodzi mi do g owy  aden pomys .

Pani Dupr e kiwn ela g ow .

- Trudno jest stworzy  co  z niczego. A dwukrotnie trudniej, gdy si  jest kobiet .

- Wi ec co mam zrobi ?

- Poczekaj - poradzi a  agodnie. - B d  cierpliwa, poczekaj na stosown  chwil , a wtedy wykorzystaj wszelkie mo liwo ci. Nauczy am si  w  yciu jednego: ka dy ma sw j czas. Ca y sekret w tym, by dostrzec, kiedy  w moment nadchodzi, a wtedy dzia a  odwa nie i wytrwale. Kiedy nadejdzie tw j czas, nie wolno ci si  waha . Ja za-przepa ci am swoj  szans . I zauwa y am j  dopiero wtedy, gdy by o ju  za p  no.

- A wi ec poczekam - zgodzi a si  H el ene. - Ale jak d ugo?

- Jeste  m oda - odpar a pani Dupr e. - Bardzo m oda. Nie przyspieszaj rozwoju wydarze . - Zastanowi a si  chwil . - Mo e nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale ju  za-cz e a s dzia a  - doda a.

H el ene poczu a, jak ogarnia j  fala podniecenia.

- Chyba nie rozumiem... - odrzek a z wahaniem. Ciemne oczy pani Dupr e patrzy y na ni   agodnie i m drze.

- Nie rozumiesz? To pismo jest twoim przeznaczeniem. Masz to we krwi. I wszystko, co się do tej pory zdarzyło, prowadzi cię do celu. Kiedy weszłaś do mojego sklepu, zrobiłaś pierwszy krok. Pobyt w zamku to drugi. Teraz trwa etap trzeci. Znalazłaś się w świecie mody. Patrzysz na to wszystko od wewnątrz. Posuwasz się naprzód - powoli, ale nieustannie. Zapamiętaj moje słowa, Hélène. Osiągniesz swój cel. Popatrz na winogrona na wino. Trzeba je zerwać w momencie, kiedy są najbardziej dojrzałe. Nie wcześniej i nie później. Ty jeszcze nie dojrzałaś. Jednak wkrótce to nastąpi.

Baghat Cheops uśmiechał się grzecznie, wchodząc za szczupłym młodym mężczyzną do wytwornego gabinetu.

- Pan Bonnard zaraz przyjdzie - oznajmił młody człowiek.

Cheops skinął głową uprzejmie.

- Jestem do usług - oświadczył, siadając w fotelu naprzeciwko biurka, na którym były tylko dwie lampy o bardzo intensywnym świetle. Kiedy młody człowiek wyszedł, Baghat zabębnił palcami o walizeczkę na kolanach i rozejrzał się po pokoju. Oszczędnie umeblowane biuro znajdowało się na drugim piętrze budynku pod numerem dziewięć przy Place Vendôme. Wytworny salon jubilerski przypominał inne luksusowe sklepy na placu. Na pierwszym piętrze prowadzono sprzedaż, drugie było przeznaczone dla kierownictwa i dostawców. Na łukowatych oknach i białych markizach umieszczono napis „Claude Jassel”.

Cheops zapalił jednego ze swoich brązowych egipskich papierosów i zaciągnął się ostrym dymem. Odstawił walizeczkę na podłogę, podniósł się i zaczął spacerować po pokoju. Nie lubił czekać. A już na pewno nie chciał wyczekiwać na takiego snoba jak Bonnard. Niecierpliwił się, pragnąc jak najszybciej wymienić przyniesioną biżuterię na sześciocyfrowy czek. Spojrzał na papierosa; popiół już opadał na podłogę. Baghat poszukał wzrokiem popielniczki, ale jej nie zauważył i zmuszony był strząsnąć papierosa za mankiet spodni. Pomyślał, że musi je wyczyścić po przyjściu do domu. Zawsze o tym zapominał i jego mankiety pełne były popiołu i niedopałków. Kilka minut później do gabinetu wszedł dystyngowany mężczyzna w eleganckim garniturze.

- Witam, panie Cheops - rzucił opryskliwym tonem.

- *Bonjour*, panie Bonnard - odpowiedział Baghat głosem słodkim jak miód. Usiadł ponownie przed biurkiem, zgasił niedopałek i umieścił go w mankiecie.

Bonnard zajął miejsce za biurkiem.

- Czym mogę panu służyć, panie Cheops? - zapytał szorstko.

Egipcjanin uśmiechnął się szeroko, a jego złoty ząb odbił światło padające z okna. Czuł, że pot oblewa mu czoło, i sięgnął po chusteczkę.

- Chciałbym panu zaprezentować następny klejnot - wymamrotał ugrzecznionym tonem, osuszając twarz. - Oczywiście w całkowitej dyskrecji.

- Oczywiście. - Bonnard pozwolił sobie na lekki uśmiech. O Cheopsie można było powiedzieć wszystko poza tym, że był dyskretny.

Egipcjanin przejął to słowo od starszych dam z towarzystwa. Zmuszone do sprzedaży klejnotów matrony nalegały, aby kamienie wyjmowano z opraw, tak by nikt ze znajomych nie mógł rozpoznać biżuterii i domyślić się, że dotychczasowe właścicielki mają kłopoty finansowe. Cheops jednakże nie przejmował się takimi drobiazgami. Dla niego dyskrecja oznaczała nieujawnianie źródła klejnotów.

- To najwspanialsza rzecz, jaką do tej pory przyniosłem - oznajmił teraz głosem pełnym zachwytu. - Kamienie najwyższej jakości. Naszyjnik godny cesarzowej.

- Czy mogę go zobaczyć? - Bonnard wyciągnął dłoń.

- Oczywiście. - Cheops pospiesznie otworzył walizeczkę. Wyciągnął długie, wąskie etui, położył je na blacie i pchnął w kierunku Bonnarda. Na wierzchu wytłoczony był napis: „Van Clef i Arpels”.

Jubiler podniósł wieczko, wyjął z szuflady kawałek aksamitu i ułożył na nim naszyjnik. Szafiry zaświeciły ciemnoniebieskim blaskiem, otoczone zimnymi diamentami. Cheops aż wstrzymał oddech, lecz Bonnard ledwie na nie spojrział. Włączył obie lampy. Z całkowitą obojętnością wziął do ręki lupę. Oglądał kamienie dokładnie, ale beznamiętnie. Dla niego był to po prostu towar. Jego zachowanie się zmieni, gdy będzie pokazywał ten klejnot klientom. Wtedy będzie się zachwycał i zachwalał naszyjnik najwspanialszymi słowami.

Cheops przyglądał mu się w napięciu.

- Niezły, co? - zapytał, szczerząc zęby w uśmiechu. Bonnard milczał, starannie badając każdy kamień.

Co za snob, irytował się w myślach Egipcjanin. Uważa, że wszystko wie najlepiej. Ale zaraz się pocieszył, robiąc szybkie obliczenia. Uznał, że otrzyma prawdopodobnie połowę wartości naszyjnika. Wiedział, że w sklepie cena klejnotu wyniesie co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Gratulował sobie w duchu, że zapłacił za niego dwadzieścia. Prawdopodobnie dostanie teraz od Bonnarda sto dwadzieścia pięć tysięcy. A zatem sto dziesięć tysięcy zysku z jednej wizyty. Nieźle. Oby ta kobieta nie przestała przynosić mu klejnotów. Pewnie nie przestanie, chyba że spojrzy na witrynę jednego z lepszych salonów jubilerskich w Paryżu. Bo oczywiście Bahrat nie sprzedawał jej biżuterii turystom ani obcokrajowcom, jak obiecał. Większość tych świecidełek wracała zapewne do tego samego miejsca, gdzie została kupiona.

Ponownie wytarł chusteczką czoło. Mam nadzieję, że młoda dama nie odkryje tego zbyt szybko, pomyślał. To moja kura znosząca złote jajka. Dwudziestoczerokaratowe jajka, poprawił się szybko.

Była druga po południu, w pokoju zrobiło się ciemno. Za oknem, przy którym siedziała Hélène, ciężko padał śnieg. Kolana miała podciągnięte pod brodę, głowę oparła o szybę. Siedziała tak, odkąd zaczęło padać, czyli od kilku godzin.

Wpatrywała się w noc. Przez szklaną szybę świat na zewnątrz wydawał się zniekształcony. Wszystko było albo rozciągnięte, albo rozmazane, pozbawione konturów. Jak w gabinecie luster, pomyślała, zagryzając wagi. Tylko to nie jest zabawne, ale przerażające. Zbyt przerażające. Do tej pory sprawy układały się dobrze, musiała to przyznać. Była główną modelką Odile Joly i żyło jej się nieźle z hrabią. Dostała od niego całe szafy ubrań, biżuterię, dzięki której mogła zapłacić Häberlemu, i trzy piękne futra. Miała do dyspozycji pałacyk przy Boulevard Maillot. Tysiące mil dzieliły ją od ponurego labiryntu uliczek Montmartre'u i horroru Saint-Nazaire. Znalazła się na szczycie. Ale teraz? Odwróciła głowę od okna i spojrzała ze znużeniem na swoje dłonie. Teraz nagle wszystko się odmieniło. Okres jej się spóźnił. Nigdy wcześniej to jej się nie przydarzyło, ale powiedziała sobie, że nic się nie stało. Nie dostała go jednak również w następnym miesiącu.

I w trzecim. Wreszcie ogarnięta paniką Hélène poszła do lekarza. Potwierdził jej najgorsze obawy, była w trzecim miesiącu ciąży. Zagryzając wargi do krwi, zastanawiała się, co dalej.

Jestem modelką, myślała. Nikt nie musi mi wyjaśniać, co się dzieje z modelką w ciąży. Nie ma takich. To szczęście, że w ogóle udało mi się dostać tę pracę. Setki, a nawet tysiące pięknych dziewcząt czekają w kolejce na moje miejsce, marząc o swojej szansie. I słyszałam, że po porodzie robią się rozstępny. Co będzie, jeżeli mi nie znikną? Nie mogę wziąć sobie urlopu na urodzenie dziecka. Kiedy wrócę, moje miejsce będzie zajęte. A jak zdołam utrzymać siebie i dziecko bez pracy? Potrząsnęła głową. To błędne koło.

A co z hrabią? Nie miała co do niego złudzeń. Była zabawką w jego luksusowym domku dla lalek. Niepotrzebna mu kochanka w ciąży. Wyrzuci ją na bruk, kiedy tylko się o tym dowie. Może jedynie się spodziewać, że otrzyma jakieś zabezpieczenie finansowe, póki nie znajdzie sobie czegoś innego.

I wreszcie najważniejsze - jej marzenia. Wielkie ambicje Hélène. Jej magazyn. Wybrała już nazwę. - „Les Modes”. Wiedziała, że to jedyne dziecko, jakie pragnęła mieć.

Potrząsnęła głową w rozpacz. Dziecko! Jeszcze się nie pojawiło, a już wszystko kręci się wokół niego.

Zdenerwowana wyprostowała nogi, a potem zaczęła obmacywać brzuch palcami. Był wciąż płaski i twardy. Nie wyczuwała żadnej różnicy. Jeszcze nie. Nie będzie nic widać jeszcze przez kilka miesięcy, ale to tam jest, głęboko wewnątrz. Mogła wyczuć, jak rośnie ta nieskończenie drobna iskierka życia.

Hélène zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. W ciągu ostatnich kilku godzin w jej głowie rysował się pewien plan. Najpierw był przerażającą mroczną chmurą, którą od siebie odsuwała. Ale teraz przeobraził się w ohydny zdecydowany zamysł. To jedyne wyjście.

DZISIAJ

Piątek, 12 stycznia

Rozdział 1

Hélène i Edmond wysiedli z windy na dwudziestym pierwszym piętrze Manhattan Banku. Hélène była ubrana niezwykle elegancko. Miała na sobie futro z soboli, pod nim kostium Givenchy'ego w kolorze kości słoniowej i pojedynczy sznur pereł. Buty i torebka stanowiły komplet: były zrobione ze skóry jaszczurki. Aktówka, którą niosła, pochodziła ze sklepu Bottega Veneta na Madison Avenue i kosztowała dwa tysiące dolarów.

Tego ranka Hélène niezwykle starannie wybrała swoje ubranie. Przejrzała całą szafę, aby skompletować strój, w którym wyglądała elegancko, a zarazem nobliwie i konserwatywnie, jakby kupiła te rzeczy za „stare pieniądze”. Był to swego rodzaju kamuflaż, bo jej pieniądze z pewnością nie należały do starych, ale w dzisiejszych czasach odrobina retuszu nie szkodzi. Uznała, że perły będą w sam raz. Ani za dużo, ani za mało. Perły są zawsze odpowiednie. Zdecydowała, że musi wyglądać konserwatywnie i niezwykle subtelnie. Nawet powściągliwie.

- Wygląd jest niezwykle ważny - mruknęła do siebie.

Spojrzała na znajome drukowane litery na ścianie ponad recepcją International Commercial Banking Division. Ten dział Manhattan Banku podobnie jak sekcja prywatnych rachunków mieszcząca się piętro niżej należały do tych obszarów bankowego świata, których większość ludzi nigdy nie miała okazji oglądać. Ważni klienci byli tu obsługiwani w wysłanych pluszem prywatnych gabinetach, tylko na umówionych wcześniej spotkaniach. Tam, gdzie wchodziły w grę miliony dolarów, nie było czasu na czekanie w kolejce do okienek, w których siedzieli niesympatyczni pracownicy. Tutaj wszystko reprezentowało najwyższy poziom profesjonalizmu, kompetencji i dyskrecji.

Recepcjonistka powitała Hélène i Edmonda profesjonalnym uśmiechem.

- Czym mogę służyć? - zapytała uprzejmie.

- Jesteśmy umówieni z panem Rowenem - oznajmił Edmond.

Podniosła słuchawkę i zapytała:

- Kogo mam zaanonsować?

- Pani Junot.

- Proszę chwilę poczekać. - Uśmiechnęła się przepraszająco, wybrała numer i szepnęła coś cicho do słuchawki. Chwilę później odwiesiła ją i uśmiechnęła się ponownie.

- Pokój dwa-jeden-zero-siedem - powiedziała. Wskazała ręką hol. - Po prawej stronie. Pan Rowen oczekuje państwa.

- Dziękujemy - powiedział Edmond.

Ujął siostrę za rękaw futra i poprowadził przez wysłany niebieskim dywanem korytarz. Na białych ścianach wisiały różnokolorowe reklamy Manhattan Banku.

Przy drzwiach pokoju zastali młodego mężczyznę przymocowującego błyszczącą mosiężną tabliczkę. Hélène spojrzała na nią z ciekawością.

„R. ROWEN - wiceprezes”. Mężczyzna skończył swoją pracę, zauważył ich i odsunął się na bok.

- Przepraszam - rzekł sztywno. - Nie widziałem państwa...

Hélène uśmiechnęła się odruchowo.

- W porządku - powiedziała. Ale jej uśmiech zniknął, gdy zauważyła starą mosiężną tabliczkę w jego ręce. Był na niej napis: „J.C. GORE III, wiceprezes”.

Zadrżała. Jak szybko nowe zastępuje stare, pomyślała. Minał raptem dzień od śmierci Gore'a, a już wszelkie ślady po jego urzędowaniu są usuwane. Nagle powietrze w holu stało się ciężkie i duszne. Ucieszyła się, kiedy Edmond otworzył drzwi biura. Biura człowieka, który zmarł.

Alice, sekretarka Gore'a, spojrzała na nich znad biurka. Miała czerwone oczy i wyglądało na to, że płakała.

- Witaj, Alice - odezwała się miękko Hélène.

- Dzień dobry, pani Junot. - Alice pociągnęła nosem i wytarła go w chusteczkę. - Pan Rowen oczekuje państwa.

- Przykro mi z powodu śmierci pana Gore'a - powiedziała Hélène.

- Dziękuję, pani Junot. - Alice opanowała się, wstała i podeszła z godnością do wyłożonych fornirem drzwi gabinetu. Zapukała dwukrotnie. - Pani Junot i pan Junot, panie Rowen.

Odsunęła się, czekając, aż oboje wejdą, a potem cicho zamknęła drzwi. Gabinet był dziwnie ciemny. Olbrzymia dykta zasłaniała wybitą szybę w oknie, ograniczając światło i większość widoku. Hélène zadrżała.

Pan Rowen wstał i obszedł biurko. Uścisnął im dłonie.

- Jestem Robert Rowen - powiedział przyjaznym, uspokajającym głosem.

Zaprosił ich ruchem ręki, by usiedli.

Hélène zsunęła sobole na oparcie krzesła, po czym usiadła. Edmond zajął miejsce obok niej. Rowen wrócił za biurko. Hélène przekonała się, że ciemna dykta w oknie pozwala jej widzieć dokładnie twarz bankiera. Trudno byłoby wyczytać coś z oblicza pana Rowena, gdyby zza niego padało jasne światło dnia. Poczula się nieco zdekoncentrowana tym, że nowy wiceprezes był tak bardzo niepodobny do swojego poprzednika. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo się przyzwyczaiła do pucłowatego i astmatycznego oblicza Gore'a. Ten szczupły, ciemnowłosy mężczyzna po trzydziestce był przedstawicielem nowej kasty Młodych Zdolnych Profesjonalistów. Jak na swój wiek ubrany był tradycyjnie. Nosił konserwatywny prążkowany garnitur i koszulę firmy Turnbull and Asser - stosowne dla bankowej profesji.

Rowen odsunął na bok stertę wydruków z komputera i zaczął mówić, starannie dobierając słowa.

- Na razie zostałem wyznaczony przez zarząd na następcę pana Gore'a. Nie mam pojęcia, czy to nominacja na stałe. Jednakże postaram się załatwić wszystko ku państwa zadowoleniu. - Spojrzał na Hélène. - Hélène Junot International, Incorporated jest stałym, uznanym klientem Manhattan Banku i nie będę ukrywać, że bardzo sobie cenimy współpracę z państwem. - Uśmiechnął się, pokazując proste białe zęby. - To również ulubione wydawnictwo mojej żony, muszę dodać.

Hélène posłała mu wdzięczny uśmiech. Oczekiwał tego.

- W każdym razie - kontynuował Rowen - jesteśmy bezpośrednio zainteresowani kontynuacją współpracy między pani firmą a naszym bankiem oraz podjęciem obustronnie korzystnej decyzji w kwestii dziesięciomilionowej pożyczki. - Spojrzał na Hélène, która powoli kiwnęła głową. - Aby zapoznać się jak najszybciej ze wszystkimi okolicznościami sprawy, nie podejmę decyzji dotyczącej pożyczki wcześniej niż w poniedziałek.

Hélène ponownie kiwnęła głową, ale się nie odezwała. Edmond poprosił, aby mu pozwoliła prowadzić negocjacje. Teraz przystąpił do działania:

- Panie Rowen, dokładnie rozumiemy stanowisko Manhattan Banku. Ale jako przedstawiciel wydziału prawnego HJII, a zarazem doradca i brat pani Junot, poprosiłem o spotkanie w celu zaznajomienia pana z nagłą potrzebą uzyskania przez nas prolongaty. Jak pan wie, HJII jest największym i najpotężniejszym na świecie koncernem prasowym zajmującym się sprawami mody. Mamy prenumeratorów na sześciu kontynentach. Jedno słowo w naszych magazynach może wynieść na szczyty lub zniszczyć największych projektantów i producentów odzieży. Pomogliśmy wielu sławnym dzisiaj projektantom zdobyć ich obecną pozycję - Halstonowi, d'Itriemu, Armaniemu, Geoffreyowi Beene i innym. Nasi wierni czytelnicy - a nasz łączny miesięczny nakład wynosi ponad dwadzieścia osiem milionów egzemplarzy - mają do nas pełne zaufanie i wydają prawie sześć milionów rocznie na nasze periodyki. Dochody z reklam...

- Proszę nie opowiadać mi o sukcesie Hélène Junot International, panie Junot - przerwał mu cicho Rowen. - Zgodnie z faktami dziesięciomilionowa pożyczka została udzielona nie spółce, lecz pani Junot.

Edmond potrząsnął głową.

- Pani Junot i HJII to to samo - powiedział gładko. - A ponieważ zaoferowała swoje udziały w HJII jako poręczenie, musi pan przyznać, że pożyczka dotyczy spółki. Szczególnie że przejęcie kontroli nad nią zależy od pańskiej decyzji.

Rowen strzelił palcami.

- Jestem tego świadomy - rzekł ostrożnie. - Ale niezupełnie rozumiem, do czego pan zmierza.

Edmond sięgnął po papierosy.

- Pozwoli pan? - zapytał, wyciągając papierośnicę z osiemnastokaratowego złota.

- Oczywiście.

Edmond wybrał papierosa, uderzył nim o papierośnicę i powoli zapalił. Był to trik, który odkrył już dawno i z którego korzystał, kiedy potrzebował czasu do namysłu. Rowen jest bystry, pomyślał. Nie uda się z nim tak łatwo negocjować jak z Gore'em.

- Próbuję panu jedynie wyjaśnić, że bez kierownictwa, gustu i zdolności pani Junot koncernowi może zagrozić niebezpieczeństwo utraty osiągniętej pozycji. Bez niej HJII zbankrutuje w ciągu najbliższych pięciu lat. Może wcześniej. I dlatego sprawą najwyższej wagi jest, by Manhattan Bank powstrzymał się od sprzedaży zastawu.

Jak wszystkie wielkie firmy i wielu bogatych przedsiębiorców pani Junot ma przejściowe kłopoty finansowe. Większość jej pieniędzy jest związana przez inwestycje. Mogę pana zapewnić, że ten brak gotówki jest chwilowy. Pozwolę sobie również przypomnieć pańską uwagę, że całość spraw finansowych HJII prowadzi Manhattan Bank. Zależy to całkowicie od pani Junot. Jeżeli jej udziały zostaną sprzedane, utraci kontrolę nad HJII i nie będzie pan miał gwarancji, że Manhattan Bank będzie nadal prowadził finanse spółki. Myślę, że nie muszę panu mówić, iż przez ten bank przepływa rocznie ponad sto sześćdziesiąt milionów naszych pieniędzy. Jestem pewien, że pan o tym wie.

Rowen kiwnął głową.

- Owszem. I jak już panu mówiłem wczoraj przez telefon, przed podjęciem decyzji muszę rozważyć wszelkie czynniki.

Edmond wychylił się do przodu i zgasił niedopałek w wielkiej popielniczce. Jego oczy napotkały spojrzenie bankiera.

- Pan Gore... nadzorował nasze rachunki, prawda? - zapytał lekko.

- Jak również kilkaset innych - odpowiedział Rowen ostrożnie.

Edmond odchylił się z powrotem na oparcie.

- Rozumiem, że rachunek HJII był największy z nich.

- Nie jestem pewien. Musiałbym to sprawdzić. Mogę jednak przypuszczać, że tak.

Edmond uśmiechnął się łagodnie.

- Co, oczywiście, znaczy, że jeżeli pan Gore rzeczywiście „pożyczył” sobie pieniądze z różnych rachunków, najwięcej ubyło z kont HJII.

- Panie Junot, chciałbym pana zapewnić, że nasza instytucja jest w pełni ubezpieczona i jeżeli - kładę tu nacisk na słowo „jeżeli” - okaże się to prawdą, będziemy w stanie natychmiast pokryć straty.

- Rozumiem - odrzekł Edmond lekkim tonem. - I spróbuję wytłumaczyć to pani Junot. Ale musi pan przyznać, że będzie to raczej... dwuznaczna sytuacja, jeżeli zostaniemy ofiarami defraudacji, prowadząc interesy z niereagującym na oszustwo bankiem.

- Co ma pan na myśli?

- Jestem pewien, że większość przedsiębiorstw nie patrzy przez palce na „pożyczanie” sobie ich pieniędzy przez wysokich urzędników bankowych. A pani Junot rozumie, że macie wielu pracowników. Sama ma ich setki na całym świecie. Każda korporacja, a nawet bank, może mieć jedno zgniłe jabłko w beczce dobrych.

Rowen pochylił się nad biurkiem.

- Panie Junot - rzekł cicho - nie próbuje pan chyba szantażować naszego banku, żeby uzyskać prolongatę pożyczki dla pani Junot, prawda?

Edmond uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście, że nie, proszę pana. Mówię tylko, że ponieważ interesy HJII i waszego banku są powiązane, mamy nadzieję na kontynuację naszej dotychczasowej, korzystnej dla obu stron współpracy w przyszłości. Pani Junot nie chciałaby przenosić swoich stu sześćdziesięciu milionów dolarów do innego banku. - Edmond wstał i spojrzał na Hélène. Podniosła się również. Pomógł jej włożyć sobole, a potem zwrócił się do bankiera. - To bardzo uprzejme z pana strony, że zechciał się pan z nami zobaczyć, panie Rowen. Wiemy, że jest pan bardzo zajęty, i nie chcemy zabierać więcej pańskiego cennego czasu.

Po tych słowach oboje opuścili biuro. Dopiero po ich wyjściu Rowen zorientował się, że Hélène Junot nie wypowiedziała ani słowa.

Rozdział 2

Kiedy Robert Rowen wsiadał do taksówki, szalała śnieżycą.

Westchnął z ulgą. Wreszcie jechał do domu. Oczy piekły go koszmarnie. Spędził cały dzień i część wieczoru, przeglądając rachunki imperium Hélène Junot. Wreszcie dał sobie spokój i zatelefonował po taksówkę. Czekał na jej przyjazd w holu banku. Po godzinach urzędowania Wall Street wyglądała jak wymarła i nie można było znaleźć taksówki, nawet jeżeli zależałoby od tego czyjeś życie. Zawsze, kiedy padało, sytuacja się powtarzała.

Wreszcie, po ponad czterdziestu pięciu minutach oczekiwania, taksówka zajechała przed budynek. Rowen pobiegł do niej przez wirujące płatki śniegu.

- Park Avenue i Siedemdziesiąta Druga - powiedział do kierowcy.

Jadąc przez miasto, nie przestawał myśleć o finansach imperium Hélène Junot. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak skomplikowane były to operacje, dopóki nie zaczął przeglądać historii rachunków. Nie było im końca. Były tam konta, z których płacono weksle i listy kredytowe, odrębne rachunki dla każdej agencji reklamowej (razem dwadzieścia siedem), kilkanaście kont, z których przelewano pensje pracownikom, kilka do odprowadzania podatków, jedno na niewielkie wydatki gotówką, jedno, z którego wypłacano dywidendy udziałowcom, i kolejne, na przychody z filii zagranicznych, po jednym na każdą dzielnicę Nowego Jorku, dyskretne konto na nieudokumentowane wydatki, czyli łapówki, osobne na wydatki związane z podróżami, a także konto ogólne oraz siedem prywatnych kont Hélène Junot i tak dalej. Lista nie miała końca.

Myśli Roberta wciąż krążyły wokół rachunków, kiedy taksówka zajechała przed budynek przy Park Avenue.

- Dobry wieczór, panie Rowen - rzekł odźwierny, otwierając drzwi taksówki.

Rowen zapłacił kierowcy i wysiadł.

- Dobry wieczór, Pedro - odpowiedział zirytowanym głosem. Wyjął z kieszeni ćwierć dolara i w duszy przeklął odźwiernego za to, że wybiegł po napiwek.

Pedro przytrzymał mu otwarte drzwi i Rowen wszedł do ciepłego holu. Podeszedł do starej windy, nacisnął guzik i czekał całą wieczność, aż przyjechała. Kiedy wreszcie się zjawiła, wszedł do wyłożonej drewnem kabiny i nacisnął guzik z numerem dwanaście.

Kiedy drzwi windy się rozsunęły, przeszedł wyłożonym kafelkami korytarzu, wyjął klucz i zaczął otwierać drzwi z numerem 12 C. Otworzyły się, kiedy przekręcił klucz.

- Cześć, kochanie. Miałaś dobry dzień? - odezwała się miękko Jennifer. Stała na palcach, zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go mocno. Potem odsunęła się i posłała mu uśmiech. Jej brązowe włosy połyskiwały w świetle.

Robert połaskotał ją w ucho.

- Jak się miewa moja dziewczyna?

Zachichotała, ale zaraz spoważniała.

- Kochanie, tęskniłam za tobą.

- Ja też.

- Martini?

- To ty powiedziałaś. - Przeszedł za nią do salonu, gdzie stały ciężkie mahoniowe meble, które odziedziczyła po matce. Przyglądał się, jak wyciągała z kredensu kieliszki i znikająca w kuchni. Otworzyła lodówkę i wyjęła martini.

- Kochanie? Jesteś głodny? - zawołała.

- Mogę poczekać - odkrzyknął.

Wrzuciła do swojego kieliszka oliwkę, do jego ostrożnie włożyła winogrono, a potem naląła martini.

- No więc mów - rzuciła, siadając obok niego. - Jak ci minął dzień?

- Cóż, sam się zastanawiam. Poznałem bardzo interesującą osobę. Kobieta.

Zmrużyła złośliwie oczy.

- Jest piękna?

Robert wyglądał, jakby się zastanawiał.

- Tak.

- Piękniejsza niż ja?

Spojrzał na Jennifer. Była to ich stara gra. Ilekroć poznawał kobietę, zawsze o to pytała. On miał się zawahać, na co ona udawała, że się gniewa. W końcu mówił: „Nie,

kochanie, ty jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie". Wtedy Jennifer czuła się usatysfakcjonowana i całowali się szczęśliwi.

- No? - zażądała odpowiedzi, udając rozdrażnienie.

- Była... bardzo piękna - odrzekł z namysłem. Jennifer wyprostowała się naprawdę zirytowana.

- Mówisz poważnie, tak? Kiwnął głową.

- Więc jest aż tak wyjątkowa - stwierdziła gorzko. Potrząsnęła gniewnie głową, jej oczy rzucały lodowate błyski. - Kim jest ta... Helena Trojańska?

Nie mógł się nie uśmiechnąć, słysząc to niechcący trafne określenie.

- Hélène Junot - powiedział. - Wydaje magazyny o modzie.

Próbowała się roześmiać, ale zabrzmiało to nieszczerze. Robert spojrział na nią zaskoczony.

- A więc zdobyła i ciebie - oświadczyła oskarżycielskim tonem Jennifer.

Spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- O co ci chodzi?

- O co mi chodzi!? No wiesz, Robertcie! Czyżbyś nic o niej nie wiedział? Według autorów rubryk towarzyskich wszędzie sieje zniszczenie i zamęt.

Spojrzał na nią ze złością.

- Daj spokój, Jennie. To nie jest prywatna znajomość. Hej... - Wyciągnął dłoń, by pogłodzić żonę po policzku, ale odsunęła się niechętnie. - Nawet z nią nie rozmawiałem. Mówił tylko jej brat. - Znowu zadumał się na chwilę. - Wiesz co? - powiedział, jakby myśląc na głos. - Są bardzo zręczni oboje.

Pomimo złości żona spojrzała na niego z rosnącym zainteresowaniem.

- Co przez to rozumiesz?

- Cóż... - Pociągnął łyk martini. - To było dziwne. Ona siedziała z nami w charakterze manekina z okna wystawowego. Wiesz, o co mi chodzi? - Jennifer kiwnęła głową. - Tylko on mówił. Teraz, kiedy to sobie przypominam, myślę, że nie powiedziała nawet „dzień dobry” i „do widzenia”. - Potrząsnęła głową. - Jej brat jest naprawdę sprytny. Zbyt sprytny. Ale to ona stoi za wszystkim. Można to wyczuć. Jest to rodzaj... zatrzymał się, szukając właściwego słowa.

- Presji? - odpowiedziała.

- Hm... myślę, że można to tak nazwać.

Nagle zadzwonił telefon. Spojrzeli na niego oboje.

- Ja odbiorę - rzuciła szybko Jennifer. Wstała i podeszła do mahoniowego stolika, na którym stał aparat.

- Halo?

Chwilę później zakryła ręką słuchawkę i odwróciła się do Rowena. Na twarzy miała szczególny wyraz.

- Kochanie...

- Kto to?

- Nie wiem. Jakiś mężczyzna. Chce mówić z tobą.

- Cóż, przekonamy się, kto to.

- Kochanie, ciarki mnie przechodzą. On mówi szeptem.

Rowen westchnął, wstał i podszedł do telefonu. Jennifer podała mu słuchawkę, a potem przysunęła się bliżej, by móc podsłuchiwać.

- Tu Robert Rowen.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza. Potem w słuchawce rozległo się echo głosu:

- Panie Rowen, czy chciałby pan zarobić milion dolarów?

WCZORAJ IV

DECYZJA

Rozdział 1

Paryż, 1955

Śnieg przestał już padać, ale zrobiło się bardzo zimno. Hélène zatrzymała się przed starą kamienicą. Wahala się przez chwilę. Stała w bezruchu, mając wrażenie, że jej stopy przymarzły do płyt chodnika. Podniosła wzrok na budynek. Wyglądał tak samo jak wszystkie wokół - brzydkie, szare kamienice, które turyści uważają za malownicze. Ale tam, dokąd szła, nie było nic zachwycającego.

Przygryzła wargi tak mocno, że poczuła słodki smak krwi. Z determinacją otworzyła drzwi i zaczęła powoli wchodzić na ciemne strome schody, które oświetlała pojedyncza naga żarówka. Śmierdziało uryną i kocimi odchodami. W połowie drogi Hélène nagle ścisnęła palcami poręcz. Bała się, jej serce tłukło o żebra jak młot. Zamknęła oczy. Była zagubiona, zrozpaczona i samotna. Czowała się tak od chwili, kiedy postanowiła odnaleźć Angelique.

Nie wiedziała, czy tamta dziewczyna pracuje w Folies de Babylon, ale miała taką nadzieję. Hélène pamiętała, jak w dniu, kiedy pierwszy raz przyszła wieczorem do klubu, dowiedziała się, że Angelique jest wściekła, bo zaszła w ciążę i musiała sama zapłacić za skrobankę. Uśmiechnęła się teraz posepnie. Dawna koleżanka była jedyną znaną jej kobietą, która zdecydowała się usunąć ciążę.

O szóstej rano Hélène czekała przed bocznymi drzwiami lokalu. Całą noc nie spała, powieki jej poczerwieniały i zapuchły. Czekala w ciemnościach prawie godzinę, bo klub wciąż był otwarty. Cofnęła się głębiej w mrok, tak żeby nikt jej nie zobaczył.

Natychmiast rozpoznała Angelique i coś ją ścisnęło w gardle.

Zaczekała, aż dziewczyna zapali papierosa, a potem patrzyła, jak Angelique otuliła się futrem i ruszyła aleją. Świeży śnieg tłumił stukanie wysokich obcasów. Hélène szybko wysunęła się z cienia i poszła za nią.

- Angelique! - zawołała nieśmiało.

Tamta odwróciła się i spojrzała na Hélène w słabym świetle latarni.

- Tak?

- Pamiętasz mnie? Pracowałam tu kiedyś, byłam szatniarką. - Hélène opuściła kołnierz.

Angelique popatrzyła na nią obojętnie.

- Teraz nie szukają nikogo - powiedziała znużonym głosem i ruszyła przed siebie. -
Pytaj gdzie indziej - dodała.

Hélène podbiegła i złapała ją za ramię.

- Nie szukam pracy - wyjaśniła szybko. - Potrzebuję twojej pomocy.

Angelique ziewnęła.

- Posłuchaj, moja droga. Miałam ciężką noc. Bola mnie nogi, jestem zmęczona i chcę iść do domu.

- Proszę - błagała Hélène. - Mam tylko jedno pytanie. Angelique zatrzymała się i spojrzała na nią zmęczonym wzrokiem.

- Dobrze, o co chodzi?

- Wiem, że zrobiłaś skrobankę...

- Odczep się! - warknęła Angelique. - Może zrobiłam, a może nie, nie twój interes! -
Potem spojrzała na nią bystro i zmarszczyła brwi. W jej oczach pojawił się błysk. -

Teraz sobie przypominam - mruknęła z ironią - ty jesteś ta przyzwoita.

Hélène poczuła się tak, jakby ją ktoś uderzył w twarz. Spuściła głowę.

- Muszę się dowiedzieć, gdzie mogę usunąć ciążę - powiedziała cicho.

- No nie! Więc wcale nie jesteś taka święta! - zaśmiała się Angelique.

Hélène wbiła w nią błagalny wzrok.

- Proszę - wyszeptała. - Nie wiem, dokąd mam pójść. Angelique nagle jakby złagodniała, rozumiejąc jej ból.

- Dobrze - powiedziała miękko i objęła ją za ramiona. - Hej, nie płacz!

Hélène pociągnęła nosem i otarła oczy.

- Tak naprawdę to chciałabyś urodzić to dziecko, prawda?

- Tak. Ale... nie mogę. - Głos Hélène drżał.

- Chodź - rzuciła Angelique, uśmiechając się. - Już mi się nie chce spać. Może wstąpimy gdzieś na śniadanie?

- Nie jestem głodna - odparła Hélène. - Ale chętnie napiłabym się kawy.

Angelique kiwnęła głową.

- Znam tu mały lokal. Henri ma najgorszą kawę w Paryżu i nikt jej nie lubi. Ale pod ladą trzyma najlepszy koniak.

Alkohol podawano w filiżankach od kawy. Hélène spojrzała na nie i uśmiechnęła się lekko.

- Henri nie ma koncesji na alkohol - wyjaśniła Angelique. - Omija prawo, podając drinki w filiżankach. Oczywiście, to nie jest legalne. Ale wygląda niewinnie i niewtajemniczony klient niczego nie podejrzewa. Nawet policja wpada tu od czasu do czasu na „filiżankę kawy”. - Wyciągnęła rękę przez stół i położyła dłoń na dłoni Hélène. - Słuchaj - spytała łagodnie - który to miesiąc?

- Koniec trzeciego - szepnęła drżącymi wargami Hélène.

Angelique milczała przez chwilę.

- Długo czekałaś - powiedziała w końcu. - Teraz to już może być niebezpieczne. Jesteś pewna, że... chcesz to zrobić?

Hélène w milczeniu kiwnęła głową. Angelique bawiła się filiżanką.

- Znam pewnego młodego lekarza... - Wzruszyła ramionami. - W każdym razie twierdzi, że jest lekarzem. Jeżeli się zdecydujesz, zatelefonuję do niego i powiem mu o tobie. Potem sam się z tobą porozumie. Tylko dobrze się zastanów. Jeżeli to zrobisz, nie będzie można niczego cofnąć.

- Wszystko już przemyślałam - powiedziała Hélène stanowczo. - Muszę to zrobić.

Teraz, ze ściśniętym gardłem, zapukała trzy razy do drzwi na ostatnim piętrze. Ze środka dał się słyszeć stłumiony głos.

- Kto tam?

- Przyjaciółka Angelique, Hélène. Jestem... byłam umówiona.

Rozległ się zgrzyt przekręcanego klucza, a potem drzwi się otworzyły. Stał w nich niechlujny młody otyły mężczyzna. Palcami skubał brodę. Pokój za nim był ciemny, wokoło unosiła się woń pleśni. Spojrzał na nią.

- Nie stój tak. Prędko! Wchodź!

Hélène szybko weszła do środka. Grubas obrzucił podejrzliwym wzrokiem klatkę schodową, szybko zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz.

Hélène rozejrzała się wokół, starając się ukryć obrzydzenie. W pokoju było pełno kotów. Lizwały łapy, ocierały się o jej nogi, mruczały, chodziły po rozłożonych na podłodze gazetach.

Grubas zbliżył się do niej, wyciągając dłoń.

- Trzy tysiące franków - powiedział.

Hélène kiwnęła głową i nerwowo sięgnęła do kieszeni futra. „Nie bierz torebki - poinstruowała ją Angelique. - Nie bierz ze sobą niczego, co później musiałybyś nieść. Po zabiegu będziesz bardzo słaba". Wyjęła kilka banknotów i podała mężczyźnie. Bez słowa poślinił palce i przeliczył pieniądze. Potem skinął głową i schował je do kieszeni.

- Chodź ze mną - polecił.

Hélène z wahaniem przeszła za nim do kuchni. Tutaj też na podłodze leżały gazety. Na kuchence zobaczyła garnek z gotującą się wodą. W emaliowanym zlewie piętrzyła się sterta brudnych naczyń. Pośrodku znajdował się duży drewniany stół. Pokrywała go warstwa gazet.

- Rozbierz się i połóż tutaj.

Spojrzała na stół.

- Tutaj...? - zapytała nieśmiało.

- A widzisz jakieś inne miejsce?

Potrząsnęła głową.

- Nie - odpowiedziała powoli. Drżącymi palcami zaczęła rozpinąć guziki bluzki. Potem zdjęła spódnicę. Spojrzała na mężczyznę, ale stał tyłem do niej, myjąc ręce nad zlewem. Hélène szybko zdjęła figi i zrzuciła stanik. Ułożyła ubranie na krześle. Nagle zrobiło jej się chłodno. Zadrżała i objęła się rękami.

Grubas popatrzył na nią obojętnie. Hélène odruchowo usiłowała się zasłonić dłońmi.

- Powiedziałem ci, że masz się położyć.

Spojrzała na niego bez słowa. Wzięła głęboki oddech i wspierała się na stół.

- Połóż się na plecach. - Stopą wsunął pod stół metalowy kubek na śmieci.
- A to po co? - zapytała z nagłym lękiem Hélène.
- Nie zajmuj się tym, to już moja sprawa.

Cała drżąc, położyła się sztywno, tak że jej głowa znalazła się na krawędzi blatu.

- Zsuń się niżej - polecił mężczyzna. - I unieś nogi. Tak jakby ktoś chciał ci coś wepchnąć do środka.

Zagryzła wargi i zrobiła to, co jej kazał. Potem patrzyła, jak sięgał po długi, cienki drut ohydnie zagięty z jednej strony. Włożył go do garnka z wrzątkiem, a po minucie wyjął, trzymając prosty koniec przez ścierkę. Kilka kropel wody opadło na kuchenkę i zasyczało.

Hélène zamknęła oczy. W najgorszych wyobrazeniach nie sądziła, że to może tak wyglądać. Myślała, że będzie jakoś inaczej. Czyściej. Bardziej profesjonalnie. Z godnością.

- Rozsuń nogi - powiedział. - I nie poruszaj się.

Nabrała głęboko powietrza. Nogi jej drżały, kiedy je rozsuwała. Potem poczuła, że jego palce odsuwają włosy. Zesztywniała i ścisnęła dłońmi krawędzie stołu. Jej piersi unosiły się i opadały w cichym oddechu. Chwilę potem poczuła w sobie gorący metal. Czula go jak obcy przedmiot, jak coś, co do niej nie należało. Coś wewnątrz niej chciało krzyczeć, ale opanowała się i zagryzła wargi. Poczuła, że drut zanurza się głębiej. Potem zahaczył o coś.

- Nie! - krzyknęła, uderzając głową w blat stołu. - Nie! - wrzasnęła, czując, że coś się w nią zagłębia. Ból uderzył ją w brzuch tak, jakby coś wewnątrz niej zostało przebite i wyrwane.

Wiedziała, co to. Jej dziecko, które nosiła przez trzy miesiące. Z oczu Hélène popłynęły łzy.

Zmusiła się do otwarcia oczu i spojrzała na mężczyznę. Poruszał drutem wewnątrz niej, wbijał go głębiej i szarpał głębiej. Nagle ból zaatakował jej ciało przeszywającym żarem. Hélène wbiła palce w drewno, krzycząc głośno.

- Nie patrz - mruknął posepnie mężczyzna.
- Chcę widzieć - wyszeptała udęczonym głosem. - Muszę je zobaczyć!

Uniosła się i otworzyła oczy. A wtedy jęknęła przerażona. Gazety pod nią były przesiąknięte lepką, gęstą krwią. Leżał na niej maleńki płód. Teraz wiedziała już, do czego był potrzebny metalowy kubek pod stołem. Na jej dziecko.

Drzwi zatrzasnęły się za nią i zapadła cisza. Héléne popatrzyła w obie strony ulicy. Wciąż było jasno. Która godzina? - zastanawiała się. Powoli odwinęła rękaw i spojrzała na przegub. Wszystko to trwało niespełna pół godziny, a wydawało się, że minęły całe wieki.

Potykała się o chodnik, zataczała jak pijana. Twarz miała śmiertelnie bladą. Czowała koszmarny ból. Nagle zrobiło jej się gorąco. Wylała czoło rękawem. Włosy przykleiły jej się do głowy. Przecież wcześniej było zimno. Dlaczego jest jej tak ciepło?

Potem osunęła się na ziemię.

Rozdział 2

Héléne jęknęła i odwróciła na bok głowę. Powoli otworzyła oczy i spojrzała wokoło ze zdumieniem. Widziała przed sobą rozmazaną ciemność, w której jaśniała pionowa linia światła poruszająca się przed jej oczyma.

Zmarszczyła brwi i zamrugała. Z mroku zaczął się wyłaniać obraz. W pokoju było ciemno, ale musiał być dzień, bo przez zasłony przedostawały się smugi światła. Poruszały się, gdy wpadający przez otwarte okno wiatr unosił zasłony. Więc to były te tańczące, coraz to inne kształty. Héléne wyobrażała sobie różne rzeczy: wirującą na scenie balerinę, potwora z koszmarnego snu, białego konia stojącego dęba. Ale nie zasłony.

Próbowała usiąść na łóżku, jednak bez skutku. Z westchnieniem opadła na poduszki. Co się stało? Co się z nią dzieje?

Przypomniała sobie i zmarszczyła nos. Wciąż czuła odór uryny i kocich odchodów. Miała przed oczyma obskurne mieszkanie, przykryty gazetami stół i grubego mężczyznę z zakrzywionym drutem w dłoni. Przypomniała sobie również łaszące się koty i... płód...

Poczuła gwałtowne mdłości. Szybko, jakby chcąc uciec od tych koszmarów, odwróciła głowę na bok. Nagle zmarszczyła brwi, bo zasłony rozsunęły się i pokój zalało światło dnia. Biała pościel była ostra i sztywna, zupełnie inna niż miękka, haftowana bawełna z Portland, którą Héléne miała w domu.

Ostrożnie poruszyła kilka razy głową z boku na bok; jej fiołkowe oczy zaczynały widzieć lepiej. Znajdowała się w dużym pokoju, którego nigdy przedtem nie widziała. Było czysto. Żadnych gazet i kotów. Poczowała niezmierną ulgę.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł cicho jakiś mężczyzna. Zbliżył się do łóżka.

- Jak się czujesz? - zapytał łagodnie.

- Kim jesteś? - Spojrzała na niego z ciekawością. Nieznajomy zapalił lampkę.

Hélène poczuła, jak materace się ugięły, gdy usiadł na brzegu łóżka.

- Chciałem cię zapytać o to samo - odrzekł z uśmiechem. - Ale to może poczekać.

Wyjął z kieszeni okulary w drucianych oprawkach i włożył je ostrożnie. Potem wziął z szafki termometr, potrząsnął nim i włożył go Hélène do ust. Zacisnęła je odruchowo i zerknęła na mężczyznę.

Był niski i krępy, miał wąskie opadające ramiona, a w jego brodzie i włosach przeplatały się odcienie szarości i czerni. Wydatny nos szlachetnego kształtu wydawał się dziwnie nie na miejscu w naznaczonej smutkiem twarzy mężczyzny. Ciemne oczy były pełne żalu, jak gdyby widziały zbyt wiele bólu w przeszłości i mogły przewidzieć, że przyszłość przyniesie nie mniej cierpienia.

Mężczyzna przez chwilę czekał cierpliwie. Potem sięgnął po termometr i unióśł go do oczu. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Temperatura już się nie podnosi. - Odłożył termometr na szafkę. - Przettrzymałaś najgorsze. Wczoraj gorączka opadła.

- Wczoraj! - powtórzyła Hélène niepewnie. W jej oczach pojawił się nagły cień niepokoju. - Jak długo tutaj jestem?

- Cztery dni.

- Cztery dni! - Potrząsnęła z niedowierzaniem głową. - I teraz się obudziłam...

Mężczyzna skinął głową.

- Byłaś bardzo słaba - wyjaśnił. - Straciłaś dużo krwi. Nie było to jednak nawet w połowie tak niebezpieczne jak infekcja.

- Infekcja! - Próbowała usiąść, ale tylko uniosła głowę.

- Nie ruszaj się - ostrzegł ją nieznajomy. - Jesteś jeszcze za słaba. Dopiero za kilka dni odzyskasz siły.

- Gdzie jestem? - zapytała.

- Pod dobrą opieką. Nie martw się. Jestem lekarzem. Nazywam się Simon Rosen.

Hélène uspokoiła się trochę.

- Jak się tu dostałam?

- Znalazłem cię i przyniosłem tutaj. Straciłaś przytomność na ulicy.

- Sprawiałam panu tyle kłopotu - przeprosiła go zawstydzona.

- Nie martw się tym. Powinienem był odwieźć cię do szpitala, ale pomyślałem, że lepiej zabrać cię tutaj. Lekarze musieliby zawiadomić policję, zadawano by ci dużo nieprzyjemnych pytań.

Teraz zrozumiała, co znaczy mieć wobec kogoś wielki dług wdzięczności. Nie tylko uratował jej życie, ale wybawił ją również z poważnych kłopotów.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się panu za to odwdziaczyć - powiedziała z przejęciem.

Uśmiechnął się tylko.

- Myśl o tym, żeby wrócić do zdrowia. - Wstał. - Przyniosę ci coś do zjedzenia.

Hélène spojrzała na niego z wdzięcznością. Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Lekarz dostrzegł to; postanowił, że poczeka z obiadem, aż pacjentka odpocznie. Sen jest jej bardziej potrzebny niż jedzenie, uznał. Ale najpierw sięgnął po szklanekę, uniósł głowę Hélène i podał jej wodę. Piła powoli. Potem ułożył ją delikatnie.

- Niedługo wrócę - zapewnił ją.

Kiwnęła głową i zamknęła oczy. Czuła, że zaraz zaśnie.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Jak się nazywasz?

- Hélène Junot - wyszeptała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Doktor Rosen pokręcił głową. Dziwne są wyroki boskie. Widocznie przeznaczone mu było poznać następną Junot. Hélène Junot. Zmarszczył brwi i wrócił do wspomnień. Było czworo dzieci. To ta średnia dziewczynka.

Pokręcił smutno głową.

- Śpij, dziecko - szepnął. - Zbieraj siły, bo będą ci potrzebne. Nigdy nie powinnaś usłyszeć tego, co muszę ci opowiedzieć. Ale nasze drogi by się nie skrzyżowały, gdyby Bóg nie chciał, żebyś usłyszała tę historię.

Hélène przespała dwa dni i dwie noce. Kiedy się obudziła, miała wystarczająco dużo sił, by jeść, siedzieć, rozmawiać i martwić się. Najbardziej obawiała się o pracę.

- Czy mógłby pan zadzwonić do Maison d'Odile Joly i powiedzieć, że jestem chora? Że nie mogę na razie pracować? - błagała doktora Rosena.

- Odile Joly? - zapytał. - Chodzi ci o tę projektantkę mody?

Hélène potwierdziła.

Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Zaraz zadzwonię. - Wyszedł do telefonu.

Kiedy wrócił, spojrzała na niego z niemym pytaniem. Uśmiechnął się uspokajająco.

- Rozmawiałem z samą Odile Joly. Martwiła się o ciebie. Ma nadzieję, że wkrótce będziesz zdrowa.

- Nie powiedział jej pan...? - Hélène urwała zakłopotana.

- Oczywiście, że nie! - odrzekł lekko zasmucony, a zarazem dotknięty. - Jestem lekarzem. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

- Przepraszam - szepnęła ze skruchą Hélène. Ale w jej oczach odmalowała się ulga.

Tego popołudnia przyniesiono jej olbrzymi bukiet róż.

Doktor Rosen znalazł duży wazon i ustawił kwiaty na szafce nocnej przy łóżku.

Hélène wyjęła z małej białej koperty sztywny bilecik. Litery były tak niewyraźne, że ledwie mogła je odczytać. „Zdrowiej szybko. Twoja posada czeka. Niczym się nie martw. Odile Joly i wszystkie dziewczęta”.

Z uśmiechem popatrzyła na róże o długich łodygach. Delikatne różowe płatki układały się ciasno w grube, twarde pęczki, co wskazywało, że kwiaty będą olbrzymie. Czowała w powietrzu ich słodki aromat. Odile Joly może była ostra jak szpilka, ale dla swoich dziewcząt miała miękkie serce.

Następnego dnia doktor Rosen zaczął jej czytać nową powieść, która wywołała prawdziwą sensację: „Witaj, smutku” nieznannej pisarki Françoise Sagan. Nagle, niespodziewanie, Hélène chwyciła go mocno za rękę. Przestał czytać i zamknął książkę.

- Doktorze Rosen - odezwała się przerażonym głosem.

- Mów mi Simon. Jesteśmy przyjaciółmi, *non*? - Spojrzał na nią z łagodnym uśmiechem.

- Tak, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi - odrzekła Hélène.

Jej fiołkowe oczy przesłonił cień. Chwilę wcześniej były fioletowe, teraz przypominały barwą ciemny ametyst. Wydawało się, że jakaś chmura przesłoniła słońce.

- Muszę cię o coś zapytać, Simon - powiedziała cicho. - Muszę znać prawdę.

Skinął w milczeniu głową. Wiedział, o co chciała zapytać. Zastanawiał się, kiedy to nastąpi, ale nie oczekiwał, że stanie się to tak szybko.

Hélène zniżyła głos do szeptu.

- Simon? Czy... czy jeszcze kiedyś będę mogła mieć dzieci?

Przymknął oczy. Przez całe życie starał się oszczędzić ludziom cierpienia, lecz teraz nie mógł znaleźć właściwych słów.

- Dziękuję, Simon - odrzekła po prostu. - Dzięki, że nie próbujesz mnie pocieszać. Że nie dajesz mi fałszywych nadziei. - Odwróciła się na bok i patrzyła w ścianę. Leżała tak w milczeniu, po jej policzkach płynęły łzy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z wagi swojej decyzji. Nigdy nie urodzi dziecka. Po chwili jednak błysnęła jej pewna myśl: Ale będzie miała dziecko serca i marzeń: „Les Modes”!

Rozpacz zniknęła. Nie ma czasu do stracenia, powiedziała sobie Hélène. Zwłoka to luksus, na który nie mogła sobie pozwolić. Każdy dzień spędzony w łóżku to opóźnienie dla „Les Modes”. Zaraz następnego dnia wstała. Nogi miała miękkie, ale zmusiła się do chodzenia. Doktor Rosen był zaskoczony, jednak nic nie mówił. Widział, że jest emocjonalnie silniejsza. Tego wieczoru przyniósł do jej pokoju mały stolik i nakrył go.

- Zjemy razem obiad - oznajmił.

- Będzie mi bardzo miło - zapewniła go z uśmiechem.

Chwilę później, gdy już posadził ją na krześle, spojrzała na zastawę. Była to zwykła niedroga biała porcelana. Hélène pomyślała, że te proste talerze są dużo piękniejsze od serwisu Limoges i miśnieńskich talerzy, których używała w domu. Ta biel wyglądała uczciwie i bezpretensjonalnie.

Kiedy skończyli jeść, starannie ułożyła na talerzu nóż i widelec.

- Po twoim wyjściu przeszłam do drugiego pokoju i skorzystałam z telefonu - powiedziała cicho. Opuściła wzrok na talerz. - Nie mogę tu dłużej zostać. Jutro wracam do domu.

Doktor Rosen kiwnął głową. Jakie to dziwne, pomyślał, że prosiła go tylko o to, aby skontaktował się z Odile Joly i z nikim innym. A co z jej przyjaciółmi? Przecież taka piękna młoda kobieta musi mieć mnóstwo przyjaciół. A co z mężczyzną, z którym była w ciąży?

- Myślę, że jesteś już wystarczająco silna, aby wrócić do domu - powiedział. - Masz silną wolę i szybko wracasz do zdrowia. Jednak przez kilka tygodni powinnaś być bardzo ostrożna. Musisz mi to obiecać.

- Obiecuję.

- I nie... - Zrobił nieokreślony gest dłonią.

- Wiem. Żadnego seksu przez kilka tygodni - powiedziała Hélène z uśmiechem.

Kiwnął głową, twarz mu nagle poczerwieniała. Potem odchrząknął.

- Chciałbym również odwiedzić cię do domu. Nawet wsiadanie i wysiadanie z taksówki jest teraz dla ciebie wielkim wysiłkiem.

Hélène popatrzyła na niego z wdzięcznością.

- Dziękuję. Jesteś dla mnie taki dobry. Nie wiem... czy kiedykolwiek zdołam ci się odwdziżyć.

Uciszył ją ruchem dłoni.

- Kiedy spotkasz kogoś, komu będzie potrzebna pomoc, pomożesz mu i w ten sposób mi się odwdzięczysz.

- Zrobię to - zapewniła go uroczyście Hélène. Doktor Rosen spojrzał na nią ze smutkiem.

- Bardzo mi żal, że musimy się rozstać.

- Mnie również - odpowiedziała. - Będę za tobą tęskniła. Mam nadzieję, że będziemy się widywać.

- Bardzo bym tego pragnął. - Potem popatrzył na nią uważnie. - Powiedz mi - zaczął ostrożnie. - Teraz, kiedy zaczynasz odzyskiwać siły, jak się czujesz... emocjonalnie?

Hélène pochyliła głowę.

- Jak mogę się czuć? - zapytała cicho. Uśmiechnęła się gorzko. - To zaskakujące, prawda? Myślałam, że postępuję właściwie. Ale teraz wiem, że się myliłam. - Westchnęła.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek sobie z tym poradzę.

Doktor Rosen spojrział na nią w zadumie. Wyjął z kieszeni fajkę.

- Myślę, że powinnaś wiedzieć to, o czym chcę ci teraz opowiedzieć. Nie wiem, czy jesteś już gotowa, by to usłyszeć, czy też nie. Ale może to pozwoli ci zaakceptować swoją decyzję. Widzisz, Hélène, wszyscy cierpimy wiele razy w życiu. Niektórzy więcej, niektórzy mniej. To nie znaczy, że próbuję ci wyjaśnić, jak mało cierpiałaś. Chodzi mi o to, że wszyscy musimy znosić nasz ból i że czasami wiedza o czyimś olbrzymim cierpieniu pomaga złagodzić nasze własne. Rozumiesz mnie?

- Tak... tak mi się wydaje - powiedziała z wahaniem.

Napełnił fajkę tytoniem i ostrożnie zapalił. Długą chwilę milczał, wreszcie przemówił:

- Hélène, jestem Żydem. My, Żydzi, cierpimy już od tysięcy lat. - Spojrział na nią smutno. - Czasami zaczynam myśleć, że naszym jedynym celem jest cierpienie. Dotąd zawsze jakoś udawało się nam przetrwać. Wykrwawialiśmy się, zabijano nas, ale żadne pogromy nie mogły nas usunąć z powierzchni ziemi. Myślę, że sama wiesz o tym, co było kilka lat temu.

W milczeniu kiwnęła głową. Jeszcze w Saint-Nazaire słyszała o obozach. O milionach rozstrzelanych, zagłodzonych i zagazowanych ludzi.

- Było mi przeznaczone przeżyć ten ostatni atak na nasz naród - ciągnął doktor Rosen.

Powoli rozpiął i podwinął rękaw białej koszuli. Hélène spojrziała na przedramię Simona. Miał wytatuowany wyraźny granatowy numer. Oczy jej zwilgotniały, powoli wyciągnęła dłoń i przesunęła palcami po cyfrach.

- To było piekło na ziemi - mówił dalej. - A diabły nosiły mundury. - Zgasił fajkę, jakby nagle tytoń przestał mu smakować. - Nie można sobie tego wyobrazić, jeśli się przez to nią przeszło.

Hélène kiwnęła głową.

- Obozy koncentracyjne to hańba dla całej ludzkości - powiedziała łagodnie.

- Tak. - Doktor Rosen wziął głęboki oddech. - Były to miejsca przerażające; więźniowie cierpieli tam i umierali. Uśmiercano w nich tysiące niewinnych bezbronnych

ludzi. - Starał się opanować drzenie głosu; pulsowały mu żyły na skroniach. - Byłem w Oświęcimiu.

- Proszę, przestań - powiedziała cicho. - Czy nie dość wycierpiałeś? Mówienie o tym tylko powiększa twój ból.

Potrząsnął głową.

- Muszę ci to opowiedzieć. Widzisz, nie tylko Żydów wysyłano do Oświęcimia. Byli tam też Cyganie, homoseksualiści i „zdrajcy Rzeszy”. - Spojrzał na nią ze smutkiem. - Byli tam też członkowie francuskiego ruchu oporu.

Nagle zrobiło się jej zimno. Nie mogła wyrzucić słowa. Domyślała się, co Simon chciał jej powiedzieć.

- Spotkałem tam pewną kobietę - oznajmił. Z oczu płynęły mu łzy. - Nazywała się Jacqueline Junot.

Hélène zamknęła oczy. Przez chwilę siedziała w martwej ciszy jak porażona. Potem pochyliła się nad stołem. Jej twarz zmieniła się w nieprzeniknioną maskę.

- Powiedz mi! - szepnęła. - Powiedz mi! Proszę. Muszę wiedzieć!

I powiedział jej.

Maman została zagazowana w Oświęcimiu.